

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/313

1973



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

M. BROŃSKI :

GEORGE ORWELL

GŁOS WOLNEJ ROSJI :

A. SOŁŻENICYN - A. SACHAROW - A. KRUCZEK

R.P. BRUCKBERGER :

LIST DO PAPIEŻA

E. WACOWSKA :

ILE POLSKĘ KOSZTUJE PZPR ?

M. Broński:	<i>George Orwell</i>	3
Jan Darowski:	<i>Z notatnika</i>	27

GŁOS WOLNEJ ROSJI

Adam Kruczek:	<i>Niewolnik zawsze mówi: „TAK”</i>	39
Alain Jacob:	<i>Wywiad z Aleksandrem Sołżenicynem</i>	45
Edward Dillon:	<i>Wywiad z A. Sacharowem</i>	56
—	<i>Kto jest wariatem?</i>	62
R. P. Bruckberger:	<i>List do Papieża</i>	63
—	<i>Sacharow kandydatem do Nagrody Pokoju Nobla</i>	65
—	<i>A. Siniawski popiera kandydaturę Sacharowa do Nagrody Nobla</i>	66

ARCHIWUM POLITYCZNE

Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	67
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	78

SPRAWY I TROSKI

Zbigniew Byrski:	<i>Polska, PRL i Polonia Amerykańska</i>	89
------------------	--	----

K R A J

Ewa Wacowska:	<i>Ile Polskę kosztuje PZPR?</i>	108
I. Halak, K. Bieliński, J. Santorski, T. Szawiel:	<i>Jeszcze o organizacjach studenckich</i> ..	134

SĄSIEDZI

—	<i>Jubileusz Twu Naukowego Szewczenki</i>	139
Karol Szwedowicz:	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	141

KRONIKA KULTURALNA

K. A. Jeleński:	<i>Lebenstein — mitotwórca ludzkiej natury</i>	144
-----------------	--	-----

SPRAWY (NIE TYLKO) WYDAWNICZE

Adam Bromberg:	<i>Encyklopedyści (3)</i>	157
----------------	---------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Adam Czerniawski:	<i>Prof. Andr(z)ewski wśród czarownic</i>	165
Janina Katz:	<i>Antynostalgia</i>	169
Bogdan Mieczkowski:	<i>O Ziemiach Zachodnich</i>	172
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	175
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	177
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	185
J. Anders, A. Cheiuk, M. Hall, K. Łukomski, J. T.:	<i>Listy do Redakcji</i>	187
Dominik Morawski:	<i>Metody polemiczne „Wolnej Europy”</i> ..	190

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1973

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ „KULTURY”

M. Bisberg, Nogent-sur-Marne	F. 30,00
Janusz Kocharński, Dallas, Texas (USA), po raz drugi	F. 86,00
Wojciech Komornicki, Charlesville, Va. (USA)	F. 21,00
Mieczysław Kowalski, Clifton, N.J. (USA), po raz czwarty	F. 21,00
A. Waroczewski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz dwunasty ..	F. 202,00
Janusz Zembrzusi, Paryż, po raz dwudziesty	F. 100,00
Bezimiennie, New York	F. 33,00
Bezimiennie, New York, po raz siódmy	F. 86,00
Bezimiennie z Rose Bay, NSW (Australia), po raz siódmy	F. 5156,42

DZIĘKUJEMY!

Ze względu na nawał aktualnego i ważnego materiału redakcyjnego, październikowy zeszyt *Kultury* wychodzi w zwiększonej objętości i zawiera zamiast 160 stron — 192 strony. Cena numeru pozostaje bez zmian.

Dział „Głos Wolnej Rosji” — uzupełniony dodatkowymi materiałami — ukaże się jako osobna broszura. Mamy nadzieję, że nasi Czytelnicy pomogą nam, aby jak największa ilość tej broszury dotarła do Polski. Cena broszury wyniesie F. 5,00.

Do sprzedania najwięcej ofiarowującym!!!

Całkowity komplet *KULTURY* od Nr. 1 do bieżącego z „Bibliografią zawartości treści 1947-1957” oraz numerami specjalnymi w języku polskim. Roczniki 1947-1960 oprawione w pół-plotno po cztery numery w tomie. Zwracać się z ofertami na adres:

Wł. Sznarbachowski,
8 München 80
Hompeschstrasse 6/III.
BRD.

Imprimé en France.

George Orwell

Dwie powieści Orwella: „Folwark zwierzęcy” (*Animal Farm*, 1945) i „1984” (*Nineteen Eighty-Four*, 1949) zrobiły światową karierę, lecz o nim samym i o reszcie jego twórczości wiadomo poza angielskim kręgiem językowym niewiele. Sądzę, że każdy z pewną znajomością totalitaryzmu w praktyce po przeczytaniu którejs z wspomnianych powieści zadaje sobie pytanie: kim był ten człowiek i skąd on to wszystko wiedział? Celem tego szkicu jest próba odpowiedzi¹.

Zmarły w styczniu 1950 na gruźlicę Orwell pozostawił w swej twórczości wiele materiału biograficznego, lecz w testamencie wyraził życzenie, by nie pisano jego biografii. Można sądzić, że źródłem tego życzenia była nadzieja, iż dzieło udało mu się

1. Chcąc obok życiorysu i zarysu poglądów Orwella dać parę próbek jego tekstów, a zarazem utrzymać rozmiary artykułu w rozsądnych granicach, musiałem pominąć tu m.in. jego bardzo oryginalną krytykę literacką, a także dość liczne polonica w jego publicystyce; tematy te zasługują na odrębne opracowanie. Ograniczyłem przypisy do niezbędnego minimum; drobne cytaty bez odnośników i skróty typu „uważał, że...” etc. mają jednak oparcie w tekstach, głównie w 4-tomowym dziele „*The Collected Essays, Journalism and Letters of George Orwell*” (CEJL), 1968, wchodzącym w skład zbiorowej edycji nakładem Secker & Warburg. Poszczególne pozycje w tym dziele są ponumerowane; w odnośnikach podaje tylko tom (cyfra łacińska) i numer pozycji (cyfra arabska), ponieważ SEJL — podobnie jak inne twory Orwella — dostępny jest też w edycji *Penguin Books* (1970 i wznowienia) o identycznym układzie, lecz innej paginacji. Przy tytułach książek w tekście podaje datę pierwszej edycji, przy drobniejszych utworach również, plus lokalizację w CEJL. Podaje datę powstania utworu, gdy różni się znacznie od daty publikacji. Kompletną bibliografię Orwella znaleźć można w CEJL, podobnie jak szczegółowe kalendarium biograficzne, na którym oparłem się w tym szkicu. Na polski przełożone zostały dotychczas tylko: „Folwark zwierzęcy” oraz „1984”, bardzo pożydany byłby jakiś reprezentatywny wybór jego publicystyki i esejów.

BN
BIBLIOTEKA
NACJONALNA
WARSZAWA

P. 9786 che. Arch.

lepiej niż życie. Swój szkic o autobiografii Salvadora Dalí² otworzył dającym do myślenia zdaniem: „Autobiografię można uważać za wiarygodną jedynie wówczas, gdy zawiera coś kompromitującego dla autora. Człowiek, który sam siebie przedstawia w korzystnym świetle najprawdopodobniej łże, bo przecież każde życie widziane od wewnątrz jest jednym pasmem klęsk”.

Patrząc na życie Orwella od zewnątrz można je raczej uważać za rzadki przykład konsekwencji i uczciwości. Intencją jego ostatniej woli było — jak się wydaje — coś jeszcze: nieingerowanie w test, jakiemu poddawał swą twórczość. „Jedynym testem dzieła sztuki jest przetrwanie” — powtarzał często. Dzisiaj nie ma wątpliwości, że test ten wypadł dodatnio; można więc chyba pisać o nim samym, nie sprzeciwiając się istotnemu sensowi jego życzenia. Jego życie też było dziełem, które tworzył świadomie.

Orwell nie uważał się za mistrza, lecz jego biografia dzieli się wyraźnie na trzy klasyczne etapy: nauki, działalności praktycznej i okres dojrzwały, przedwcześnie ucięty przez śmierć. W czasie odpowiada to z grubsza epoce międzywojennej, drugiej wojnie światowej i okresowi po wojnie.

Okres pierwszy opisał na prośbę wydawców amerykańskiej encyklopedii literackiej³ następująco (w kwietniu 1940):

Urodziłem się w 1903 roku w Motihari w Bengalu jako drugie dziecko w rodzinie angielskiej osiadłej w Indiach. Ukończyłem szkołę w Eton w latach 1917-21, ponieważ udało mi się zdobyć stypendium konkursowe; nie przepracowywałem się tam jednak i nauczyłem się bardzo niewiele, nie sądząc też, by Eton wywarło jakiś silny wpływ na moje życie.

Od 1922 do 1927 służyłem w Indyjskiej Policji Imperialnej w Burmie. Porzuciłem ją częściowo dlatego, że klimat zniszczył mi zdrowie, częściowo dlatego, że już wtedy nosiłem się z mglistym zamiarem pisania książek, głównie zaś dlatego, że nie potrafiłem służyć dalej imperializmowi, który zacząłem uważać w dużej mierze za bandytyzm.

Po powrocie do Europy mieszkalem przez półtora roku w Paryżu, pisząc powieści i nowele, których nikt nie chciał drukować. Gdy moje pieniądze się skończyły przeżyłem kilka lat w dość ciężkiej biedzie i w tym czasie byłem m.in. pomywaczem nauczyciela, korepetytorem i nauczycielem w tanich szkołach prywatnych. Ponad rok byłem też sprzedawcą w jednej z londyńskich księgarni i zajęcie to samo przez się było interesujące, lecz zmuszało mnie do mieszkania w Londynie, czego nie cierpię. Od mniej więcej 1935 byłem w stanie utrzymać się z tego co zarabiałem

2. *Benefit of Clergy: Some Notes on Salvador Dalí*; napisane 1944; CEJL III, 42.

3. *Twentieth Century Authors*, eds. S. J. Kunitz and H. Haycraft, New York 1942; por. II, 7.

pisaniem i pod koniec tego samego roku przeniosłem się na wieś gdzie założyłem mały sklep. Sklep ledwie zwracał własne koszty, ale nauczyłem się dzięki temu wielu rzeczy na temat handlu, które przydałyby się, gdybym kiedykolwiek próbował czegoś w tej dziedzinie. Ożeniłem się latem 1936. Pod koniec tegoż roku wyjechałem do Hiszpanii, by wziąć udział w wojnie domowej, a moja żona przyjechała tam wkrótce po mnie. Służyłem cztery miesiące na froncie aragońskim w oddziałach P.O.U.M. i zostałem dość ciężko ranny, na szczęście bez trwałych następstw. Od tego czasu poza jednym wyjazdem na zimę do Marokka nie robiłem w gruncie rzeczy nic oprócz pisania książek i hodowli drobiu i jarzyn.

To co zobaczyłem w Hiszpanii i co później widziałem w rozgrywkach wewnętrznych lewicowych partii napełniło mnie wstrętem do życia politycznego. Byłem krótko członkiem Niezależnej Partii Pracy, ale na początku obecnej wojny wystąpiłem, ponieważ uważałem, że mówią bzdury i proponują linię polityczną, która ułatwia tylko Hitlerowi zadanie. Uczuciowo jestem zdecydowanie „lewicowy”, ale uważam, że pisarz może zachować uczciwość jedynie trzymając się z dala od etykietek partyjnych.

Moi ulubieni pisarze którzy mnie nigdy nie nudzą to Shakespeare, Swift, Fielding, Dickens, Charles Read, Samuel Butler, Zola, Flaubert, a wśród współczesnych James Joyce, T. S. Eliot i D. H. Lawrence. Sądzę jednak, że spośród współczesnych pisarzy największy wpływ wywarł na mnie Somerset Maugham, którego podziwiam niezmiennie za dar opowiadania zdarzeń po prostu i bez udziwniania. Poza moją pracą lubię najbardziej ogrodnictwo, zwłaszcza uprawę warzyw. Lubię angielską kuchnię i angielskie piwo, francuskie wina czerwone i hiszpańskie białe, indyjską herbatę, mocny tytoń, kominki, świece i wygodne fotele. Nie lubię dużych miast, hałasu, samochodów, radia, konserw, centralnego ogrzewania i „nowoczesnych” mebli. Gusta meej żony zgadzają się niemal idealnie z moimi. Mam zrujnowane zdrowie, ale nigdy nie przeszkadzało mi to w robieniu tego, co chciałem robić, z wyjątkiem — jak dotąd — wzięcia czynnego udziału w obecnej wojnie. Winienem może dodać, że choć powyższy opis siebie samego jest wierny, George Orwell nie jest moim prawdziwym nazwiskiem.

Prawdziwe nazwisko brzmiało Eric Arthur Blair, lecz w momencie pisania przytoczonej noty autobiograficznej pseudonim „Orwell” figurował już na kilkudziesięciu artykułach i ośmiu książkach. Pseudonim jest albo koniecznością życiową albo potrzebą psychologiczną. Wymyślony w 1932 „George Orwell” — los zrzadził, że nie „Kenneth Miles” lub „H. Lewis Allways”, jak brzmiały pozostałe zaproponowane wydawcy pseudonimy — był i potrzebą i koniecznością. Orwell nigdy nie przeprowadził zmiany nazwiska urzędowo, ale swym pseudonimem literackim posługiwał się nawet w korespondencji z przyjaciółmi. „Ludzie

zawsze dorastają do swych imion. Potrzebowałem prawie trzydziestu lat, by przezwyciężyć skutki nazwania mnie Erykiem" — pisał pół-serio do znajomego, ostrzegając go przed nadaniem córce dziwaczego imienia („wyrośnie na wariatkę lub coś w tym rodzaju”). Kryła się za tą zmianą niewątpliwie chęć odgradzenia się od lat szkolnych, które wspominał z goryczą, ale powodem bezpośrednim była okoliczność, że wydając swą pierwszą powieść „Nędzarz w Paryżu i Londynie” (*Down and Out in Paris and London*, 1933) — zbeletryzowany opis doświadczeń *plongeur’a* w paryskich restauracjach i trampa w Anglii — Orwell uczył równocześnie w prowincjonalnej szkole angielskiej. Sądząc po jej karykaturze w innej jego powieści, „Córka pastora” (*A Clergyman's Daughter*, 1935), „zakład” tego rodzaju nie tolerowałby nauczyciela o jego przeszłości i poglądach. Druga chronologicznie powieść Orwella, „Burmeńskie dni” (*Burmese Days*, 1934), wywołałaby jeszcze większy skandal, taką choćby opinią o panowaniu brytyjskim w Indiach: „... jest to despotyzm — łagodny bezsprzecznie, ale niemniej despotyzm, którego ostatecznym celem jest rabunek...”.

Orwell od samego początku pisał ostro i nad każdą jego książką — mimo wymuszanych przez wydawców złagodzeń — wisiła groźba procesu o szarganie dobrego imienia ludzi i instytucji. Ostrość była wynikiem połączenia poczucia sprawiedliwości ze znajomością rzeczy. Orwell, nim stał się ekspertem od totalitaryzmu, był ekspertem od nędzy. To połączenie nie jest przypadkowe: wspólnym mianownikiem obu dziedzin jest pętanie ludzkiej wolności przez przemoc, pośrednią lub bezpośrednią. Walkę przeciw niesprawiedliwej (lecz nie: *każdej*; ważna różnica!) przemocy Orwell uważał za obowiązek ucziwości. Jego Hiszpania, której mało nie przyplacił życiem świadczy, że nie jest to frazes. Podobnie też jego fizyczna wręcz odraza do kłamstw — nieszczerzej ortodoksji, *pia fraus*, samozakłamania — widoczna we wszystkim co pisał, wynikała z odrazy do gwałtu na ludzkiej wolności. Kłamstwo traktował jako oznakę obecności jakiejś przemocy — ponieważ wynika ono albo ze strachu, albo z nieczystych zamiarów. Formy przemocy z jakimi się zetknął w młodości: kolonializm i nędza, doprowadziły go do idei socjalizmu; niebezpieczeństwa grożące tej idei uczuliły go na dalsze rodzaje zagrożenia wolności. Talent, inteligencja i zamiłowanie do myślenia naprawdę i do końca sprawiły, że dostrzegł je wyraźniej od innych, nie powiększając przy tym oceanu drętwej mowy, jaki tego typu „zagadnienia ogólne” zwykle zasilają obficie.

Umiął znakomicie pisać i to widać już we wczesnych powieściach. Wspomniane pierwsze trzy: „Nędzarz w Paryżu i Londynie”, „Burmeńskie dni” i „Córka pastora” przypominają trochę

Egona Erwina Kisch’a i Zbigniewa Uniłowskiego równocześnie. Streszczenie ich w kilku zdaniach à la ks. Pirożyński ujawniłoby bez trudu ich wady konstrukcyjne (np. *deus ex machina* dla powiązania epizodów) i Orwell w późniejszych latach wyrażał się o nich lekceważąco, ale czyta się je nadal świetnie. Słynna orwellowska atmosfera — zagrożenia, spętania, bezwyjściowości — widoczna jest już we wczesnych utworach. Scena, w której George Comstock, bohater czwartej z kolei powieści pt. *Keep the Aspidochelone Flying* (1936) w okropnym „pokoju umeblowanym” parzy sobie herbatę po kryjomu przed jedzącą-gospodynią, ma już ten sam klimat, w którym Winston Smith z „1984” będzie pisał swój dziennik. Nędza u Orwella to przede wszystkim spętanie i upokorzenie; wspomniana powieść, której tytuł można by oddać jako „Vivat asparagus” (aspidochelone jest nudną rośliną pokojową, symbolizującą ten sam wymiar życia co fikusy czy asparagus w doniczce) ma za motto parafrazę I Listu do Koryntian: „Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a pieniędzy bym nie miał, stałbym się jako miedź brzęcząca albo cymbał brzęmiący”.

Dwie inne przedwojenne książki Orwella poświęcone są też temu równaniu: bieda = niewola. Jedną z nich jest ukończona tuż przed wyjazdem do Hiszpanii „Droga do Wigan Pier” (*Road to Wigan Pier*, 1937) — zamówiony przez *Left Book Club* Gollancza reportaż z życia bezrobotnych górników w okolicach dotkniętego kryzysem Sheffield; drugą jest powieść „Haust powietrza” (*Coming Up for Air*, 1939), napisana zimą 1937/38 w czasie sfinansowanego przez przyjaciół zdrowotnego wyjazdu Orwella do Marokka. Ta powieść, wypełniona już przecuciem wojny, jest chyba najbardziej typową dla pierwszego okresu pisarskiego Orwella; nie się w niej nie dzieje poza wypadem bohatera do rodzinnego miasteczka, w którym usiłuje odetchnąć na chwilę od swej beznadziejnej egzystencji zagonionego agenta ubezpieczeniowego i od przygnębiającej rodziny. Klimat tej książki pasuje wczesnego Orwella na następcę George’a Gissinga, jego ulubionego autora angielskiego z XIX wieku, którego sam tak określił: „Był kronikarzem pospolitości, szarzyzny i przegranej”.



Właściwą cezurę w twórczości Orwella stanowił jego udział w wojnie w Hiszpanii — po stronie republikańskiej, oczywiście. W dziesięć lat potem tak to wspominał w szkicu „Dlaczego piszę”:

Sądzę, że istnieją cztery ważne motywy pisania, a przynajmniej pisania prozą. ... Są to:

1. Zwyczajny egoizm: pragnienie okazania się bardzo mądrym; stania się tematem rozmów; przejścia do historii; odkucia się na starszych którzy pomiatali człowiekiem w dzieciństwie, etc. etc. Twierdzenie, że nie jest to motywem, i to silnym, jest oszustwem. ...

2. Entuzjazm estetyczny. Dostrzeganie piękna w świecie lub odwrotnie, w słowach i ich właściwym układzie. Przyjemność, jakiej dostarcza zdarzenie dźwięków, twardość dobrej prozy, rytm dobrego opowiadania. Chęć podzielenia się doświadczeniem, które uważa się za cenne i które nie powinno przepaść.

3. Impuls historyczny. Chęć zobaczenia rzeczy takimi, jakimi są naprawdę, wykrycia prawdziwych faktów i przechowania ich dla potomności.

4. Cel polityczny — w możliwie najszerszym sensie słowa „polityczny”. Pragnienie popchnięcia świata w pewnym kierunku; zmiana wyobrażenia ludzi na temat tego, ku jakiemu rodzajowi społeczeństwa winni dążyć. Twierdzę, że nie ma książki wolnej od tendencji politycznej. ...

Z natury — przez „naturę” rozumiejąc stan, jaki się osiąga w okresie wczesnej dojrzałości — jestem człowiekiem, w którym trzy pierwsze motywy winny przeważać czwarty. W spokojnych czasach pisałbym przypuszczalnie książki wyszukanie ozdobne lub wyłącznie opisowe i pozostałbym prawie nieświadomy własnych sympatii politycznych. Okoliczności zmusiły mnie jednak do stania się czymś w rodzaju autora traktatów propagandowych. Najpierw spędziłem pięć lat w nieodpowiednim zawodzie (Indyjska Policja Imperialna, Burma), a potem przeżyłem okres nędzy i poczucia klęski. Powiększyło to moją wrodzoną nienawiść do władzy, po raz pierwszy zdałem sobie naprawdę sprawę z istnienia klasy robotniczej, a stanowisko w Burmie dało mi pewien wgląd w naturę imperializmu: doświadczenia te jednak nie wystarczały dla uzyskania odpowiedniej orientacji politycznej. ... Wojna hiszpańska i inne wypadki w okresie 1936-7 przeżyły szalę i odtąd wiedziałem, co robić. Każda linijka mych utworów serio, powstałych po 1936, była pisana bezpośrednio lub pośrednio przeciw totalitaryzmowi i na rzecz demokratycznego socjalizmu, tak jak ja go rozumiem...”⁴.

Swoje doświadczenia hiszpańskie opisał Orwell bezpośrednio po powrocie w książce „Hołd Katalonii” (*Homage to Catalonia*, 1938), wracał do nich też często w późniejszych artykułach. Po krótko wyglądały one następująco: w końcu grudnia 1936 Orwell przybył do Barcelony z poleceniami socjalistycznej Niezależnej Partii Pracy i niemal natychmiast wstąpił do oddziałów milicji, podlegających P.O.U.M. (*Partido Obrero de Unificación Marxista*). Była to partia komunistyczna, lecz nie stalinowska — stalinowcy wkrótce też zaczęli ją zwalczać jako trocki-

stowską. P.O.U.M. stanowiła jedną z trzech partii — obok anarchistów i stalinowców (P.S.U.C.) — tworzących na wpół autonomiczny rząd Katalonii, podległy centralnemu rządowi Republiki. W czasie pobytu Orwella w Barcelonie P.O.U.M. była jeszcze dominującą siłą polityczną w Katalonii; linia głosiła równocześnie rewolucję społeczną i wojnę przeciw Franco; Barcelona robiła też istotnie wrażenie miasta, zarządzanego przez robotników; „anty-burżuazyjny” nastrój ówczesny wzbudził zachwyt Orwella. Przebywał początkowo na froncie koło Alcubierre, później został odkomenderowany na front aragoński, do oddziału ochotników angielskich. Wojna miała charakter pozycyjny i Orwell postanowił uzyskać przeniesienie do Brygady Międzynarodowej, walczącej pod Madrytem. Dostał urlop na załatwienie formalności w Barcelonie, gdzie przebywała też jego żona i spędził tam kilka dni. W tym czasie narastała już kampania stalinowców przeciw wszystkim pozostałym konkurentom politycznym; w Barcelonie doszło do walk ulicznych między policją rządową a siłami P.O.U.M. Partię tę coraz głośnie oskarżano o trockizm, sabotowanie wojny, a w końcu o zdradę na rzecz Franco; wyraźnie też słabła „ludowość” rewolucji. Orwell miał przed oczami próbki robienia polityki w stylu stalinowskim — niewielką, lecz dla niego wystarczającą. Zrezygnował z przeniesienia się do opanowanej przez stalinowców Brygady Międzynarodowej i powrócił na front, już w stopniu podporucznika. 20 maja otrzymał postrzał w gardło; operowany za frontem odzyskał dość szybko siły, ale o dalszej służbie nie było mowy. Ponieważ przepisy hiszpańskie wymagały, by papiery demobilizacyjne wystawiała bezpośrednio jednostka danego żołnierza, Orwell udał się jeszcze raz do swego oddziału na front, a gdy po paru dniach wrócił do Barcelony, dowiedział się, że P.O.U.M. została w międzyczasie uznana za organizację nielegalną i członków jej masowo aresztuje policja. Żołnierzy na froncie o tym nie powiadomiono i powracający wpadali w pułapkę. Ostrzeżony w ostatnim momencie Orwell wraz z żoną wymykał się przez dwa dni policji i konfidentom w Barcelonie i 23 czerwca opuścił Hiszpanię; na skutek bałaganu listy gończe nie docierały na czas i straż na granicy hiszpańsko-francuskiej przepuściła ich bez przeszkód. Wielu jego kolegów z frontu dostało się do więzienia; niektórych rozstrzelano.

Hiszpania wstrząsnęła nim z powodów dla niego charakterystycznych: przeraziły go nie tyle fizyczne, co psychiczne spustoszenia wywołane tą wojną. „Jednym z najprzykrejszych wrażeń było to, że nauczyłem się, iż prasa lewicowa potrafi być jola w jotę tak samo oszczercza i nieuczciwa jak prawicowa” — wspominał później. W „Hołdzie Katalonii” własna rana i nawet prześladowania polityczne jego przyjaciół opisane są jakby mimo-

4. *Why I Write*; *Gangrel* No. 4, Summer 1946; I, 1.

chodem; punkt ciężkości spoczywa na kłamstwie i nienawiści. Odtąd datuje się jego pogląd — w pierwszym momencie szukający — że lepiej jest zabijać niż siać nienawiść. W swej rubryce „*As I Please*”, jaką prowadził w czasie wojny w *Tribune* tak to sformułował:

„Wydało mi się, że mniejszą krzywdę wyrządza się ludziom rzucając na nich bomby, niż nazywając ich „*Hunami*” [angielskie przezwisko Niemców z okresu I wojny światowej]. Nie znaczy to oczywiście, że należy zadawać śmierć i rany gdy można tego uniknąć, lecz uważam, że zabijanie nie jest rzeczą najgorszą. Wszyscy będziemy martwi za mniej niż sto lat, większość na skutek mdłej ohydy zwanej „śmiercią naturalną”. Rzeczą naprawdę złą jest działanie, które uniemożliwia pokój. Wojna niszczy tkankę cywilizacji nie przez zniszczenia materialne (końcowym efektem wojny może być nawet podniesienie zdolności produkcyjnej świata jako całości), ani nawet przez zabijanie istot ludzkich, lecz przez podsycanie nienawiści i kłamstwa. Strzelając do nieprzyjaciela nie wyrządza mu się zła w najgłębszym znaczeniu tego słowa. Ale kiedy się go nienawidzi, komponuje kłamstwa na jego temat i wychowuje dzieci tak, by w nie wierzyły, kiedy żąda się niesprawiedliwych warunków pokoju, które następną wojnę czynią nieuniknioną, godzi się nie w jedno przemijające pokolenie, lecz w samą ludzkość”⁵.

Niektóre elementy konstrukcji świata „1984” też powstają już w 1937 roku w Hiszpanii. Pisząc o kłamstwach propagandowych tego okresu i oficjalnej wersji zdarzeń, ogłoszonej przez zwycięskich frankistów, dodaje w swym szkicu „*Patrząc wstecz na wojnę hiszpańską*” taki komentarz:

Sprawy tego rodzaju przerażają mnie, ponieważ często wydaje mi się, że samo pojęcie prawdy obiektywnej zaczyna na świecie zanikać. Są przecież szanse, że kłamstwa te, lub przynajmniej kłamstwa tego typu przejdą do historii. ... Jestem skłonny wierzyć, że pisana historia jest w dużej mierze nieścisła i tendencyjna, ale osobliwością naszej epoki jest porzucenie myśli, że historia mogłaby być w ogóle pisana prawdziwie. Dawniej ludzie kłamali rozmyślnie, lub bezwiednie koloryzowali to co opisują, lub też trudzili się nad doświadczeniem do prawdy wiedząc, że popełniają omyłki; wierzyli jednak, że „fakty” istnieją i że z większym czy mniejszym trudem można ją ustalić. I w praktyce istniał duży zasób faktów, co do których niemal wszyscy byli zgodni. ... Tę wspólną podstawę porozumienia, wraz z zawartą w niej implikacją, że wszyscy ludzie są tym samym rodzajem zwierząt, totalitaryzm niszczy. Teoria nazistów otwarcie zaprzecza istnieniu czegoś, co się nazywa „prawdą”. Nie ma na przykład „nauki”.

5. „*As I Please*”, *Tribune* 4. 8. 1944; III, 58.

Jest tylko „nauka niemiecka”, „nauka żydowska”, etc. Punktem docelowym takiej linii rozumowania jest świat z koszmaru, gdzie Wódz czy jakaś rządząca klika włada nie tylko przyszłością, ale i przeszłością. Jeśli Wódz powie o jakimś zdarzeniu: „to nie miało miejsca” — to rzeczywiście, nie miało miejsca. Jeśli powie, że dwa i dwa równa się pięć — to rzeczywiście, dwa i dwa równa się pięć. Perspektywa ta przeraża mnie bardziej niż bombardowania, co po naszych doświadczeniach ostatnich paru lat nie jest stwierdzeniem lekkomyślnym.

Ale może przejmowanie się wizją totalitarnej przyszłości jest dziecinadą lub zamięłnieniem do makabry? ... W Anglii nie doceniamy niebezpieczeństwa spraw tego rodzaju, bo nasza tradycja i przeszłe bezpieczeństwo napełniły nas sentymentalną wiarą, że wszystko zawsze jakoś się układa i to, czego się człowiek najbardziej obawia, nigdy nie zdarza się naprawdę, ... że zło na dłuższą metę zawsze samo siebie niszczy. ... Ale dlaczego miałyby tak być zawsze? Jakże są tego dowody? Gdzie przykład nowoczesnego, uprzemysłowionego państwa, które by samo upadło, bez podboju z zewnątrz? ... Kto mógł przypuścić dwadzieścia lat temu, że do Europy wróci niewolnictwo? I proszę, przywrócono je pod samym naszym nosem. ... Warto porównać trwałość niewolniczych imperiów starożytności z trwałością którejkolwiek z państw współczesnych. Cywilizacje oparte na niewolnictwie trwały po cztery tysiące lat.

Gdy myślę o starożytności przeraża mnie jedna rzecz: te setki milionów niewolników, na których grzbietach wspierała się przez pokolenia cywilizacja, nie pozostawiły po sobie żadnego śladu. Nie znamy nawet ich imion. Ile kto zna imion niewolników z całej historii greckiej i rzymskiej? Osobiście przypominam sobie dwa... Jeden to Spartakus, drugi Epiktet... Reszta utonęła w zupełnym milczeniu⁶.

To przerażenie nicością jest ważnym kluczem do Orwella.



Powrót z Hiszpanii do Anglii: domu w Wallington — który dzierżawił i w którym prowadził kilka godzin dziennie sklep, próbując tym zarobić choć na komorne — i do artykułów i recenzji, z których żył poza tym, był tylko pozornie powrotem do rutyny. Orwell od razu popadł w konflikt z prosta-linowską lewicą angielską; jego dotychczasowy wydawca Gollancz na niewidzianego odmówił publikacji „*Hołdu Katalonii*” orientując się, że Orwell zgodnie ze zwyczajem napisze całą prawdę. Wydała tę książkę firma Secker & Warburg, ratująca odtąd Orwella w jego kłopotach z tym co nazywał „prawomyslną lewicą”. Odtąd też datuje się wzrastające zainteresowanie Orwella

6. *Looking Back on the Spanish War*; napisane 1942; II, 41.

językiem polityki i początek kolekcji politycznych broszur propagandowych, która obecnie znajduje się w British Muzeum. Zaraz po skończeniu „Hołdu Katalonii” Orwell ciężko zachorował na płucę; odezwała się nierozpoznana jeszcze wtedy gruźlica. Marokko podreperowało mu zdrowie, lecz gruźlica w owych czasach była nieuleczalna. Wybuch wojny przyniósł serię rozczarowań: mimo jego starań, ze względu na stan zdrowia nie przyjęto go nie tylko do wojska, lecz i do żadnej w ogóle służby państwowej. Przez kilka miesięcy był bezrobotny i dopiero na wiosnę 1940 zaczął systematyczną współpracę z socjalistyczną *Tribune*, kierowaną m.in. przez Aneurina Bevana. Orwell przeniósł się do Londynu i zaczęła się jego druga faza twórczości — niemal całkowicie publicystyczna.



Przymusowy urlop na początku wojny dał Orwellowi możliwość rekapitulacji jego poglądów na literaturę i politykę — połączenie nieuniknione dla wyznawcy zasady: „*literatura jest zawsze propaganda*” — okresu międzywojennego. Swoje refleksje zawarł w poświęconym Henry Millerowi tytułowym szkicu zbioru „Wewnątrz wieloryba” (*Inside the Whale*, 1940), który ponownie wydał mu Gollancz (przejściowo ostudzony w prostalinizmie przez pakt Ribbentrop-Mołotow). Przytoczę dłuższy fragment tych refleksji, ponieważ są świetnie napisane, zawierają kwintesencję wielu jego poglądów i mają dużo aktualności.

Lata dwudzieste były złotym wiekiem intelektualisty-rentiera, okresem nieodpowiedzialności, jakiej świat jeszcze nie widział. Wojna była skończona, nowe państwa totalitarne jeszcze nie powstały, tabu moralne i religijne wszelkiego autoramentu rozsypały się, a forsą napływała. W modzie było „rozczarowanie”. Każdy z dochodem od 500 funtów rocznie wzwyż stawał się przerafinowany i zaczynał ćwiczyć się w *taedium vitae*. ...Ale w latach 1930-35 nagle coś się stało. Klimat literacki się zmienił. ...Ze zmięczenia bogów przenieśliśmy się raptownie w harską atmosferę gołych kolan i wspólnych śpiewów. Typowy literat z emigranta kulturalnego z ciągotkami do Kościoła zamienia się w dziarskiego ucznia z ciągotkami do komunizmu. O ile leitmotywem lat dwudziestych był „tragiczny sens życia”, leitmotywem nowych pisarzy staje się „zadanie serio”. ...Już w 1934 czy 1935 nie być mniej lub bardziej „lewicowym” uchodziło w kręgach literackich za ekscentryczność, a w rok czy dwa później powstała lewicowa ortodoksja stanowiąca o tym, że ustalony katalog poglądów na określone sprawy był absolutnie *de rigueur*. Zaczęło szerzyć się przekonanie, że pisarz albo jest aktywnie „lewicowy”, albo pisze źle. Między 1935 a 1939 niemal nieodpartą fascy-

nację na wszystkich pisarzy poniżej czterdziestki wywierała partia komunistyczna. Równie normalnym stało się słyszeć, że ten a ten „wstał”, jak kilka lat wcześniej, gdy w modzie był katolicyzm, słyszało się, że ten a ten „został przyjęty”. Przez mniej więcej trzy lata główny nurt angielskiej literatury znajdował się faktycznie pod mniej lub bardziej bezpośrednią kontrolą komunistyczną. Jak do tego doszło? A przy tym: co należy rozumieć pod słowem „komunizm”? Lepiej zacząć od drugiego pytania.

Ruch komunistyczny w Zachodniej Europie zaczął się jako ruch celem obalenia kapitalizmu siłą, po czym w ciągu kilku lat zwyrodniał w narzędzie rosyjskiej polityki zagranicznej. Przypuszczalnie było to nie do uniknięcia z chwilą, gdy ferment rewolucyjny, który wystąpił po I wojnie, wygasł. ...Jest jasne, że w Anglii, na przykład, takiego nastroju [autentycznej rewolucyjności] nie było. Wskazują na to dobitnie liście budzące liczby członków jakiegokolwiek partii skrajnej. Było więc rzeczą naturalną, że angielski ruch komunistyczny przeszedł w ręce ludzi podporządkowanych intelektualnie Rosji i nie posiadających żadnego realnego celu, oprócz manipulowania brytyjską polityką zagraniczną zgodnie z interesami rosyjskimi. Oczywiście takiego celu nie można głosić otwarcie i to nadaje partii komunistycznej jej szczególny charakter. ...Ale czemu ci młodzi ludzie zwrócili się ku czemuś tak obcemu jak komunizm rosyjski? Dlaczego pisarzy pociągnęła forma socjalizmu, uniemożliwiająca uczciwość intelektualną?... Było to po prostu coś w co można wierzyć. ...Wszystkie tradycyjne lojalności i przesady, przewyciężone pozornie przez rozum, można było — pod cieniutkim przebraniem — przyzwać w mgnieniu oka z powrotem. Patriotyzm, religia, imperium, splendor munduru — wszystko w jednym słowie: Rosja. Ojciec, król, wódz, bohater, zbawiciel — wszystko w jednym słowie: Stalin. ...„Komunizm” angielskich intelektualistów jest więc czymś, co można wyjaśnić. Jest to patriotyzm ludzi wykończonych. ...Dla ludzi tego typu rzeczy takie jak czystki, tajna policja, masowe egzekucje, więzienie bez sądu, etc. etc. są zbyt odległe, by przerażały. Mogą przełknąć totalitaryzm, *ponieważ* nie doświadczali niczego poza liberalizmem. Cóż przeżyli prawie wszyscy ci pisarze, liczący się w latach trzydziestych? Powtarzający się schemat: szkoła, uniwersytet, parę podróży zagranicznych, potem Londyn. Głód, nędza, opuszczenie, wygnanie, wojna, więzienie, prześladowania, ciężka praca — wszystko to zaledwie słowa. Nic dziwnego, że cała ta liczna gromada zwana „prawomyslną lewicą” z łatwością przechodziła do porządku nad czystkami, GPU i okropnościami pierwszej pięciolatki. Byli tak błogo niezdolni pojąć, co to wszystko naprawdę znaczy.

Około 1937 cała inteligencja psychicznie weszła w stan wojny. ...Wszystkie znane idiotyzmy wojenne: szpiegomania, węszenie nieortodoksji, ...kolekcjonowanie niewiarygodnych historyjek o okrucieństwach przeciwnika, wszystko to wróciło do mody. ...Obecnie nastroje się zmieniały, wynikało dużo pretensji i zamieszania, ponieważ aktualny bieg wypadków zamienił lewicową

ortodoksję ostatnich kilku lat w bzdurę. Nie trzeba było jednak mieć wiele przenikliwości by dostrzec, że większość jej była bzdurą od początku. Nie ma więc żadnej pewności, czy następna ortodoksja jaka się pojawi będzie choć odrobinę lepsza od ostatniej.

Ogólnie biorąc historia literatury lat trzydziestych zdaje się potwierdzać przekonanie, że pisarz robi dobrze trzymając się z dala od zorganizowanych akcji politycznych. Każdy pisarz bowiem, akceptujący całkowicie czy choćby częściowo dyscyplinę jakiejś partii stanie prędzej czy później przed alternatywą: trzymaj się linii albo stul pysk. Można oczywiście trzymać się linii i pisać nadal — w swoisty sposób. Każdy marksista bez najmniejszego trudu udowodni, że „burżuazyjna” wolność myślenia jest iluzją. Ale po skończeniu dowodu pozostanie psychologiczny fakt, że bez tej „mieszczańskiej” wolności zdolności twórcze obumierają. Może w przyszłości powstanie literatura totalitarna, będzie to jednak coś zupełnie różnego od tego, co jesteśmy sobie obecnie w stanie wyobrazić. Literatura taka jaką znamy jest wytworem indywidualnym, który wymaga rzetelności intelektualnej i możliwie jak najmniej cenzury. Stosuje się to nawet bardziej do prozy niż do poezji. Przypuszczalnie nie jest przypadkiem, że najlepsi pisarze lat trzydziestych to poeci. Prozie atmosfera ortodoksji szkodzi zawsze, a szczególnie zabójczo działa na powieść, tę najbardziej anarchiczną ze wszystkich form literackich. Ilu było dobrych pisarzy katolików? Nawet ta garstka, którą można by wymienić, składała się przeważnie ze złych katolików. ... Od 150 lat nie było tak ubogiej w prozę artystyczną dekady jak lata trzydzieste. Były dobre wiersze, dobre studia socjologiczne, znakomite traktaty polityczne, ale praktycznie ani jednej wartościowej powieści. Każdy kto był dostatecznie wrażliwy na muśnięcie *Zeitgeist*'u był zarazem zaangażowany politycznie. ... W najgorszym razie wymagano od człowieka zamknięcia się w ciasnej klatce łgarstw; w najlepszym — wszyscy niemal poddawali się swego rodzaju dobrowolnej cenzurze wewnętrznej („Czy mogę to napisać? Czy nie jest to profaszystowskie?”). Jest rzeczą prawie nie do pomyślenia, by w takiej atmosferze mogły powstawać dobre powieści. Dobrych powieści nie piszą ani spece od węszenia ortodoksji, ani ludzie z wyrzutami sumienia z powodu własnej nieortodoksji. Dobre powieści piszą ludzie, którzy się *nie boją*⁷.

Przewidzianą w cytowanym szkicu nową ortodoksją, która zastąpiła wśród angielskiej lewicy — na parę lat jedynie — sympatie stalinowskie był pacyfizm. Wydaje się to paradoksalne w kraju prowadzącym wojnę, ale Orwell często podkreślał, że w demokratycznym kraju większej odwagi wymaga przeciwsta-

7. *Inside the Whale*; I, 164.

wienie się opinii ciasnego kręgu zawodowego, niż opinii publicznej *sensu largo*. Angielscy pacyfiści domagali się zaprzestania wojny bez względu na wynik, pod hasłem: „Kto walczy z potworem, sam staje się potworem”; ale często krył się za tym defetyzm i sympatie prohitlerowskie. Orwell rozpoznawał tu starych znajomych. Odpowiadając na stawiany mu zarzut uprzedzenia antyinteligentckiego, pisał w 1942 w amerykańskim *Partisan Review* (przez całą wojnę nadsyłał do tego pisma regularną korespondencję pt. *London Letter*):

Nigdy nie atakowałem „intelektualistów” czy „inteligencji” *en bloc*. Zużyłem mnóstwo atramentu i narobiłem sobie masę szkody atakując kolejne kliki literackie, zatruwając ten kraj, nie dlatego, że byli intelektualistami, lecz właśnie dlatego, że nie byli tym co ja rozumiem przez prawdziwych intelektualistów. Żywot kliki wynosi mniej więcej pięć lat i pisuję już dostatecznie długo, by być świadkiem pojawienia się trzech i zniknięcia dwóch: gangu katolickiego, gangu stalinowskiego i obecnego gangu pacyfistów, czy też — jak niekiedy są nazywani — faszyfistów. Wszystkim im zarzucam, że uprawiają intelektualnie nieuczciwą propagandę i sprowadzają krytykę literacką do wzajemnego lizania się po tyłkach. ... Właśnie dlatego, że traktuję rolę inteligencji poważnie, nie cierpię wtajemniczonych min, oszczerstw, papuzich frazesów i finansowo intratnego kadzenia sobie nawzajem, jakie kwitnie w naszym angielskim świecie literackim — i może w waszym też⁸.

Uwagi Orwella na temat mód ideologicznych są — *mutatis mutandis* — zdumiewająco aktualne, a jego wyjaśnienie tego zjawiska wydaje się trafne. Omawiając w rok później książkę L. Fielden'a, historycznie antyangielską i historycznie proindyjską, Orwell zauważa:

W ciągu ostatnich dwudziestu lat zachodnia cywilizacja dała intelektualistom zabezpieczenie materialne bez odpowiedzialnych obowiązków i — szczególnie w Anglii — wykształciła w sceptycyzmie, lokując go równocześnie ze stuprocentową prawie gwarancją w klasie uprzywilejowanej. Znalazł się on w sytuacji młodego człowieka, żyjącego na utrzymaniu ojca, którego nienawidzi. Wynikiem jest silne poczucie winy i urazy, bez prawdziwej chęci ucieczki. Ale jakąś ucieczkę psychologiczną, jakąś formę samousprawiedliwienia trzeba mieć i najodpowiedniejszą z nich jest przeniesiony nacjonalizm. W latach trzydziestych zwykłym obiektem przeniesienia była Rosja sowiecka, ale istnieją też inne alternatywy i jest rzeczą godną uwagi, że obecnie wśród młodych

8. *Pacifism and the War (A Controversy)*; *Partisan Review*, Sept.-Oct. 1942; II, 36.

bardziej popularny niż stalinizm jest raczej pacyfizm i anarchizm. Zaletą tych wiar jest, że dążą do niemożliwego i dlatego w istocie wymagają od człowieka bardzo niewiele. Dorzucając do tego nieco orientального mistycyzmu i zachwytów nad Gandhim à la Buchman, otrzymuje się wszystko, czego zniesmaczonemu intelektualistcie potrzeba. Może korzystać z życia angielskiego *gentleman'a* i postawy moralnej świętego równocześnie. Przenosząc przywiązanie z Anglii na Indie (przedtem była to zazwyczaj Rosja) może pławić się we wszystkich szowinistycznych sentymentach, które w wersji oryginalnej byłyby nie do przyjęcia. ... Rzeczywiste fakty niewiele się liczą. Fakt, że wschodnie narody okazały się co najmniej tak samo wojownicze i krwiożercze jak zachodnie, że Wschód bynajmniej nie odrzuca uprzemysłowienia, a przeciwnie, stara się je wprowadzić u siebie możliwie najszybciej — nie liczy się, ponieważ to czego potrzeba, to mit pokojowego, religijnego i patriarchalnego Wschodu jako opozycji do chciwego i zmateralizowanego Zachodu. Lecz w momencie gdy się „odrzuca” uprzemysłowienie, a zatem i socjalizm, łąduje się w dziwacznej ziemi niczyjej, gdzie faszysta spotyka się z pacyfistą. ... W ciągu najbliższych paru lat usłyszymy jeszcze mnóstwo na temat wyższości cywilizacji wschodniej nad zachodnią⁹.

I jeszcze jeden cytat, związany z tym zagadnieniem. Pisząc o Tolstoju, Orwell zastanawia się nad pozornie paradoksalną kombinacją słodczy i agresywności u ludzkość-kochających doktrynerów i konkluduje:

Naprawdę liczy się różnica nie między stosowaniem czy nie stosowaniem siły, tylko między apetytem i brakiem apetytu na władzę. Istnieją ludzie, którzy traktują wojsko i policję jako absolutne zło, a równocześnie są bardziej nietolerancyjni i inkwizytorscy w poglądach niż zwykli śmiertelnicy, uważający, że w pewnych okolicznościach stosowanie siły jest konieczne. Ludzie tego rodzaju nie mówią drugiemu: „rób to, to i to, bo inaczej pójdiesz do więzienia”, ale starają się w miarę możliwości usadowić się w jego mózgu i dyktować mu myśli aż do najdrobniejszych szczegółów. Doktryny takie jak pacyfizm czy anarchizm, rezygnujące na pozór z jakiegokolwiek przemocy, raczej sprzyjają takiej postawie. Bo przecież skoro człowiek przyjął doktrynę, która wydaje się wolna od normalnego brudu polityki, doktrynę, z której nie może czerpać żadnych korzyści materialnych — to czyż nie dowodzi to, że słuszność jest po jego stronie? A im bardziej słuszność jest po jego stronie, tym naturalniejszą staje się rzeczą, by wszystkich zmuszać do myślenia w ten sam sposób¹⁰.

9. Review: *Beggar My Neighbour*, by Lionel Fielden; *Horizon*, Sept. 1943; II, 51.

10. *Lear, Tolstoy and the Fool*; *Polemie*, March 1947; IV, 76.

W 1941 Orwell chcąc uczestniczyć w wysiłku wojennym przyjął pracę w BBC, w programie indyjskim. Zastrzegł się, że nie należy od niego oczekiwać propagandy proimperialnej; był jednak zwolennikiem utrzymania związku Indii z Wielką Brytanią na czas wojny, gdyż sądził, że w przeciwnym razie Indie wpadną w ręce niemieckie lub japońskie. Pod koniec 1943 roku zrezygnował z tej pracy doszedłszy do wniosku, że wobec siły nastrojów antybrytyjskich w Indiach audycje BBC — oprócz dziennika — idą w próżnię. Objął redakcję literacką *Tribune*, w której rozpoczął też swą cotygodniową kolumnę *As I Please*. Tytuł odpowiadał rzeczywistości; Orwell pisał swe felietony jak mu się podobało, często popadając w konflikt z oficjalną linią pisma.

Dotyczyło to głównie sprawy Związku Sowieckiego. Prasa brytyjska z *Tribune* włącznie traktowała sojusznika z kurtuazją — zdaniem Orwella — nadmierną, bo mijającą się z prawdą. Częściowo było to też wynikiem schlebienia publiczności inteligentnej, wśród której zaczął odżywać mit rosyjski. W listopadzie 1943 r. Orwell zasiadł do pisania „Folwarku zwierzęcego”, słynnej potem satyry na stalinizm w formie bajki zwierzęcej. Bezpośredni impuls do tego dała konferencja w Teheranie, którą ocenił tak, jak później Jałtę — ocenę tę znajdujemy w ostatniej scenie „Folwarku”, gdzie rządzące po dyktatorsku świny padają w objęcia sąsiadów-farmerów. Orwellowi nie chodziło jednak o „kampanię antysowiecką”. W przedmowie do ukraińskiego tłumaczenia „Folwarku”, które ukazało się w 1947 w Monachium — potajemnie przed Amerykanami, lojalnymi sojusznikami ZSSR! — Orwell tak określił cel książki:

Nie ingerowałem w wewnętrzne sprawy sowieckie, nawet gdybym był w mocy; nie potępiałbym też Stalina i jego towarzyszy jedynie za barbarzyńskie i niedemokratyczne metody. Jest rzeczą zupełnie możliwą, że w warunkach tam panujących nie mogliby, nawet przy najlepszych intencjach, postępować inaczej.

Z drugiej strony jednak uważam, że jest niezmiernie ważne, aby ludzie w Zachodniej Europie rozumieli, czym jest naprawdę system sowiecki. ... Robotnicy i inteligencja w kraju takim jak Anglia nie są w stanie zrozumieć, że ZSSR dzisiaj jest czymś zupełnie odmiennym od tego, czym był w 1917 roku. ... Sądzę, że nic tak nie wypłynęło na degenerację oryginalnej idei socjalizmu jak przekonanie, że Rosja jest krajem socjalistycznym i że każde posunięcie jej władców należy usprawiedliwiać, o ile nie naśladować. Toteż od dziesięciu lat jestem przekonany, że rozbić mitu sowieckiego jest rzeczą istotną, jeśli chcemy przywrócić do życia ruch socjalistyczny¹¹.

11. Author's Preface to the Ukrainian Edition of *Animal Farm*; III, 110.

Książka została ukończona w lutym 1944, ale — jak Orwell przewidywał od początku — nie mogła znaleźć wydawcy. Gollancz, Cape i Faber & Faber odrzucili ją z przyczyn politycznych; po długich wahaniach wydali ją Secker & Warburg. Ukała się dopiero we wrześniu 1945 r. Był to początek ostatniego okresu działalności pisarskiej Orwella.



Koniec wojny był okresem zmian i wstrząsów w życiu Orwella. Latem 1944 państwo Blair adoptowali niemowlę — chłopca, któremu nadano imię Richard; jeszcze w tym samym miesiącu ich londyńskie mieszkanie zostało zbombardowane. W lutym 1945 Orwell wyjechał jako korespondent wojenny *Tribune* do Francji i Niemiec; w Kolonii dostał wiadomość o niespodziewanej śmierci żony w trakcie niegroźnej — zdawało się — operacji. Orwell nie chciał się jednak rozstać z przybranym synkiem i Richard chował się pod jego opieką.

Pod koniec 1945 Orwell wynajął niezamieszkałą fermę na wyspie Jura, u zachodnich wybrzeży Szkocji; pocztą dochodziła tam dwa razy w tygodniu, a dojazd z Londynu — koleją, promami i autobusami — trwał dwie doby. Zainstalował się tam na stałe z małym Ryszardem i swoją siostrą, która zgodziła się prowadzić gospodarstwo; Orwell własnoręcznie odnowił dom i — oczywiście — założył ogród. Można sobie wyobrazić, że dla tego wysokiego, chudego mężczyzny o twarzy bardziej przypominającej marynarza niż intelektualistę to północne odludzie („... *pływamy łodzią na zachodnie, niezamieszkałe brzegi wyspy, gdzie są piaszczyste plaże i w morzu pływają foki...*”) było stosownym tłem. Był to krótki okres spokoju. Niespodziewany sukces wydawniczy „Folwarku” po raz pierwszy w życiu uwolnił go od kłopotów finansowych. Tam na Hebrydach napisał swą najślawniejszą książkę: „1984”. Nie przypuszczał, że będzie jego ostatnią dużą pracą w życiu. Nie pisał jej — jak się niekiedy słyszy — w „przedśmiertnym lęku”. Ta totalitarna utopia była syntezą obserwacji ubiegłych piętnastu lat i jego refleksji na ten temat. Formę *science-fiction* wybrał dla tych samych celów, dla których swój atak na stalinizm ubrał w formę bajki: rzecz miała być obrazowa i przystępna. Przemyślał nad nią, jak wynika ze wzmianek w listach, od 1943 roku, czyli zanim przeczytał „My” Zamiatina, — nie był to więc pomysł zapożyczony. Orwella zawsze interesowały formy popularne: powieści fantastyczne, pisma dla młodzieży, limeryki i poezja nonsensu, humorystyczne kartki pocztowe, reklamy i „dobre złe powieści”, jak nazywał książki w stylu „Chaty wuja Toma”. Jeśli można tu

mówić o wpływie — wyłącznie formy — to raczej Wellsa, podobnie jak „Folwarkowi” patronuje Swift.

Zaczął pisać tę swoją ostatnią powieść w sierpniu 1946, ukończył ją dopiero w listopadzie 1948; wolne jak na niego tempo spowodowane było pogarszającym się zdrowiem i bieżącą pracą publicystyczną.



Przypomnę w skrócie główne rysy świata „1984”: w roku 1984 Anglia, pod nową nazwą „Strefy powietrznej Nr 1” tworzy wraz z Ameryką jedno państwo, Oceanię; Oceania jest jednym z trzech supermocarstw, pomiędzy które podzielony jest cały świat; we wszystkich — pod różnymi nazwami — panują niemal identyczne ustroje; ustrój *Oceanii* nazywa się w lansowanym języku urzędowym: „engsoc” (skrót od: *English Socialism*); rządzi jedyna Partia, na czele której stoi nieomylny Wielki Brat; na straży ortodoksji stoi Ministerstwo Miłości, kierujące tzw. policją myślową: jedyną możliwą formą opozycji jest bowiem tylko myśl, inne formy wytypowano już dawno; wszyscy są pod obserwacją, donosicielstwo jest obowiązkiem, podejrzani znikają na zawsze; imiona ich usuwa się z wszelkich zapisów, wspomnianie ich w rozmowie jest przestępstwem myślowym; ortodoksja ogranicza się do kultu Wielkiego Brata i przestrzegania — wciąż się zmieniającej — linii Partii; historię fałszuje się na bieżąco i niszczy źródła — prawdą jest więc to, co Partia głosi w danym momencie; oficjalna ideologia Partii składa się z hasła, stanowiących nonsensy logiczne, np. „wolność jest niewola” — podkreśla to oficjalną eliminację racjonalnego myślenia, na miejsce którego lansuje się tzw. „dwójmyśl”, a w praktyce daje możliwość dowolnej wykładni „engsocu”; lansuje się też nowy język — „nowomowę” — składający się ze skrótów i szablonów; zamierzony cel — jeszcze nieosiągnięty w 1984 — to taka konstrukcja języka, że nie da się w nim w ogóle sformułować nieprawomysłnej opinii i np. zdanie „chcę być wolny” będzie nonsensem gramatycznym; panuje nędza i ustawiczna wojna z jednym lub drugim supermocarstwem: celem tego jest utrzymywanie hysterii wojennej i stworzenie iluzji celu — w istocie żadne z mocarstw nie jest w stanie podbić innego i wcale tego nie pragnie. Oceania jest systemem zamkniętym.

„1984” wygląda na pozór jak karykatura stalinizmu i do dziś jest jedną z najsrożej wykletych książek w krajach komunistycznych; w istocie Orwellowi nie chodziło o jeszcze jedną książkę antysowiecką i nie wzorował się na żadnym istniejącym ustroju. Zbieżności świadczą, że jego wizja doskonałego totalitaryzmu

była przeprowadzona konsekwentnie i przenikliwie. Skąd wziął elementy do tej konstrukcji?

Myśl o możliwości podziału świata na trzy bloki, trzymające się wzajemnie w szachu pojawia się po raz pierwszy w „Rewolucji manadżerskiej” Burnhama (1940); Orwell polemizował z tą książką, ale ta idea — wraz z ideą podziału ludności na aktywną politycznie mniejszość i pasywną większość („proles” w „1984”) — trafiła mu do przekonania.

Podział świata na strefy wpływów po II wojnie oraz wynalazek bomby atomowej (V-2 poznał wcześniej) utwierdzały go w przekonaniu, że do takiej koncentracji potęgi dojść *może*. Myśl ta i dziś nie jest absurdem.

Idea „engsocu”, czyli totalitarnego pseudo-socjalizmu *nie* była bezpośrednią karykaturą Sowietów. Orwell obawiał się, że *casus* rosyjski jest tylko ilustracją ogólniejszej tendencji. Jako socjalista uważał, że socjalizm: równość ekonomiczna *plus* wolność (tak to rozumiał) — jest jedynym moralnie koniecznym rozwiązaniem dla uprzemysłowionego świata; nie oznaczało to dlań jednak konieczności faktycznej. Pod tym względem był sceptyczny: „Socjalista znajduje się dziś — pisał w 1947 roku — w sytuacji lekarza przy łóżu bardzo ciężko chorego. Jako lekarz obowiązany jest utrzymywać pacjenta przy życiu, czyli zakładać, że ma on choć szansę wyzdrowienia. Jako naukowiec obowiązany jest patrzeć prawdzie w oczy, czyli przyznać, że pacjent prawdopodobnie umrze”¹². Orwell był idealistą, ale nie był naiwny. Zdawał sobie sprawę, że zmiana ustroju ekonomicznego — rewolucyjnie czy ewolucyjnie, wszystko jedno — jest długim procesem, który początkowo *obniży* powszechną stopę życiową. Napięta sytuacja ekonomiczna *plus* wolność polityczna — tak wyobrażał sobie wstęp do socjalizmu. Wiedział, że jest to wymarzone pole działania dla chciwych władzy demagogów. Znał ich dobrze — dlatego obawiał się, że „engsoc” jest realnym niebezpieczeństwem wszędzie.



„Nowomowa” również nie była zamierzoną karykaturą *Prawdy* moskiewskiej. Była owocem jego obserwacji nad językiem politycznym w Anglii! Temat ten jest zbyt obszerny, by go omówić wyczerpująco, ale i zbyt ważny dla charakterystyki poglądów Orwella, by go całkiem pominąć.

Jako pisarz był zawodowo czuły na jakość języka, ale polityka nauczyła go, że język jest narzędziem, którym sięga się

do ludzkich umysłów. Cybernetyka rodziła się dopiero, gdy Orwell umierał, lecz miał on fenomenalne wręcz wycucie cybernetyczne *avant la lettre*. Świat „1984” jest w istocie układem cybernetycznym i dlatego jest tak przerażający. Wróć do tego za chwilę. Koncepcja „nowomowy” u Orwella jest szczególnie subtelnym *exemplum* jego intuicji mechanizmu sprzężeń zwrotnych.

W szkicu „Polityka i język angielski”¹³ — jednym z dziesiątki artykułów, w których pisał o języku polityki — tak to ujmuje:

Jest oczywiste, że wyjściową przyczyną psucia się języka są powody polityczne i ekonomiczne, a nie zły wpływ tego czy innego użytkownika. Ale skutek może sam z kolei stać się przyczyną, wzmacniającą przyczynę wyjściową i wywołać ten sam skutek w intensywniejszej formie, i tak w kółko. Ktoś może zacząć pić, czując, że mu się nie wiedzie, po czym będzie doznawał jeszcze gorszych porażek na skutek tego, że pije. Coś podobnego dzieje się z językiem... Staje się brzydki i nieścisły dlatego, że głupio myślimy, ale z kolei niechłujstwo języka sprzyja głupiemu myśleniu.

W tym samym szkicu Orwell analizuje główne cechy charakterystyczne „głupiego” użycia języka, szczególnie rozpowszechnionego w polityce. Są to: *martwe* („i cuchnące”) *metafory*, *ompatyczny styl* i *wrażenia wieloznaczne lub nie znaczące*. Nie chodziło mu tylko o estetykę: uważał, że język tego rodzaju stosowany jest *celowo*:

W naszych czasach mówienie i pisanie typu politycznego jest przeważnie obroną rzeczy nie nadających się do obrony. ... Z tego powodu język polityczny składa się głównie z eufemizmów, niedopowiedzeń i ordynarnej mglistej niejasności. ... Terminologia taka jest niezbędna, jeśli chce się nazywać rzeczy nie wywołujące ich obrazu. Wystawmy sobie jakiegoś ciepło uplasowanego profesora w Anglii, który broni rosyjskiego totalitaryzmu. Nie może on powiedzieć wprost: „Uważam zabijanie oponentów za słusne, jeśli daje to dobre rezultaty”. Zapewne więc powie coś w tym guście: „Przyznając naturalnie, że system sowiecki wykazuje pewne cechy, nad którymi humanitaryści skłonni byłiby może ubolewać, sądzę, że musimy się wszyscy zgodzić, iż pewne ograniczenia praw opozycji politycznej są nieuniknionym zjawiskiem towarzyszącym okresom przejściowym i że rygor, jakim poddany został naród rosyjski znajdują pełne uzasadnienie w zakresie konkretnych osiągnięć”.

Nadęty styl sam jest pewnego rodzaju eufemizmem. Masa wyszukanych słów osiada na faktach jak puszysty śnieg, zacierając kontury i przykrywając szczegóły.

12. *Toward European Unity; Partisan Review*, July-Aug. 1947; IV, 88.

13. *Politics and the English Language; Horizon*, April 1946; IV, 38.

Ale z drugiej strony — jak Orwell zauważa: „*Skoro myśle nie psuje język, to język może też psuć myślenie*”. Każdy zna to uczucie, że słowa „układają się same”; gotowe stereotypy łączą się w płynne frazy, luki watuje się słowami pozbawionymi znaczenia; wydaje się, że myśl płynie, podczas gdy płyną tylko oklepiane banały... Gdy taki sposób formułowania myśli stanie się odruchem, człowiek nie jest już w stanie wyrazić myśli bardziej precyzyjnej, rezygnuje z niej; gdy tak mówi całe społeczeństwo, myśli te stają się niewyraźne w ogóle, rezygnują z nich wszyscy — i ten typ myśli *przestaje istnieć*. Taki też był cel „nowomowy” w „1984”.

Również okrucieństwo świata „1984” nie jest ani karykaturą, ani przypadkiem; Orwell uważał je za inherentną cechę totalitaryzmu:

Wzajemne powiązania między sadyzmem, masochizmem, kultem kariery, kultem władzy, nacjonalizmem i totalitaryzmem są olbrzymim tematem, prawie nietkniętym, i nawet wzmianki o nim uważane są za niedelikatność. ... Styszy się często luźne zestawienia faszyzmu z sadyzmem, ale przeważnie z ust ludzi, którzy nie widzą nic zdrożnego w najbardziej niewolniczym uwielbieniu Stalina. Prawda jest oczywiście taka, że niezliczeni intelektualiści angielscy włączający do dupy Stalinowi niczym nie różnią się od mniejszości, która klęła się na Hitlera czy Mussoliniego, ani od speców powodzenia życiowego, głoszących w latach dwudziestych „agresywność”, „drapieżność” i „stań się człowiekiem-tygrysem”, ani wreszcie od starszej generacji intelektualistów, Carlyle’a, Creasy i całej reszty, która biła czołem przed niemieckim militarystą. Wszyscy ci ludzie podziwiają przemoc i triumfujące okrucieństwo. Należy zwrócić uwagę, że ten kult przemocy łączy się zwykle z uwielbieniem okrucieństwa i podłości *dla nich samych*. Gdy tyran okazuje się w dodatku krwawym łotrem, podziwia się go tym bardziej, a zasada „cel uświęca środki” zmienia się w rzeczywistości w zasadę: „środki uświęcają się same, jeśli są dostatecznie świńskie”. Ta ostatnia zasada leży u podstaw światopoglądu wszystkich sympatyków totalitaryzmu i to tłumaczy, na przykład, nieklamany zachwyt, z jakim wielu angielskich intelektualistów powitało pakt sowicko-hitlerowski. Był to krok o wątpliwej jedynie użyteczności dla ZSSR, ale był kompletnie niemoralny i dlatego godny podziwu; jego uzasadnienia, liczne i wzajemnie się wykluczające, przyszły później¹⁴.

Ta myśl o koniecznym związku pomiędzy kultem przemocy

i okrucieństwem jest wewnętrznym wyjaśnieniem mechanizmu świata „1984”. Bohatera tej powieści, ostatniego buntownika myśli (Orwell zastanawiał się nad tytułem: „Ostatni człowiek w Europie”) dręczy bez ustanku pytanie: „jaki jest cel tego wszystkiego?”. Odpowiedź — charakterystycznie prawda jest tu ostatnią łaską, papierosem dla skazańca — otrzymuje z ust swego prześladowcy: „Jedynie zadając ludziom cierpienie odczuwa się w pełni władzę”.

Jako ostateczne wyjaśnienie „1984” to nie zadowala; sprowadzałoby się ono do — sentymentalnego w istocie — zwalania winy na „złe skłonności ludzkie”. Na Orwella to trochę płytkie. Można znaleźć w jego pismach inne wyjaśnienie: uważał, że świat z jego wizji nie ma celu, a jedynie przyczynę i że tą najgłębszą przyczyną jest strach. Wymaga to pewnych wyjaśnień.

Orwell miał rzadkie jak na pisarza — typowe zajęcie indywidualistów — poczucie, że człowiek *nie* jest autonomiczną jednostką. Uważał np. patriotyzm za przejaw naturalnego instynktu wspólnoty, wyraz podświadomej pewności, że jest się tylko częścią większej i trwalszej całości; większej i trwalszej, a więc w pewien sposób ważniejszej. „*Inaczej nie do pojęcia byłby fakt, że ludzie godzą się oddać życie na polu walki*”. Orwell był ateistą, ale tę świadomość wspólnoty ludzkiej można nazwać jego przeżyciem religijnym; tłumaczy ona m.in. charakterystyczną dla niego kombinację stoicyzmu i zaangażowania. Pisząc np. o „*Mein Kampf*” w 1940 roku dodał: „*Chciałbym tu odnotować, że nigdy nie potrafiłem zmusić się do tego, by Hitlera nienawidzić. Od momentu gdy doszedł do władzy... zastanawiałem się, że gdyby udało mi się znaleźć w jego pobliżu, z pewnością bym go zabił, ale że nie czuję do niego osobistej animozji*”¹⁵.

Nie jest to postawa *naturaliter christiana*, raczej rodzaj lekceważenia, które wynikało stąd, że Orwell uważał, iż pojedynczy ludzie są w dużej mierze wykładnikami tego, co dzieje się w „większej całości”: danym społeczeństwie, danej klicie, danej epoce. „*Twoje myśli nigdy nie są całkiem twoje*” — pisał w innym miejscu. Stąd jego pasja do wyjaśnień socjologicznych i waga, jaką przywiązywał do znaków czasu; uważał, że tendencja do totalitaryzmu, którą obserwował wokół siebie, jest podświadoma. Dlatego właśnie uważał ją za realne niebezpieczeństwo.

Z tekstów, w których krążył koło tego zagadnienia, wyłania się dość jednolita koncepcja. Zjawiska, z którymi walczył, uważał za wynik dezorientacji etycznej i podświadomego lęku. Przyczyną dezorientacji było załamanie się tradycyjnej skali wartości

14. *Raffles and Miss Blandish*; *Horizon*, Oct. 1944; III, 64.

15. *Review: Mein Kampf* by Adolf Hitler (unabridged translation); *New English Weekly*, 21. 3. 1940; II, 2.

na Zachodzie, wywołane szybkim uprzemysłowieniem i wzrostem oświaty. Cywilizacja zachodnia była przez setki lat oparta na chrześcijańskiej koncepcji dobra i zła. Orwell uważał, że istotą tej koncepcji była nie tyle wiara w Boga, ile wiara w *jednostkową nieśmiertelność*, w indywidualne przetrwanie po śmierci i indywidualną nagrodę i karę; krótko mówiąc, podział na dobro i zło związany był ze strachem przed piekłem. Wiara ta upadła lub osłabła („*mało ludzi wierzy w to naprawdę, tzn. tak jak się wierzy np. w istnienie Australii*”) i przestała oddziaływać na ocenę świata. „*Jeżeli śmierć kończy wszystko, znacznie trudniej uwierzyć, że można mieć rację będąc pokonanym*” — stwierdzał. Orwell nie tęsknił za powrotem religii, konstatował tylko wytworzenie się próżni moralnej, brak jednolitego kryterium wartościowania. Coraz silniej tedy zaczęło narzucać się „kryterium” pragmatyczne: skuteczność działania, coraz częściej kojarzona z użyciem przemocy, bez oglądania się na tradycyjne skrupuły. „Kryterium” to oddziałuje najsilniej na ludzi w istocie najbardziej zdezorientowanych, tzn. inteligencję, która jest dostatecznie sceptyczna, by widzieć wady i „nieracjonalność” tradycyjnych wzorów, a równocześnie jest na tyle izolowana od realiów („*zabezpieczenie materialne bez odpowiedzialnych obowiązków*”), by wyrobić w sobie poczucie odpowiedzialności społecznej. Skłonność do ekstremizmu przekonań jest wynikiem izolacji: gdy się wie, że dana koncepcja nigdy nie będzie naprawdę realizowana w praktyce, można sobie pohulać. „Kryterium” siły imponowało i nie było niczego co można by mu przeciwstawić. Imponowała jego zuchwałość; imponowała tym bardziej, że inteligencja miała podświadome poczucie swej bezużyteczności. Rodziło ono kompleks małej wartości i lęk. Zbijanie się w grupy czy kliki uważał Orwell za działanie naturalnego instynktu wspólnoty: „*skoro wszyscy ludzie są braćmi, jest normalne, że muszą mieć ojca*” — tyle, że tatusiów dobierano zgoła nieodpowiednich.

W jego stosunku do nieodpowiedzialnych ekstremistów kryło się więc również owo pobłażliwe lekceważenie *osób*, o którym była mowa; ale Orwell nie lekcewał ich *działalności*. Intelktualiści działali pchani podświadomym strachem, ale byli grupą głośną i wyrobioną w języku — efektem tego było rozsiewanie strachu i nieodpowiedzialności coraz szerzej, grunt zaś był podatny. Orwell dostrzegał wokół siebie więcej objawów powszechnego strachu, którego ostateczną przyczyną jest nieprzystosowanie do cywilizacji przemysłowej („*szok przyszłości*” — polecam Orwella uwadze Głogoczowskiego).

Sądził na przykład, że hedonistyczny ideał cywilizacji XX-go wieku jest sprzeczny ze zdrowym instynktem ludzkim; tym m.in. tłumaczył, dlaczego liderzy, nakładający na swoje społeczeństwa

ciężary, mają — z początku przynajmniej — więcej popularności i budzą głębsze uczucia w masach, niż ludzie, nie mający do zaoferowania nic poza *good time*. Ale ideał hedonistyczny znajduje coraz więcej zwolenników. Dlaczego? Piszac o czyichś zachwytach nad „racjonalnie urządzonym” ośrodkiem wypoczynkowym Orwell zauważa, że tego typu miejsca są laboratoryjnym okazem współczesnej tendencji: nie być nigdy samemu! nie robić niczego własnoręcznie! nie stawiać twarzą w twarz z autentyczną naturą! — i dodaje: „*Nie trudno dostrzec tu podświadome dążenie do powrotu do matczynej łona*”. I w tym samym artykule¹⁶ stwierdza: „*Wiele z tego co (obecnie) uchodzi za przyjemność, jest po prostu próbą zniszczenia świadomości*” — czyli uśmierzaniem „... zepchnięcia człowieka bliżej poziomu zwierząt”.

Ten odruch cofania się w ewolucji jest po prostu chęcią ucieczki. Tę samą tendencję dostrzegał w totalitaryzmie. Charakterystycznymi cechami znanych ustrojów totalitarnych są: irracjonalizm, dochodzący wręcz do kwestionowania obiektywnej prawdy; niewolnictwo; rodzaj rytualnych ofiar ludzkich (prześladowanie grup z powodów ideologicznych); okrucieństwo jako cnota; potęga jako cel sam dla siebie — i wynikający stąd immobilizm całości. Wszystko to są cechy dawnych cywilizacji i totalitaryzm jest w istocie próbą powrotu do wcześniejszych stadiów rozwoju ludzkości. W rzeczywistości jest to więc *paniczna ucieczka w przeszłość, ze strachu przed teraźniejszością*.

Takie jest też racjonalne wyjaśnienie świata „1984”. Jest to wizja ogarniętej paniką ludzkości w odwrocie. Czyni go to nie mniej, lecz bardziej przerażającym: m.in. dlatego, że nie ma winnych. Wszystko dzieje się *samo*. Nie ma podstaw, by nienawidzić Wielkiego Brata — kropki w rzece istnień, która na jakimś zakolu *sama*, pod zbiorowym ciśnieniem wielu anonimowych i nieświadomych konsekwencji kropel dokonała pełnego obrotu i zaczęła pędzić tam, skąd się wzięła: ku nicości.

Wizja „1984” nie była Apokalipsą Orwella. Napisał tę powieść jako ostrzeżenie, że do czegoś podobnego *może* dojść; nie był jednak deterministą absolutnym. W przeciwnym razie nie traciłby pewno czasu na pisanie tego co pisał. Zło stanowiło dla niego rodzaj kombinacji głupoty z bezwładem i wierzył, że rozpoznane traci jad. Taki był też cel ostatniej jego książki.

Kończąc ją w listopadzie 1948 (stąd przypuszczalnie tytuł — przez przestawienie ostatnich cyfr) był już ciężko chory. Po ode-

16. *Pleasure Spots; Tribune*, 11. 1. 1946; IV, 19.

słaniu manuskryptu udał się do szpitala; nigdy już nie wrócił na swoją wyspę. Odzyskiwał siły na krótko, robił notatki do planowanych esejów (m.in. o Conradzie, którego lubił), poprawiał korekty swej powieści, pisał listy — lecz nie mógł opuścić sanatorium, w którym się leczył. We wrześniu 1949 przeniesiono go do kliniki w Londynie; w miesiąc później zawarł tam ślub z Sonią Brownell, sekretarką redakcji *Horizon*, którą poznał krótko po wojnie.

Zmarł 21 stycznia 1950 w wieku czterdziestu sześciu lat. Każda przedwczesna śmierć jest stratą dla świata; w wypadku Orwella strata była tym większa, że był człowiekiem niezwykłym.

M. BRŃSKI

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

Z notatnika

Tłoczno się robi na świecie. Tłoczno nawet do grobu. Niektóre cmentarze londyńskie są pozamykane i nie przyjmują już więcej rezydentów. Trzeba się dać wywieźć za miasto do krematorium, co niektórych ludzi napawa nieracjonalnym lękiem. Tak jak za życia, wolą gnić niż się palić. Przyzwyczailiśmy się już od wieków, że nasz koniec ma wyglądać kulturalnie, nawet literacko — jak zamknięta książka z otwartą tylko kartą tytułową. Na niej, wryte w złożonych literach, imię i nazwisko, oraz jakiś frapujący tytuł. Powiedzmy „Kochany Ojciec”, albo „Wielki Poeta”. Znam rodaka, który rozwiązał sobie ten problem w następujący sposób: pisze książkę, którą wyda własnym sumptem — mniej więcej koszt działki na cmentarzu, chrześcijańskiego pochowku i skromnego pomnika. Wie, że nikt jej nie będzie czytał, ale wyśle jeden egzemplarz do British Muzeum, jak wymaga prawo. Tam sobie poleży do sądnego dnia. I tam go znajdą.



Dwa razy w życiu zaczynałem już dziennik i po mniej więcej roku wszystko spaliłem. Lub niemal wszystko. Dlaczego spaliłem? Żeby pozacierać ślady, ukryć skazy? Dlatego że mit nie wypadał dość okazały? Sartre mówi, że poeta tworzy mit człowieka, podczas gdy prozaik daje tylko jego opis i dlatego należy wierzyć prozaikowi. Także Sartre'owi, który się dosyć w życiu namitologizował o kondycji ludzkiej, chociaż jego dictum nie wydaje mi się być rozpracowane do końca. Mogę tylko powtórzyć to, co gdzieś już napisałem *à propos* p. Jourdain: że nikt z sobą nie rozmawia prozą. Każdy dziennik zaś, chyba, że jest on tylko służbowym, laboratoryjnym dziennikiem naukowca, nieuchronnie staje

się rozmową z sobą; jego proza: surogatem poetyckiego języka, krętą drogą do tych samych mitów.

Mit to upiór, który żywi się krwią. Najpierw własną, potem innych. A gdy przestaje już domagać się krwi, staje się baśnią. Mit plemienny i mit indywidualny. Chcę wierzyć, że popaliłem tamte rzeczy ze strachu przed własnym mitem, ze strachu, że nie ja będę prowadził dziennik, ale on mnie. Ze będę kłamał, nieuchronnie podświadomie kłamał, najbardziej kłamał mówieniem „całej i intymnej prawdy” i stworzę mit, który mnie potem będzie żywcem pożerał, że będę żył po to tylko żeby nakarmić swojego upiора. Ale jeśli już muszę zarabiać na życie rękami żeby mieć wolną głowę — jedyny sposób na świecie żeby mieć wolną, naprawdę wolną głowę — to chyba dalsza konsekwencja wymaga żebym nauczył się strzec tej tak drogo kupionej wolności przed sobą też. Właśnie najbardziej przed sobą, przed moją wolną mitotwórczą — jak każda inna głowa na świecie — głową. Najlepiej, najbezpieczniej więc dorywczy, niedatowany, nieplanowany zapis — czyli notatnik.



Cała kultura, cała literatura, filozofia i sztuka ma służyć zachowaniu gatunku. Wszystko inne to kant i korytoróbstwo. Chodzi tylko o to żeby nie służyły zachowaniu tylko pewnego gatunku. Na tym rozróżnieniu zadań polega także różnica między prawdziwą filozofią, literaturą i sztuką, a akademickim żłobościskiem, między prawdziwą twórczością, a prowincjonalną towarzyską rozrywką.



Kto jest dżentelmanem, kto nie? Komu jest on potrzebny do szczęścia, lub nieszczęścia? Jest potrzebny sobie do szczęścia, tyle wiemy — nie mógłby być szczęśliwy gdyby nie był dżentelmanem, sprawiedliwym, lekko sceptycznym optymistą, wierzącym w naturalną dobroć człowieka pogodnym paseistą. „Kocha prawdę” — bez tego nie mógłby być dżentelmanem. Ani gdyby miał wyobraźnię.

Rok 1945 w Ośrodku Zapasowym I-szej Dyw. w Montrose na trzy miesiące przed zakończeniem wojny. Armie alianckie zbierały się nad Renem do ostatniego skoku w głąb Rzeszy. Mieliliśmy pojechać i my — cieszyliśmy się na to, szczeniaki 19-toletnie i starsi panowie, którzy mogli być naszymi ojcami. Przyjąłem zaproszenie na kolację do szkockiego domu. Gospodarz był dyrektorem gimnazjum, żona jego nauczycielką. Znani, dobrzy ludzie, chętnie zapraszający do siebie polskich żołnierzy, żeby osto-

dzić im rozłąkę z krajem. Uczyłem się wtedy intensywnie języka angielskiego i takie kolacje były dla mnie najlepszymi egzaminami. Oprócz państwa obecna była jeszcze ich córka, studentka medycyny, oraz para sąsiadów.

Z zainteresowaniem słuchali, że byłem w Polsce i w Niemczech jeszcze w lecie 1944 roku i koniecznie, z pierwszej ręki, chcieli dowiedzieć się o „tamtejszych warunkach”. Ponieważ chcieli wiedzieć wszystko, mówiłem im wszystko. Mówiłem im o olbrzymim obozie koncentracyjnym, którym stały się Niemcy i w którym każdy obywatel był równocześnie więźniem i stróżem. Mówiłem o okupacji, o setkach tysięcy pomordowanych i pochowanych w masowych grobach lub puszczonech przez komin. Wiedziałem dobrze o fabryce śmierci w Oświęcimiu, bo to nie tak daleko od mojej rodzinnej wsi i nawet obok niej przejeżdżałem. Ale nie wiedziałem, że to były miliony. Znane mi były Dachau do którego wywieziono mojego kuzyna, Buchenwald i Oświęcim. Ale jeszcze nie Mathausen, jeszcze nie Treblinka, ani rzeź w getcie, choć znane mi były z propagandy niemieckiej groby nacjonalistów ukraińskich w Winnicy, znany mi był Katyń. Opisywałem najbardziej to co mi było naprawdę wiadome: o znanym mi osobście człowieku z sąsiedniej wsi, byłym powstańcu śląskim, zabitym korbami we własnym mieszkaniu już w pierwszych dniach okupacji, tak „że krew obryzgiwała ściany i sufit”. O moim wuju Pawle, też powstańcu, który wiedział co go czeka i na widok zbirów S.A. zbliżających się do jego domu otrął się na oczach żony i malutkich synków cyjankiem potasu. O sąsiedzie wywiezionym na podwórze i potwornie obitym, potem wywiezionym do Oświęcimia, skąd po sześciu tygodniach zwrócono go rodzinie w okrągłym pudełku o rozmiarach pudełka od pasty do butów. To działo się jeszcze w samych początkach Oświęcimia, zanim stał się fabryką i zracjonalizowano tam produkcję popiołów. Z pudełkiem nadeszło zaświadczenie lekarskie — zdarzały się na początku takie świadectwa skrupulatności urzędniczej — że zmarł na zapalenie płuc, choć mówiono o nim po całej wsi, że to „chłop jak byk” i nigdy przedtem w życiu nie chorował.

Kolacja nie była sukcesem. Słuchacze zamilkli i nie przejawiali już większej ciekawości co do „tamtejszych warunków”. Rozmowa na inne tematy też się jakoś nie kleiła. Gospodarz pożegnał mnie przy drzwiach i po wahaniu rzekł trochę rozżalonym głosem, że to nie było *fair*, że źle go potraktowałem powtarzając w jego domu najgorszą wojenną propagandę. „To dobre przez radio dla mas” — oświecał mnie tak uprzejmie jak tylko mógł. „To co się krewnym pańskim i sąsiadom stało jest godne pożałowania i takie okropności na wojnie się zdarzają. W każdym

narodzie znajdzie się kilka świni. Ale w te setki tysięcy nie wierzę. Walczyłem przeciwko Niemcom w pierwszej światówce kiedy podobne rzeczy o nich mówiono, a które potem okazały się wstrętą propagandą. Żałuję dziś jeszcze, że w nią uwierzyłem. Z mojego doświadczenia wiem, że byli to jednak dżentelmeni”.

Uciekłem z tego domu i żadnego zaproszenia już nie przyjąłem. Dość miałem nagle ugrzecznionych szkockich kolacyjek, a za młody jeszcze byłem by zrozumieć prawdziwą naturę dramatu, który rozegrał się między mną i dobrym Szkotem. Dramatu, gdyż był to dla mnie dramat — szok nawet może większy niż tamtych zbrodni, bo niespodziewany, równy może temu jaki bym miał gdyby mi powiedziano, że ksiądz u którego moi krewni i sąsiedzi się spowiadali spisywał to i przekazywał Gestapo. Skąd mogłem wiedzieć, że dobroć potrafi być najlepszym sprzymierzeńcem zła, ani na chwilę przestając być dobrocią. Że może być bardziej niemoralna niż otwarte zło, jeśli stępia naszą wyobraźnię i usypia czujność, stwarza alibi dla egoizmu, bezczynności i moralnego nieangażowania się, osłaniając i popierając zło besser-wisserską wiarą w naturalną dobroć człowieka. Nikt nie ma prawa do takiej wiary, wszyscy wiemy, że nie mamy takiego prawa.

Podobnie nie wiedziałem, że na takiej samej propagandowej zasadzie potraktowano ludobójstwa nazistowskie na najwyższym szczeblu alianckim. Nawet dowodom rzeczowym nie wierzono. Tj. wierzono, ale ponieważ trzeba coś było uczynić, „nie wierzono”, wykreślano się wiarą w ostateczną dobroć natury ludzkiej i tym przypieczętowano zagładę milionów. Tymczasem ludzie, którzy z zimną krwią i kalkulacją palili niemieckie miasta, nie mieli prawa wierzyć, że mieszkańcy tych miast nie mogliby z taką samą zimną kalkulacją spalić miliony innych, bezbronnych nie-szczęśników. Wystarczyło uczciwe spojrzenie każdego w swoją własną duszę, czego żaden dżentelman nie potrafi uczynić. Nie wolno mu, jeśli ceni sobie swoją dżentelmańską postawę. Ale już Bernard Shaw dopatrywał się w postawie dżentelmana jakiegoś głębszego szujostwa.

Oczywiście, dżentelman zawsze znajdzie dla siebie odpowiedź w pytaniu: „a kto pierwszy zaczął?”, co jest tylko jeszcze jednym dowodem jego moralnego szujostwa. W skali pisanych dziejów, nie mówiąc już o skali historycznej całego gatunku, rzeczy te działy się równocześnie i patrzeć dziś na to nie mamy prawa. Obie strony były zdolne do masowego mordowania bezbronnej ludności cywilnej i zademonstrowały to na niej. O tym należy nam dzisiaj pamiętać i o niczym innym, inaczej na śmierć się zakłamiemy, nagłą, wspólną gwałtowną śmierć. Kto dzisiaj dba

o to która strona zainicjowała okrucieństwa wojny Peloponeskiej? Raczmy sobie tylko pamiętać — i słusznie — że Grecy byli okrutnym narodem i nawzajem się wyrzynali i sprzedawali w niewolę, mimo iż Demos, który głosował za rzezią mityleńską był tym samym, który uchwalał budżet na budowę Partenonu. To była jedna rzecz, ich wspólna grecka rzecz: Filozofia i filomachia.

Tak Oświęcim i kwiatki oraz cnoty obywatelskie jego komendanta i burze ogniowe przy dźwiękach Eroiki, to też nasza wspólna europejska rzecz, nasza koinonia gorzka, w środku której na zawsze już będzie dyndał jak głuchy dzwon męczennik-SS-man Gerstein. Co za różnica, że jedni mordowali z odległości paru metrów, drudzy z wysokości paru tysięcy? Przeżyłem kilka nalotów alianckich na niemieckie miasta — po których najgorsze nawały artyleryjskie na froncie były piknikiem — i wiem co mówię. W dzień nadlatywały eskadry Fortec i kruszącymi bombami rozbijały drogi, koleje, mosty i wodociągi, całe dzielnice miast burzyły powietrznymi minami. Nocą oblatywały ten chaos olbrzymie jednostki RAF'u i setkami tysięcy bomb fosforowych obracały miasto w szalejące inferno. Czasem zbliżały się nie na wprost, ale mijając miasto i lecąc pozornie do dalszego celu żeby w dogodnym i do minuty obliczonym momencie zawrócić i złapać wracającą ze schronów do domu ludność cywilną, odrętwiała, półprzytomną ze zmęczenia. Dowiedzione jest ponad wszelką wątpliwość, że taktyką tą posługiwano się nie dla zmylenia obrony przeciwniczej — ta miała radar i zawsze czuwała — ale tylko i wyłącznie dla produktywniejszego masowego zabójstwa cywilów. Tylko i wyłącznie.

Po nalocie: wygrzebywanie i grzebanie trupów, tysiące, dziesiątki tysięcy. Czarne trumny piętrzyły się za miastem, na cmentarzu, wśród winnic, z napisami najczęściej „unbekanntes Kind”, „unbekannte Frau” — wszyscy nagle nikomu nieznani na świecie w swych rodzinnych miastach i rodzinnych domach. Wiele takich napisów było moją ręką, pisałem żeby coś napisać, nie wiedząc co trumna naprawdę zawiera, ani o to dbając. Zresztą wiedziałem co przeciętnie zawiera, przecież zbierałem te szczątki, półspalone, pogniecione na miazgę. Cóż można było napisać na trumnie zawierającej niekompletny tors staruszki i jak nożem obciętej głowę małego chłopczyka? Potem to wszystko grzebane było w masowych grobach, trumna za trumną i trumna na trumnę, w pośpiechu, żeby uprzedzić następny nalot. Buldożer i dynamit pomagały nam kopać te groby i potem zakopać, żeby tylko prędzej, żeby usunąć zaduch rozkładu z powietrza, uchronić mozolnie zebrane w olbrzymi stos trumny przed rozrzuconiem przez bomby.

A na przeciwnym końcu miasta kopałem raz groby łopata. Przepiękny cmentarz wojskowy z widokiem, ach raj! przez środek którego płynął wśród winnic srebrny Neckar jak piąta jego rzeka. Tu dżentelmeni grzebali dżentelmenów, tych samych, którzy spalili miasto. Były to groby dla alianckich lotników i widziałem ten pogrzeb. Ciężarówka przywiozła dziesięć trumien i druga kilkunastu angielskich jeńców, którzy udrapowali trumny flagą brytyjską (o tak!) i przy dźwiękach trąbki, zapewne pożyczonej od dżentelmenów w feldgrau, pożegnali towarzyszy broni. Eskortą niemiecką stała na baczność. O jak piękne to było! O jak szlachetne, rycerskie i konwencjogenewskie! Na pewno kiedyś jeden z tych jeńców będzie mi mógł powiedzieć: „Niemcy? Walczyłem z nimi w drugiej światówce. To byli dżentelmeni”.

Ale ja wtedy o takich finezjach bon-tonu rzeźnickiego nie myślałem. O niczym nie myślałem. Moja głowa była pełna ognia i miazgi ludzkiej — tygodniami gasiłem te pożary, grzebałem w ruinach, kopałem groby, przymusowo pijany (co ileś tam godzin każdy z nas musiał służbowo wypić pewną ilość sznapsu), w gumowych rękawiczkach, z wiecznym przeciwko ogromnym mięsożernym muchom papierosem w ustach, w upale zamieniającym w godziny ciała w cuchnące plastry miodu.

Teraz eksperci i historycy wojskowi mówią, że te rzezie powietrzne nie przyspieszyły końca wojny ani o jeden dzień, nie wyrządziły sprawności przemysłowej i militarnej niemieckiej żadnych poważniejszych szkód. Raczej przeciwnie, rozpraszały i marnowały energię alianców, którzy mogli przyspieszyć koniec wojny o rok, ocalić miliony żyć, gdyby zamiast złamania morale Niemców przez ataki na ludność cywilną obrali sobie za cel przemysł petrochemiczny. Nawet o tym wiedzano, ale teoria wojenna pewnych dżentelmentów głosiła, że samym terrorem ludności cywilnej można zmusić wroga do kapitulacji i teorię tę należało sprawdzić i badawczo wyczerpać. Na ludności cywilnej. A teraz historycy nam mówią, że rzezie te nie sprawiły w morale narodu niemieckiego żadnego poważnego uszczerbku, żadnej nie zrobiły różnicy.

Z tym trudno się już zgodzić. Zrobiły wielką różnicę. Jeśli nie wtedy, to na teraz i na przyszłość w Europie. Obecna, imponująca dojrzałość polityczną Niemców przypisuję nie tyle cięgom militarnym na wschodzie i okupacji ich kraju, co temu, że masowo mordowano ich matki, dzieci i żony, systematycznie i z brutalnym przemysłem palono ich gniazda rodzinne. Piękna zaiste to lekcja, warta wyuczenia na pamięć, bo widocznie tak powinno być i na tym zasadza się cała sapiencja *Homo sapiens*. Nie na konwencji genewskiej, z całą pewnością, i trzeba nam najęść się tej zgrozy. Ale oto pytanie: Gdyby autorzy i wykonawcy

wspañiałych burz ogniowych nie znaleźli potem obozów w Dachau i Buchenwaldzie — co by zrobili z sobą?

Nie osiągają żadnego godniejszego poziomu ci, którzy by chcieli tylko oderwać się od swojego dna. Trzeba mieć siłę, albo nauczyć się trudnej sztuki podnoszenia dna z sobą. Inaczej tworzymy tylko nic nie znaczące przepaście.



„Nie widzę się w Izraelu” — wyznał mi Kamil H., rodem gdzieś od Stanisławowa, ponoć były sekretarz Marcina Bubera. „Dla mnie to żaden kraj, to psychologiczne więzienie”. O Weizmanie wyraził się tak: „Ten zły duch, ten anty-mesjasz próbował stanąć w poprzek historii żydowskiego narodu i chciał nas wszystkich pospędzać do kurnika. Więc tłoczą się tam i dziobią jeden drugiego, dziobią wszystkich sąsiadów. To może się źle skończyć, to już prawie dom wariatów. Oczywiście, pewni ludzie musieli tam pojechać, bo nie mieli na razie gdzie. Ale tacy jak ja, co oni tam mają do szukania? Tymczasem tysiące skądinąd całkiem przytomnych i inteligentnych ludzi dało się namówić, że ich dalsze bezpieczeństwo wymaga dobrowolnego i własnoręcznego nałożenia sobie kaftana bezpieczeństwa. I jeszcze walczą z tysiącami podobnych wariatów o prawo noszenia go na co dzień! Oni zdają się nie rozumieć, że jedynym państwem godnym naszej straszliwej historii jest nie tam jakiś skrawek ziemi między Morzem Martwym i umierającym, a jedynie światowe imperium: światowe imperium właśnie naszej diaspory. To naiwne państwko p. Guriona może nas skończyć jak Hitler nigdy nie był w stanie”.

Zdziwiło mnie to „my” i „oni” w narodzie żydowskim, tak oczywiście bezpartyjne i bezklasowe — chociaż powinienem był przecież pamiętać, że ten podział jest już całkiem wyraźny w księgach Samuela i snuje się przez dzieje tego narodu od trzech tysięcy bez mała lat. Prorok za prorokiem wyrażał podobny sentyment, ostrzegał naród przed zamknięciem się w pułapce sekularnego królestwa, roztaczał wizję światowego imperium ducha, i w końcu pozaświatowego w Jezusowym: „Królestwo moje nie jest z tego świata”.

Wyobrażam sobie rozmowę z innym, równie wybitnym i sławnym w dziejach historycznym typem. Wyobrażam sobie rozmowę ze Spartiatą i jak zachwalałby mi swoje ciasne państwko, jak ostrzegał przed żądzą imperium i ryzykiem rozproszenia w imperium. Nie miałby wątpliwości iż właśnie jego skrajny partykularyzm jest najwyższą mądrością polityczną, że czyni go silnym i bezpiecznym w świecie. Tak jak nie miałem wątpliwości i mój

rozmówca czuł się bezpiecznie ze mną właśnie przez swój uniwersalizm, chociaż, jako urodzony w Polsce, powinien był wiedzieć, że sam go wyznaje tylko z drugiej ręki i bliższy z temperamentu będzie mi Spartiata. Pewne jest, że imperium rozbroiło wewnętrznie i położyło Spartę. Liga beocka, a potem Macedończycy spadli na nią jak stado hien na dogorywającego lwa. Lecz czy państwo izraelskie rozbroi psychologicznie i wykończy profetyczną tradycję diaspory tylko czas pokaże. Chociaż należy się obawiać, że może.

Nie wierzę w żadne misje dziejowe jednostek, narodów, ras. Nie wierzę w przyszłość teokratycznych ustrojów. Wszystkiemu ta sama ziemia obiecana. Ale wierzę w lepszych ludzi i gorszych, wierzę w wybrane narody. Oczywiście, nie te, które wybierają się same, ale te, które nie mają żadnego wyboru prócz zgody na los wyznaczony im przez historię. Dlatego też nie wierzę, że Żydom przyświecało coś więcej niż przyświecało Spartiacie: rozmnażanie i perpetuacja swojego typu i także perpetuacja warunków, które go stworzyły i zapewniają mu sukces — czasem w najdziwniejszych postaciach. Tutmosis, Nabuchodonozor i Tytus winni? Czy też sam temperament hebrajski, jego pasterski syndrom zrodzony z konieczności warunków bytowych, z tysiąceci wędrówek od studni do studni, pastwiska do pastwiska, za trzodą, czasem ludzką trzodą? Wczesne chrześcijaństwo, niemal całkowicie żydowskie, pełne jest tego pasterskiego symbolizmu, przy czym w Palestynie owieczek bywało najmniej. I nie bez powodu starotestamentowi prorocy nienawidzili miasta, bali się życia zbyt osiadłego, nawoływali do cnót pasterskich. Toteż stworzenie państwa izraelskiego, które mój rozmówca odczuł jako wielką regresję w historii Żydostwa, a my chcemy widzieć jako logiczny, chociaż spóźniony w czasie krok pasterzy ku uprawie roli, ku miedzy i odpowiedzialności za miedzę, może wydawać się wielu Żydom świadomym biologicznej wartości ich profetycznej tradycji drugą w ich dziejach miską soczewicy, zdradą wszystkiego co ich wyróżniało i czyniło potęgą na świecie.

Może nieszczerem ich było zawsze to iż wierzyli, że mogą mieć cały świat i nosić go w swojej skórze żeby go nie czuć na skórze, wierzyli iż geografii można zastąpić historią. Toteż historia się z nimi okrutnie obeszała, historia tych, którzy wierzą w geografii. Przez tysiące lat ratowali się giętkością i przystosowaniem do każdej sytuacji, otwarciem na każdą, jakkolwiek odległą realną czy potencjalną możliwość. Byli jak woda. Opływali i podmywali tamy, wsiakali w każdą nieszczelność i porowatość życia, zmieniali konsystencję swego otoczenia, sami pozostając tylko niezmiennie sobą — jak woda. W pewnych sytuacjach potrafili nagle wyparować z wszystkiego, by jak deszcz spaść

gdzie indziej i tam na nowo szukać swojego, sobie tylko właściwego poziomu.

Zwrócił mi ktoś uwagę na delikatność Żydów. O tak, oni są delikatni — to ich siła bez której by nie przetrwali. Ale w delikatności tej dopatrywano się już hipokryzji, podstępów, tchórzostwa, a w działaniu Żydów — działaniu wody — niebezpiecznego rozsądnika, raka pożerającego organizmy i nie reagującego na nic prócz cyklonu B. Tymczasem widzenie Żydów jako element zapładniający, czy jako chorobę, mało świadczy o Żydach, wiele zaś o nas. „Każdy ma tylko takiego Żyda na jakie go zasługuje”. I potrzebuje wewnętrznie.

Osobiście nie spotkałem jeszcze w moim życiu antysemitę odznaczającego się jakimiś wybitniejszymi zaletami umysłu czy charakteru, oryginalnym talentem czy pracowitością. Zdają się to być ludzie całkowicie przeciętni, ale za to o chorobliwych ambicjach znaczenia i zdolni tylko w jaśniejszych momentach rozpoznać w sobie jakiś zasadniczy brak, jakąś dziurę, którą należy kimś winnym czym prędzej zatkać. Ponieważ muszą żyć z sobą czy chcą czy nie, instynkt samozachowawczy nauczył ich prędko sztuki zgody z sobą — przez prosty zabieg transpozycji swoich tak bolesnych braków na innych „nie lepszych” od siebie ludzi, ale prawem kaduka mających jakoś niemal zawsze większe powodzenie w świecie.

Nikt nie nadaje się do tej roli tak idealnie jak Żydzi, z wiadomych powodów. Gdybyśmy mieli choć talent osładzający nam nasze niepowodzenia! Ale nie. Z goryczą i rosnącą nienawiścią patrzymy na ludzi, którzy nie potrzebują wcale talentu żeby mieć powodzenie. Drażą nas to, podkopuje jeszcze bardziej naszą wiarę w siebie. Czujemy się pokrzywdzeni przez Żydów. Bez końca słyszę od antysemitów o jakichś tam szkodach wyrządzonych przez nich albo im osobiście, albo jakimś tam chimerycznym interesom narodu. Po głębszej indagacji i zapoznaniu się z biografią tych ludzi okazuje się zwykle, że albo z Żydami nigdy nie mieli do czynienia, albo doznali od nich jakichś osobistych dobrodziejstw, czego w swojej nędzy się wstydzą i o czym wolą milczeć.

Zatem prawdziwym źródłem antysemityzmu wydaje się być najzwyklejszy na świecie *Minderwertigkeitsgefühl*, bezdennie zakłamana zawiść wyrażająca się zewnętrznie w pogardzie do wszystkiego czego nie możemy kupić za pieniądze ani nawet zdobyć wyteżoną indywidualną pracą, a co inni posiadają z tytułu urodzenia, z dziejów, z rasy, z tysiąceci łączenia się genów ludzi zagrożonych, bystrych od strony jutra, mocnych w nawyku odwagi. Biada nie tylko semitom gdy jakaś atawistyczna fala historii wyniesie taką przeciętność do steru!

Odkrył w Wiedniu rękopis nieznannej sztuki Lope de Vega i bardzo był tym przejęty. „Dobra sztuka?” — zapytałem. Nie, wcale nie tak dobra, ani szczególnie zła. Ale nie o to chodzi. Pamiętaj, że Vega napisał ich tysiąc i więcej i tylko coś około czterystu przetrwało. „Aż czterysta?” — zdziwiłem się na głos i skromnie zasugerowałem, że większym przyczynkiem do wzbogacenia naszej kultury byłoby może spławienie z ludzkiej pamięci coś ze trzystu jego sztuk ocalałych niż poszukiwanie dalszych. Z milczenia jakie nastąpiło, i do dziś dnia trwa, dałem widocznie powód do obrazy. Nie rozumiem dlaczego? Jak wyglądałaby dzisiaj kultura europejska gdybyśmy otrzymali całą puściznę po tragikach attyckich, przed- i po-sokratycznych, nie mówiąc już o masie helenistycznego śmiecia i wtórności rzymskich? Paraliż chyba i epigonizm najgorszego rodzaju.

Nie wszystkie tzw. dobra kulturalne są dobre dla nas. Tak jak wielkie, dziedziczone pieniądze potrafią nas one izolować od ludzi i świata, znieczulić na dzień dzisiejszy, odebrać wszelką wartość dniu jutrzejszemu. Nadmierne bogactwo kulturalne, w którego tworzeniu samiśmy nie uczestniczyli, przeobraża się w pewnym momencie w najgorsze ubóstwo — ubóstwo wyobraźni. Temu może należy przypisać nieczułość i wręcz zwyrodnienie, które tak często cechuje stare, wyżyte cywilizacje. Dlatego wdzięczni powinniśmy być Umarowi i barbarzyńcom północnym za to wszystko co dla nas zrobili podpalając tamte papierowe cmentarze. Przynajmniej tak wdzięczni jak tym, którzy z narażeniem zdrowia i życia dla nas je ratowali. I ci i tamci w równej mierze przyczynili się do twórczości Lope de Vega.

Dlaczego nie wracałem do Polski pół mojego życia temu? Bałem się, chciałem pisać i bałem się cenzury. Nie tyle cenzury władz bezpieczeństwa, bo to się w końcu obejdzie, wszystko co jest zewnętrzną i wyraźną obstrukcją w końcu się obejdzie. Bałem się bardziej cenzury mojej matki, rodziny, wychowawców, księdza, sąsiada — wszystkich tych, którzy uczyli mnie kochać i nienawidzić, wierzyć i wątpić, ale nie myśleć. Tych bym nie obśzedł, nie miałbym prawa, nie miałbym sumienia gdybym próbował. Gdybym zaś nie próbował, co mógłbym napisać?

Ludzie epidemicznie chorują i umierają dzisiaj nie tyle na zawał serca, co na przerost ambicji. Zaharowują się nad siły pragnąc dorównać albo nawet przewyższyć to co ich przewyższa,

a widzą dzisiaj „wysoko”, byli w szkołach. Lecz w większości wypadków nic nie robią i dręczą się ambicjami, których spełnić nie mają sił. Mogliby, owszem, zejść z wielkim pożytkiem dla swojego i publicznego zdrowia o parę szczebli niżej i tam coś robić. Lecz nie, to by nie ukoilo ich znękanych dusz. Wolą raczej nic nie robić, ale za to na najwyższym poziomie.

... powiem Pani co mnie w tym kraju najczęściej odrzuca i dlaczego nie potrafię zbliżyć się do jego mieszkańców bardziej niż na odległość węchu: To ich uczuciowe dusigroszostwo, to upozowanie życia w którym nieprzystojnie jest najpierw o uczuciach mówić, potem nawet je mieć, to ich wyrzekanie się wewnętrznej wolności dla zewnętrznej swobody, ta ich wieczna samozdrada za naprawdę psie grosze. Ten kto się wstydi swoich uczuć staje się niewolnikiem przypadku i otoczenia, lustrem w lustrze, w lustrze aż do zatracenia, a raczej rozproszenia. Wolę nasze polskie wmawianie sobie uczuć, których nie mamy, do których nawet nie jesteśmy zdolni, bo to dużo mniej zgubny fałsz niż tamto.

Pyta Pani, czy to konieczne *mówić* o swoich uczuciach? Czy nie lepiej żeby wyrażały się przez coś innego, w dobrych uczynkach na przykład? Widzę o co Pani chodzi: że słowa nas nie kosztują. Lecz czy to jest prawdą? Słowo „kocham”, szczerze powiedziane, ogromnie nas kosztuje, wiele ludzi robi dla nas wszystko, że by nie musieć go wypowiedzieć. Bo czymż jest w miłości uczynek, rzecz wieloznaczna i jednorazowa, gdzie chodzi przecież o jednoznaczność i wielorazową deklarację gotowości służenia? Chodzi więc Pani o nic innego jak tylko swobodę ruchów, zewnętrzną pozę wolności, którą to słowo przekreśla. Dlatego podejrzewam, że ludzie nie lubiący mówić o swoich uczuciach, po prostu ich nie mają i może nawet niezdolni są do nich. To jest chyba tak jak z pieniędzmi. Ten kto ich nie ma i nie czuje się zdolny je zdobyć, nie lubi o nich mówić, ani żeby o nich w jego obecności mówiono. Dlaczego ma czuć się ubogim? Chyba, że ma najszlachetniejsze powody do dumy ze swojego ubóstwa. Ale któż może być dumny ze swojego uczuciowego ubóstwa, przyznawać się do niego, dawać mu jakieś szlachetne powody? Ten, kto naprawdę posiada jakieś prawdziwe uczucia, będzie o nich mówił i prędko znajdzie dla nich jakiś godny kształt.

Jan DAROWSKI

Wznowienia

BIBLIOTEKI « KULTURY »

MAREK HŁASKO

CMENTARZE

NASTĘPNY DO RAJU

Str. 258.

F. 25,00.

ORAZ

OPOWIADANIA

Str. 188.

F. 22,00.

W NAJBLIŻSZYM CZASIE UKAŻE SIĘ OSTATNI TOM "DZIEŁ ZEBRANYCH" WITOLDA GOMBROWICZA

SZCZEGÓŁY PODAMY W LISTOPADOWEJ
KULTURZE. PRZYJMUJEMY ZGŁOSZENIA.

Głos wolnej Rosji

Niewolnik zawsze mówi: "TAK"

Lato 1973 zajmie w przyszłej historii wolnej myśli rosyjskiej jedno z najbardziej czołowych miejsc. Po pierwsze Władimir Maksimow. Dowiedziawszy się o mającym nastąpić potępieniu przez Związek Pisarzy Sowieckich jego powieści „Siem dni tworzenia”, Maksimow nie miał wątpliwości, że czeka go usunięcie ze Związku, 15 maja napisał więc list, w którym oświadczył: „Nie mam z czego usprawiedliwiać się przed wami ani czego żałować”. Napisał, że pracując nad swoją powieścią szukał odpowiedzi na pytania: „Dlaczego w kraju zwycięskiego socjalizmu pijaństwo stało się ogólnokrajową tragedią? — Dlaczego po 50-ciu latach istnienia państwa zaczyna je rozdzierać patologiczny nacjonalizm? — Dlaczego zubożenie, korupcja i złodziejstwo stają się powszednią normą naszego życia? — Gdzie szukać źródeł tego wszystkiego i co jest pra-przyczyną takiej sytuacji?”

27 czerwca Maksimowa usunięto ze Związku Pisarzy Sowieckich, ale dopiero 8 sierpnia *Litieraturnaja Gazeta* podaje to do wiadomości, nazywając Władimira Maksimowa — jak można było się tego spodziewać — „anty-sowieckim”.

Na początku lipca w Moskwie rozległ się głos bardziej donośny niż Maksimowa. Akademik Sacharow, jeden z wybitniejszych fizyków naszych czasów, „ojciec” sowieckiej bomby wodowej, udzielił wywiadu korespondentowi szwedzkiego radia i telewizji, Olle Stenholmowi. W wywiadzie tym powiedział: „Socjalizm nie przynosi niczego nowego. Jest on jedynie ostatnią formą rozwoju kapitalizmu, a w jeszcze większym stopniu — monopolizmu”. Sacharow dodał, że społeczeństwo sowieckie — to społeczeństwo maksymalnego braku wolności, najwyższego ideologicznego zastoju, a jednocześnie społeczeństwo z najwyższą pretensją do tego, by być najlepszym, choć nim bynajmniej nie jest. Akademik Sacharow uważa, że partia w Związku Sowieckim „przypomina już” partię opisaną przez Orwella.

15 sierpnia Andriej Sacharow został wezwany do 1-go zastępcy

generalnego prokuratora ZSSR, Michaiła Malarowa. Prokurator uprzedził uczonego, że „Państwo ma obowiązek bronięcia się”.

Wróciwszy od prokuratora akademik Sacharow zwołuje 21-go sierpnia konferencję prasową korespondentów zagranicznych, przedstawiając na niej swoje poglądy na sytuację w Związku Sowieckim o wiele bardziej szczegółowo niż w wywiadzie udzielonym Olle Stenholmowi, a 23 sierpnia jeszcze raz daje wywiad przedstawicielowi *Agence France Presse* w Moskwie.

28 sierpnia Aleksander Sołżenicyn zaprosił do siebie korespondentów *Le Monde* i amerykańskiej agencji *Associated Press* i udzielił im wywiadu. Można by powiedzieć, że po raz pierwszy od wielu dziesiątków lat — latem 1973 roku nie przestawał rozlega się głos wolnej Rosji. Andriej Sacharow i Aleksander Sołżenicyn na wiele spraw mają różne poglądy. Jednego z nich — Sacharowa — można by określić „zapadnikiem”, drugiego — Sołżenicyna — słowianofilem. Wspólne im są odwaga i przekonanie, że „sumienie jest droższe od życia” oraz wiara w przyszłość Rosji. Analiza wypowiedzi Andrieja Sacharowa i Aleksandra Sołżenicyna prowadzi do przekonania, że i wybitny uczony i czołowy współczesny pisarz sowiecki uznali, że nie mogą milczeć w związku z dwoma wydarzeniami, ściśle ze sobą związanymi: pierwsze z nich to tzw. odprężenie, którego szczytowym punktem było sowiecko-amerykańskie porozumienie i konferencja w Helsinkach, a drugie to nasilenie represji w Związku Sowieckim przeciwko ludziom inaczej myślącym.

Mimo wszystkich różnic, w wypowiedziach Sacharowa i Sołżenicyna znajdujemy dwie cechy wspólne — wyliczenie faktów represji, które specjalnie wzmogły się w ostatnim czasie i ostrzeżenie Zachodu, że tzw. odprężenie w stosunkach ze Związkiem Sowieckim grozi wielkimi niebezpieczeństwami. Sacharow mówi o tym niezwykle jasno, przestrzega przed niebezpieczeństwem „kapitulacji przed naszą realną albo rzekomą siłą”. Ostrzega: „Odręczenie bez demokratyzacji, odręczenie, w którym Zachód przyjmuje całkowicie nasze zasady gry, będzie odręceniem groźnym. Nie rozwiąże ono ani jednego światowego problemu. Strzeżcie się zbliżenia z ZSSR jeśli nie będzie to połączone z demokratyzacją tego kraju i likwidacją jego izolacji”.

Głos Sacharowa rozległ się w chwili kiedy Europa zjawiała się na Konferencji w Helsinkach jakby w jakimś transie, jak królik zahipnotyzowany przez węży, i zaraz potem zaczęła zadawać sobie pytania. Jeden z lepszych znawców Związku Sowieckiego, francuski dziennikarz, Michel Tatu, nagle jakby się ocknął. To bardzo dobrze — pisał 15 sierpnia w *Le Monde* — że odprężenie, pokój, przyjaźń, handel. „Ale dlaczego Związek Sowiecki na przestrzeni ostatnich pięciu lat przerzucił do NRD dodatkowo 1 500 czołgów, choć i bez tego siły Paktu Warszawskiego przewyższają siły Paktu Atlantyckiego w stosunku 3 do 1? Dlaczego dwukrotnie powiększono park taktycznego lotnictwa? Po co te 160 dywizji, które stanowią 3/4 sił zbrojnych Związku Sowieckiego ulokowane w europejskiej części ZSSR i na terytoriach de-

mokracji ludowych? Michel Tatu niewątpliwie zna odpowiedź na te pytania, ale na nie nie odpowiada, obawiając się oskarżenia o „antysowietyzm”.

Niedawno z wielkim zainteresowaniem przeczytałem 3-ci tom niezmiernie ciekawej pracy historyka angielskiego, Richarda H. Ullmana, pt. „Stosunki anglo-sowieckie w latach 1917-1921”. Książka wydaje mi się niezmiernie aktualna. Lloyd George w 1921 roku zawarł anglo-sowiecki układ handlowy, który był pierwszym wyłomem w bojkocie sowieckiej Rosji. Broniąc swej polityki, Lloyd George 10 lutego 1920 roku oświadczył: „Nie udało się nam odbudować Rosji siłą. Wierzę, że będziemy mogli ocalić ją handlem”. A po podpisaniu umowy, występując 23 marca 1921 roku w Izbie Gmin, angielski premier zapewniał: „W chwili gdy wódzowie sowieccy zaczynają rozumieć, że nie mogą rządzić krajem jeśli się nie oprą na zasadach, które przyniosą Rosji dobrobyt — zrezygnują ze swych dzikich projektów. To są zdolni ludzie i najlepszym dowodem ich talentów jest fakt, że odstąpili od swoich doktryn”.

Jak wykazały następne 50 lat nadzieje Lloyd George’a nie sprawdziły się. Jednakowoż zachodni przywódcy, z różnych powodów, nadal pocieszają się nadziejami.

Andriej Sacharow przestrzega przed płonnością tych nadziei.

A jeśli byłoby potrzebne jakiegokolwiek potwierdzenia to znajdziemy je w wypowiedziach prokuratora Malarowa. Akademik Sacharow wyszedłszy z gabinetu zastępcy generalnego prokuratora ZSSR, spisał z pamięci tekst rozmowy, która trwała godzinę i 10 minut. W czasie tej rozmowy Malarow nie tylko groził Sacharowowi, przypominając mu losy „niedokształconego studenta Amalrika”, losy „waszego Daniela”, rzekomo „otwarcie wzywającego do mordowania przywódców partii i rządu w opowiadaniu *Mówi Moskwa...*”, ale także wykazywał swoje „osobiste” poglądy. W odpowiedzi na oskarżenie, że Sacharow dał wywiad „reakcyjnemu szwedzkiemu dziennikarzowi”, akademik odpowiedział, że „Stenholm jest socjal-demokratą i jest większym socjalistą czy komunistą niż na przykład ja”. Prokurator odpowiedział na to „złotymi słowami”: „Socjal-demokraci zabili Różę Luksemburg”. Prokurator Malarow, rozwijając swoje poglądy, dodał, „że nie jest to moment, żeby w Związku Sowieckim znieść karę śmierci”. Tak na przykład w USA ją zniesli, a obecnie rośnie tam przestępczość i nawet powstała „sprawa Watergate”. Zresztą prokurator miał receptę na załatwienie tej sprawy: „Nixonowi wystarczyłoby jedynie przejawić więcej twardości, a cała sprawa pęknie”.

Możliwe, że prokurator Malarow nie liczył się z tym, że jego „złote myśli” będą rozpowszechnione wśród światowej społeczności. Natomiast sekretarz moskiewskiego Komitetu Partii, W. Jagodkin, jest całkowicie przekonany, że wszystko to co mówi —

1. *Kultura*, styczeń/luty 1962; oraz w zbiorze opowiadań pt. „Odkupienie i inne opowiadania”, Biblioteka *Kultury*, tom 120, 1965.

choć możliwe że nie jest przeznaczone dla społeczności światowej — będzie wytyczną dla wszystkich sowieckich historyków. Zabierając głos na seminarium poświęconemu walce ideologicznej w naukach historycznych (14-15 czerwiec w Moskwie) W. Jagodkin na wstępie oświadczył, że: „zmagania się ze światem kapitalistycznym zaostrzają się coraz bardziej” (możliwe, że tu Michel Tatu znajdzie odpowiedź na pytanie dotyczące powiększania sił zbrojnych Związku Sowieckiego) i podkreślił pojawienie się wśród inteligencji sowieckiej dwóch tendencji. Jedną z nich nazywa „dogmatycznym negatywizmem” a drugą „oportunistycznym złudzeniem”. Należący do pierwszej uważają, że nie ma co zasiadać za stołem z imperialistami, trzeba z nimi tylko walczyć. Ale to jest postawa niesłuszna, gdyż — jak przypomina Jagodkin — już Marks pisał w jednym ze swoich dzieł, że w polityce można zawrzeć sojusz nawet z diabłem, będąc ma się rozumieć przekonanym, że będzie można diabła oszukać. Wszyscy zebrani naturalnie zrozumieli, że przywódcy sowieccy będą mogli łatwo i prosto oszukać imperialistycznych diabłów. Druga tendencja — „oportunistyczne złudzenie”, jest bardziej niebezpieczna. Stwarza ona teorię zmniejszania przeciwności, przytępia czujność, rodzi poczucie ideowego bezpieczeństwa. Jagodkin dodał, że każda rewizja decyzji partyjnej jest inspirowana z zewnątrz, nawet jeżeli danemu historykowi wydaje się, że samodzielnie doszedł do takich czy innych wniosków. Sekretarz moskiewskiego komitetu pouczył sowieckich historyków, że powoływanie się na wczesne, „niedojrzałe”, prace Marksa to także rewizjonizm. „Dla nas — powiedział — zasadniczą i najbardziej dojrzałą pracą Marksa, którą powinni kierować się historycy sowieccy, jest Manifest Komunistyczny”.

W. Jagodkin zakończył ostrzeżenie historyków sowieckich takim wywodem: „Jedną z najbardziej poważnych form dywersji ideologicznej polega na odrzucaniu faktu, że *wszystkie* — ja podkreślam *wszystkie* — etapy rozwoju społeczeństwa sowieckiego powinny być rozpatrywane jako pozytywne”. Wynika z tego, że każda krytyka Stalina staje się formą ideologicznej dywersji.

Związek Sowiecki staje się według Sacharowa — tak jak w czasach stalinowskich „gigantycznym obozem koncentracyjnym”. Do czasów stalinowskich odwołuje się również i Sołżenicyn gdy szuka porównania dla procesu Jakira i Krassina, który zaczął się w końcu sierpnia.

Wydać mi się, że właśnie ten proces był główną przyczyną, która musiała Aleksandra Sołżenicyna do przerwania milczenia.

50-letni historyk Piotr Jakir i 44-letni ekonomista Wiktor Krassin, przebywający ponad rok w śledztwie, stanęli przed sądem 27 sierpnia. Sąd zebrał się na dalekim podmoskiewskim osiedlu, dziennikarzy — naturalnie — nie dopuszczono, gdyż w sali „wszystkie miejsca były zajęte”. Jakira i Krassina sądzono z paragrafu 70 „za antysowiecką agitację i propagandę”, która wyrażała się w wydawaniu „Chroniki tiekuszczych sobytij”. Po raz pierwszy w ciągu ostatnich 10-ciu lat oskarżeni całkowicie i z całą

gotowością współpracowali z władzami, chętnie podając nazwiska wszystkich tych, którzy byli z nimi związani, którzy wypowiadali „antyrządowe poglądy”. Już w kwietniu br. Jakir napisał z więzienia list do Andrieja Sacharowa. List ten był akuratnie dostarczony uczonemu przez oficera KGB. W liście, pisanym niewątpliwie pod dyktando śledczego, był wyłożony schemat procesu. Jakir pisał w nim między innymi: „Przechowywałem, powieślałem i rozpowszechniałem antysowiecką literaturę i przekazywałem na Zachód różne informacje jaskrawo tendencyjne, które często nosiły charakter oszczerczy, a w szeregu wypadków wzywały otwarcie do walki z istniejącym ustrojem...” Jakir błagał Andrieja Sacharowa by, „przerwać antysowiecką działalność”, wiążąc tym samym siebie z akademikiem. W czasie procesu Jakir zapewniał, że był z nim związany również i Sołżenicyn.

Z listu Jakira do Sacharowa i ze skąpych informacji TASS'a o przebiegu procesu jasno wynikają plany autorów procesu. Faktycznie Jakir i Krassin byli sądzeni nie tyle za wydawanie „Kroniki”, ile za to, że tę „Kronikę” przedrukowywał organ rosyjskiej emigracyjnej organizacji NTS (Narodno-Trudowej Sojuz), pismo *Possiev*. Z informacji o procesie, z licznych listów „ludzi pracy” do prasy sowieckiej, wyrasta obraz niesamowitej organizacji NTS, zagrażającej najsilniejszemu i najbardziej monolitycznemu państwu świata.

Można założyć, że stanąwszy przed koniecznością „umocnienia zaplecza” w związku z odpreżeniem w polityce zagranicznej, sowieckie władze stwierdziły brak „wroga”, niezbędnego dla mobilizacji „miłości do ojczyzny”. Przestał być „pełnowartościowym wrogiem” imperializm amerykański; przestał nim być „zachodnio-niemiecki rewizjonizm. Pozostają ma się rozumieć Chiny, istniejący syjonizm. Ale tacy „inaczej myślący” jak Sacharow, Sołżenicyn, jak organizatorzy „Kroniki”, nie mogą być zaliczeni do „Chińczyków”, nie można też było ich całkowicie włączyć do „syjonistów”. Wskrzyszono więc trupa wroga — tak starego jak rewolucja październikowa — emigrację. I obecnie okazuje się, że wystąpienia Sacharowa i Sołżenicyna, szkodzące prestiżowi państwa sowieckiego za granicami, wykorzystuje się z powodzeniem dla podgrzania „patriotyzmu” u siebie w domu. Sacharow i Sołżenicyn stali się dotykalmym wcieleniem wewnętrznego wroga. Stali się przedmiotem „pięciu minut nienawiści”.

Potok listów z potępieniem, oburzeniem z powodu „niegodnego zachowania się Sacharowa” (jak dotąd główne uderzenie skierowane jest przeciwko Sacharowowi) zalewający — za zgodą i z polecenia władz — stronicie sowieckiej prasy — świadczy, że władze dawno i starannie się do tego przygotowały. Listy te świadczą jeszcze i o innej rzeczy. Długie lata walki z opozycyjną inteligencją w okresie po-stalinowskim wydały owoce. Listy przeciwko Sacharowowi podpisują traktorzyści, ślusarze i dojarki. Trudno ich potępiać. Ale te listy po raz pierwszy po 1958 roku, po kampanii anti-pasternakowskiej, podpisują i pisarze, a w ich liczbie Wasilij Bykow i Siergiej Zatygin; kompozytorzy jak Szos-

takowicz i Kaczaturian; uczeni — byli przyjaciele Sacharowa.

Sąd nad Jakirem i Krassinem zabrzmiał jak dzwoneczek, przy pomocy którego w swoim czasie akademik Pawłow wywoływał odruchy warunkowe u psów. Znaczna część sowieckiej inteligencji odpowiedziała na „dzwoneczek” wznowieniem refleksów, na stworzenie których tyle sił poświęcił Stalin.

O tych refleksach myśli Sołżenicyn gdy mówi, że „małoduszne zachowanie Jakira i Krassina powtarza po 40-tu latach i w innej sytuacji haniebne doświadczenie zagubionego pokolenia... kapitulantów lat 30-tych”.

Wywiad Sołżenicyna świadczy, że niezagaśły duch oporu, duch sprzeciwiania się złu — jest zachowany. Pisarz przytacza przykłady odwagi i samopoświęcenia, opowiada o zachowaniu się gen. Grigorenko, Władimira Bukowskiego, Andrieja Amalrika — gotowych poświęcić życie za swe przekonania. Pisarz nazywa tego ducha ofiary „promieniem nadziei dla naszej przyszłości”.

W kilka dni po ogłoszeniu wywiadu Sołżenicyna przeczytałem żałobne przemówienie André Malraux na odsłonięciu pomnika garstki francuskich partyzantów, którzy zginęli w walce z 12.000 hitlerowców. Nie wiem czy Malraux znał tekst wywiadu Sołżenicyna, ale francuski pisarz, jakby odpowiadał pisarzowi rosyjskiemu gdy oświadczył: „Słowo 'nie' rzucone w twarz złu posiada mistyczną siłę, idącą z głębi wieków...” I jeszcze: „Nie wolnik zawsze mówi 'tak'”.

Sacharow i Sołżenicyn mówią: nie. „Doświadczenia ostatnich dziesięcioleci — oświadczył Sołżenicyn — przekonały mnie, że tylko twardość ludzkiego ducha... gotowego do poświęceń i śmierci, oświadczaającego: 'ani kroku dalej', tylko ta twardość ducha zabezpiecza jednostce prawdziwą obronę świata, świata dla wszystkich, dla całej ludzkości”.



Możliwe, że najbardziej okrutną bronią, która zastraszyła sowiecką inteligencję, były w ostatnich latach szpitale psychiatryczne, o których Sołżenicyn mówi, że są gorsze od komór gazowych. Władze sowieckie rozumieją koszmarną siłę tej broni i nie zamierzają z niej zrezygnować. Mało tego, chcą otrzymać aprobatę światowej społeczności lekarskiej, zgodę psychiatrów całego świata na wykorzystywanie w Związku Sowieckim szpitali psychiatrycznych dla prześladowania heretyków. Lekarze hitlerowscy wykorzystali już tę metodę walki z wrogami reżymu, ale robili to tajnie. Lekarze sowieccy zdecydowali się na wykorzystanie „odprężenia”, żeby zabijać ludzi zastrzykami — jawnie. Z chwilą gdy międzynarodowa Konferencja Psychoterapii w Oslo odmówiła potępienia sowieckiej praktyki zamykania inaczej myślących do zakładów psychiatrycznych pod pretekstem, że to może „przeszkodzić rozwijającemu się w chwili obecnej procesowi zbliżenia z krajami Europy Wschodniej” — władze sowieckie zdecydowały się na dalszy krok.

W październiku br. w ZSSR (w Erywaniu) zbiera się międzynarodowa konferencja psychiatrów poświęcona schizofrenii. Już jest znany skład delegacji sowieckiej. Wszli do niej m.in. G. Morozow, R. Nadżarow, A. Snieżniewskij — główni teoretycy tezy, że tylko schizofrenik może krytykować władze sowieckie, a więc każdy kto je krytykuje jest schizofrenikiem.

Niestety są wszystkie dane, by przypuszczać, że psychiatrzy, którzy zjadą się ze wszystkich krajów świata, zaaprobuja ludobójcze teorie katów w białych kitlach.

Adam KRUCZEK

Morderczy bieg Historii nie jest nieodwracalny*

□ — Czy jest prawdą, że otrzymuje Pan od gangsterów listy z pogrozkami i z chęcią wymuszenia?

Aleksander Sołżenicyn pokazuje trzy anonimowe listy z pogrozkami, które otrzymał, ale wyjaśnia że widzi w tym „maskaradę” ze strony agentów państwowej służby bezpieczeństwa: „Oto właśnie osobliwość — albo — jeżeli tak mogę powiedzieć — przywilej naszego reżymu: ani włos nie spadnie z mojej głowy, ani z głowy członków mojej rodziny bez wiedzy i zgody służby bezpieczeństwa, do tego stopnia jesteśmy obserwowani, szpiegowani, pilnowani i podsłuchiwani. A zatem jeżeli obecni gangsterzy okazaliby się autentycznymi — natychmiast, po pierwszym liście, znaleźliby się pod całkowitą kontrolą służby bezpieczeństwa. [...] Jeżeli ogłoszą, że umarłem, albo że nagle i z niewytłumaczonego powodu jestem umierający, możecie bez żadnego ryzyka popełnienia błędu stwierdzić, że zostałem zamordowany za zgodą służby bezpieczeństwa, albo przez jej agentów”.

Aleksander Sołżenicyn dodaje jednak, że jego śmierć nie ucieszy tych, którzy usiłowali umusić go do zaprzestania działalności

* Wywiad udzielony korespondentowi Le Monde w Moskwie, Alain Jacobowi i korespondentowi amerykańskiej agencji Associated Press przez Aleksandra Sołżenicyna.

Tekst wywiadu ukazał się w Le Monde z dnia 29 sierpnia 1973. Podajemy poniżej integralne tłumaczenie tego tekstu. Skróty i opuszczenia były w tekście Le Monde. Oryginalnego tekstu nie mogliśmy dostać. (Redakcja).

literackiej: „Natychmiast po mojej śmierci, czy moim zaginięciu, czy pozbawieniu mnie wolności w jakiegokolwiek bądź formie, wejdzie automatycznie w życie mój testament literacki [...]. Wtedy zaczną się ukazywać zasadnicza część moich publikacji, od których wstrzymywałem się przez te wszystkie lata. Jeżeli oficerowie służby bezpieczeństwa szukają i konfiskują we wszystkich miastach prowincjonalnych egzemplarze nieszkodliwego *Odziału chorych na raka* [...], co zrobią kiedy Rosję zaleją moje pośmiertne, najbardziej istotne książki?”

□ — *W dawnym wywiadzie, półtora roku temu, mówił Pan o szykanach i prześladowaniach, jakich doświadczył pan zarówno w swojej działalności literackiej, jak i w życiu codziennym. Czy pod tym względem nastąpiła jakaś poprawa?*

Aleksander Solżenicyn wylicza sankcje jakie zostały zastosowane w stosunku do osób, które mu pomagały — jak np. młody historyk literatury, Gawriił Superfin, zaarrestowany 3. 7. br. Przypomina presje wywierane na wiołonczeliście Mścislawie Rostropowiczu w okresie, kiedy u niego mieszkał. Przypomina także podsłuchane rozmowy, przejęte listy, szkody wyrządzone jego samochodowi, w końcu zobowiązanie jakie chciano mu narzucić, a mianowicie żeby przyznał, że nagroda Nobla, którą otrzymał, może być uważana jako „dar prywatny” — co upoważniłoby państwo sowieckie do skonfiskowania mu 1/3.

„Wybitny generał KGB” — stwierdził Solżenicyn — „przekazał mi za pośrednictwem osoby trzeciej ultimatum: albo wyniosę się za granicę, albo zgnoją mnie w łagrze — właśnie na Kołymie, przy pomocy będącego w użyciu przepisu prawnego. Jeśli to okaże się potrzebne, ta trzecia osoba rozgłosi — dziś albo jutro — więcej szczegółów o tym epizodzie”.

□ — *Biorąc pod uwagę, że nie ma Pan oficjalnego pozwolenia na przebywanie w Moskwie przy swojej rodzinie, gdzie pan mieszka?*

„Nie mieszkam nigdzie. W rzeczywistości nie mam innego miejsca zamieszkania, jak mieszkanie mojej rodziny. [...] Mieszkam tu czy mi na to pozwalają, czy nie. Jeżeli przyjdą by mnie stąd bezwstydnie wyrzucić, będzie to reklama godna naszego awangardowego reżymu”.

□ — *Jak osądza Pan własną sytuację i sytuację innych pisarzy,*

biorąc pod uwagę przystąpienie Związku Sowieckiego do Światowej Konwencji o prawach autorskich? W sposób półoficjalny mówi się, że od tej chwili samo wywiezienie dzieł literackich, których nie można by było zakwalifikować jako „antysowieckie”, będzie uważane za przestępstwo pospolite, za zagrożenie monopolu handlu zagranicznego.

„... Jeżeli w przodującym reżymie socjalistycznym podle merkantylne umysły uważają, że produkt twórczości umysłowej, zaledwie narodzony w sercu i głowie autora, staje się automatycznie towarem i własnością ministra Handlu Zagranicznego — to podobny proceder może wzbudzać jedynie pogardę.

„Dopóki możliwość publikowania będzie dla mnie zamknięta w mojej ojczyźnie, dopóty będę wydawał swoje książki u zagranicznych wydawców, ignorując całkowicie to finansowe i polityczne przedsięwzięcie miernot. Ogłaszam z góry niekompetencję każdego sądu powszechnego w stosunku do naszej literatury rosyjskiej, do jakiegokolwiek jej książki, w stosunku do każdego sowieckiego pisarza”.

Aleksander Solżenicyn niemniej stwierdza z ironią, że przystąpienie Związku Sowieckiego do Konwencji zawiera nowe zabezpieczenie dla pisarzy sowieckich — włączając i tych z Samizdatu — przeciwko piractwu wydawniczemu.

□ — *Kiedy zamierza Pan opublikować drugi tom Pana serii?*

„Prawdę mówiąc nie wydam *Października 16* zanim trzeci tom, *Marzec 17*, nie będzie gotowy. Te dwa zagadnienia są tak ze sobą związane, że tylko razem mogą wytłumaczyć bieg wypadków tak, jak je rozumie autor”.

JĄDRO ROSYJSKIEJ PROZY

□ — *Co myśli Pan o współczesnej literaturze sowieckiej?*

„Mogę mówić o dzisiejszej prozie rosyjskiej. Ona egzystuje i jest poważna. Jeżeli weźmiemy pod uwagę nieprawdopodobne cięcia cenzury, jakim poddawane są dzieła autorów, to należy się zachwycić, że ich sztuka jednak się rozwija: dzięki drobnym detalom artystycznym zachowują oni, i nam przekazują, szerokie połacie życia, którego przedstawianie jest zabronione. Zacytuję nazwiska — chociaż z trudnością, i bez wątpienia z opuszczenia-

mi: niektórzy autorzy, jak np. Jurij Kazakow¹, zaprzestają nagle i niewytłumaczalnie pracy nad wielkim dziełem i pozbawiają nas możliwości korzystania z ich wypowiedzi; jeśli idzie o innych, jak np. Zatygin² — którego opowiadanie o Stepanie Cziasowsie jest jedną z najlepszych rzeczy w literaturze sowieckiej od 50-ciu lat — mogą być nieobiektywne; na skutek odmiennej koncepcji wyboru dróg — poprzez które nasza obecna literatura może służyć naszemu dzisiejszemu społeczeństwu — doznają uczucia obcości; trzecia grupa autorów jest bez wątpienia obdarzona talentem, ale ich utwory są oderwane lub powierzchowne wobec zasadniczych prądów naszego życia. Z tymi wszystkimi zastrzeżeniami oto jak widzę jądro współczesnej prozy rosyjskiej: Abramow, Astafiew, Bielow, Bykow, Szukszin, Maksimow, Możajew, Nosow, Okudźawa, Sołouchin, Tendriakow, Trifonow, Władimow, Wojnowicz³.

1. Jurij Kazakow, ur. w 1927 roku, kontynuuje tradycje rosyjskiej klasycznej prozy Czechowa i Bunina. Obecnie pisze prawie wyłącznie dla dzieci.
2. Siergiej Zatygin, ur. w 1913 roku, autor powieści „Tropy Altaja”, „Solenaia Pad”, powieści o kolektywizacji na Syberii pt. „Na Irtyrze”. Właśnie tę powieść i jej głównego bohatera Stepana Cziasowsa specjalnie wysoko ocenia Sołżenicyn.

3. Sołżenicyn wylicza alfabetycznie pisarzy, stanowiących — jak to określa — „jądro rosyjskiej prozy”. Większą część tej grupy stanowią przedstawiciele tzw. ludowej prozy, pisarze nie tylko piszący o wsi, ale przeciwstawiający wieś — skarbnięc rosyjskich cech narodowych — miastu, które jest wrogiem człowieka i przyrody. Są to: Fiodor Abramow — autor jednego z pierwszych prawdziwych opowiadań o wsi kołchoźnej „Wokrug da okolo” (tłumaczenie tej noweli ukazało się w Bibliotece „Kultury” w tomie pt. „We własnych oczach”), i powieści o wsi w latach wojny pt. „Dwie zimy i tri leta”; Wasilij Bielow — bodajże najbardziej utalentowany z pisarzy tej grupy. Jego najlepszym utworem jest powieść „Priwycznoje dielo”; Boris Możajew — autor bezlitosnej satyry na życie kołchoźne, sławiącej niespożyte siły rosyjskiego wieśniaka „Iz żyłki Fiedora Kuzkina” (tłumaczenie ukazało się w *Kulturze* Nry 10, 11, 12 — 1966); Władimир Sołouchin w „Pismach iz ruskowo muzeja” i w „Czornych doskach” zwraca się do nacjonalizmu i prawosławia, widząc w nich pierwiastki odrodzenia Rosji; Władimир Tendriakow — autor opowiadań i powieści, w których stawia problem moralny; Astafiew, Szukszin, Nosow, Wojnowicz — mistrzowie krótkich opowiadań, przeważnie na tematy wiejskie; Władimир Maksimow — autor powieści „Siem dnjej tworienia” i „Karantin” — usunięty niedawno ze Związku pisarzy sowieckich; Wasilij Bykow — pisarz białoruski, wyrażający w książkach o wojnie — „Miertwym nie bolno”, „Tretia rakieta”, „Sotnikow” i inne — zdumienie i przerażenie zwycięzców, którzy wrócili z frontu i znajdują nadal ten sam stalinizm; Jurij Trifonow w opowiadaniach „Obmien”, „Predwaritielnye itogi” maluje prawdziwy obraz sowieckiego dnia powszedniego; Georgij Władimow autor „Bolszoj rudy” i powieści „Tri minuty małżeństwa”, poświęconych zwykłemu robotnikom — szoferom i marynarzom; Bulat Okudźawa po opowiadaniach „Bud’ zdarow szkolari”, „Głotok swobody”, „Prikluczenija Szypowa” zajął wybitne miejsce wśród współczesnych sowieckich prozaików. (Odnosnik opracowany przez *Kulturę* a nie przedruk z *Le Monde*).

□ — *Co Pan myśli o wykluczeniu W. Maksimowa ze Związku Pisarzy?*

Aleksander Sołżenicyn odmawia „mówienia na serio” o Związku Pisarzy, którym w jego rozumieniu kierują „gwarantci państwowej służby bezpieczeństwa”. Ironicznie, stwierdza, że wykluczenie ze Związku W. Maksimowa, „pisarza uczciwego i odważnego”, jest „całkowicie logiczne”.

KAPITULANCI LAT 30-TYCH

□ — *Co myśli Pan o procesie Jakira i Krassina?*

Aleksander Sołżenicyn dla porównania przypomina procesy stalinowskie z lat trzydziestych i surowo osądza Jakira i Krassina (których zeznania od czasu ich aresztowania skompromitowały wielu ich przyjaciół): „Zachowują się oni bez charakteru, powtarzając — po 40-tu latach i w odmiennej sytuacji — świadomie i w ten sam ośmieszający sposób, niesławne doświadczenie straconego pokolenia — tych podrzędnych postaci historycznych, tych kapitulantów lat trzydziestych”.

□ — *Co może Pan powiedzieć o ostatnich atakach w prasie sowieckiej na akademika Sacharowa?*

Aleksander Sołżenicyn określa Sacharowa, jako przyjaciela, chociaż dodaje że nie zgadza się „z dużą częścią tego”, co uczony sowiecki „konkretnie proponuje dla naszego kraju”. Ale zauważa, że propozycje Sacharowa starają się mieć charakter „konstruktywny” i że władze sowieckie odmawiały zawsze zaangażowania się w najmniejszą nawet udokumentowaną dyskusję. Oceniając zachowanie się samego Andrieja Sacharowa stwierdza: „Tu się kryją głęboki sens, podniosły symbol i logika losu jednostki: wynalazca najpotężniejszej broni niszczycielskiej naszego wieku który — pod ciężarem grzechów, które są wspólne nam wszystkim i każdemu z osobna — podporządkowuje się sile ogólnowiatowego sumienia i sumienia rosyjskiego, porzuca niepotrzebny mu komfort, który dzisiaj powoduje zgubę tylu ludzi na świecie i rzuca się w paszczę wszechpotężnej przemocy”.

□ — *Jak ocenia Pan obecną sytuację społeczeństwa w Związku Sowieckim? Czy jego rozwój jest pod wpływem stanowiska i*

oświadczeń ludzi na świecie, którzy są pod wpływem kultury zachodniej?

„Już od długiego czasu prawdziwa historia naszego kraju nie jest odnotowywana, nie jest spisywana i nie mówi się o niej otwarcie. Jeżeli w całej armii historyków uznanych, szanowanych, dojrzałych wiekiem, czy młodych, znajdzie się jeden (np. Amalrik), który odmawia przeżywania tej samej paszy i gromadzenia cytatów z ojców doktryny postępowej, ale ma odwagę głosić niezależną analizę aktualnej struktury społeczeństwa, przewidywać przyszłość — to co ona rzeczywiście może przynieść naszemu krajowi — ten zamiast pogłębiać swoją pracę i wyciągać to, co może być prawdziwe i praktycznie pożyteczne — jest po prostu wrzucany do więzienia.

„I kiedy w szeregach naszych wspaniale udekorowanych generałów znajduje się jedyny Grigorenko, który ma odwagę wyrazić swoją nie szablonową opinię o przebiegu ostatniej wojny i o współczesnym społeczeństwie sowieckim — opinię zresztą całkowicie w linii marksistowsko-leninowskiej — ogłasza się go chorym umysłowo.

„Przez kilka lat wraz z *Kroniką* zaspakajał on naturalne pragnienia każdego człowieka: wiedzieć co się dzieje. *Kronika* podawała do wiadomości, co prawda niekompletnie, nawet bardzo niekompletnie, nazwiska, daty, miejsca, kary więzienia, formy prześladowania i pozwalała wydobywać z przepaści ignorancji na powierzchnię chociażby tylko nieznaczną część naszej przerażającej historii. I dlatego została zmiażdżona, i systematycznie podeptana.

„Od tej chwili, bez *Kroniki*, nie będziemy wiedzieli od razu o nowych ofiarach reżymu więzień i obozów koncentracyjnych, który zabija powoli przez samo swoje okrucieństwo, tak jak zabił chorego Gałanskowa, wiekowych Tałantowa i Jakowa Odobesko (ogłosili głódówkę jako sprzeciw na prześladowania w łagrze). Ani drugie, ani trzecie skazywanie ludzi już skazanych — jak to miało miejsce z zesłanymi aby odcierpieli swoją 25-letnią karę do końca — poprzednio „ułaskawionymi” — Swiatosławem Karawańskim, Stepanem Sorokiem (dostał 25 lat za czytanie uczniom w 10-ej klasie kilku broszur nacjonalistycznych), albo z pastorem łotewskim Jonasem Sztagersem; jak z Jurjim Szuchewiczem, któremu dodano po raz drugi 10 lat w momencie wypuszczenia go na wolność na skutek donosu pewnej osoby, która nie знаła go nawet 24-ch godzin — i oto dorzucono mu 10 lat po raz trzeci; jak z Borysem Zdorowiecem, który został skazany po raz trzeci za wiarę; ale także jak Piotr Tokar, który dostał od razu 25 lat (i odsiaduje obecnie swój 24-ty rok); albo jak ci,

podobni do Zinowjewa, Krassiwskiego i Jurij Bełowa, którzy pod koniec odsiadki swoich kar zostali przeniesieni z Władimirskiego więzienia do domu wariatów w Smoleńsku na nieustalony dotąd okres czasu. Zniknie sprzed naszych oczu i z naszej świadomości dalszy ciąg losów więźniów: Switycznego, Swerstiuka, Ogurcowa, Borysa Bykowa (grupa *Młodych Robotników* z Ałma Aty), Olega Worobiewa (z Samizdatu w Permie), Gerszuniego, Wiaczesława Płatonowa, Jewgienija Wagina, Niny Strokatej, Stefanii Szabaturej, Iryny Stasiwej, i wielu wielu, wielu innych o których nic nie wiemy — ich własne rodziny, ich towarzysze pracy i ich sąsiedzi?

„Ponieważ wszystko co się dzieje u nas otoczone jest totalną tajemnicą — wspomnienia Marczenki, gdy ukazały się na Zachodzie — wydawały się nam „przesadzone”. Bardzo niewiele, na przykład, zastanawiało się nad tym, że carski regulamin więzienia centralnego we Władimirze pogorszył się za czasów reżymu sowieckiego czterokrotnie, np. światło (okna zostały zasłonięte w trzech czwartych) i jest jeszcze cztery razy bardziej zimno i bardziej okrutnie.

„Cały świat jest zresztą tak przyzwyczajony do tego, że nic się o nas nie wie, że lekceważy się najbardziej rzucające się w oczy informacje: w tym zadziwiającym kraju o przodującym systemie społecznym, od *pół wieku nie było ani jednej amnestii dla politycznych!* Kiedy nasze kary były dwudziestopięcioletnie lub dziesięcioletnie, kiedy 8 lat uważano u nas — bez ironii — za karę „dziecinna”, słynna amnestia stalinowska (7. 4. 1945) uwolniła więźniów politycznych skazanych... na maksimum 3 lata, to znaczy nikogo. Trochę bardziej hojna (do 5 lat) amnestia „worożyłowska” z marca 1952 załapała kraj dawnymi więźniami kryminalnymi. We wrześniu 1955 uwalniając — dla Adenauera — Niemców, którzy odbywali kary w Związku Sowieckim, Chruszczow został zmuszony do amnestionowania również tych, którzy współpracowali z Niemcami. Ale nigdy na przestrzeni pół wieku nie było amnestii dla *dysydentów!* Któż na całej naszej planecie może nam wskazać jako przykład inny reżym do tego stopnia pewny swojej trwałości? Niech amatorzy porównań z Grecją porównują do woli.

JAK W GRECJI...

„Gdy pod koniec lat czterdziestych byliśmy zasypani karami 25-letnimi — nasze dzienniki pisały wówczas jedynie o prześladowaniach w Grecji. Dzisiaj zaś rozliczne deklaracje prasy i osobistości na Zachodzie, spomiędzy najbardziej uczulonych na ucisk

i prześladowania panujące na Wschodzie — w jedynym celu utrzymania równowagi, tj. żeby nie narazić się kręgom „lewicy” — nie zapominają o dodaniu tego zastrzeżenia: 'zresztą to jest tak, jak w Grecji, w Hiszpanii, w Turcji...'. I podczas kiedy wprowadza się tę sztuczną kolejność 'to, tak jak', zadośćuczynienie dla nas traci swój sens, swoją głębię, wprost nas obraża; sami sympatycy nie widzą groźnego ostrzeżenia.

„Ośmielam się powiedzieć, że 'to nie jest tak, jak...'. Ośmielam się zauważyć, że we wszystkich tych krajach gwałt nie osiąga poziomu dzisiejszych komór gazowych — to jest więzień psychiatrycznych. Że w Grecji nie wzniesiono murów z betonu ze śmiercionośnymi urządzeniami elektronicznymi na granicach, i że młodzi Grecy nie idą setkami na zapory śmierci ze słabą nadzieją ucieczki na wolność. I nigdzie na Wschodzie wygnany minister nie może ogłosić w prasie swojego antyrządowego programu, tak jak to zrobił Karamanlis w Grecji.

„W ubiegłym roku, w moim przemówieniu z okazji Nagrody Nobla, na próżno usiłowałem dyskretnie zwrócić uwagę na te dwie nierówne skale porównawcze w ocenie rozmiaru i moralnego znaczenia wydarzeń. I na fakt, że można było poczuć się uprawnionym do uważania wydarzeń w krajach, które determinują los świata, za „sprawy wewnętrzne”.

„Tak samo, na próżno wykazywałem, że zagłuszanie audycji zachodnich, nadawanych na kraje Wschodu, stwarza sytuację 'oblężonego miasta', sprowadza do zera umowy i międzynarodowe gwarancje, które w ten sposób w ogóle nie istnieją w świadomości połowy ludzkości. [...] Myślałem więc, że nawet zagrożona sytuacja autora przemówienia, wygłoszonego z poważnej tribuny, ale zarazem z tych skał, gdzie rodzą się i skąd wypływają światowe lodowce, choć trochę przyciągnie uwagę roztargnionego świata na te ostrzeżenia.

„Pomyliłem się. To co zostało powiedziane to tak jakby nie było w ogóle powiedziane i być może nie ma sensu, by powtarzać to dzisiaj”.

ZAGŁUSZANIE RADIA

„Nie można wytłumaczyć czym są zagłuszanie audycji radiowych tym, którzy sami nie doświadczali tego na sobie, którzy nie przeżywali tego przez szereg lat. Jest to codzienne plucie w uszy i w oczy, jest to zniewaga i sprowadzenie człowieka do stanu robota, ażeby zagłuszanie dokonywało się w diapazone 'całkowitej niemoty' przy pomocy 'zgrzytającej piły', albo muzyki

najgorszego gatunku. To jest sprowadzenie dorosłych do poziomu dziecka: łykaj tylko kleik mamusi.

„... Moskwa i Leningrad stały się, paradoksalnie, najmniej poinformowanymi stolicami świata: mieszkańcy szukają wiadomości u tych, którzy przychodzą z okęgów wiejskich. Tam, przez oszczędność (te 'służby' zagłuszania kosztują bardzo drogo nasze społeczeństwo), zagłuszają o wiele słabiej. Tym niemniej, sądząc z obserwacji mieszkańców różnych miejscowości, właśnie w czasie ostatnich miesięcy zagłuszanie obejmuje szerszy zasięg, pokrywa nowe rejony i zwiększa się jego nasilenie. (Pamiętamy dzieje Siergieja Chanzenkowa, który w 1973 roku odsiedział już był 7 lat więzienia za usiłowanie — a może tylko zamiar — wysadzenia w powietrze stacji zagłuszania w Mińsku, a przecież jeżeli wychodzi się z troski wspólnej wszystkim ludziom, nie można zrozumieć tej 'zbrodni' inaczej, jak aktu walki o pokój powszechny)”.

POWRÓT DO LAT 30-TYCH

„Ogólny cel obecnego zdławienia myśli w naszym kraju może być określony jako schiśnienie — realizacja chińskiego ideału, jeżeli ideał ten nie został już wcielony w życie u nas w latach trzydziestych. Oto o czym zapomniano. Iluż ludzi Zachodu słyszało w latach trzydziestych o Michaiile Bułgakowie⁴, o Płatonowie⁵, o Florenskim⁶? To zupełnie tak samo jak w Chinach: istnieją dzisiaj tysiące dysydentów, istnieją pisarze i ukryci filozofowie, ale świat dowie się o ich istnieniu dopiero po przeminieniu całej epoki, po 50-ciu czy 100-tu latach, i to tylko o istnieniu tych nielicznych ludzi, którzy będą umieli przechować swoje dzieła mimo bezlitosnego miazdżenia. To do tego właśnie ideału chcą powrócić dzisiaj u nas.

4. Michaił Bułgakov (1891-1940), pisarz którego książki nie były drukowane za jego życia, a jego sztuki nie były wystawiane. Główne jego utwory, w tym powieść „Master i Margerita” zostały udostępnione czytelnikom (w Związku Sowieckim ze skrótami cenzury) w 25 lat po ich napisaniu.

5. Andriej Płatonow (1899-1951). Na równi z Bułgakovem jeden z najwybitniejszych prozaików rosyjskich lat dwudziestych. Jego niektóre utwory i opowiadania zaczęły ukazywać się w połowie lat sześćdziesiątych — w ćwierć wieku po ich napisaniu. Główne utwory Płatonowa, w tym powieść „Cze-wiengur”, nadal są w Związku Sowieckim zakazane.

6. Paweł Florenskij (1882-1943) — duchowny, jeden z największych rosyjskich teologów, autor monumentalnej pracy „Stół” i „Utwierdzenie istiny”, wybitny fizyk i matematyk, zginął w łagrze po wieloletnim uwięzieniu. Zainteresowanie religią, które można obecnie zaobserwować w Rosji, w dużym stopniu jest związane z pracami Pawła Florenskiego, które są rozpowszechniane w „samizdacie”. (Odnosnik opracowany przez Kulturę).

„Tym niemniej stwierdzam z przekonaniem, że powrót do takiego systemu jest w naszym kraju niemożliwy. Po pierwsze dlatego, że istnieje międzynarodowa informacja i, mimo wszystko, przenikanie i wpływ idei, faktów i protestów ludzi; trzeba zrozumieć że Wschód wcale nie jest obojętny na protesty zachodniego społeczeństwa; przeciwnie boi się ich śmiertelnie — i tylko ich — ale wyłącznie wtedy gdy rozlega się potężny, połączony głos setek wybitnych osobistości, opinii całego kontynentu, który może zachwiać 'awangardowym' reżymem. Kiedy natomiast odzywają się słabe, pojedyncze protesty, bez żadnej wiary we własną skuteczność, i którym towarzyszy nieunikniony ukłón: 'zresztą to tak samo jak w Grecji, w Turcji i Hiszpanii' — wywołuje to jedynie śmiech ciemniejszych. Skoro skład rasowy jakiejś ekipy basket-ballu okazuje się o wiele ważniejszym wydarzeniem światowym niż codzienny zastrzyk, który rozsądza mózg więźniów szpitali psychiatrycznych, cóż można odczuwać, jeśli nie pogardę, dla egoistycznej, krótkowzrocznej i rozbrojonej cywilizacji?

„Pod presją światowego rozgłosu nasze więzienie cofa się i chowa. Do Andrieja Amalrika — którego długoterminowe skazanie zaplanowano już w roku 1970 — można było zastosować najpierw tylko 'zwykły' paragraf i 3 lata kary. Trzeba było zesłać go na Kołymę, ażeby uniknąć obozów dla więźniów politycznych w Mordowii. Dzisiaj — dzięki nowemu hałasowi w opinii światowej — trzeba było znowu 'ograniczyć się' do trzech lat. Bo inaczej dostałby o wiele więcej.

„Świat zachodni poprzez nadawany rozgłos, pomógł już i uratował wielu z naszych uciemiężonych. Ale nie wyciągnął z tego całej nauczki. Świat nie odczuwa z siłą przekonania, że nasi prześladowani nie tylko są bardzo wdzięczni że się ich broni, ale że również dają wzniósł przykład siły ducha i samozaparcia w obliczu śmierci i pod strzykawką psychiatrów-morderców”.

ODWAGA BUKOWSKIEGO

„A oto druga i zasadnicza przyczyna, dla której jestem przekonany, że ideał chiński jest nie do przyjęcia w naszym kraju. Niezłomnemu generałowi Grigorenko trzeba było nieporównanie więcej odwagi niż tego wymagały pola bitew, aby będąc od czterech lat w piekle więzienia i szpitala psychiatrycznego odrzucić pokusę kupienia swojego uwolnienia od udręceń za cenę własnych przekonań, to jest uznania niesprawiedliwości za prawo.

„Władimir Bukowski przez całe swoje młode życie miazdżony przez kolejne tryby więzień psychiatrycznych, więzień zwykłych i obozów koncentracyjnych nie dał się złamać, nie wy-

brał spokojnej egzystencji na wolności, lecz żywot świadomej ofiary w służbie innych. W tym roku sprowadzono go do Moskwy i zaproponowano, że będzie zwolniony i będzie mógł wyjechać za granicę, jeżeli do czasu wyjazdu zaprzestanie jakiejkolwiek działalności politycznej. To wszystko! I mógł bez przeszkód wyjechać za granicę i odzyskać zdrowie.

„Według obecnych, zachodnich norm odwagi można by było zapłacić o wiele drożej za swoją wolność, za to by być wolnym od udręki: niektórzy amerykańscy jeńcy wojenni sądzili, że mogą podpisać każde oświadczenie przeciwko swojemu krajowi, stawiając naturalnie swoje cenne zdrowie ponad przekonania. A jednak Bukowski uważał, że przekonania są bardziej cenne niż życie. Jego przykład jest zapewne oczywisty dla ludzi z jego pokolenia na Zachodzie, ale również niewspółmierny. Bukowski odpowiadając postawił jeden warunek: że zostaną zwolnieni z więzień szpitali psychiatrycznych wszyscy ci, o których pisał. Wydawało mu się niewystarczające, aby jego uwolnienie dokonało się za cenę, choćby najmniejszego ustępstwa: nie chciał uciekać pozostawiając innych w nieszczęściu. I został z powrotem wysłany do łagru by dokończyć swoich 12-tu lat.

„Podobny wybór miał na wiosnę tego roku Amalrik: on również mógł potwierdzić świadectwo Krassina i Jakira; proponowano mu za to wolność. On także odmówił i został wysłany na Kołymę, skazany powtórnie. A w wypadkach, których jeszcze dzisiaj nie znamy szczegółowo, gdzie tortury i udręki kryje przed nami 'tajemnica państwowa' — z samego faktu, że ktoś nie został zwolniony, że jego regulamin więzienny nie został złagodzony, możemy wnioskować z pewnością, że ten człowiek w dalszym ciągu ma nieugiętą wiarę w swoje przekonania.

„Ta chęć poświęcenia podzielana przez szereg izolowanych jednostek jest światłem dla naszej przyszłości. Jest ona psychologiczną właściwością jednostki ludzkiej, która zawsze zadziwia: w szczęściu i w beztrosce boi się ona najmniejszych przeciwności nawet dotyczących jedynie peryferii jej życia, usiłuje nie wiedzieć nic o cierpieniach innych (ani o tych, które czekają ją samą w przyszłości), ustępuje w wielu rzeczach nawet ważnych, moralnych, zasadniczych, w jedynym celu — aby przedłużyć swoje szczęście. I nagle, na pograniczu ostateczności, kiedy człowiek jest już nędzny, nagi i pozbawiony wszystkiego co — jak się wydaje — upiększa życie, znajduje on w sobie siłę oporu aż do końca, rezygnując z własnego życia, ale nie ze swoich przekonań.

„W związku z pierwszą z tych właściwości ludzkość nie może się utrzymać na żadnym szczycie, który osiągnęła. Dzięki drugiej — wyszła ze wszystkich otchłani. Z pewnością byłoby lepiej, gdyby ludzkość znajdując się jeszcze na szczytach przewidywała

upadek, który ją czeka i cenę, którą będzie musiała zapłacić, i żeby jeszcze przed momentem krytycznym dała dowód siły i odwagi, żeby poświęciła mniej, ale wcześniej.

„Nie można pogodzić się z myślą, że bieg historii jest nieodwracalny i że umysł pewny swej słuszności nie może wpłynąć na najbardziej potężną siłę świata. Doświadczenie ostatnich pokoleń przekonywuje mnie najpełniej, że jedynie niezłomność ludzkiego ducha z siłą stawiającego czoło zmiennemu frontowi gwałtów które mu grożą, gotowemu do ofiary i śmierci i głoszącemu: 'Ani kroku dalej!', tylko taka niezłomność ducha zapewnia prawdziwą obronę pokoju dla jednostki, dla wszystkich, i dla całej ludzkości”.

(Przełożyła Zofia Hertz)

Wywiad z A. Sacharowem

Prof. Andriej Sacharow, „ojciec” sowieckiej bomby wodorowej, współzałożyciel wraz z Walerym Czalidze i Andriejem Twierdochlebowem „Sowieckiego Komitetu Obrony Praw Człowieka”, udzielił wywiadu Edwardowi Dillonowi, dyrektorowi moskiewskiego biura Agence France-Presse w dniu 23 sierpnia 1973. Wywiad publikujemy za zgodą Agence France-Presse.

Prof. Sacharow, liczący 52 lata, uważany za najwybitniejszego sowieckiego dyssydenta, sprecyzował we wspomnianym wywiadzie warunki jakie, według niego, Zachód powinien postawić Związkowi Sowieckiemu w wyniku zbliżenia, i opisał sytuację różnych intelektualistów sowieckich.

Pytanie: — Jakie stanowisko — według Pana — powinien w przyszłym miesiącu zająć Zachód na Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa?

Odpowiedź: — Rozumie się samo przez się, że wszyscy życzymy sobie zmniejszenia napięcia i oddalenia niebezpieczeństwa wojny termonuklearnej. To zresztą — od roku 1955 — spowodowało moją własną ewolucję; ściślej niebezpieczeństwo doświadczeń nuklearnych, wyścigu zbrojeń oraz budowy ofensywnych systemów przeciwrakietowych.

Poczynając od roku 1958, w listach poufnych do Chruszczowa zacząłem wyrażać otwarcie swoje obiektywy dotyczące doświadczeń nuklearnych. Poczynając od roku 1961 mój sprzeciw stał się bardziej przemyślany i wyrażał się — poczynając od roku

1962 — z większą siłą. W roku 1964, tuż przed upadkiem, Chruszczow nakazał zebranie przeciwko mnie kompromitującej dokumentacji w związku z moim wystąpieniem w Akademii Nauk, dotyczącym problemu genetyki. To wystąpienie było uważane za ingerencję w dziedzinę polityki.

Z okazji XXIII zjazdu, podpisałem zbiorowy list przeciwko usiłowaniu rehabilitacji Stalina. Współ z pewnym dziennikarzem napisałem artykuł, który nigdy nie został opublikowany, na temat obrony przeciwrakietowej i roli intelektualistów we współczesnym świecie. Od tego dzielił mnie tylko jeden krok do mojego memorandum z roku 1968, w którym wypowiedziałem się precyzyjnie na temat odprężenia i nadziei zbliżenia dwóch systemów: tj. ewolucji obozu socjalistycznego w kierunku większej demokracji, zaś obozu zachodniego w kierunku socjalizmu.

W dalszym ciągu uważam zbliżenie za rozwiązanie idealne. Ale jeżeli powrócimy do rzeczywistości, do tego co się dzieje w ostatnich czasach, od 18-tu miesięcy, to rzeczywistość jest w najwyższym stopniu złożona i trudno jest ją określić i ocenić dokładnie.

Proces zbliżenia, którego jesteśmy świadkami, prawdopodobnie zawiera bardzo wielkie, ukryte niebezpieczeństwa. Władze naszego kraju będą mogły, a być może mogą już teraz, wykorzystać to zbliżenie nie w celach demokratyzacji, ale — wprost przeciwnie — w sensie coraz większego usztywnienia. Pozornie celem jest wzmocnienie struktur ekonomicznych i administracyjnych. Ale jeśli idzie o zagadnienie wolności myśli wyniki, jakie obserwujemy obecnie, są wyraźnie negatywne.

Już od początku 1972 roku widzimy w kraju nasilenie represji politycznych. Od stycznia 1972 represje polityczne, specjalnie na Ukrainie, były bardzo silne. Znamy wiele przykładów wyroków najwyraźniej drakońskich. Jurij Szuchewycz — który jeszcze jako dziecko znajdował się w obozie, ponieważ jego ojciec był jednym z przywódców ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego — opisał ten okres swego życia w pamiętnikach — których nikt nie znał.

Przeprowadzono u niego rewizję, pamiętniki zabrano i posłużono się nimi, aby skazać go na 5 lat więzienia, plus 5 lat obozu, plus 5 lat policyjnego nadzoru. Takich wyroków można by wliczyć wiele na Ukrainie.

Ciągle na Ukrainie: zaaresztowano matematyka, wybitnego myśliciela, Leonida Pluszcza. Po roku dochodzenia uznano go za chorego umysłowo. Prawdopodobnie ekspertyza psychiatryczna była zrobiona bez jego obecności. W grudniu miał miejsce proces i zdecydowano, że umieści się go w domu wariatów o charakterze karnym. Uważany za chorego umysłowo nie był obecny na procesie i przez nikogo nie był reprezentowany. Jego żonie i zna-

jomym zabroniono wstępu na salę sądową. Jego adwokat nie mógł zapoznać się z aktami sprawy ani zobaczyć swojego klienta przed ogłoszeniem mowy obrończej. Umieszczono go w szpitalu więziennym w Dniepropietrowsku i od stycznia 1972 żona nie mogła uzyskać z nim widzenia.

Tak samo w Moskwie miały miejsce liczne aresztowania, m.in. aresztowano mojego przyjaciela Jurija Szychanowicza, matematyka, autora i tłumacza licznych, bardzo znanych opracowań matematycznych. Po dochodzeniu, trwającym 9 miesięcy, również uznano go za chorego umysłowo. Moja żona i ja, jak również mój kolega z sowieckiego Komitetu Obrony Praw Człowieka, Podjapolski, znamy od wielu lat Szychanowicza jako człowieka dobrego, towarzyskiego, bardzo inteligentnego, najbardziej zdrowego i zrównoważonego. W tej sprawie apelowaliśmy do opinii światowej. Mamy nadzieję, że ta opinia zrobi wszystko co w jej mocy, aby ocalić tego człowieka od strasznego losu, który mu grozi, od pozostawiania przez czas nieograniczony w azylu dla chorych umysłowo.

I jeszcze jeden przykład z Ukrainy. Rok temu skazano Dawida Szumuka na 10 lat łagru za to, że napisał pamiętniki z okresu swego dwudziestopięcioletniego pobytu w obozie karnym. W sumie da mu to jakieś 35 lat pozbawienia wolności.

Chciałbym zasygnalizować nową, bardzo groźną tendencję, która zaczyna się przejawiać: są to ponowne aresztowania. W latach trzydziestych i czterdziestych istniał termin „ponowne”, określający ludzi, którzy po odbyciu kary więzienia byli aresztowani na nowo, w rzeczywistości z tych samych powodów jak po raz pierwszy, wyłącznie dlatego, że wzmacnianie systemu represji pchało Stalina do tego, iż określenie: kara odbyta — uważał za niewystarczające. Wypadek Andrieja Amalrika wywołał wielkie poruszenie w całym świecie. Wypadek ten jak najbardziej słusznie, uznano za zbrodnię wymiaru sprawiedliwości. Wypadkami mniej znanymi, ale tego samego rodzaju, są w ostatnich czasach aresztowania: poety Niki Perłowa w mieście Władimir i Siergieja Pirogowa, dawnego więźnia politycznego, w Archangielsku. Obawiamy się, że było o wiele więcej podobnych wypadków, których nie znamy. Podobieństwo do epoki stalinowskiej sprawia, że jesteśmy specjalnie uczuleni na to zjawisko.

Żeby powrócić do pytania, czy to ma związek ze zmianą sytuacji międzynarodowej, nie mogę pozbyć się wrażenia, że ten związek istnieje; uważam, że to powinno uświadomić Zachodowi, że przyjmując zbliżenie musi jasno zdać sobie sprawę, że zbliżenie to nie może być bezwarunkowe. W przeciwnym wypadku będzie to frontalna kapitulacja przed naszym anty-demokratycznym reżymem, zachęta dla jego grzechów i będzie to miało

szczególnie ciężkie i tragiczne konsekwencje dla całości sytuacji na świecie. To może doprowadzić do zarażenia całego świata chorobą, która nas drąży.

Zachód powinien także zrozumieć, że jeżeli nasz kraj nie zmieni się w kierunku większej demokratyzacji, każdy sojusz będzie przedwczesny. Nie potrwa on dłużej niż tego będzie wymagała konieczność gospodarcza i jak długo bieżąca polityka nie będzie zmuszała kierownictwa tego kraju do szanowania tej umowy.

Kluczowe żądanie, które powinno być postawione od początku, musi dotyczyć zniesienia izolacji tego kraju. Idzie o wolność opuszczania tego kraju, wolność powrotu do niego, wolność zachowania obywatelstwa sowieckiego, czy jego zrzeczenia się. Idzie o prawa człowieka, uznane na całym świecie, głoszone w ogólnosiwiatowej Deklaracji Praw Człowieka. Ale w naszym kraju te prawa obecnie nie są naprawdę stosowane.

W ubiegłym roku napięcie było skoncentrowane na opłatach za dyplomy dla emigrantów. Jest jasne, że te opłaty są zjawiskiem całkowicie rewoltującym i nie do przyjęcia, nie należy przy tym zapominać, że i dzisiaj, jeżeli nawet tych opłat już się nie pobiera, to prawo ciągle istnieje. Jest to zresztą tylko drobna część zagadnienia wolności emigracji.

Jest wielu ludzi, którzy złożyli podanie o wizę i nie otrzymali pozwolenia na wyjazd. Nie dotyczy to wyłącznie Żydów, ale także osób innych narodowości z Rosjanami włącznie. A jeszcze liczniejsi są ci, którzy nie ośmielają się prosić, nie ośmielają się nawet mówić, czy o tym myśleć, ponieważ nie mają żadnej nadziei żeby ich prośba została spełniona. Jeżeli ktokolwiek stawia tę sprawę, natychmiast znajduje się na marginesie społeczeństwa, praktycznie poza prawem.

Nie należy również zapominać o wielkiej ilości ludzi, którzy nie mają możliwości domagania się legalnie swoich praw. Wszyscy oni w jakiś sposób pogwałcili prawo i z nich składa się większa część więźniów Mordowii czy Permu, znajdują się w azylach dla chorych umysłowo typu karnego w okolicy Dniepropietrowska, czy gdzie indziej.

Nasze sądy uważają usiłowanie opuszczenia kraju za akt zdrady i skazują za to na 10 lat łagru, a jeżeli dana osoba była już poprzednio karana — otrzymuje nawet i 15 lat.

Uważam, że żądanie wprowadzenia swobody emigrowania, tak aby obywatele sowieccy mieli prawo do emigracji, czy do podróży za granicę według swojej woli, bez brania pod uwagę zagadnienia narodowości, bez konieczności posiadania rodziny za granicą, bez względu na to jaki zawód wykonują, wreszcie by mogli wyjeżdżać w jakimś terminie do przyjęcia, ustalo-

nym przez prawo — że takie żądanie postawione przez zachodnich partnerów do odprężenia, nie może być w żadnym wypadku być uważane za naruszenie suwerenności Związku Sowieckiego, ale będzie stanowiło niezbędny i sprawiedliwy warunek zbliżenia.

Nie może być wzajemnego zaufania, jeżeli jedna ze stron jest ogromnym obozem koncentracyjnym; w Związku Sowieckim więźniowie nie myślą się pod tym względem: określają obóz karny, w którym są zamknięci jako „mały obóz”, a resztę kraju jako „wielki obóz”.

Problem swobody wyjazdów i powrotów do kraju jest tylko częścią bardziej szerokiego zagadnienia, dotyczącego zniesienia naszej izolacji w odniesieniu do świata zewnętrznego, zagadnienia większej swobody intelektualnej w naszym kraju.

Za granicą nie mówi się wiele o zagłuszaniu audycji radiowych. A tymczasem każdego wieczora, kiedy przekreślamy gałkę naszego radia odczuwamy szok, szok decybelów zagłuszania. Miliony rubli, najwspanialsze zdobycze techniki, niezmiernie środki są trwonione, aby najnowsza nauka służyła jedynie temu, aby przeszkadzać obywatelom tego kraju w otrzymywaniu informacji pochodzących z zagranicy. Według specjalistów natężenie fal w sąsiedztwie stacji zagłuszania, jak np. ta, którą możemy widzieć z mego okna, jest taka że stwarza zagrożenie dla zdrowia. Inkwizycja, żeby ratować dusze była gotowa poświęcać ciało.

Warto to wszystko przypomnieć aby wykazać jaką drogę trzeba jeszcze przebyć aby rozmowy dotyczące wymiany ludzi i idei stały się rzeczywistością.

Tutaj, w Związku Sowieckim, uderzyła nas łatwość z jaką Zachód zrezygnował z myśli nadawania audycji telewizyjnych za pomocą satelity, które mogłyby służyć bardziej wolnej wymianie wartości naukowych, artystycznych i społecznych.

Mówiłem o represjach politycznych. Być może Zachód miałby większe trudności, by działać w tym kierunku, ale chciałbym żeby to zagadnienie nie zostało nigdy zapomniane. Ani na chwilę. I żeby nie zaprzestano wysiłków w tym kierunku.

Pytanie: — Zarzut, który natychmiast przychodzi na myśl człowiekowi Zachodu jest następujący: jeżeli zażąda się tego wszystkiego od Związku Sowieckiego, czy nie odpowie on: nie. Czy w takim wypadku należy poświęcić odprężenie?

Odpowiedź: — Jak dotąd Związek Sowiecki nie powiedział: nie. On mówi: niepokoić się o głupstwa. U nas wszystko jest jak najlepiej. To wskazuje, że Związek Sowiecki nie może zrezygnować z wymiany gospodarczej z Zachodem. W tym dialogu Związek Sowiecki jest stroną zainteresowaną. I ogromnie bluf-

fuje. Przypuszczam, że jest bardzo ważne, aby w tej sytuacji kraje zachodnie wykorzystały swoje możliwości, aby wykorzystały do maksimum swoje atuty. Ale powinny one zrozumieć, że mają do czynienia z partnerem niezwykle przebiegłym, który ma do tego przewagę z uwagi na reżym totalitarny. I dlatego kraje zachodnie powinny stawiać zagadnienia zasadniczo; na ten temat nie powinno być między nimi zasadniczych różnic, powinny być ponad zagadnieniami indywidualnymi, czy grupowymi.

Pytanie: — Jak wygląda sprawa sowieckiego Komitetu Obrony Praw Człowieka?

Odpowiedź: — Komitet został założony w listopadzie 1970 z inicjatywy Walerego Czalidze, przez niego, przez Twierdochlebową i przeze mnie. Dzisiaj Komitet składa się z Szafarewicza, Podjapolskiego i ze mnie. Jestem więc jedynym członkiem założycielem, który jeszcze należy do Komitetu.



W odpowiedzi na inne pytania Sacharow sprecyzował różnice istniejące między nim, a tymi którzy za granicą zajęli „stanowisko zbyt abstrakcyjne, które pobudza złudzenia, złudzenia że ten kraj może po trochu stać się krajem praworządnym”. Te osoby bronią „tezy, że ten system jest rzeczywistością historyczną i że jest popierany przez większość społeczeństwa”.

Osoby te usiłują bytnio podkreślić „że władze stoją wszędzie przed podobnymi zagadnieniami i że należy z cierpliwością i zrozumieniem rozpatrywać naruszanie praworządności”. Te osoby mają prawo mieć własne zdanie i Sacharow nie wątpi w ich szczerość. Ale wydaje mu się że ich stanowisko „jest o specjalnym nastawieniu i w pewnej mierze demagogiczne, przeznaczone aby podobać się środowiskom zachodnim, które chciałyby siebie przekonać, że Związek Sowiecki wcale nie jest taki zły, podczas gdy jest to krańcowo niebezpieczne złudzenie”. W związku z tym Sacharow przypomina historię sowieckiego marynarza, który zszedł ze swego statku na wodach terytorialnych amerykańskich, szukając schronienia na statku amerykańskim: kapitan amerykańskiego statku zgodził się wydać Kudirkę kapitanowi sowieckiemu w przekonaniu, że „przecież to nie są dzikusy, nie robią mu nic złego...”. A wtedy na oczach Amerykanów marynarz został zbity do utraty przytomności. Złamano mu nogę, a później został skazany na 10 lat łagru za zdradę, aczkolwiek nie usiłował uciec z okrętu wojennego, ale ze statku handlowego. Nie chciałbym, żeby nasz stopień cywilizacji był przeceniany”.

Pytanie: — Czy w tej chwili ma Pan jakieś trudności z władzami sowieckimi?

Odpowiedź: — Mój kolega z Komitetu Obrony Praw Człowieka, Szafarewicz, powiedział że znajduję się na tym poziomie, z którego nie sposób już jest spaść. Być może jest to sąd zbyt optymistyczny. Ale w każdym razie, jak dotąd, jeśli idzie o moją sytuację akademika i kierownika zadań naukowych w Instytucie Nauk Fizycznych — nie było usiłowania aby zmienić ten stan rzeczy. Ostatnio w jednym z artykułów w *Litieraturnoj Gazecie*, deformując, interpretowano mój wywiad dla radio-telewizji szwedzkiej; można w nim znaleźć aluzje do kodeksu karnego.

Ale, już blisko od roku, dzieci mojej żony mają wielkie przykrości. Jej córka została wyrzucona z uniwersytetu, a była na ostatnim roku studiów. Jej syn, maturzysta, nie został przyjęty na uniwersytet, mąż jej córki jest bez pracy. W lutym otrzymaliśmy dla nich trojga zaproszenie na studia z Instytutu Technologii w Massachusetts. Złożyliśmy podanie o wizę, ale nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi, choć minęły już od tego cztery miesiące. Sądzimy, że to zaproszenie odpowiada całkowicie warunkom ostatnich umów dotyczących wymiany kulturalnej; tak samo wydaje mi się, że jeżeli Instytut amerykański zgodził się pokryć wszelkie koszty, opóźnienie w załatwieniu tej sprawy nie może być usprawiedliwione.

Pytanie: — Czy Pan sam ma zamiar wyjechać za granicę?

Odpowiedź: — Jestem zaproszony na rok szkolny do uniwersytetu w Princeton (New Jersey), ale jak dotąd nie poczyniłem w tym kierunku żadnych kroków, aczkolwiek bardzo chciałbym tam pojechać.

(Przełożyła Zofia Hertz)

Kto jest wariatem ?

Światowe Stowarzyszenie Psychiatryczne urządza w ZSSR (Tyflis i Erywań), w dniach od 8 do 12 października, międzynarodowy symposium o „aspektach schizofrenii”. Psychiatrzy amerykańscy, angielscy, francuscy, niemieccy, duńscy, szwajcarscy,

hiszpańscy, japońscy etc. etc. obradować będą wspólnie z dwudziestoosobową (najliczniejszą) ekipą psychiatrów sowieckich. Wśród uczestników sowieckich znajdują się profesorowie Snieżniewskij, Morozow i Nadżarow, którzy — jak pisze Jaurès Miedwiediew w liście do jednego z najpoważniejszych angielskich periodyków naukowych *Nature* — „są odpowiedzialni za internowanie dysydentów politycznych w psychiatrycznych szpitalach-więzieniach; to na podstawie ich „diagnozy” internowano ostatnio dwóch uczonych, Leonida Pluszcza i Jurija Szichanowicza; to oni badali mnie w roku 1970, i metody ich „pracy” opisałem z bratem w książce *Question of Madness* (tytuł oryginału rosyjskiego: *Kto sumasszedszyj?*)”.

„Nie pragnę — ciągnie Miedwiediew, — by zagraniczni psychiatrzy zbojkotowali symposium w Tyflisie i Erywaniu. Mam jednak nadzieję, że w natłoku oficjalnych zebrań, obiadów, przyjęć, wizyt, wycieczek i uroczystości nadarzy się zachodnim uczonym okazja postawienia sowieckim kolegom szeregu konkretnych pytań”. Miedwiediew podsuwa cztery takie pytania, dając na nie odpowiedzi od siebie. Jego odpowiedzi można sprowadzić do krótkiego wspólnego mianownika: proceder internowania „inaczej myślących” w szpitalach-więzieniach, uprawiany rękami sowieckich członków Światowego Stowarzyszenia Psychiatrycznego, zastępuje spadkobiercom Stalina stalinowskie wyroki zaoczne na „wrogów ludu”.

Czy pytania sformułowane przez Miedwiediewa zostaną przez zagranicznych psychiatrów postawione sowieckim kolegom w Tyflisie i Erywaniu? Jeśli nie, to Światowe Stowarzyszenie Psychiatryczne, umywszy piętami gestem ręce, przyłoży je do zbrodni o której trzy lata temu Sołżenicyn nie zawahał się powiedzieć, że wskrzesza widmo hitlerowskich zbrodni przeciw ludzkości. Bracia Miedwiediew nazwali swoją książkę *Kto jest wariatem?*, jej tytuł był oskarżeniem pod adresem sowieckiej „psychiatrii” na usługach państwa. Po symposiumie w Tyflisie i Erywaniu przekonamy się, czy prócz sowieckiej „psychiatrii” na usługach państwa nie istnieje również światowa „psychiatria” na usługach polityki międzynarodowej.

List do Papieża

Ojciec Święty,

Dzienniki świata zachodniego ogłosiły oświadczenia Aleksandra Sołżenicyna, największego żyjącego pisarza sowieckiego. Te oświadczenia są przede wszystkim najwyższym ostrzeżeniem dla

władz jego kraju i dla sumienia każdego pisarza żyjącego w Rosji.

Ale ten dokument idzie o wiele dalej, aż do głoszenia niezlomności ducha narażonego na wrogość wszystkich potęg tego świata.

„Nie można pogodzić się z myślą — oświadczył Sołżenicyn — że bieg historii jest nieodwracalny i że umysł pewny swej słuszności nie może wpłynąć na najbardziej potężną siłę świata. Doświadczenie ostatnich pokoleń przekonywuje mnie najpełniej, że jedynie niezłomność ludzkiego ducha z siłą stawiającego czoło zmiennemu frontowi gwałtów które mu grożą, gotowemu do ofiary i śmierci i głoszącemu: *Stój! Ani kroku dalej!*”, tylko taka niezłomność ducha zapewnia prawdziwą obronę pokoju dla jednostki, dla wszystkich, i dla całej ludzkości”.

Ten wielki pan mówi jak papież, a co najmniej tak, jak powinien mówić papież! Ale Ty, Ojciec Święty, co Ty mówisz? Co masz zamiar powiedzieć, nie za lat dziesięć, ale teraz? I nie szepcząc w tajemnicy kancelaryj, ale głosząc wszem i wobec? Czyż pozostawisz bez odpowiedzi nie tylko głos największego żyjącego pisarza rosyjskiego, ale także niezliczone jęki milionów chrześcijan, z całą hipokryzją prześladowanych za żelazną kurtyną? Czekamy...

Ośmielam się powiedzieć, że ci którzy przeżyli doświadczenie naszego pokolenia, męczą się czekaniem, ponieważ zapytują siebie na co jeszcze może czekać papież. Tego „*Stój! Ani kroku dalej!*” oczekiwaliśmy od papieża w chwili wojny hiszpańskiej, oczekiwaliśmy w okresie Mussoliniego i Hitlera! Oczekiwaliśmy na próżno.

Sam Jezus Chrystus nie obawiał się wypytywania swoich uczniów o głosy krążące o nim: „*Kim, mówią, ja jestem?*”. I to dodaje mi odwagi, żeby postawić dzisiaj pytanie: „*Kim, mówią, jest papież we współczesnej dobie?*” Jeżeli, Ojciec Święty, przysłuchiwałeś się uważnie odgłosom tego świata, dowiedziałbyś się łatwo co się myśli o papieżu: że jest to osobistość archaiczna, która raz na zawsze zastąpiła miłosierdzie dyplomacją, która wierzy że dyplomacja rozwiązuje wszystkie problemy, podczas gdy jest ona sztuką uchylania się, sztuką alibi, obłudę, wykrętów, sztuką mówienia do złego rozmówcy, do rozmówcy, który nie reprezentuje nic z tego, co udaje że reprezentuje, sztuką mówienia żeby nie powiedzieć nic z tego, co powinno być powiedziane, a przede wszystkim sztuką milczenia wówczas, gdy należy mówić jasno i wyraźnie.

Stawiam Ci pytanie, Ojciec Święty, czego spodziewają się od Ciebie wrogowie Kościoła i wrogowie Chrystusa, którego jesteś namiestnikiem? Przede wszystkim oczekują, że usiądą Cię pięk-

nymi słowami, a zwłaszcza tego, że będziesz milczał! Można powiedzieć, że od śmierci Piusa XI ich nadzieje spełniły się z nawiązką. Sama śmierć Piusa XI pozostaje tak tajemnicza i tak korzystna dla ówczesnych dyktatorów, że nasuwają się wszystkie przypuszczenia: „*Is fecit cui prodest*”. Ta śmierć przyniosła korzyść dyktatorom. Ponieważ Pius XI umiał mówić głośno i mocno.

A potem milczenia Piusa XII, dyplomaty *par excellence*. Wydaje się, że był on poinformowany o okrucieństwach hitlerowskich i że miał powiedzieć: „*Żeby napiętnować takie zbrodnie, potrzeba słów ognistych!*” Dlaczegoż nie wypowiedział głośno i wyraźnie tych ognistych słów!

Robię rachunek. Na dwudziestu dziewięciu pierwszych papieżów, jeden zmarł w więzieniu, drugi na wygnaniu, a trzeci nie wiadomo nawet dokładnie jak. Wszyscy inni, wszyscy, zmarli śmiercią męczeńską. Wszyscy, a więc dwudziestu sześciu na dwudziestu dziewięciu. Taki był w chwili powstawania nasz Święty Kościół rzymski. To poprzez krew jego pasterzy utwierdził się prymat papieża. Na początku Kościół był rządzony przez ludzi, którzy umieli umierać, ponieważ mieli odwagę mówić. Już zbyt długo żaden papież nie umarł śmiercią męczeńską. No cóż, męczeństwo dodałoby wiele powagi Twojej funkcji.

Okazji nie brakowało. Gdyby Pius XII przemówił, aby jawnie napiętnować, to co powinno być napiętnowane, być może że dokończyłby żywota w obozie koncentracyjnym. To jednak wzmocniłoby niezmiernie Twój własny autorytet w rozmowie na przykład z p. Goldą Meir, która jakby nie było reprezentuje miliony udręczonych. A obecnie, dlaczego nie zabierzesz głosu publicznie w obronie „wierzących” w Rosji, prześladowanych, tych domowników naszej wiary („*Domesticos fidei*”), o których mówi Twój patron, Św. Paweł?

To nie może trwać, to nie będzie trwało! Już w czasie wojny hiszpańskiej Bernanos oskarżał dyplomatów Watykanu, którzy mówili: „*Wiemy, że Franco wielu zabija, ale nie trzeba tego mówić!*” Za Hitlera, to samo, ani słówka! A obecnie to samo w stosunku do chrześcijan zza żelaznej kurtyny. Dobrze się wie, co się tam dzieje: nie trzeba tego mówić. Dlaczego? Żeby uniknąć gorszego? Ale czy gorsze już nie nastąpiło? Po hitlerowskich i rosyjskich obozach koncentracyjnych, po piecach krematoryjnych, po zamykaniu do więzień psychiatrycznych ludzi, którzy myślą inaczej niż rząd, cóż Watykan nazwie gorszym?

Kiedy pierwsi chrześcijanie stawiali czoło lwom na arenach, czyż wówczas pierwszy papież, Piotr, układał się z Neronem, chociażby przez osoby trzecie?

Oto co mówią o Tobie, Ojczy Świąty, i co mówią obecnie tak otwarcie, że chyba musiałbyś być naprawdę bardzo głuchy, żeby tego nie słyszeć.

R. P. BRUCKBERGER

© *Le Point*, nr 51, 10 września 1973.

(Autoryzowany przekład Zofii Hertz)

SACHAROW KANDYDATEM DO NAGRODY POKOJU NOBLA

Andriej Sacharow oświadczył w poniedziałek, 10 września, że zgadza się kandydować do pokojowej Nagrody Nobla dla dodania odwagi „nie tylko mnie, ale wszystkim tym, którzy walczą wraz ze mną o prawa człowieka i o demokratyzację naszego społeczeństwa”. Kandydatura akademika — opozycjonisty, przedstawiona przez trzech intelektualistów sowieckich (*Le Monde* z 9 i 10 września), zyskała już poparcie Sołżenicyna, dla którego „jest to najlepsza odpowiedź na kampanię prowadzoną przeciwko mnie przez prasę sowiecką”.

ANDRIEJ SINIAWSKI POPIERA KANDYDATURĘ AKADEMIKA SACHAROWA DO NAGRODY NOBLA

Pisarz rosyjski, Andriej Siniawski, który w ubiegłym miesiącu przybył do Francji, nadesłał do redakcji *Le Monde* poniższe oświadczenie:

„Podtrzymuję kandydaturę akademika Sacharowa do nagrody Pokoju Nobla. Nasza epoka spotyka się tutaj z rzadkim i prawie już zapomnianym przykładem tradycyjnego typu rosyjskiego, typu „sprawiedliwego”. Sacharow przypomina nam naszą odpowiedzialność, wzywa nas do miłosierdzia wyższego ponad wszystkie partie polityczne i wszystkie granice państw.

Byłoby źle gdybyśmy na skutek przejściowej koniunktury politycznej i w nadziei uzyskania wątpliwych korzyści materialnych pozwolili przeminąć tej ostatniej okazji dla odbudowania znaczenia łączności pomiędzy ludźmi. Byłoby ze szkodą gdyby sztance pokoju i przyjaźni między narodami służyły tylko dla przyspieszenia uniwersalnego końca.

W gruncie rzeczy nie chce się od nas zbyt wiele: móc porozumiewać się między sobą bez narażania się na uderzenie sztyltem w plecy; prosi się nas także, abyśmy nie zapominali o naszych braciach w niebezpieczeństwie. Za sprawą Sacharowa powracamy do tej autentycznie religijnej idei, porządku świata. Mimo, że praktycznie jest ona nie do osiągnięcia, nie mamy prawa o niej zapominać”.

Archiwum polityczne

Kronika londyńska

HIPOKRYZJA

Gdy niniejsza notatka ukaże się w druku, sprawa będzie zapomniana i pogrzebana pod piramidą nowych sensacji. Wracam do niej z dwóch przyczyn, którym na imię technologia i hipokryzja.

Gdy Francuzi podjęli doświadczenia atomowe w ostatniej dekadzie lipca br. — niewielu ludzi na Zachodzie zdawało sobie sprawę z faktu, że uczeni i specjaliści francuscy usiłują skonstruować i wypróbować typ bomby nuklearnej, którą Amerykanie skonstruowali i wyprobowali 20 lat temu. Po co więc narażać się na burzę protestów międzynarodowych odkrywaniem i wypróbowywaniem rzeczy dawno odkrytych i wypróbowanych?

Tu leży punkt centralny całej sprawy i źródło „żez krokodylowych”, które w związku z nią wylano.

5 sierpnia br. minęło 10 lat od daty podpisania układu zakazującego przeprowadzania próbných wybuchów atomowych w atmosferze. Podpisały ów układ trzy mocarstwa: Stany Zjednoczone, Związek Sowiecki i Wielka Brytania.

Chiny i Francja układu nie podpisały. Chiny stanowią problem odrębny, ponieważ nie mają sojuszników — ściślej mówiąc — nie mają sojuszników, którzy mogliby im pomóc swą wiedzą i doświadczeniem w budowie potencjału atomowego. Pekin — w obliczu zagrożenia sowieckiego — nie ma więc innej drogi tylko mozołnie powtarzać i na nowo odkrywać rzeczy dawno odkryte i wypróbowane w innych krajach.

Sytuacja Francji jest odmienna, ponieważ tak Stany Zjednoczone jak i Wielka Brytania są zarówno mocarstwami atomowymi jak i sojusznikami Francji.

Wszystkie protesty i oskarżenia Francji w związku z jej próbami atomowymi w atmosferze — byłyby w pełni usprawiedliwione gdyby było wiadomo, że atomowi sojusznicy Francji wyrazili gotowość podzielenia się z nią atomowym *know how*. Wówczas Francja podejmując uparcie własne próby i doświadczenia atomowe — nie miałaby niczego na swoje usprawiedliwienie.

Amerykanie byli gotowi do utrzymywania baz wojskowych na terytoriach swoich sojuszników — lecz tylko w wypadku Anglii okazali skłonność do udostępnienia części swych sekretów atomowych.

Francuzi doskonale wiedzą, że nie stać ich na budowę potencjału nuklearnego — choćby w przybliżeniu tak potężnego jak amerykański czy sowiecki. Lecz nawet skromny lecz w pełni operatywny potencjał atomowy zapewnia w dzisiejszej epoce bezpieczeństwa i „możliwość kierowania losami własnego państwa” jak to określił H. Kissinger.

Oczywiście próbną detonację bomb atomowych w atmosferze z ekologicznego i zdrowotnego punktu widzenia nie jest wskazane. Lecz można by temu bardzo łatwo zapobiec gdyby Amerykanie udostępnili Francuzom odpowiednią dokumentację i ze swojego wręcz gigantycznego arsenału odstąpili im kilka czy kilkanaście międzykontynentalnych pocisków atomowych średniego i dalekiego zasięgu. Francuzi nie mieliby wówczas najmniejszego powodu powtarzać doświadczeń atomowych sprzed 20 laty i przyczyniać się do zatrutowania ziemskiej atmosfery.

Na ogół podzielam opinię *The Guardian*, którego byłem wiernym czytelnikiem w odległych czasach, kiedy nazywał się jeszcze *The Manchester Guardian*. Oburzył mnie jednak do żywego artykuł wstępny w tym piśmie — stwierdzający, że Francuzi widocznie nie dowierzają amerykańskiemu „parasolowi atomowemu” — skoro tak uporczywie dążą do własnej broni atomowej.

Kochany *The Guardian* wykazał w tym wypadku nie typowy dla Anglików brak poczucia humoru. Bo niby dlaczego Wielka Brytania z takim wysiłkiem i z takim nakładem kosztów trzyma się kurczowo własnego potencjału atomowego?

W pierwszych dniach sierpnia br. premier Heath oświadczył, że: „Anglia jest i zamierza pozostać mocarstwem atomowym”.

Czy Anglicy również nie dowierzają amerykańskiemu „parasolowi atomowemu”? Oczywiście nie dowierzają i *The Guardian*, oraz Londyńczyk, doskonale o tym wiedzą.

CZYJA KROWA?

Obserwujemy codziennie tak wiele różnorodnych objawów kryzysu, że trudno się zorientować, które z owych objawów stanowią manifestację samej „choroby”, a które jej skutek. Jeżeli ktoś jest sparaliżowany od pasa w dół — nie rozmyśla o małym naczyńku krwionośnym w mózgu, którego pęknięcie spowodowało paraliż — tylko myśli o bezwładnych nogach uniemożliwiających normalne poruszanie się.

Gdyby zebrać w potężnym tomie opinię polityków, ekonomistów i socjologów na temat obecnego kryzysu wypowiedziane w ubiegłych 10 miesiącach — okazałoby się, że choć „lekarzy” są tysiące — diagnozy po prostu nie ma. Ścisłej mówiąc sprzecznych diagnoz jest tak wiele, że anulują się nawzajem.

Dla starego człowieka — jak piszący te słowa — jest oczywiste, że kryzys był zawsze. Przecież zawsze byli biedni i bogaci, zawsze wyższe warstwy społeczne mieszkały, ubierały się i jadły lepiej niż tzw. „doły” społeczne, nigdy ludzie nie byli równi i nigdy nie było „równego startu życiowego dla wszystkich”.

W okresie mojego życia klasa robotnicza dokonała olbrzymiego awansu w każdej dziedzinie. Robotnik lepiej zarabia niż dawniej, lepiej się odżywia, lepiej mieszka i posiada większe możliwości kształcenia dzieci.

Sądząc po stopie życiowej moich znajomych, krewnych i po stopie życiowej mojej własnej rodziny — ogólny dobrobyt w Anglii w ubiegłych dwudziestu latach wzrósł a nie zmalał.

Oczywiście jest dziś niepomniernie drożej niż 25 lat temu — lecz na podstawie moich notatek w kalendarzach (które już dziś stanowią tzw. „materiał źródłowy”) mogłem stwierdzić, że nasza codzienna dieta uległa znacznej poprawie jakościowej i „rozmaitościowej”. Choć wołowina — jeżeli wierzyć *mass-medium* — na całym świecie jest na wagę złota — a co gorsza po prostu jej nie ma — przychodzi nam jakimś dziwnym cudem o wiele łatwiej jeść wołowinę kilka razy w tygodniu dziś, niż 25 lat temu.

Dawniej na transparentach niesionych w czasie robotniczych manifestacji — widniały napisy: „Chcemy chleba i wolności”. Gdyby dziś wyszedł ktoś z takim transparentem na londyńską ulicę to by mu szybko powiedziano, że spóźnił się o 100 lat.

Mój Boże — gdyby w Polsce było pod dostatkiem chleba i wolności — znieważylbym czynnie każdego pomyślnika, który by bredził o kryzysie.

Czego więc nie dostaje tym szczęśliwym „zapadnikom” wśród których nam żyć wypadło?

Każda doktryna gospodarcza może rozwijać się i kwitnąć tylko w określonym klimacie społecznym. W tym sensie można mówić o „socjologicznej ekologii”, to znaczy o społecznym otoczeniu, które sprzyja lub nie sprzyja danemu systemowi gospodarczemu.

Kapitalizm współczesny jest systemem niepomniernie bardziej ludzkim niż był w przeszłości — mimo to jednak nie funkcjonuje prawidłowo.

Na współczesny kryzys w wolnym świecie składa się wiele różnorodnych przyczyn, często nie powiązanych ze sobą. Weźmy przykład. W Londynie wyraża się opinię, że cena chleba wzrośnie w najbliższych 18 miesiącach o 50 %. Jeżeli istotnie tak się stanie, przyczyną tej katastrofy nie będą strajki czy zatargi ze związkami zawodowymi tylko następujące fakty. W Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie przewiduje się zbiory poniżej przeciętnej — czego entuzjaści „odprężenia” w Ameryce nie przewidzieli sprzedając Rosjanom w ubiegłym roku 700 milionów buszli ziarna. Powyższą cyfrę ogłoszono dopiero 6 sierpnia br. co spowodowało alarm na giełdach zbożowych Stanów Zjednoczonych.

Nie zamierzam analizować wszystkich *pro* i *contra* powyższej

transakcji. Chciałem tylko wykazać, że na obecny kryzys składają się również błędne posunięcia polityków, które nie mają nic wspólnego z kompleksem zagadnień, które nazwałem „ekologia socjologiczna”.

Mimo, że setki a może tysiące przyczyn powodują obecnie kryzys i zamieszanie — wydaje mi się, że przyczyną główną i zasadniczą owego błędnego koła jest fakt, że system kapitalistyczny utracił swoje naturalne otoczenie społeczne. Rozpaczliwe miota nie się kapitalizmu przypomina rybę wyjętą z wody. Ryba kapitalizmu rzuca się nieprzytomnie ponieważ skład chemiczny „wody”, tzn. naturalnego otoczenia, uległ zmianie.

Przez zmianę „otoczenia społecznego” należy rozumieć zmianę postaw ludzkich. Zmianie uległy postawy robotników, pracodawców — konserwatystów i socjalistów.

Największą *publicity* mają strajki lecz to nie oznacza, że przemianom uległy tylko postawy robotników. Premier Heath mówił niedawno o „brzydkich cechach kapitalizmu”. Tego rodzaju fraza byłaby nie do pomyślenia w przemówieniu premiera i przywódcy partii konserwatywnej jeszcze 25 lat temu.

Lecz w tym wypadku nie chodzi o frazesy tylko o istotne przemiany poglądów.

Weźmy następujący, bardzo charakterystyczny, przykład. W systemie kapitalistycznym praca robotnika jest „towarem”, którego cena kształtuje się zgodnie z mechanizmem gospodarki rynkowej. Im większa podaż pracy tym cena niższa — im mniejsza podaż pracy tym cena jest wyższa.

Bezrobocie utrzymane w odpowiedniej proporcji sprzyja stabilizacji cen za pracę — ponieważ wówczas każdy robotnik wie, że jeżeli będzie grymasił — na jego miejsce znajdzie się dziesięciu innych.

Niskie ceny za pracę powodują wzrost rentowności przemysłu — co z kolei sprzyja wzrostowi ekonomicznemu. Bez wzrostu ekonomicznego nie można ustabilizować zamożności i „raju konsumpcyjnego”, który w opinii znakomitej większości ludzi Zachodu — jest jedynym rajem o który warto zabiegać.

Wyda się więc, że istnieje związek przyczynowy pomiędzy bezrobociem utrzymanym w pewnych proporcjach a wzrostem ekonomicznym. Do dziś istnieją ekonomiści, którzy twierdzą, że wzrost ekonomiczny można utrzymać tylko za cenę pogodzenia się z fenomenem bezrobocia. Oczywiście dziś nikt nie mówi, że chodzi o utrzymanie „bicza” na robotników — tylko twierdzi się uczenie, że bezrobocie jest nieuchronnym skutkiem modernizacji, automatyzacji, komputeryzacji itd.

Otóż należy stwierdzić, że na skutek zmiany klimatu społecznego — bezrobocie powszechnie uważane jest dziś za fenomen ujemny i niepożądany. Zarówno większość konserwatystów jak i socjaliści i liberałowie wypowiadają się za pełnym zatrudnieniem i za strategią gospodarki, która zmierzałaby do likwidacji bezrobocia.

W epoce wiktoriańskiej było wiele towarzystw filantropijnych i wielu szlachetnych ludzi, którzy poświęcili trud całego życia, by ulżyć niedoli niższych warstw społecznych.

Onegdaj podało BBC, że na budowach w Londynie wykwalifikowani murarze w niektórych wypadkach zarabiają po £100 tygodniowo. Nawet biorąc pod uwagę, że murarka jest zajęciem sezonowym należy stwierdzić, że £100 tygodniowo jest wynagrodzeniem niemal ministerialnym.

W epoce wiktoriańskiej stufuntowa pensja dla murarza byłaby uważana za niemoralną — ponieważ tak wysokie wynagrodzenie zacierałoby kastowe różnice w panującym systemie.

Wielu pomagało ofiarnie biednym górnikom czy murarzom — lecz na ogół nie uważano, że jest rzeczą pożądaną czy moralnie usprawiedliwioną zmieniać czyjaś *station in life* (status społeczny) wynikłą z urodzenia. Człowiek rodził się górnikiem czy murarzem tak jak rodził się lordem czy księciem. Ów determinizm zadekretowany (rzekomo) przez Boga — posiadał pełną sankcję Kościoła, społeczeństwa i państwa. Najpełniej wyrażał ową filozofię nabożny hymn śpiewany w kościołach anglikańskich: *Rich man in his castle — poor man at his gate* (bogacz w swoim zamku — biedak u jego bram).

Temu niewzruszonemu porządkowi na ziemi odpowiadał feudalny wizerunek nieba z Panem Bogiem jako monarchą, którego otoczenie stanowiła niebieska arystokracja archaniołów i wielkich świętych.

Niewzruszony kanon *station in life* — załamał się. Robotnikom chodzi nie tylko o pieniądze lecz również o status społeczny odpowiadający zasadom socjalnego egalitaryzmu. Innymi słowy, robotnikowi chodzi nie tylko o miejsce za kierownicą we własnym samochodzie — lecz również o miejsce za stołem obrad dyrekcji w danej fabryce czy przedsiębiorstwie.

Jak podkreśliłem uprzednio — na współczesny kryzys składają się dziesiątki różnorodnych przyczyn. Od światowego niedoboru podstawowych środków żywności — jak ziarno i mięso — poczynając, a na bankructwie międzynarodowego systemu monetarnego skończywszy. Wszystkie państwa wysoko uprzemysłowione usiłują równocześnie wyeksportować więcej niż importują — co jest propozycją absurdalną — ponieważ gospodarka świata nie może się składać wyłącznie i bez wyjątku z dodatnich bilansów handlowych. Tylko gdybyśmy nawiązali stosunki handlowe z kilku gęsto zaludnionymi planetami w kosmosie — wszystkie państwa na naszym globie mogłyby być wyłącznie eksporterami.

Lecz bez względu na wielorakość przyczyn obecnego kryzysu — konserwatyści, socjaliści i liberałowie są zgodni w dwóch zasadniczych punktach. Po pierwsze — że wielkie bezrobocie jest nie tylko fenomenem ujemnym i groźnym lecz również fenomenem, którego współczesne społeczeństwo nie jest dłużej skłonne uznawać za zło konieczne. Inaczej mówiąc, bezrobocie musi być wydatnie zmniejszone — jeżeli dany rząd przy władzy nie chce przegrać następnych wyborów. Przemysł mają prawo do

modernizacji — robotnicy mają prawo do pracy. W konfliktach wynikających na tym tle — czynnik ludzki musi być więcej brany pod uwagę niż do tej pory.

Nowoczesne wspaniałe maszyny i komputery mogą produkować więcej i taniej eliminując setki tysięcy ludzi z procesu produkcyjnego.

Jedną z obłąkanych współczesnych teorii jest pogląd, że ludzie pragną mnóstwa wolnego czasu i mnóstwa towarów konsumpcyjnych.

To po prostu nie jest prawdą. Od czasów pre-historycznych jesteśmy uformowani przez proces ewolucyjny — jako producenci. Zdrowy, normalny człowiek przede wszystkim jest producentem a dopiero w drugiej kolejności konsumentem. Każdy człowiek, choćby najniższej „kondycji społecznej” mierzy swą wartość i sukces życiowy udziałem w procesie produkcji. Czy chodzi o 9-tą symfonię czy o parę butów — przez produkcję należy rozumieć wytwarzanie i przysparzanie dóbr tak materialnych jak duchowych.

I punkt drugi. Dziś już nikt nie ma wątpliwości, że ułożenie sytuacji gospodarczej nie jest możliwe bez poparcia klasy robotniczej. Robotnicy bowiem akcją strajkową w kluczowych gałęziach przemysłu — mogą sparaliżować gospodarkę całego kraju w przeciągu kilku dni.

Część przywódców związkowych starszego pokolenia uważa, że trzeba zachować tradycyjny podział na „my” i „oni” — to znaczy stałą konfliktową sytuację pomiędzy pracą a kapitałem. W ustroju kapitalistyczno-demokratycznym opartym na zasadach wolnej inicjatywy i swobodnego negocjowania umów zbiorowych o pracę — robotnicy nie identyfikują się z gospodarką narodową, lecz przeciwnie — uważają ją za „cudzą krowę”, którą należy dość do upadłego.

W powyższej filozofii podtrzymuje robotników fakt, że potężne koncerny przemysłowe wykazują bardzo wysokie zyski. Po bieźna choćby analiza przekona jednak każdego, że gigantyczne zyski wykazują nie przemysły lokalne (zwłaszcza upaństwowione) lecz firmy wielonarodowe, które ograniczają, względnie likwidują całkowicie, produkcję w krajach gdzie natrafiają na strajki czy kłopoty z robotnikami.

Kapitał jest daleko lepiej międzynarodowo zorganizowany niż robotnicy. Kongres Europejskich Związków Zawodowych w Brukseli jest jeszcze ciągle papierowym tygrysem.

W realnym tych słów znaczeniu, w codziennym życiu — stosunki pomiędzy kapitałem a robotnikami rozwijają się i kształtują w ramach gospodarki określonej granicami danego państwa — nie na arenie międzynarodowej. Bankructwo komunizmu wykazało, że nie ma uniwersalnej i identycznej, wszędzie obowiązującej prawdy socjalistycznej. Każdy kraj ma inną tradycję, różne warunki gospodarcze, inny układ społeczny — i model, który by likwidował, względnie choćby łagodził konflikt pomiędzy kapitałem a pracą — musi być osiągnięciem „lokalnym”.

Przed wszystkim konflikt pomiędzy kapitałem a pracą w każdym kraju oznacza co innego. Chleb bierze zawsze pierwszeństwo przed wolnością. Tam gdzie są niskie płace — jak np. w Polsce — robotnicy domagają się przede wszystkim wyższych płac realnych. Robotnik, który ma trudności z wyżywieniem swojej rodziny — nie myśli o zniesieniu cenzury w prasie czy o demokratycznie wybieralnym sejmie. W takiej sytuacji konflikt pomiędzy kapitałem a pracą zredukowany jest do maksymalnie prymitywnej formy streszczającej się w dwóch słowach: więcej chleba.

Jednak jak wskazuje doświadczenie krajów wysoko uprzemysłowionych — „chlebem” nie można rozwiązać konfliktu pomiędzy kapitałem a pracą. Ci kapitalistyczni ekonomiści, którzy głosili, że robotnik dobrze zapłacony jest robotnikiem wieczyście zadowolonym i układowym — okazali bezbrzeżną naiwność.

Naiwność tych panów polegała na tym, że w kapitalistycznej gospodarce nie istnieje „dobrze zapłacony robotnik”. Zdobyta — często poprzez długotrwały strajk — podwyżka płacy nigdy nie jest finalnym osiągnięciem tylko wstępem do następnej podwyżki.

Jeżeli przyjmujemy, że celem kapitalizmu są stale rosnące zyski — musimy również przyjąć, że celem robotników są stale rosnące płace. Dopóki zyski rosną znacznie szybciej niż płace — kapitaliści godzą się na powyższy układ. Sprawy muszą jednak ulec zmianie — ponieważ dziś już wiemy ponad wszelką wątpliwość, że wysokie płace robotnicze nie likwidują konfliktu pomiędzy kapitałem a pracą — ponieważ robotnicy na Zachodzie nie walczą dziś o chleb, ale o inne cele. Ścisłej trzeba by powiedzieć, że walczą nie tylko o pieniądze — lecz o coś więcej.

Stynne wielomiesięczne strajki jak np. w stocznich Upper Clyde w Wielkiej Brytanii czy w zakładach Lip w Besançon we Francji — nie dotyczyły podwyżki płac tylko prawa do pracy. W obu wypadkach robotnicy usiłowali utrzymać produkcję w zbankrutowanych zakładach przemysłowych wbrew racjom przytaczanym przez menadżerów.

W Upper Clyde — dzięki szczęśliwemu zbiegowi różnych okoliczności robotnicy uratowali stocznice. W Besançon po czterech miesiącach wkroczyła policja i inicjatywa robotników została zlikwidowana siłą.

Dawniej tego typu strajków nie bywało. Jeżeli fabryka bankrutowała — to był koniec i robotnikom nie przychodziło do głowy podejmowanie produkcji w swoim własnym imieniu.

Obecnie na Zachodzie robotnicy zrozumieli, że „prawo do pracy” jeżeli nie ma być frazesem — musi oznaczać udział robotników w zarządzie zakładu przemysłowego, który zabezpiecza robotnikom pracę i płacę. Dopóki zamknięcie danej fabryki zależy wyłącznie od menadżerów — robotnicy każdej chwili mogą być pozbawieni pracy jednostronną decyzją na którą nie mają żadnego wpływu.

Konflikt kapitału i pracy akcentuje obecnie głównie powyższy problem, który stanowi również kardynalne zagadnienie tzw. demokracji przemysłowej.

Jak wiemy, było wiele prób rozwiązania konfliktu pomiędzy kapitałem a pracą. Lecz wszystkie owe próby i teorie wychodziły od intelektualistów — nie od robotników. Komunizm nigdy nie zapuścił korzeni w masach robotniczych — ponieważ został zaprojektowany przez intelektualistów i w większości wypadków narzucono go siłą.

W okresie „Wiosny Praskiej” Dubczek i jego współpracownicy usiłowali przekształcić komunizm w system społeczny, który cieszyłby się autentycznym poparciem klasy robotniczej. Okazało się jednak — nie po raz pierwszy — że w państwach satelickich o tym czym jest socjalizm nie decydują robotnicy tylko sowiecie politbiuro.

„Wiosna Praska” nie stanowi wyjątku ale regułę. O zbawieniu nie decydują ci, którzy mają być zbawieni tylko ci, którzy zbawienie organizują dla innych.

Tym bardziej zasługuje na uwagę projekt ogłoszony przez Kongres Związków Zawodowych (TUC) w dniu 1 lipca br. Według tego projektu robotnicy powinni stanowić 50 % osobowego składu tzw. rad nadzorczych (*Supervisory Boards*), które winny być powołane we wszystkich przedsiębiorstwach zatrudniających ponad 200 pracowników.

Rady Nadzorcze stanowiłyby najwyższy organ władzy w przedsiębiorstwach zatrudniających powyżej 200 pracowników i miałyby prawo zmieniania decyzji zarówno rady dyrektorów jak i uchwał dorocznego zjazdu akcjonariuszy danej firmy. Rady nadzorcze składałyby się w połowie z robotników lecz tylko tych, którzy należą do związków zawodowych wchodzących w skład TUC.

Istnieją plany demokracji przemysłowej w opracowaniu partii liberalnej — istnieją również w Anglii przedsiębiorstwa, które posiadają w składzie rady dyrektorów (*Board of Directors*) dyrektorów robotników. Istnieją również plany demokracji przemysłowej w opracowaniu Labour Party.

Osobiście przywiązuję największą wagę do projektu TUC, ponieważ projekt ten nie spadł z biurka socjologa, ideologa, czy innego intelektualisty — ale wyłonił się ze studiów, debat i dyskusji robotników i ich autentycznych przedstawicieli.

Nie miałoby wiele sensu zastanawiać się dziś, który z licznych dyskutowanych modeli demokracji przemysłowej zostanie wcielony w życie. Prawdopodobnie przyjęty zostanie model kompromisowy, który również prawdopodobnie nie będzie szedł tak daleko jak projekt TUC.

Jedno jest całkowicie pewne. Demokracja przemysłowa pojawiła się na horyzoncie współczesnego kryzysu i z owego horyzontu nie zejdzie. Jak podkreśliłem bowiem, nie tylko działacze związkowi, nie tylko socjaliści i liberałowie lecz również rosnący odłam konserwatystów skłania się do przekonania, że jedynie

poprzez model demokracji przemysłowej — który likwidowałby przynajmniej częściowo konflikt praca *versus* kapitał — możliwe byłoby uzdrowienie obecnych stosunków pracowniczych i przewyciężenie inflacji.

Robotnicy muszą mieć konkretne i instytucjonalne podstawy do uznania „krowy” gospodarki narodowej za „własną krowę”. Tylko wówczas będą ją nie tylko doić ale i dbać o jej zdrowie.

MUZYKA NA PUSTYNI

Śłuchając świetnych wykładów w BBC dr. J. Bronowskiego pt. „The Ascent of Man” — trudno się było oprzeć olśnieniu. Teoretycznie wszyscy o tym wiemy, lecz dopiero w konfrontacji z tak umiejętnie i fachowo zbudowaną panoramą jak wykłady dr. Bronowskiego — można w pełni ogarnąć ów zdumiewający, choć świeżo zdobyty, majestat nauk ścisłych. Postęp nauk ścisłych w naszym stuleciu jest tak podstawowy i wszechstronny, że przyszłe pokolenia patrzeć będą na fizyków, matematyków, biologów dwudziestego wieku jako na klasyków nowoczesnych nauk ścisłych.

O ile w fizyce, w chemii czy w matematyce nie zabrakło nam „Beethovenów” i „Mozartów” o tyle w humanistyce (z muzyką włącznie) klasycy wymarli w XIX wieku.

W muzyce podział na klasyków i nie-klasyków jest jasny i prosty. Wszystko co nie jest *pop music*, *rock and roll* czy *jazz* — należy do muzyki klasycznej. Owa klasyfikacja nie ma nic wspólnego z akademicką muzykologią. Wynaleźli ją i wprowadzili producenci i sprzedawcy płyt. Tak w katalogach jak i na półkach w sklepach muzycznych — nazwą *classical music* objęta jest cała muzyka, której nie można zaliczyć ani do *pop* ani do *rock and roll*.

Na powyższej zasadzie Lutosławski — o 7 lat młodszy od Londynicy — jest klasykiem i figuruje wyłącznie w katalogach muzyki klasycznej obok Bacha, Haydna, Mozarta, Beethovena oraz romantyków, post-romantyków a nawet atonalistów. Schoenberg jest również klasykiem.

Ów komercyjny i utylitarny podział na muzykę klasyczną i nie klasyczną dowodzi, że istnieje przepaść między muzyką cywilizowaną a nie cywilizowaną. Pomiędzy Lutosławskim a Mozartem — czy pomiędzy Kaczaturianem a Beethovenem zachodzą wielkie i kardynalne różnice lecz jedno ich przecież łączy: wszyscy czterej są twórcami dzieł sztuki. Odbiór ich muzyki wymaga pewnego poziomu i wyrobienia intelektualnego czyli po prostu kultury. Żaden z owych powyżej wymienionych kompozytorów nie pisał dla analfabetów. Ich muzyki nie można ani odczuć ani zrozumieć poprzez emocjonalny trans. Nie wystarczy do tego szaleńczy taniec, choćby poparty haszyszem — ponieważ konieczny jest wykształcony intelekt do którego nie ma drogi „na skróty”, poprzez *drugsy* czy alkohol.

Celem tej notatki jest zdemaskowanie kilku nonsensów, które są tak szeroko zakorzenione, że nabrały cech prawd oczywistych. Ponieważ młode pokolenie jest wyjątkowo głośne i hałaśliwe — miliony tranzystorów w posiadaniu młodzieży płci obojga zalewają świat dniami i nocą *pop songs* i *pop music*. Z powyższego faktu wysuwamy wniosek, że muzyka klasyczna przeżyła się i stanowi przedmiot zainteresowań wymierającej mniejszości społecznej.

Otóż to nie odpowiada prawdzie. Londyńska Orkiestra Filharmoniczna sprzedawała w ubiegłym roku milion płyt długogrających wyłącznie z muzyką klasyczną. Właściwiej byłoby powiedzieć, że Filharmonia nagrała milion płyt z repertuaru klasycznego, które wyprodukowały i sprzedały różne firmy.

Nawet małe sklepy muzyczne, jak mój wieloletni dostawca płyt na Chiswick, są na ogół bogato zaopatrzone w płyty z muzyką klasyczną. Wszystkie symfonie Beethovena w doskonałych nagraniach i 24 (na istniejących 27) koncerty na fortepian i orkiestrę Mozarta uzbierałem czyniąc regularne zakupy w moim lokalnym sklepie muzycznym. Tu również kupiłem rzadkie nagrania jak Landowskiej „Goldberg Variations” J. S. Bacha, czy „Symfonię Klasyczną” Prokofiewa.

Zapotrzebowanie na muzykę klasyczną nie jest wyrazem zainteresowań kulturalnej mniejszości — ponieważ katalogi płyt z muzyką klasyczną obejmują tysiące płyt nagranych przez setki orkiestr w stolicach całego świata.

Natomiast paradoksem jest fakt, że owemu wielkiemu zapotrzebowaniu nie odpowiada produkcja artystyczna. Czytamy, że symfonia jest martwa. Wydaje się, że nie symfonia jest martwa tylko kompozytorzy, którzy potrafili napisać symfonię są martwi. Istnieją dziesiątki milionów potencjalnych odbiorców symfonii, których nikt nie pisze. Dlatego Mozart, Beethoven, Schubert, Mendelsohn, Bruckner, Brahms, Mahler, Czajkowski, Sibelius, Dvorzak, Elgar i dziesiątki innych zdobyli dziś milionowe audytoria o jakich za życia nigdy nie marzyli.

Wertuje się archiwa i prywatne zbiory w poszukiwaniu nieznanых utworów muzyki klasycznej. Yehudi Menuhin nagrał niedawno po raz pierwszy dwa koncerty skrzypcowe Mendelsohna. Nagrywa się zapomniane (niesłusznie) utwory Arefskiego, Skriabina, Liadowa i innych. Przed kilku laty Rubinstein nagrał nigdy dotąd nie nagrane utwory Chopina — „Boléro” i „Tarentelle”.

Można powiedzieć, że wiek XIX był epoką najświetniejszej muzyki i literatury. W XX wieku geniusz ludzki skupił się na problematyce nauk ścisłych i choć nie mamy nowej 9 symfonii — mamy energię atomową, komputery i loty kosmiczne.

Powyższy stan rzeczy należałoby uznać za normalny etap w cyklu rozwojowym ludzkości — gdyby wysychającym źródłom twórczości humanistycznej towarzyszył naturalny zanik zainteresowań sztuką. Wówczas można by odnotować, że źródła wyschły ponieważ utraciliśmy pragnienie. Nienaturalność czy nawet absurdalność współczesnej sytuacji polega na tym, że nie utracili-

my pragnienia lecz gasimy je niemal w całości „napojami” wyprodukowanymi w XVIII i XIX wieku.

Mój „stereo system” — choć nie bardzo kosztowny — uznać można za jeden z jakże licznych cudów elektronicznych XX wieku. Czy nie jest dziwne, że tego cudu współczesności używam wyłącznie do słuchania muzyki napisanej 50, 100, 150 i 200 lat temu?

W tej dziedzinie nie jestem osamotnionym dziwakiem. Ów milion płyt klasycznych nagranych przez londyńską orkiestrę symfoniczną rozkupiło dziesiątki tysięcy ludzi. Niemniejszą cyfrą nagrań muzyki klasycznej mogą się poszczycić orkiestry symfoniczne Bostonu, Chicago, Wiednia, Berlina, Amsterdamu i wielu innych miast.

Wiem, że zabrzmi to pompatycznie — niemniej jest prawdą, że utwory klasyczne są klasycznymi dlatego, że są wiecznie aktualne — to znaczy wyrażają niezmiennalną treść ludzkiego istnienia. Słuchając Sonaty Kreutzerowskiej nigdy nie przychodzi mi na myśl, że utwór ten został napisany 103 lata przed moim urodzeniem. Słucham jej tak, jakby została napisana dziś czy wczoraj. Jestem pewien, że muzyka Beethovena rozumiana jest obecnie daleko lepiej i głębiej niż w początkach XIX wieku — ponieważ tej muzyki słucha obecnie tysiącokrotnie więcej ludzi niż wówczas. Dlatego choćby, że statystycznego punktu widzenia, procent ludzi, którzy ową muzykę głęboko odczuwają musi być większy w naszej epoce niż w epoce Beethovena.

Sklepy muzyczne są załadowane płytami z *pop music*, która jeszcze 10 lat temu porywała publiczność a zwłaszcza młodzież. Dziś tych płyt nikt nie chce kupować za jedną czwartą oryginalnej ceny. Nikt ich nie kupuje, bo są nowe „gwiazdy”, nowa *pop music*, której za 10 lat również nikt nie będzie chciał słuchać.

Wstrzymuję się od jakiegokolwiek wartościowania. Wydaje mi się jednak, że współcześni kompozytorzy, poeci i pisarze w znacznym procencie — są tak przytłoczeni problematyką „dziś”, że nie są w stanie wznieść się ponad aktualność. A aktualność z definicji jest śmiertelna. Przetwać może tylko utwór, który jest czymś więcej niż zapisem aktualności.

Nie jest wykluczone, że w połowie następnego wieku pogodzimy się wreszcie z naszą humanistyczną bezpłodnością. Nikt nie będzie usiłował pisać nowych symfonii czy arcydzieł literatury. Dzięki naszej cudownej cywilizacji elektronicznej — za pociśnięciem guziczka będziemy słuchać muzyki XVIII-to i XIX-towiecznej. A za pociśnięciem innego guziczka słuchać będziemy arcydzieł literatury minionych epok czytanych przez najlepszych zawodowych aktorów.

Naszą elektroniczną pustynię zaludnimy duchami przeszłości — ponieważ ta klasyczna przeszłość będzie bardziej żywa niż my sami.

LONDYN CZYK

Widziane z Brukseli

Ale obsada!

Gdzieś z początkiem lat pięćdziesiątych zjechał do Warszawy zespół Opery z Pekinu. Sala — już nie pamiętam — Romy czy Teatru Polskiego była ceremonialnie nabita, zjawił się cały ówczesny *high life* w przydziałowych garniturach „tenis”, granat w białe paski. Po długich przemówieniach powitalnych, w dwóch językach z tłumaczeniami, przed kurtyną pojawił się jakiś facet i najpierw opowiedział treść opery, a potem zapowiedział ważne zmiany personalne; Nowy skład aktorski przedstawiał się mniej więcej następująco: w roli Czeng Ping wystąpi Lin Sze-fu, w roli Sen Pi-tung wystąpi Lung Szi-mai, w roli Szin Ban-tu wystąpi Lin Po, ale za to w roli Szym Ir-pa wystąpi Mir-us, a w roli Ping Czen ukaże się Czeng Ping...

Kiedy po 15 minutach takiej wyliczanki facet wśród burzy oklasków opuścił proscenium, pewien krawiec teatralny powiedział w kulisach do dyrektora teatru: „Ale obsada, co, panie dyrektorze!”

Kiedy w nocy z 12 na 13 września 1971 roku rozwał się gdzieś nad Mongolią samolot typu „Trident” należący do chińskich sił powietrznych można by za warszawskim krawcem wykrzyknąć: „Ale obsada!”. Wśród ofiar katastrofy, albo zestrzeżenia, znajdowali się bowiem Lin Piao, „najwierniejszy uczeń i najbliższy towarzysz broni przewodniczącego Mao”, wiceprzewodniczący partii chińskiej, desygnowany następca Mao, jego żona Ye Czun, także członek Biura Politycznego, ich syn Lin Li-kuo, wysocy dowódcy wojskowi, ideolodzy z najwyższych organów partyjnych, nie licząc mniejszych szyszek oraz załogi.

Mimo takiej obsady, mimo iż wojskowy samolot chiński z pierwszym garniturem ofiar na pokładzie, wtargnął na kilkaset kilometrów w głąb niekoniecznie zaprzyjaźnionej Mongolii, musząc przelecieć nad kilku co najmniej liniami radarów i rakiet sowieckich, nikt nie pisał ani słowa. Ani Mongołowie, bo tym i tak mówić nie kazano, ale ani Rosjanie nie spieszyli się z triumfalnym komunikatem ani Chińczycy nie rozdarli szat z żalu i żałoby. Nad stepami panowała cisza.

Lin — gdzie wy?

Ale ta cisza była pełna wymowy. Według systemu opracowanego z końcem ub. stulecia przez popularnego pisarza ukraińskiego Szaloma Alejchema, rozumowanie Pekinu i Moskwy było następujące:

Pekin wiedział, że Lin Piao uciekł w kierunku Moskwy, ale nie wiedział co się z nim stało. Moskwa wiedziała, że Pekin wie, że Lin uciekł w kierunku Rosji, ale nie wiedziała czy Pekin wie o katastrofie, a jeżeli wie, to czy wie, że wszyscy zgineli. Pekin wiedział, że Lin jest w Moskwie, jeżeli martwy to pół biedy, ale jeżeli żywy, to na jaką okazję Rosjanie go chowają? Moskwa wiedziała, że Mao zadaje sobie takie pytania i że Pekinowi nie uda się długo ukryć nieobecności Lin zwłaszcza przy okazjach, przy których obecność Lin jest absolutnie nieodzowna. Chyba, że Lin jest martwy. Ale tego właśnie Moskwa nie chciała ogłosić. Pekin wiedział, że Moskwa wie, ale nie chce ogłosić prawdy. Pekin był więc sparaliżowany. Gdyby bowiem ogłosił, że Lin nie żyje, to Lin zupełnie żywy mógłby się np. ukazać na Czerwonym Placu w Moskwie, zamiast leżeć na katafalku na placu Tien An Men w Pekinie. A jeżeli Lin żyje, to co robi w Moskwie itd.

Ponieważ Mao to nie Alejchem, nie potrafił tej krzyżówki rozwiązać. Wobec tego ku zdumieniu całej postępowej ludzkości Pekin, 21 września 1971 roku, podejmuje decyzję bez precedensu. Przypadające 1 października święto wyzwolenia w tym roku nie ważne, manifestacja zostaje odwołana, masy nie będą mogły pozdrowić ukochanych przywódców Mao Tse-tunga i jego druha Lin Piao. Świat huczy, tzw. eksperci rozpoczynają swoje egzorcyzmy. Wniosek — w Pekinie awantura, Mao nie żyje, wizyta Nixona odwołana. Pekinolodzy obrodzili latoś jak żyto w Kazachstanie. Tylko o Lin Piao nikt nie myślał...

A Moskwa milczy. Tylko kiedy japońska agencja w depeszy z Pekinu tłumaczy odwołanie defilady „mobilizacją wojsk ZSSR na granicy chińskiej”, TASS 24 września demantuje te „brednie”, a potem z wyższością dodaje: „Zachodnie analizy to tylko spekulacje. W istocie, niezwykle ważne wydarzenia wstrząsają Pekinem”.

I suspens trwa. Ale nie może trwać za długo, Lin musi się w końcu ujawnić, nie można przecież wszystkiego odwołać. Chińczycy w końcu zaryzykują i ogłaszają, że Lin nie żyje, zastrzelony przez Rosjan. Trzeba ich uprzedzić inaczej cały pogrzeb na nic. 30 września, po 18 dniach od katastrofy, TASS, jak gdyby nigdy nic, ogłasza komunikat oficjalny: „13 września w nocy chiński samolot wojskowy pogwałcił obszar powietrzny Mongolii i rozbił się w okolicy Kohnstein. Na miejscu katastrofy odnaleziono zwłoki dziewięciu osób, broń palną, dokumenty i ekwipunek wojskowy”.

Komunikat wydrukowany został na skromnym miejscu, ale zainteresowani aluzję pojęli. Pekin wie, że Lin nie żyje i że Moskwa czeka teraz co Mao na to. A Mao na to nic. Teraz kolej na milczenie Pekinu. Ale Moskwa to przewidziała. To nie takie proste, mówi Kreml i eksploduje nową bombę. TASS donosi, że wśród ofiar katastrofy nie było ani jednej osoby w wieku ponad 45 lat. Czyli nie było Lin, bo on leczył się w Moskwie

z ran na froncie japońskim i jego identyfikacja nie przedstawiała żadnych trudności.

No to gdzie jest Lin? Lin — gdzie wy?

Suspens trwał 8 miesięcy. W końcu lipca 1972 roku ambasady chińskie w Algierze i w Paryżu przekazały komu trzeba oficjalną wersję zejścia Lin Piao. „Sprawa Lin Piao jest odbiciem walki dwóch linii toczącej się w łonie partii od dłuższego już czasu... Lin był człowiekiem dwulicowym, który przeciwstawiał się rewolucyjnej linii Mao i wypracowanej przez niego polityce zagranicznej... Lin uprawiał z premedytacją działalność antypartyjną, w celu przejęcia władzy w partii, w rządzie i w wojsku. Lin planował zamach stanu i zamordowanie przewodniczącego Mao. Kiedy spisek został zdemaskowany, Lin, 12 września 1971, uciekł do ZSSR i w drodze zginął w katastrofie samolotowej nad Mongolią...”.

Voilà, wszystko już wiemy. Nie wiemy tylko dlaczego Lin Piao był dwulicowy, dlaczego chciał zamordować przewodniczącego i dlaczego chciał tego z premedytacją. I dlaczego aż osiem miesięcy musiało trwać milczenie Pekinu po śmierci takiego strasznego zdrajcy.

Chińczyk zrobił swoje

Nikt nie był skromniejszy i bardziej rewolucyjny niż Lin Piao. Zawsze w cieniu Mao, dwa kroki z tyłu. Obecność tego wąskiego i bladego człowieka o nieruchomej twarzy w cieniu imponującej sylwetki Mao, była symbolem oddania, wierności, posłuszeństwa wojska wobec partii. Lin był na Zachodzie przez długie lata prawie nie znany, dopiero rewolucja kulturalna wysunęła go na widoczne miejsce, mianowała „najlepszym uczniem sternika” i konstytucyjnie wysunęła na następcę Mao. Lin w podstawowych sprawach stosunku do ZSSR i wielkiego skoku poparł bez wahania Mao i pomógł mu w wykonaniu tej części Politbiura, która sprzeciwiała się aberracjom ekonomicznym a chciała modernizacji Chin i stworzenia nowoczesnej wyszkolonej armii. Lin podejmuje wówczas wyteżoną działalność teoretyczną. Jej ukoronowaniem jest przedmowa do Małej Czerwonej Książeczki zawierającej myśli Mao. Wśród teoretycznych odkryć Lin znajdujemy tam m.in. stwierdzenie, iż „myśl Mao silniejsza jest od bomby atomowej” i od innych papierowych tygrysów. Armia przystępuje do uczenia się tych myśli wraz z przedmową na pamięć, a potem przejmuje w ogóle kierownictwo ideologiczne, a nawet administracyjne w Chinach.

Jasne więc, że kiedy Mao postanowił zakończyć rewolucję kulturalną i trzeba było uspokoić czerwonych gwardzistów, to wojsko się tym zajęło, wysyłając kilkaset tysięcy czy może kilka milionów młodych Chińczyków w oddalone strony wielkiej ojczyzny.

Ale wierny Lin popełnił błąd. Za późno mianowicie zrozumiał, że i jego rola sprowadzać się miała tylko do umożliwienia Mao utrzymania władzy, że jest tylko narzędziem w ręku przewodniczącego, że, w skrócie mówiąc, tak jak musiał odejść Liu Szao-tsi, prezydent Chin i jeden z najbliższych współpracowników Mao, tak jak musieli odejść czerwoni gwardziści, tak i nadejdzie kolej Lin Piao, kiedy „Chińczyk zrobi swoje”.

Co to jest „B-52”?

I nadeszła. W 1969 roku Mao uznał, że dosyć zabawy, że rewolucja kulturalna może już przejść do historii, że sytuacja wymaga nowego zwrotu i nowej ekipy, że więc trzeba się pozbyć Lin Piao. Równocześnie więc z ograniczaniem władzy wojska, z demilitaryzacją administracji, z rehabilitacją kadry wysłanej na „reedukację”, równocześnie z drastycznymi zmianami w polityce zagranicznej, Mao rozpoczął akcję izolowania Lin Piao i jego za wolno orientujących się towarzyszy.

Z właściwą sobie skłonnością do metafor, przewodniczący Mao stosował trzy kategorie środków. Po pierwsze proponował „rzucanie kamieniem”, to znaczy zbijanie argumentów Lin Piao, po drugie — „mieszanie z piaskiem”, to znaczy obsadzanie sprzymierzeńcami kluczowych stanowisk, po trzecie — „podkopywanie” to znaczy uniemożliwianie przeprowadzenia zamachu stanu. W ramach krzewienia tej trójjedynnej formuły, Mao odbył osobiście aż dwumiesięczne *tournee* po kraju, spotykając się z prowincjonalnymi szefami partii. Mao mówił wtedy: „W ciągu 50 lat swej historii nasza partia przeżyła już dziesięć rozłamów. Moim zdaniem, takich rozłamów będzie jeszcze dziesięć, dwadzieścia czy trzydzieści. Możliwe, że nawet po nadejściu komunizmu zaostrzy się walka między nowym a starym, między tym co słuszne a tym co fałszywe”.

Można by spytać „no to po co nam ten komunizm, jeżeli mamy się bez przerwy rozłamywać”, ale na razie ograniczmy się do stwierdzenia, że Lin Piao już to nie grozi, i że w jego życiu był to rozłam ostatni.

11 września 1971 roku obrona przeciwlotnicza okręgu pekińskiego zmusiła do lądowania niezaanonsowany helikopter. Wysiadło z niego sześciu wyższych oficerów. Znalaziono przy nich dokładny plan akcji spiskowej, wraz z uzasadnieniem ideologicznym i kombinacjami politycznymi, dyslokacją sił skłonnych poprzeć zamachowców. Dokument nosił kryptonim „571” co po przekształceniu na symbole chińskie odpowiada pojęciu „zbrojnego powstania”. Dokument sporządzony został przez syna Lin Piao, po konsultacjach z innymi kandydatami do władzy w marcu 1971 roku. Prace tej grupy odbywały się pod nadzorem Lin i jego żony, która nosiła dość zagadkowy kryptonim „wicehrabia”.

Jeszcze bardziej zagadkowy kryptonim nosi w tym dokumen-

cie sam Mao. Nazywa się go mianowicie „B-52” jak amerykańskie superfortece. Spisek zmierzał do odsunięcia „B-52” od władzy. Mao jest oskarżony — nawiasem mówiąc najzupełniej słusznie — o regularne posługiwanie się metodą zamachu stanu i wykonywanie w ten sposób wszystkich elementów w partii krytykujących jego obłąkaną niekiedy politykę. B-52 wie, stwierdzali spiskowcy, że atakowanie wszystkich przeciwników naraz równałoby się samobójstwu, wobec czego rzuca on jedną frakcję przeciw drugiej. Kto z tych, pytają „571”, którzy w ciągu ostatnich dziesięcioleci zaufali Mao, uniknął politycznego niebytu? Jaka siła polityczna potrafiła współpracować z Mao od początku aż do dnia dzisiejszego. Kiedy Mao decyduje się na odebranie komuś twarzy, nigdy nie zatrzymuje się w pół drogi. A za swoje błędy rzuca zawsze odpowiedzialność na innych.

Spisek Lin Piao zmierzał więc do posłużenia się metodą B-52 i do uniemożliwienia Mao poprzez zamach stanu użycia armii w celu wykończenia nowych przeciwników. Lin chciał po prostu wyprzeć Mao, swego wodza i nauczyciela. Ale Lin był przesadnym optymistą. „Dni B-52 — pisał „571” — dobiegają końca. Wyprzedzimy przeciwnika najpierw wojskowo, potem politycznie. B-52 nie jest prawdziwym marksistą-leninistą, a jest raczej jeszcze jednym wielkim feudałem w historii Chin”. W planie Lin nie brakło naturalnie elementów międzynarodowych. Najciekawsze były wzmianki o ZSSR. Zdaniem Lin można było liczyć na „siły zbrojne ZSSR, z uwagi na fatalny stosunek maoistów do Sowietów”. W razie oporu ze strony B-52 Lin zalecał stosowanie „perswazji” przy użyciu nawet, jak on je nazywa, „metod specjalnych”: gaz, broń bakteriologiczna, bomby, „543” to znaczy broń tajne, wypadki samochodowe, porwania...

12 września 1971 Mao ma pociągiem wracać z Szanghaju do Pekinu. Nie powinien dojechać — mówi Lin Piao. Za Nankinem pociąg powinien wylecieć w powietrze. Gadulstwo zgubi ludzkość. Oficer, który miał przeprowadzić zamach wygadał się przed żoną. Wierna raczej idei Mao niż mężowi, oficerska żona uprzedziła kogo trzeba. Reszta jest prosta, Czou En-lai powiadomiony w porę zadziałał jak trzeba.

Nie trzeba dodawać, że ekipa wioząca „do aprobaty” plan spisku nie dotarła na miejsce postoju szefa. Było nim małe lotnisko położone obok Pei Tai-ho, miejscowości lotniskowej o 200 km od Pekinu. Czekał tam Lin Piao z rodziną i grupą oficerów oraz gotowy na wszelki przypadek „Trident”... Dalszy ciąg już znamy. Trident odleciał, ale nie doleciał...

Przyleciały piżmowce...

Tu kończy się historia Lin Piao, a zaczyna nowy etap w historii Chin. Zgodnie z jego przewidywaniami, Lin stał się kolejnym kozłem ofiarnym na ołtarzu zwycięskiego maoizmu. Na wewnątrz polegało to na demilitaryzacji polityki, przywróceniu kierowni-

czej roli partii, ugruntowaniu centryzmu i pragmatyzmu w polityce wewnętrznej i zagranicznej. Kierownictwo armią objął Yech Czen-jing. Wraz z Czou En-laiem Yeh był w latach dwudziestych profesorem w szkole kadetów w Wang-poa. Mieli obaj ucznia, zdolnego, ale fanatyka i ascetę, który nazywał się Lin Piao... Zemsta belfrów? Nie tylko. Bo oto nadeszła w Chinach chwila kiedy produkcja zastępuje samoumartywanie się, kompetencje i kwalifikacje — hurra-rewolucyjne gaworzenie, a kontrakt i wymiana z zagranicą — zwłaszcza kapitalistyczną — izolację rewolucyjno-dziewiczą.

Najciekawiej wygląda to w sferze polityki zagranicznej. Przejście wybite przez piłeczkę ping-pongową przekształciło się w otwarte szerokie wrota. Po „Air Force One” prez. Nixona w Pekinie wylądował pierwszy cywilny samolot amerykański. Przywiózł dar Nixona dla pekińskiego zoo, dwa piżmowce, ale potem przybyli też parami — szefowie większości i opozycji z obu izb kongresu, dziennikarze, lekarze, a wreszcie *businessmen* i z Rockefellerem na czele. Przybyła nawet pierwsza grupa turystów z USA. Było ich... pięciu, a dwóch z tej piątki odbyło, na prośbę gospodarzy, kilkugodzinne seminarium dla chińskich gospodarzy na temat działalności... Wall Street. Grupa chińskich dziennikarzy akredytowanych przy ONZ odbyła pierwszą podróż po USA. Przez 2.000 km, twarz im nawet nie drgnęła. Nie wyprowadziły ich z równowagi ani drapacze chmur, ani plaga samochodów, ani kilogramowe (przed inflacją) befsztyki na stole u zwykłego farmera. Zdziwili się tylko, że wszyscy Amerykanie mają psy, zastanawiali się po co każdy Amerykanin ciągnie za sobą swój domek na kółkach, ale naprawdę zachwycili się amerykańskim robotnikiem, któremu przekazali bratnie pozdrowienia od chińskich towarzyszy walki klasowej.

Powrót Chin do świata był jak burza. Listę obecnych międzynarodowych kontaktów, związków, nici, można by długo mnożyć, zerwanie z izolacją lat rewolucji kulturalnej i paleniem ambasad tudzież opluwaniem ambasadorów jest całkowite: ONZ, Japonia, Europa Zachodnia, EWG i NATO, Bałkany... Nawet z Hong Kongiem stosunki są jak najlepsze, mimo, iż jest to jedna z ostatnich klasycznych kolonii w Azji, powstała w wyniku wyjątkowo odrażającej wojny — opiumowej, i mimo iż 90 % mieszkańców Hong Kongu to Chińczycy sprzyjający Mao i gotowi na jego znak, w ciągu sekundy załatwić sprawę.

Nowe prawo o zaostrzonej walce klasowej

Poprawy nie widać tylko w stosunkach z ZSSR. Jest nawet wprost przeciwnie. Ostatnia faza rozpoczęła się w ub. roku, kiedy Rosjanie otrzymali egzemplarz autorski nowego atlasu wydawnego w Pekinie. Ok. 1,5 miliona km. kwadr. prarosyjskiego terytorium północnej i północno-wschodniej Azji określonych tam

jest jako „nielegalnie zagrabione przez zabory i nierówne traktaty”. Rosjanie bardzo nie lubią jak się kwestionuje miliony km. kwadr. ich świętej ziemi, ich żal był więc zrozumiały, tym bardziej, że — w atlasie i poza nim — Chińczycy oddali Japonii Wyspy Kurylskie, a poza tym podważyli cały pojałtański porządek w Europie, przypominając niedawną przeszłość krajów bałtyckich, wschodniej Polski, Besarabii itp.

Ale ZSSR niewiele może. Breżniew jeździ do Waszyngtonu, Bonn czy Paryża jak na dachę do Zawidowa czy Oreandy, ale ani jeden już nie tylko dygnitarz, ale nawet wyższy funkcjonariusz partii sowieckiej nie może pojechać do Pekinu. To nie polityk sowiecki, a Nixon informuje ambasadora chińskiego o rozmowach amerykańsko-chińskich (w tym samym San Clemente, gdzie jeszcze pościel była ciepła od bachanali z Breżniewem). To nie emisariusz Moskwy a Kissinger jedzie do Pekinu ustalać porządek trójkątnego świata.

Trawestując tezę Stalina można powiedzieć, iż walka klasowa istotnie zaostreża się w miarę budowy komunizmu, ale wyłączenie pomiędzy krajami komunistycznymi. Przykładów nie brak: wyklęcie Tito, interwencje na Węgrzech i w Czechosłowacji, konflikt z Albanią, teraz konflikt z Chinami. Napiecie między Pekinem a Moskwą potwierdza także tezę — już nie tylko Stalina ale i Breżniewa — że nie ma współistnienia w ideologii. Ale znowu — tylko między krajami komunistycznymi. Istotnie, wojna propagandowa szaleje. Nie są to może interpretacje zgodne z intencjami ideologów marksizmu-leninizmu, ale mają tę wyższość nad nimi, że odpowiadają prawdzie.

W Rosji powstały specjalne wydawnictwa antychińskie, a agencja Nowosti, zastróżona do niedawna w dziedzinie radosnej twórczości antysemickiej, wydaje od pewnego czasu specjalny biuletyn, poświęcony wyłącznie demaskowaniu imperialistycznych Chin. Nigdy dotąd polemika nie była tak gwałtowna, a słownictwo tak obelżywe. Hegemonia, sojusz z imperialistami, kolonizacja i rabunek trzeciego świata, potajemne szykowanie agresji, szpiegostwo, handel narkotykami, nawet krew na rękach itp. uprzejmości codziennie krzyżują się na falach eteru i na łamach prasy na obszarze pomiędzy Berlinem Wschodnim a Władywostokiem. Kiedyś, w latach sześćdziesiątych powiedzmy, dyskusja obejmowała jeszcze sprawy rzeczywiście ideologiczne: rzucano w siebie nawzajem tymi samymi często cytatami z klasyków udowadniając tezy wprost przeciwne, ale miało to choć pozory sporu o teorię rewolucji, czystość socjalizmu. Dziś, klasycy poszli już w kąt, nikt się nie krępuje, nikomu już nie chodzi nawet pozornie o wierność idei, dziś jest to starcie dwóch potężnych mniej lub bardziej imperialnych organizmów państwowych.

Stąd, stosunki chińsko-sowieckie nie mogą ograniczać się li tylko do kurtuazji słownych jak wyżej. Na granicy z Chinami stacjonuje więc ponad 40 dywizji sowieckich, razem ponad milion żołnierzy, nie licząc zaplecza samolotowego i raketowego.

Od strony Chin nie wiadomo nawet ilu żołnierzy pilnuje granicy. Wiadomo tylko, że Chińczycy masowo wysiedlili niepewne elementy mongolskie i inne nieczyste rasowo (według Ułan Bator przesiedlono milion Mongołów, co zresztą nie jest dramatem, jako że dużo gorzej niż w Mongolii wewnętrznej być im nie może). Reszta elementów obcych została utopiona w morzu Chińczyków ochotniczo i z entuzjazmem osiedlających się wzdłuż granicy aby bronić ojczyzny.

Żółte niebezpieczeństwo atomowe

Nic więc dziwnego, że w tych warunkach powstał gdzieś w ZSSR dziwny dokument. Opracowany na podstawie danych „ze źródeł poważnych i wysoko postawionych” dokument ten donosi, iż narody ZSSR obawiają się *blitz-krieg'u* przeciw Chinom i że strach ten przybiera rozmiary prawdziwej psychozy. „Wojna z Chinami, wojna nadzwyczaj krwawa, zakładająca kolosalne straty ludzkie, ale wojna zwycięska, stanowi najważniejszy cel obecnego rządu ZSSR”. Niektórych komentatorów zachodnich aż dreszcz przeszedł. Po zażyciu valium, doszli do wniosku, że dwa czynniki mogłyby skłonić kierownictwo sowieckie do prewencyjnej wojny przeciw Chinom. Po pierwsze — śmierć Lin Piao położyła kres nadziejom Moskwy na dojście do władzy w Pekinie elementów skłonnych do porozumienia się z Moskwą. Po drugie — postępujące zbliżenie amerykańsko-chińskie grozi trwałym sojuszem antysowieckim.

Reakcja Moskwy była gwałtowna. „To prowokacja, ZSSR nie ma zamiaru atakować Chin”. Nie często zdarza mi się zgadzać z Moskwą. Taki moment właśnie nadszedł*.

A oto w streszczeniu moje rozumowanie.

Punkt nr 1. Nie ulega wątpliwości, iż są w Moskwie politycy myślący o ostatecznym rozwiązaniu kwestii chińskiej, czyli o wojnie prewencyjnej. Ich argumentacja nie jest pozbawiona elementów sensownych. Mówią oni więc, że ZSSR jest najbardziej *vulnerable* z trzech boków światowego trójkąta, że jest to jedyne super-mocarstwo zmuszone do utrzymywania kolosalnych wojsk i stałej czujności na dwóch frontach, że jest to jedyne super-mocarstwo pod stałym wewnętrznzo-nacjonalistycznym parciem, że w końcu jest to jedyne super-em wobec którego, i to z różnych stron naraz, mogą być i są wysuwane roszczenia terytorialne. W wyniku chińskiej dyplomacji, Breżniew to polityk, który mimo pozorów swobody, w istocie w stosunkach z USA ma jedną rękę związaną z tytu. I najważniejszy argument zwolenników *blitz'u*: w ogóle mówić o wojnie można tylko zanim Chiny nie osiągną dojrzałości atomowej. Zwolennicy tego rozu-

* Ciekawy wywód Brukselczyka, wykluczający wojnę prewencyjną z Chinami, nie pokrywa się z oceną redaktora *Kultury*.

mowania podają na użytek Zachodu następujący przykład: jak zachowałyby się USA gdyby miały pod boki Meksyk o 800 milionach bardzo biednych mieszkańców, zgłaszający pretensje do południowo-wschodnich stanów USA i przeprowadzający właśnie 15-tą z kolei próbę atomową?

Jest to raczej pytanie retoryczne, i choć nie wiem z całą pewnością jak zachowałyby się USA, to się domyślam, więc rozumiem Chińczyków, że zdradzają oznaki pewnego zdenerwowania a ich eksperci nie wykluczają na Kremlu reakcji typu „rok 1914” i samobójczej wojny przewencyjnej spowodowanej przez Austro-Węgry.

Ale, i to jest punkt drugi, wydaje mi się, że Breżniew to nie Franz-Josef, a raczej Metternich (postać ostatnio szalenie modna, wszyscy chcą być Metternichami), Breżniew też nie jest wolny od obsesji chińskiej, nikt w Moskwie nie jest od niej wolny, on też do swej dyplomacji wsącza elementy rasizmu (biała cywilizacja, przedmurze Europy), ale wojny z Chinami szczerze nie chce. Oczywiście, jak każdy mocarstwowy polityk, Breżniew wojny nie wyklucza, stąd kolosalne przygotowania, nowe rodzaje broni, itd. Ale na Chiny to wszystko przecież nie potrzebne.

Wojna z Chinami to dziś wojna bez ryzyka. Przy obecnej supremacji ZSSR, jedno uderzenie sowieckie mogłoby zniszczyć i 70 wyrzutni raketowych (odkrywkowe a nie w silosach), bazy bombowców Tu-16 (ok. 200) a nawet zakłady atomowe w pobliżu Lanczhou i poligon atomowy w Lop Nor. No i co z tego? Prawdziwej wojny z Chinami wygrać nie można, bo nikt nie może Chin okupować. A cena takiego krótkiego zwycięstwa byłaby nie do obliczenia. Zatarcie śladów po małej inwazji Czechosłowacji kosztowało Breżniewa kilka lat zwłoki w otwarciu kranów pomocy zachodniej. Koszt agresji na Chiny byłby w ogóle niewspółmierny: zerwanie z trzecim światem, zimna wojna w Europie, wskrzeszenie umierającego NATO, a przede wszystkim przerwanie pomocy zachodniej, perspektywa nie do przyjęcia z punktu widzenia wewnętrznych napięć w ZSSR, nawet jeżeli brać pod uwagę chwilową jedność spowodowaną szowinistyczną hecą wywołaną atomowym wytruciem kijańców.

Sezanie, otwórz się

Wydać się więc, że na razie, aż do odwołania, Breżniew wybrał koncepcję polityczną. Jest to oczywiście próba, ale nie pozbawiona uroku.

Najpierw zwyczajna dyplomacja. Oszołomiona powodzeniem Helsinek, Moskwa rozpoczęła już ofensywę w kierunku podobnej konferencji, ale w Azji. Nazywa się to zresztą tak samo, bezpieczeństwem zbiorowym mianowicie, i polegałoby też na jakimś ogólnym, bezsensownym śpędzie mającym zatwierdzić terytorialny *status quo* oraz ustalić azjatycki kodeks dobrego zachowa-

nia i wzajemnego szacunku, to znaczy tych wszystkich zasad, w które ZSSR naturalnie nie wierzy ani których nie zamierza przestrzegać.

Ale Chiny to nie Francja. Pekin nie po to demaskował Helsinki w Europie aby zaakceptować Helsinki w Azji. Kreml wie, że Chiny już wielokrotnie ze wstrętem odrzucały pomysł paktu o zbiorowym bezpieczeństwie w Azji. „To próba okrażenia Chin” — mówił nie bez racji Czou En-lai.

Ale przede wszystkim Moskwa gra na sukcesę po Mao i po Czou En-lai'u. Pierwszy ma 80, drugi 76 lat. Nawet przy chińskiej długowieczności, korzeniu żeń-szeń, chińskiej kuchni i chińskiej akupunkturze, długo to już potrwać nie może. Breżniew wie co to jest śmierć dyktatora. Kto z największych specjalistów amerykańskich przypuszczał, że w minutę po śmierci Stalina jego spadkobiercy nie tylko zaczną się wzajemnie wyrzynąć, ale tak gruntownie zmienią politykę? Dlaczego w Pekinie, lub dajmy na to w Belgradzie, ma być inaczej? Nie wiadomo, nam w każdym razie nie wiadomo, czy Lin Piao był czy nie był człowiekiem Moskwy. Ale Moskwa wie, że następcą Mao będzie wojskowy, albo cywil ale o wielkiej przeszłości wojskowej. Wcale nie wykluczone, że przed takim nowym przewodniczącym Rosja objawi się jak sezam otwarta: niewielkie, ale ważne psychologiczne (to przecież Azja i najważniejsze to ratować twarz) koncesje terytorialne, no a przede wszystkim możliwość czerpania z sowieckiego potencjału wojskowego i gospodarczego. To wcale nie takie niemożliwe, to po prostu odwrócenie polityki Chruszczowa i naprawienie jego błędów i wypaczeń. Gdyby Rosja zechciała odwrócić sytuację w trójkącie i zaproponowała Chinom nie sateleckie a prawdziwe przymierze, dominującą wspólnie pozycję w trzecim świecie, a zarazem absolutną bezkarność wobec kapitalistycznego Zachodu, czy takie kuszenie nie mogłoby złamać najbardziej wiernego wyznawcy myśli przewodniczącego Mao? Że to niemożliwe i bez sensu... A kto z państwa przewidział w sierpniu 1939 roku sojusz Stalina z Hitlerem?

Wszyscy mają rację

Przed obliczem rebe go stanęło dwóch pokłóconych współników.

„Rebe, powiada pierwszy, mój współnik to zwyczajny złodziej”.

„Ty masz rację”, powiada rebe.

„Jak to, on ma rację? To on właśnie jest zwyczajny złodziej”, powiada drugi współnik.

„Ty także masz rację”, powiada rebe.

„Przepraszam, rebe, jak to jest możliwe, żeby obaj mieli rację?”, pyta gabe, czyli taki Kissinger od rebe go.

„I ty także masz rację”, odpowiada rebe.

W sierpniu 1973 roku Pekin poinformował nas, że „nowi carowie z Kremla, których diabelskie cechy charakteru wychodzą z każdym dniem coraz bardziej na jaw, nie zawahaliby się z podjęciem na nowo faszystowskiej operacji podobnej do inwazji Czechosłowacji, kraju zwasalizowanego i skolonizowanego. Słowa i czyny kliki Breżniewa świadczą, iż nie złoży ona broni i nie przekształci się nagle w Buddę...”.

W tym samym sierpniu 1973 roku Moskwa z kolei ujawniła przed opinią świata, że „Pekin podziela poglądy ośrodków NATO i zachodniego przemysłu zbrojeniowego, zdecydowanie przeciwnych odprężeniu i socjalizmowi. Chińska kłamliwa teoria na temat super-mocarstw ma tylko ukryć sojusz Pekinu z państwami burżuazyjnymi i usprawiedliwić chińskie tendencje hegemoniczne w trzecim świecie. W swych intrygach anty-sowieckich Pekin stanął na pozycjach ideologicznych ośrodków wojskowo-przemysłowych państw imperialistycznych... Kierownictwo chińskie uważa wojnę za jeden z podstawowych sposobów osiągnięcia swych celów politycznych...”.

Lektura tych słów nasuwa spostrzeżenie, że podobnie jak u rebege obie strony mają rację.

Pytanie tylko, czy będą z nich współnicy? I czy znajdzie się gabe, lub zupełnie prawdziwy Kissinger, który zada rebemu to pytanie?

Módlmy się, bracia...

BRUKSELCZYK

Pisane 29 sierpnia 1973 r.

Z ostatniej chwili:

W dniu postawienia końcowej kropki pod tym felietonem nadeszły depesze o zakończeniu w Pekinie obrad X kongresu partii chińskiej. Bez fałszywej skromności musiałem uznać, iż tekst nie wymaga żadnych uzupełnień, chyba, że ktoś chciałby dorzucić kilka przymiotników do charakterystyki „podwójnego agenta oraz renegata” Lin Piao lub do oceny polityki „socjal-imperialistycznych zaborców” z Kremla.

Sprawy i troski

Polska, PRL i Polonia Amerykańska

1.

„Polak jest wyrażeniem co najmniej dwuznacznym. Słowo 'Polak', w zależności od tego czy rozumiemy przez 'polskość' przynależność etniczną czy narodową, ma inne znaczenie i zakres. Przynależność etniczna jest czymś różnym od świadomości narodowej”. Tę starą prawdę, której nikt nie przedstawił lepiej od Floriana Znanieckiego, zaciemnioną przez polityków oraz lekceważoną przez historyków mających tendencję do identyfikowania tych dwóch odmiennych kategorii, warto przypomnieć na wstępie naszych rozważań nad Polonią amerykańską.

Na pojęcie wspólnoty etnicznej składa się w pierwszym rzędzie zespół obyczajów religijno-rodzinnych oraz zwyczaje środowiskowe. Składnikami więzi etnicznej są również tańce, stroje, muzyka ludowa, co w niezbyt czystej polszczyźnie określamy mianem folkloru. Z językiem, jako spoiwem więzi etnicznej, sprawa jest nieco bardziej złożona, ponieważ wykracza on daleko poza funkcje porozumiewania się członków grupy, będąc jednym z najważniejszych instrumentów narodowej kultury.

Język lokalnej wspólnoty, związanej ze sobą tradycjami etnicznymi jak np. górali podhalańskich, rozwija się w miernym stopniu, ponieważ w odróżnieniu od języka narodu, służył on *prawie* wyłącznie celom komunikatywnym. Jeśli wykraczał poza nie, to ograniczały się one jedynie do powstawania lokalnych klechd, pieśni i porzekadeł. Tak zwany folklor jest rodzajem prymitywnej, choć nie pozbawionej uroku, „sub-kultury” lokalnej wspólnoty etnicznej.

Bez kultury narodowej, której najważniejszym, choć bynajmniej nie jedynym instrumentem i demiurgiem jest i pozostał język, nie ma świadomości narodowej obejmującej ludność bez

względem na to jak szerokie kręgi społeczności ta świadomość obejmuje.

Poza językiem polskim — instrumentem wzajemnego porozumiewania się, którego wszyscy użytkownicy — z wyjątkiem może Ślązaków — uważali się za członków polskiej wspólnoty, istniała druga ważna więź — wyznaniowa. Był nią katolicyzm, który w X wieku stał się również fundamentem państwowości polskiej.

Wspólnota etniczna była następną po-plemienną formą więzi scalającej żyjące na dawnych terytoriach Polski plemiona, które stopniowo przełamywały bariery językowe. Państwo polskie, powołując nowy system władzy, było czynnikiem zespalającym dawne plemiona w nową, historycznie bardziej zaawansowaną, ale wciąż jeszcze przed-narodową wspólnotę etniczną. Politycznym instrumentem, podtrzymującym świeżo kreowaną instytucję Państwa, a zarazem cementującym nową wspólnotę, było chrześcijaństwo. Rola jego polegała nie tyle na wadze nowych dogmatów, ile na nowych wynikających z tych dogmatów — obyczajach. Sam fakt zastąpienia dawnych bóstw jedynym Bogiem nie miałby większego znaczenia, gdyby nie pociągał za sobą nowych obrzędów, przemieniających się stopniowo w obyczaje jednolite już dla wszystkich grup po-plemiennych dawnego terytorium Polski.

2.

Rewolucja francuska ze swymi hasłami Równości, Wolności, Braterstwa była rewolucją nie tylko o konsekwencjach społecznych. Przyczyniła się ona do tego, by Pierwsza Republika stała się ojczyzną nie tylko szlachty i duchowieństwa, ale i Stanu Trzeciego. Konsekwencje Rewolucji Francuskiej — rozprzestrzenienie się po świecie jej hasła — zbiegły się chronologicznie, jeśli mierzyć je perspektywami wieków, z początkami kapitalizmu w Europie. Kapitalizm, przynosząc ze sobą nowe stosunki wytwórcze, spowodował to, że w społeczeństwach wczesno-kapitalistycznych „ojczyzna” stawała się nie mitem, a ideą, w kręgu której znajdowały się coraz szersze kręgi ludności.

Im szybciej postępował rozpad struktur feudalnych i pół-feudalnych (nawet przy zachowaniu ich zewnętrznych form, jak to miało miejsce w Anglii) tym szersze warstwy ludności — związane niegdyś tylko więzią etniczną — zyskiwały świadomość narodową. Oczywiście tempo tych procesów było niejednolite. Szybsze na Zachodzie Europy, wolniejsze na Wschodzie. Polska nie należała do tych krajów, w których proces rozszerzania się świadomości narodowej postępował szybko. Przeciwnie — oko-

liczności dziejowe postawiły Polskę w sytuacji mniej korzystnej. Rozbiór Polski pomiędzy trzy mocarstwa, potwierdzony przez Kongres Wiedeński, podzielał hamującą na powstanie kapitalistycznych form produkcji i przemiany społeczne w kraju. Dlatego przez cały okres XIX stulecia tak trudno było wokół hasła niepodległościowych zmobilizować masy społeczeństwa, spośród których chłopci — bez względu na to w granicach jakich zaborów pozostawali — okazywali obojętność. Przywiązanie do ziemi, rodzinnych stron, i obyczajów skłaniało wielu pisarzy i historyków do nazywania ludności wiejskiej „solą ziemi”. Nie wiadomo dokładnie co ta przenośnia literacka znaczy, choć zawarty jest w niej niewątpliwie hołd dla tej warstwy społecznej, która najbardziej bezwzględnie eksploatowana przez wieki, tak mocnymi korzeniami pozostała związana z ziemią ojczystą. Ale przez tę „ziemię ojczystą” należy w tym wypadku bez przenośni rozumieć to co zakresowo i znaczeniowo jest w istocie ziemią ich ojców, a co jedynie przy pomocy wolty literackiej można utożsamiać z „ojczyzną”. Ojczyzna bowiem, ani w rozumieniu naszym, ani w czyimkolwiek, nie była ziemią ojczystą polskiego chłopca. To, do czego był przywiązany, ograniczało się jedynie do własnej wsi lub najbliższej okolicy i zwykle nie przekraczało granic powiatu. Chłop spod Krakowa przesiedlony w Łowickie, czy w Lubelskie czułby się obcy i pozbawiony otoczenia, w którym wyrósł i do którego przywykł. Jeśli już emigrował, jeśli wędrowki na „Saksy” nie wystarczały dla ratunku przed głodem, to zwykle za Ocean. Tam, jeśli tęsknił, to nie za abstrakcyjną „ojczyzną”, ale za własną wsią, do której często wracał, żeby po latach ciężkiej pracy dokupić gruntu.

W artykule moim przyjąłem tezę, której nie próbowałem uzasadnić (zakładając, że przyjmą ją Czytelnicy), iż więź narodowa w stosunku do wspólnoty etnicznej jest bogatszą i historycznie bardziej zaawansowaną formą stosunków międzyludzkich. Z kolei wypada się zastanowić nad właściwościami porównawczymi obydwu wymienionych kategorii. Przede wszystkim więc wydaje się, że o ile związki etniczne są prymitywniejsze od narodowych — te pierwsze są trwalsze i mocniej ugruntowane w charakterze ludzkim. Wynika to chyba z tego, że poczucie więzi narodowej jest swoistego rodzaju nadbudową, manifestującą się w mniejszym stopniu nawykami i przechodzącymi z pokolenia na pokolenie obyczajami, a w większym stopniu świadomie określoną postawą emocjonalną.

3.

Rola kapitalizmu, jako katalizatora świadomości narodowej,

była wysoce rewolucyjna. To, że kapitalizm stworzył klasę robotniczą i inteligencję zawodową jako odrębną warstwę, było czynnikiem decydującym w powstawaniu nowoczesnych narodów. Niemniej ważnym czynnikiem było to, że przy rosnących konfliktach między burżuazją a proletariatem fabrycznym kształtowała się coraz bardziej jego świadomość polityczna, a z nią poczucie odpowiedzialności za losy kraju. Robotnicy we wszystkich państwach kapitalistycznych wywodzili się w 90 % z chłopstwa, gdyż tylko nikły procent zubożałego mieszczaństwa lub szlachty stawał do pracy przy warsztatach fabrycznych. Ale tej właśnie świadomości nie miało chłopstwo przez długie wieki. Wyzwolenie chłopów przyniesli w czasie Rewolucji Francuskiej mieszczańscy lub szlacheccy intelektualiści. Reszty dokonał kapitalizm.

Ponieważ Polska z wielu przyczyn należała do krajów o zapóźnionym rozwoju ekonomicznym, z tego też powodu gdy w Niemczech, Anglii i wielu innych krajach Zachodu w drugiej połowie XIX wieku świadomość narodowa obejmowała procentowo coraz liczniejsze rzesze ludności, na wsi polskiej panowała nędza i mrok.

Ten właśnie okres zbiegł się z początkiem wielkiej emigracji zarobkowej z ziem polskich za Ocean. Przypominając sformułowania Znanieckiego — Alicja Iwańska słusznie stwierdza, iż: „Ogromna większość emigrantów (przybywający do Ameryki w XIX i w początkach XX wieku — dop. własny), nie mając nigdy świadomości narodowej, nie mogła jej przynieść na kontynent amerykański”. To, że tej świadomości nie miała nie było na pewno jej pierwotnym grzechem. Nie było to prawdopodobnie niczym „grzechem”, ponieważ trudno kategoriami „winy” rozpatrywać funkcję warstw społecznych w dziejach.

Chłopi polscy wędrujący w końcu XIX i na początku XX wieku do Ameryki, będący pierwszą wielką falą emigracyjną, wagą swej liczebności, swym rodowodem społeczno-etnicznym, zdeterminowali charakter emigracji polskiej w Ameryce na następne dziesiątki lat, aż do II wojny światowej, po której przybyło wiele tysięcy emigrantów politycznych. Przy wszelkiego rodzaju masowych osiedleniach obcych przybyszów, napływających falami, działa nieodmiennie czynnik gettyzacji. Chłopi polscy, którzy w wielkiej liczbie przepływali Atlantyk od osiemdziesiątych lat ubiegłego stulecia, z miejsca znajdowali się w świecie całkowicie odrębnym od ich rodzinnych wiosek, których nieraz całe życie nie opuszczali. W sytuacji, w której jednostka zrywa ze swym otoczeniem pod wpływem jednego czynnika — w tym wypadku ekonomicznego — stara się ona ułatwić sobie adapta-

cję przez maksymalne upodobnienie nowego otoczenia do starego. Dla poszczególnych ludzi, którzy rozpraszają się po obcym kraju, jest to niemożliwe i tacy osobnicy muszą przejść przez radykalny proces adaptacji, wtapiając się całkowicie w nowe środowisko. Z polską emigracją za Ocean było jednak inaczej. Poza najwcześniejszymi pionierami, niemal każdy przybyły emigrant zastał już liczne środowisko, które starało się transplantować na nowy obcy grunt obyczajowość religijno-etniczną „starego kraju”. Procesy te można by nazwać „prawem najłatwiejszej adaptacji”. Dzięki niemu powstawały skupiska, które osiągnęły imponujące liczby po kilkaset tysięcy Polaków w Pensylwanii, Michigan i Illinois. Wraz z procesami gettyzacji i — jak pisze Alicja Iwańska — „podlewania tradycji etnicznych” rosła rola polskiego kleru katolickiego, który roztaczał opiekę nad emigrantami.

Na wsi polskiej szacunek, jakim się cieszył wśród chłopów ksiądz, ograniczony był faktem, że w strukturze społecznej wsi i antagonizmie między chłopami a dworem, duchowny bardzo często, choć nie zawsze, był po stronie dziedzica. W okresie pańszczyzny chłopstwo było zrównane wobec pana. W połowie XIX wieku różnice klasowe podzieliły wieś. Głód ziemi był jednak wśród wiejskiej biedoty, bogatych i wyrobników tak silny, że wraz z rosnącym ruchem ludowym pozycja kleru pogarszała się na wsi z każdym rokiem. Tak było w Polsce, ale dla masy emigrantów, przybyłych z polskich wsi, przeżywających szok nowego świata, ksiądz był jedynym opiekunem, pasterzem, doradcą i wychowawcą. Jednocześnie polscy duchowni, jako ludzie światlejsi od swych podopiecznych, z natury rzeczy poza sprawowaniem nad nimi opieki, byli dla nich jedynym oknem na świat. W interesie jednak hierarchii kościelnej było maksymalne zawężanie tego okienka — aby nie przemieniło się w szerszą bramę, przez którą trzoda mogłaby uciec i wyłamać się spod kurateli katolickich pasterzy. Tak więc rola kleru katolickiego od początku napływania fal emigracji zarobkowej była dwójaka. Księża katolicy, niemal jedyni w owych czasach opiekunowie Polonii o rodowodzie wyłącznie wiejskim, byli jej prawdziwymi ojcami, ale ojcami, którzy nie życzą sobie swych dzieci utracić. Przekonanie o potrzebie zachowania rzymskiej świętej wiary, starych obyczajów, a przede wszystkim „polskości”, która nie była niczym innym jak zespołem cech etnicznych — było treścią ich troski. Tak więc amerykańsko-polski kler katolicki chronił Polonię przed zgubnymi wpływami obcymi, czyniąc to w imię pielęgnowania jej „polskości” i zachowania wiary jej ojców. Przy pierwszych jej generacjach, nawet już tych zrodzonych w Ameryce, nie było to bardzo trudne. Nie tylko dlatego, że chłopi polscy w porównaniu z pozostałymi grupami etnicznymi, z wyjątkiem włos-

kiej i południowo-słowiańskiej, byli pod względem poziomu wykształcenia bardziej od nich zacofani, ale przede wszystkim dlatego, że zespół cech etnicznych opierał się zwycięsko działaniu czynników zewnętrznych. Zwłaszcza gdy te „czynniki zewnętrzne” na przełomie dwóch stuleci bardzo słabo dawały o sobie znać, jeżeli oczywiście wyłączy się pracę w kopalni czy fabryce, w której emigrant polski był najczarniejszą siłą roboczą. W wielkich miastach przemysłowych, gdzie osiedlali się przybysze z innych krajów, działał — podobnie jak i w polsko-amerykańskich gettach — mechanizm „najłatwiejszej adaptacji”. Południowi Słowianie, Ukraińcy, Grecy i Włosi tworzyli swoje własne enklawy na tej zasadzie, na jakiej czynili to emigranci z Polski. Społecznie wywodzili się przeważnie z tych samych warstw. Z „ojczyzny” nie wypędziły ich prześladowania religijne lub polityczne, ale nędza i głód.

Koniec XIX i początek XX wieku, zwłaszcza zaś okres prezydentury Teodora Roosevelta, zainicjował presję na grupy narodowościowe w kierunku ściślejszego zespolenia ich ze społeczeństwem amerykańskim, co według ówczesnych kryteriów oznaczało przyjęcie obyczajów anglosaskich. Patriotycznych Amerykanów tej epoki — która zbiegała się ze wzrostem międzynarodowej potęgi Stanów — niewątpliwie drażniła etniczna mozaika znacznego procentu ludności, na którą składali się przybyli w ciągu ostatniego 20-30-lecia emigranci. Niekoniecznie w związku z ówczesnymi tendencjami, płynącymi z góry, aby masy emigrantów przejąć amerykańskim patriotyzmem, izolacyjno-opiekuńcza rola kleru katolickiego musiała ulec pewnemu osłabieniu. Nie można przecież było kultywować „polskości” w gettach z całkowitym pominięciem społeczeństwa amerykańskiego. Z czasem więc kler katolicki, licząc się z normalnymi pragnieniami awansu społecznego młodszych pokoleń, bez szczególnej presji ze strony starej Polonii, która wdrożyła się do życia gettowego, sam podjął akcję propagowania znajomości języka angielskiego, uczęszczania — poza szkołami parafialnymi — do szkół amerykańskich. To zresztą stało się później koniecznością wobec obowiązkowego i bezpłatnego nauczania w *high school*².

Drugim nie błahym czynnikiem „amerykanizacji” Polonii był fakt, że wśród polskiego kleru było coraz więcej księży urodzo-

2. Nie amerykańskich Czytelników *Kultury* wypada poinformować, że dla *high school* trudno jest znaleźć polski odpowiednik. Bez pretensji do ścisłości można przyjąć, że amerykańska *high school* jest ekwiwalentem ostatnich lat szkoły podstawowej i 2-ich pierwszych lat liceum. Daje ona możliwość wstąpienia do *college*, których poziom jest w Stanach bardzo różnorodny. Cały system oświatowy w Ameryce, podlegający zresztą w zakresie programów nauczania ustawicznym zmianom, jest bardzo trudno porównać z polskim typem nauczania, zarówno przed wojną, jak i obecnie.

nych w Ameryce. Ci, choć zgodnie z życzeniami wyższej hierarchii starali się kultywować odrębność narodowościowo-religijną, nie mogli tego czynić tak skutecznie, jak księża wykształceni w kraju. Dlatego zapewne wyższe czynniki kościelne w Ameryce zabiegały i zabiegają o przysyłanie księży z Polski.

Mimo więc starań, aby pozostać wiernymi tradycjom polskości i wiary przy zachowaniu lojalności wobec nowej amerykańskiej ojczyzny, erozja środowiska działała głównie i dlatego, że kościół patriotyczno-kulturowy wyniesiony z Polski był albo znikomy albo równy zeru. Z połączenia właśnie tradycji polsko-etnicznych i działania środowiska, które w miarę upływu czasu i wymierania pierwszych emigrantów było coraz silniejsze, tworzyła się postać owego Polako-Amerykanina, który w sensie świadomości narodowej często nie jest ani jednym ani drugim, reprezentuje natomiast bardzo interesujące skrzyżowanie obyczajów, z coraz większą przewagą lokalnych, co łatwo zauważyć obserwując polsko-amerykańskie imprezy, jak np. paradę z okazji Dnia Pułaskiego w New Yorku lub w Chicago.

Kwestia podwójnego patriotyzmu, czy też podwójnej lojalności wobec „ojczyzny” przodków i tej nowej amerykańskiej, została z miejsca ustawiona fałszywie, ponieważ — jak nadmieniał kilkakrotnie — emigracja zarobkowa XIX i początku XX wieku nie pozostawiła za sobą żadnej ojczyzny. Z drugiej strony działało tu prawo pewnego paradoksu. Pozornie bowiem, skoro chłop galicyjski przybywał z kraju, w którym system społeczny czynił go najędzniejszym z nędznych i który nie dawał mu minimum oświaty, emocjonalnie powinien reprezentować pustkę, którą łatwo mógłby wypełnić nowy patriotyzm i wraz z nim poczucie lojalności wobec przybranej, ale tym razem prawdziwej ojczyzny, która ofiarowała jemu i jego potomstwu — mimo ciężkiej pracy — znacznie więcej od galicyjskiej nędzy. W wielu wypadkach tak się stało, ale w przeważającej liczbie — nie. Bynajmniej nie dlatego, że procesy adaptacyjne napotykały na przeszkody w postaci tęsknoty za abstrakcyjną ojczyzną. Nawet najzupełniej rzeczywista tęsknota za stronami rodzinnymi z całą malowniczą scenerią piasków Mazowsza czy podhalańskich wiosek nie mogłaby zapobiec stopniowej asymilacji. Twardy realizm życia w Ameryce nie pozostawiał po prostu miejsca na tego typu lirykę i szybko wypłeniłby ją z tęskniących serc. Działało tu inne prawo. Cały zespół obyczajów religijno-rodzinnych został w maksymalnych rozmiarach transplantowany do polskich gett. Zgodnie z zasadą „najłatwiejszej adaptacji” w miejsce dawnych wspólnot sąsiedzko-rodzinnych spod Nowego Sącza, Piekielek czy Opatowa powstały w wielkich centrach polonijnych ich surogaty. Chyba takim najbardziej typowym jest słynna „Amerykańska

Częstochowa", mająca imitować Jasną Górę³. Tradycja pielgrzymek była przecież wspólną świętością i sanktuarium religijnym wszystkich polskich chłopów, bez względu na to z jakiej części Polski pochodzili. W oparciu o tę otoczkę obyczajowo-religijną, która starała się przechować stare tradycje pod ładnie brzmiącą, ale mylącą nazwą „związku z Macierzą", kształtowała się postać amerykańskiego Polaka — typ skądinąd dobrze znany, będący obiektem nieprzemyślonych oskarżeń, a nawet kpinek szeregu dziennikarzy i publicystów typu Jolanty Dworzeckiej⁴, czy też artykułu Wiesława Górnickiego, ogłoszonego w warszawskiej *Kulturze* w 1967 roku. Nie chodzi oczywiście o to czy postać Polako-Amerykanina odpowiada wizerunkowi przedstawionemu przez J. Dworzecką i jak wygląda „Niedziela w Brooklynie" w moralizatorskiej wizji Górnickiego — autora złej sławy, używającego kłamliwego, lakierowanego patosu. Polonia amerykańska nie potrzebuje przebaczenia, ani nie wymaga potępienia. Zrozumieć jej nie podobna bez uwzględnienia jej społeczno-etnicznego rodowodu — sytuacji z jakiego kraju i z jakich warunków społecznych transplantowani zostali jej pierwsi przedstawiciele. Zespół czynników, które z pokolenia na pokolenie zmieniały się w Nowym Świecie, stworzył ją taką, jaką jest. Ani gorszą, ani lepszą od jej moralizatorów. Najwyżej inną — czyniąc ją pod względem społecznym zjawiskiem unikalnym w świecie.

4.

Tak zwana nowa — obecnie już licząca niemal 30 lat — emigracja, przybyła po II-ej wojnie światowej, licznie niekła w porównaniu z emigracyjną masą chłopską, jakościowo stanowiła krańcowo odmienny typ Polaka. Jeśli nie operować wyjątkami, ale typem reprezentatywnym, to Polak, szukający nowego miejsca pod słońcem po II wojnie, jest inteligentem, rzadziej robotnikiem, o pełnej świadomości narodowej, do czego w po-

3. Tam gdzie polski emigrant znalazł się w odosobnieniu, w środowisku zupełnie obcym, proces adaptacji był szybszy i radykalniejszy. Matka senatora Muski'ego, p. Marciszewska, mówi wprawdzie po polsku, ale jej syn wyżył się absolutnie wszystkich związków etnicznych z krajem swego pochodzenia. Na „St. Patrick Day" (święto amerykańskich Irlandczyków) nosił w klapie zieloną wstążkę. Nie wiem czy kiedykolwiek zaakcentował swe pochodzenie. Jeżeli, to chyba w kampaniach wyborczych, gdy przemawiał do Polako-Amerykanów. Piszę to oczywiście bez żadnego sarkazmu pod adresem wybitnie popularnego Senatora. Jego kariera polityczna nigdy nie przyniosłaby takich sukcesów, jeśli jego ojciec, krawiec, trafił do jednego z polskich gett.

4. Jolanta Dworzecka, „Division — blaski, cienie i nadzieje", *Kultura* Nr 1/280-2/281.

ważnej mierze przyczyniły się tragiczne dzieje Polski i jej los w wyniku układów jałtańskich. Nie istniała dla niego potrzeba rozdzielania skutków ekonomicznych i politycznych komunizmu. Był uchodzącą przed nowym reżymem na Wschodzie, który poza komunizmem obciążony był dodatkowym grzechem narzucenia go przez Armię Sowiecką. Stara emigracyjna Polonia dzieliła z nowymi emigrantami ich nienawiść do Rosji i gorycz wobec aliantów za nowy, niesprawiedliwy podział świata. Ale to było wszystko co ich łączyło. Dzieliło ich natomiast bardzo wiele. Zresztą przyczyny i temperatura tych uczuć do komunizmu były odmienne, tak jak odmienna jest — mówiąc przykładowo — nienawiść chłopów do komunistów, pragnących wpędzić go do kołchozu i grożących mu zakazem praktykowania religii, od nienawiści robotnika i inteligenta, widzących poza wyżej wymienionymi jeszcze inne klęski i niebezpieczeństwa, które niesie ze sobą komunizm. Jeśli zaś chodzi o temperaturę antykomunizmu starej emigracji zarobkowej, to wystarczy zacytować krótki ustęp z artykułu Adama Pragiera, opublikowanego w jednym z ostatnich numerów londyńskiego *Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza*:

„Układy jałtańskie, które oddały Polskę pod panowanie Sowietów" — pisze Pragier — „mogły dojść do skutku tylko dzięki najbliższej współpracy Roosevelta ze Stalinem. W ciągu 28 lat nie było ani jednego publicznego, masowego protestu Polonii amerykańskiej przeciwko tym układom oraz żądania ich uznania za niebyłe i nieważne...". „Co więcej" — pisze dalej Adam Pragier — „Roosevelt jest wciąż uwielbiany przez Polonię amerykańską. Były w Polsce takie wydarzenia jak krwawe rozruchy robotników fabryki Cegielskiego w Poznaniu w 1956 roku, był 'Polski Październik' w 1956 roku, była krwawa masakra studentów w Warszawie w 1968 roku, był wreszcie bunt stoczniovców na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku, w którym zginęło około tysiąca ludzi zaś wiele tysięcy było rannych. W tych przypadkach Kongres Polonii Amerykańskiej nie wystąpił z publicznym żądaniem interwencji administracji amerykańskiej, by ukroczyć te gwałty".

Sam autor cytowanych słów nie potępia zresztą Polonii za jej indyferentyzm wobec sytuacji w Polsce. Po prostu trafnie stwierdza, że stara emigracja zarobkowa jest innym tworem, któremu przyświecają inne pragnienia niż 600-tysięcznej masie emigrantów politycznych, w tym głównie b. żołnierzy, którzy przybyli do Ameryki w latach powojennych. Te dwie emigracje różniły się od siebie nie tylko swym rodowodem, ale i tym, że przybyły do Ameryki w zgoła różnych okolicznościach dziejowych. Nowy emigrant wyrósł na nowej glebie. Był produktem polskiej kultury i świadomości narodowo-politycznej, która rozwijała się bujnie w okresie 20-lecia międzywojennej Polski kapitalistycznej. Jego psychiczny profil jest obcy, nie tyle chłopskim emigrantem, bo ci już od dawna wymarli, ale ich potomkom, którzy — jeśli

jeszcze znają polski — posługują się często jakimś osobliwym nieraz, działającym na nerwy, dialektem. Nie chodzi oczywiście o różnice kulturalne, bo te między Ameryko-Polakami, mającym cenzus ukończonego *college* lub stopień magistra, mogą wypaść niekorzystnie dla uchodźcy z lat powojennych. Chodzi w istocie o owo skrzyżowanie relikwów etnicznej polskości z potężnym łańdkiem amerykańskich obyczajów i amerykańskiej kultury, w rezultacie której powojenna emigracja polityczna i Polonia dawnego typu, nawet w swych nowych generacjach, są do tego stopnia różnymi twórcami, że brak im — i to bardzo często — wspólnego języka. Zresztą ilość tych wykształconych Polako-Amerykanów, potomków dawnej zarobkowej emigracji, jest dość skromna. Choć nowe generacje starej emigracji wtapiają się skutecznie w społeczeństwo amerykańskie, najbardziej oświecone jego sfery pozostają dla nich zamknięte⁵.

Inteligent, czy nawet światły robotnik, który przybył tu w latach czterdziestych lub pięćdziesiątych, jeśli opanował język, co przychodziło mu łatwiej niż dawnym emigrantom, przy zachowaniu patriotycznej więzi z polskością, czuł się nieraz bliższy społeczeństwu amerykańskiemu niż tradycyjnym poloniom z nowojorskiego Green Point lub chicagowskiej Division. Jedną z przyczyn tego był fakt, że wśród światłej powojennej emigracji nie było tendencji do etnicznej gettyzacji. Prawo najłatwiejszej adaptacji działało i tu, ale adaptacja dla Polaka-inteligenta, zarówno obecnie, jak i wiek temu, nie oznaczała szukania własnego środowiska etnicznego, ale najbardziej zbliżonego pod względem społecznym otoczenia w stosunku do tego, w którym żył w Polsce. Więzy etniczne nie były tak ważne — ponieważ nie była jedyna. Okazało się przy tym, że nieliczni światli emigranci, wywodzący się ze szlachty, przybyli tu po Powstaniu Listopadowym, którzy obciążeni byli nie tylko polską etnicznością, ale i polskim dziedzictwem kulturalno-narodowym, potrafili znacznie lepiej dokończyć dwóch rzeczy: znaleźć poczesne miejsce w społeczeństwie amerykańskim i zachować polskie patriotyczne tradycje. Być może, że psychika tych ludzi, nie obciążona żadnymi kompleksami, które tak zaważyły na chłopskiej emigracji zarobkowej, sprawiła że czuli się nie tylko równi XIX-wiecznym Amerykanom, ale uważali się — słusznie czy niesłusznie — za coś lepszego. Ameryka była wówczas krajem terytorialnie wielkim, ale nie wkroczyła jeszcze w wielką rewolucję przemysłowo-cywilizacyjną, która nastąpiła po wojnie secesyjnej. Zgodnie z tym, co nadmieniałem poprzednio, o bezwładności i trwałości więzi etnicznej — która

5. Na liście naukowców i intelektualistów, Amerykanów polskiego pochodzenia, opublikowanej przez Polski Instytut Naukowy, przeważają nazwiska tych, którzy urodzeni są w Polsce i przybyli tu w latach powojennych.

ma charakter bardziej nawykowy w porównaniu ze świadomym patriotyzmem — obyczaje i tradycje religijno-rodzinne, stanowiące dla emigrantów politycznych tylko *akcesoria* ich polskości, dla chłopskich wychodźców stanowiły ich *treść*. Z czasem każdy polityczny uchodźca zmuszony jest zarobkować na obcej ziemi, ale przyczyny, które skłoniły go do opuszczenia ojczyzny nie przestają określać jego postawy. Z kolei może — choć nie musi — rzutować to na następne pokolenie. Potomkowie dawnych chłopskich emigrantów, tkwiący głęboko w społeczeństwie amerykańskim, identyfikują bardzo często swój amerykański patriotyzm z afirmacją systemu ekonomiczno-społecznego. Jeśli do tego doda się pewną sumę amerykańskich obyczajów, z których najtrwalsze wywodzą się od najwcześniejszej grupy anglosaskiej i holenderskiej, to anatomia amerykańskiego patriotyzmu znacznej części Polonii znajduje niewątpliwie odpowiednik w tym ideale Polaka, jaki chce stworzyć biurokracja komunistyczna w Polsce. I tam składnikiem polskości ma być zachowanie obyczajów, tradycji etnicznych, których fundamentem i siłą cementującą ma być wierność dla partii i systemu.

Poza tobołkami z dobytkiem, który towarzyszył polskim emigrantom w osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych latach ubiegłego stulecia, przywieźli oni ze sobą ubogi bagaż obyczajów i tradycji religijnych Starego Kraju. I tylko to, jeśli chodzi o wartości kulturowe, pozostawili swym dzieciom i wnukom, o ile nie zdołały ich wypłenić nowe warunki amerykańskiego życia i oświata zdobywana w miejscowych szkołach, nie sprzyjająca pielęgnowaniu starych obyczajów. Mniej lub więcej „rdzenni” Amerykanie — czyli po prostu często ci, którzy przybyli tu 20 lub 30 lat wcześniej, traktowali je z barbarzyńską pogardą.

Polska grupa etniczna, mimo swej pracowitości i uporu, zaszeregowana została na jednym z najniższych szczebli drabiny hierarchiczno-etnicznej. Spotęgowało to jedynie jej tendencje gettowe, wywołując nienawiść do innych, „wyżej zaklasyfikowanych” narodowości. Instygowana przez niektórych swych przywódców, że dzieje się jej krzywda — co miało swoje niewątpliwe racje — Polonia walczyła o lepsze miejsce w amerykańskiej społeczności w sposób wybitnie niezręczny, typowy dla środowiska cierpiącego na ustawiczny kompleks niższości⁶.

To niekorzystne uplasowanie starej Polonii w hierarchii naro-

6. Jednym z najbardziej typowych przykładów tej niezręczności była i jest reakcja Polonii na tzw. „polskie dowcipy”. Środowiska nieskomplikowane, mające poczucie swej godności, zignorowałyby je kompletnie, tymczasem — ku najwyższemu zdumieniu wielu rozsądnych ludzi — niektóre polskie pisma, pragnąc raz na zawsze położyć kres owym dowcipom, domagały się restrykcji administracyjnych, a nawet uchwał Kongresu.

dowościowej Stanów, które miało u swych źródeł ogólnie niski stopień zaawansowania cywilizacyjnego i kulturalnego oraz związane z nim trudności adaptacyjne, uległo w ciągu następnego półwiecza daleko idącym zmianom. Obecny przeciętny cenzus wykształcenia Amerykanina polskiego pochodzenia jest bardzo wysoki, ilość osób z ukończonym *college* jest — jeśli opierać się na ostatnich spisach — imponująca. Ekonomicznie Polonia wyszła również ze stanu upośledzenia, a gdyby zebrać dokładne dane — o które trudno — prawdopodobnie jej większość znalazłaby się, według tutejszej klasyfikacji społecznej, w *middle class* — a więc wśród ludzi, których roczny rodzinny dochód waha się w granicach od 11 do 30 tysięcy dolarów. Mimo to kompleks niższości i przekonanie o niedostatecznym szacunku, jakim cieszą się amerykańscy Polacy w Stanach, pozostał. Cały problem nabrał cech błędnego koła — jak to często bywa w odniesieniu do osobników, lub środowisk cierpiących na kompleksy. Im bardziej chcą swą prawdziwą lub wymaginowaną dyskryminację przełamać, tym bardziej ją pogłębiają, ogłaszając pełne patosu deklaracje, skarżąc się na swe krzywdy i domagając gromkim głosem uznania swych zasług.

Polonia trzeciego lub czwartego pokolenia, zasobna i mogąca wylegitymować się średnim cenzusem naukowym przynajmniej kilku lat *college'u*, ma już zupełnie inne ambicje niż biedny chłop galicyjski sprzed 60-70 laty, pracujący 12 godzin na dobę i myślący jedynie o uciuleniu pieniędzy, by z nimi bądź wrócić do kraju i dokupić gruntu, bądź stać się właścicielem domku lub sklepu spożywczego na Division Street. Hierarchia potrzeb wzrosła. Obecnie Polonia walczy o uznanie i uhonorowanie jej zasług w dziele stworzenia amerykańskiej *prosperity* i amerykańskiej potęgi, która akurat zresztą w tym momencie przeżywa kryzys. Ferment etniczny w Ameryce, zapoczątkowany u progu lat sześćdziesiątych, spotęgował słuszne i niesłuszne pretensje i zale Polonii a jednocześnie nadał im bardzo niepożądany kierunek.

Główną siłą napędową fermentu etnicznego w Stanach była oczywiście ponad 20-tomilionowa masa czarnych obywateli Ameryki, którzy zresztą nie tworzyli żadnej grupy etnicznej. Pochodzący z rozmaitych plemion zachodnio-afrykańskich, ex-niewolnicy, przez blisko wiek traktowani jako obywatele drugiej kategorii, tworzyli wspólnotę raczej nie etniczną, a rasową. Ich pozycja w kapitalistycznej Ameryce była tylko częściowo rezultatem blisko wiekowej dyskryminacji. W dużej mierze — jak można się o tym obecnie przekonać — wynikała z ich nieprzystosowywalności do amerykańskiego *establishment'u*⁷.

7. Por. artykuł Zb. Byrskiego: „Czarna lewica w Stanach Zjednoczonych”, *Kultura* Nr 6/285.

Cały mechanizm spieć etniczno-rasowych w Ameryce jest wysoce złożony i w konkretnych wypadkach wynika z lokalnych warunków, gdzie pewne nierozstrzygnięte sprawy nabrzmiewały w ciągu ostatnich lat. W końcowym okresie 6-ej dekady naszego stulecia konflikty rasowo-etniczne stanowiły nadzieję „nowej lewicy”, która sądziła, że przyczynią się one do rozbicia zniechęconego kapitalistycznego *establishment'u*. Wraz z osłabieniem tej agresywności i stopniowej dezintegracji nowej lewicy, nadzieja ta wygasła, ale wywołany przez lewicę ferment między- etniczny trwa i nie słabnie, ponieważ ma swoje samoistne źródła. Z punktu widzenia naszej tematyki interesuje nas fakt włączenia się Polonii do „amerykańskiej rewolucji etnicznej” i jego skutki.

O ile ambicje rasowe upośledzonych do niedawna czarnych obywateli Stanów wymagały okazania własnej legitymacji narodowej, opartej na mitach historycznych o rzekomo wielkiej kulturze i cywilizacji ludów Czarnego Łądu i prądowych tradycjach państwowości, o tyle polscy Amerykanie takich mitów nie potrzebowali, ponieważ dzieje 1000-letniej Polski nie były mitologią.

Natomiast legitymacja Polonii, za pośrednictwem której pragnie ona podnieść swoją rangę we współczesnej Ameryce, wymaga pewnych — jeśli nie mistyfikacji — to delikatnie mówiąc — upiększeń. Obiektem ich są dzieje Ameryki od czasów kolonialnych, które były specjalnością polonijnych historyków, ludzi skądinąd poważnych, o dużej wiedzy, którym niestety ambicja zadośćuczynienia tęsknotom Polonii zaciemniła przeszłość. Wiele z cytowanych faktów, jak np. dzieje pierwszego strajku politycznego, zorganizowanego przez polskich kolonistów sprowadzonych przez kompanię Wirginii do Jamestown, są w pełni udokumentowane, natomiast szereg innych domniemań, nie opartych na żadnym wiarygodnym materiale historycznym, nie dają żadnych korzyści — prócz polepszenia samopoczucia Polonii — co oczywiście nie przynosi nikomu szkody⁸. Natomiast poważną szkodę Polsce i Polonii przynosi co innego: nie odgrzebywanie prawdziwych lub zmyślonych zasług Polaków jako współtwórców

8. Na marginesie owych „upiększeń”, czy zgoda legend wypada wspomnieć o uparciu podtrzymywanej wersji obecności Polaka w załodze Kolumba. Przecenianie roli Kościuszki, którego udział w wojnie rewolucyjnej rzekomo zadecydował o zwycięstwie nad Anglikami. Pewne zaniepokojenie wywołać może twierdzenie wybitnego polsko-amerykańskiego historyka Haimana, który unosząc się bez miary nad enotami polskich emigrantów z czasów pionierskich jako przykład udziału Polaków w wojnach wyzwoleniczych cytując dowody ich heroizmu w zabarzonej wojnie Stanów przeciwko Meksykowi, a nawet w wyprawie na Florydę przeciwko Seminolom, która skończyła się prawie całkowitą eksterminacją tego plemienia. (*Polish Past in America* — by M. Haiman, str. 85-86).

współczesnej wielkości Ameryki, ale szukanie chlubnego biletu wizytowego w teraźniejszości, czyli w „ojczyźnie ich ojców” — w Polsce Ludowej. Polska nigdy wprawdzie nie była ani ojczyzną ich ojców, ani dziadków — jeżeli — to tylko macocha. Ale o to słusznie potomkowie emigrantów nie mają do nikogo pretensji, bo trudno byłoby ją do kogokolwiek innego zaadresować — jak do Historii. Natomiast aktualne zapotrzebowanie Polonii na jakąś poza-amerykańską „ojczyznę”, na tle etnicznego fermentu w Stanach jest tak wielkie, że sprytni aparatczycy partyjni w Warszawie zdają sobie obecnie sprawę, że w istniejącej koniunkturze można „sprzedać” Polonii „ojczyznę” w każdej formie i w każdym — nawet PRL-owskim — opakowaniu po cenie znacznie przekraczającej jej rzeczywistą wartość.

Tak zwany „renesans polskości” i wzrost uczuć do kraju pochodzenia, reklamowany przez prasę reżimową i coraz liczniejszych przywódców polonijnych jako „powrotna fala patriotyzmu”, jest oczywistą nieprawdą. W świetle tego, o czym pisałem, Polonia amerykańska chce po prostu pokazać, że „sroce spod ogona nie wypadła”, o czym zresztą nikt nie wątpił i nie wątpi. Nie znaczy to bynajmniej, aby Polonia amerykańska gotowa była zaakceptować i przyhołubić do swego, wyjąłowego z patriotycznych tradycji, łona każdą Polskę — łącznie z tą, jaka była w czasach stalinowskich. Nikt nigdy nie był świadkiem takiego cynizmu wśród Amerykanów polskiego pochodzenia. Nie jest to w ogóle kwestia, którą można oceniać w kategoriach moralnych. Jest to sprawa wiedzy o współczesnej Polsce i uleganiu ponurej mistyfikacji, której reżyserami są doświadczeni wyjadacze z warszawskiego MSZ-u i Wydziału Zagranicznego KC partii.

Należąc do pokolenia zrodzonego tutaj, przeciętny Polonus nie jest ani mniejszym ani większym ignorantem od amerykańskich dziennikarzy, a w tej liczbie i zagranicznych korespondentów, którzy — podobnie jak wyżsi rangą intelektualści uniwersyteccy — niewiele wiedzą o Europie Wschodniej. Poza tym gwałtownym zapotrzebowaniem na „ojczyznę swych ojców”, w obecnym flircie Polonii amerykańskiej z PRL należy wskazać przyczynę, którą wymieniłem poprzednio. Wspólne rysy między polonijną wspólnotą, a coraz szerszymi warstwami ludności PRL, modelowanymi według wskazań partii.

Jeśli wszelako Polonia amerykańska jest konserwatywna i reakcyjna i jeśli lęka się wszelkiej rewolucji, to dlaczego akceptuje komunistyczną Polskę? Czy nie ma w tym paradoksu? Oczywiście nie. Polska lat siedemdziesiątych ma bowiem tyle wspólnego z rewolucją, co sowiecki aparatczyk z francuskimi encyklopedystami lub komunardami, którzy w blasku płonących dzielnic Paryża próbowali stworzyć nowy porządek społeczny. Apa-

ratczy polscy, lub sowieccy, którzy mienią się obrońcami rewolucji, przypominają owego rzeźnika, przeglądającego się sobie w lustrze w rocznicę Rewolucji Francuskiej, którego tak ładnie odmalował Tuwim w swoim wierszu „Quatorze Juillet”. Polonia amerykańska odnosiła się w latach sześćdziesiątych wrogo do nowej lewicy, ponieważ nie rozpoznawszy jej bezprogramowości i infantylizmu, potraktowała ją jako rzeczywistą siłę rewolucyjną, obawiając się, że rozsądzi ona amerykański system, którego jest integralną częścią. Choć amerykański Polak żyje w innym systemie ekonomicznym, innych ekonomicznych standartach i historycznych wymiarach, nie przeszkadza mu to okazywać sympatii dla PRL i jej osiągnięć, ponieważ sympatia ta ogranicza się często do imponowania dalekim kuzynom z podhalańskiej wsi już nie tylko zamożnością, ale odmiennym sposobem życia. Polak amerykański tradycyjnie nienawidzi Rosji, ale ponieważ ZSSR jest już nawet dla Polonii rozpoznawalny jako jedno z najbardziej konserwatywnych państw świata — Polonia, która identyfikuje Sowiety z Rosją, ma tej ostatniej za złe przede wszystkim jej ekspansjonizm. Jeśli uważa, że polska biurokracja uzyskuje pewną autonomię w stosunku do Sowietów, to wcale się nie myli, bo oczywiście tak jest, tyle tylko, że sprawa przyszłości narodowej Polaków nie przedstawia się przez to bynajmniej ani gorzej, ani lepiej od przyszłości Rumunów czy nawet Jugosłowian, nie mówiąc już o samych Rosjanach, którzy podobno są narodem „panującym” i który właśnie dlatego, że jest panujący, i ma za sobą najdłuższe w historii rządy komunistyczne, poniósł najcięższe straty. Sprawa zwiększenia marginesu niepodległości jednego narodu wobec drugiego jest sprawą pierwszorzędnej wagi, ale zwiększenie niezależności biurokracji satelickiej, od biurokracji panującej jest sprawą drugorzędną i w pewnych warunkach może stać się nową metodą umacniania komunizmu. Połączenie komunizmu z szowinizmem — nie do pomyślenia dla XIX-wiecznych marksistów — stało się już wczesną rzeczywistością młodego państwa sowieckiego, czemu bezskutecznie starał się zapobiec Lenin⁹.

Polska biurokracja komunistyczna coraz bardziej przypomina przedwojenne polskie drobnomieszczaństwo. Jak wszelkie średnie warstwy w historii, pragnie za wszelką cenę utrzymać istniejący porządek i wyrosłe na jego gruncie obyczaje i sposób życia. Jako gwarantka komunistycznego *establishmentu* jest zwolenniczką intelektualnego spauperyzowania ludności. Nienawidzi nowatorstwa w literaturze, sztuce i naukach humanistycznych, ponieważ wszelka docieklivość może podważyć jej ubogie schematy my-

9. W swoim liście, w którym piętnował wielkorusyjski nacjonalizm biurokracji, nazywając ją „starą carską biurokracją, namaszczoneą świętym sowieckim olejem”.

slenia, przy użyciu których sprawuje rząd dusz. Dlatego stara się je izolować od wszelkiego fermentu myśli politycznej, którego obiektem są kraje Zachodu. Te złożone procesy na Zachodzie usiłuje nieraz przedstawić w prostackim skrócie jako rewolucyjną rebelię proletariatu przeciwko kapitalizmowi, z dawna przewidywaną przez piewców i proroków komunizmu.

To co można opowiedzieć o obyczajowości i stylu życia biurokracji w krajach Europy, w których komunizm doszedł do władzy, jest jeszcze bardziej dostrzegalne wśród biurokracji partyjno-rządowej średniego szczebla w Polsce. Jej chłopska genealogia uwypukla szczególnie pewne nawyki, a wśród nich przywiązanie do nowych rytuałów, do których aparatczycy przywiązują specjalną wagę. Trafnie te upodobania uchwycił Staliński w swej powieści „Widziane z góry”, opisując jaką niesłychaną wagę przywiązywał Szeł (Gomułka) do swych pierwszomajowych czy rocznicowych parad. Podobnie jak dawne drobnomieszczaństwo — warstwa polskich aparatczyków jest krótkowzroczna i nietolerancyjna — jednym słowem jest siedliskiem tych wszystkich cech, które komuniści zwykli sumarycznie określać mianem „kołtuństwa”. Ponieważ jednak polityka partii zmierza ostatecznie do tego, aby świadomość narodowa Polaków została zredukowana do więzi etnicznej — biurokracja partyjna, ze swym chłopskim rodowodem, która nigdy właściwie nie przeszła przez etap życia wielkomięskiego proletariatu, jest idealnym wcieleniem tych zamierzeń partii, będąc jednocześnie jej najstosowniejszym instrumentem. Biurokracja partyjna jest cieplarnią dla wszystkich możliwych ksenofobii. Aparatczyk partyjny w Polsce nienawidzi Żydów i Rosjan i Niemców. Od Żydów się „wyzwolił”. Wątpliwe czy kiedykolwiek wyzwoli się od „Moskali”, do których pała tym zawziętszą, bo skrytą i zakazaną nienawiścią. Ale od samego siebie nie wyzwoli się nigdy. Tu już natknie się na mur polskiej — gombrowiczowskiej „niemożności”. Może tylko zwariować, jak ten niezbyt realny aparatczyk Pietrzak ze wspomnianej wyżej powieści „Widziane z góry”. Tow. Pietrzak — rzetelny i oddany pracownik partyjny — w literackiej wizji autora pewnego dnia po prostu zwariował, bo nigdzie na całym Śląsku nie mógł się skryć przed wszechpotężnym, wydobywającym się z gigantofonów głosem tow. Szygara (Gierka).

Partia i biurokracja nie stwarzają antytezy narodu. To nie byłoby najgorsze, bo byłoby widoczne. Tworzą natomiast jego karykaturę z licznymi akcesoriami polskości. Wielka impreza odbudowy Królewskiego Zamku służyła temu celowi. Nie jest wykluczone, że politycy z „białego domu” na rogu Alej Jerozolimskich i Nowego Świata dojdą któregoś dnia do wniosku, że przydałoby się jeszcze jedno akcesorium, którego pozbył się ogra-

niczony i uwielbiający szczerze Rosjan Bierut — Orzeł z koroną Jagiellonów. Dlaczegoż by nie koronować go z powrotem? Można sobie wyobrazić jaki gejzer gorącego uwielbienia wybuchłby wówczas wśród amerykańskiej Polonii. I nie należałoby się temu dziwić.

Nie czynię żadnej paraleli pomiędzy potomkami starej amerykańskiej Polonii, a współczesną warstwą polskich aparatczyków. Przez dziesiątki lat ci i tamci, mimo wspólnego rodowodu etnicznego, a często społecznego, żyli zbyt długo w innych wymiarach socjalnych i ich drogi awansu społecznego były zgoła odmienne, by mogli się do siebie zbliżyć i wzajemnie zrozumieć. Niemniej zjawiskiem uderzającym jest fakt, że ta „Polska”, która jest celem partii, której elementy rozwijają się i rosną we współczesnej krajowej rzeczywistości, jest bliższa i zrozumialsza dla obecnej Polonii niż kiedykolwiek. W dotychczasowych wywodach starałem się wytłumaczyć to niepokojące zjawisko rodowodem Polonii, niedojrzałością narodową dawnych emigrantów, kompleksami wynikającymi z jej wczesnej gettyzacji, wreszcie obecnym fermentem etnicznym w Stanach — co uaktywniło ambicje Polonii amerykańskiej w niewłaściwym kierunku. Potrzeba własnego etnicznego *identity* nie może zakrywać oczu Polonii na fakt, że „bilet wizytowy”, który chce okazać Ameryce w postaci PRL — choć odbiega on od stalinowskiego modelu, kierowanego przez NKWD-owskie stupajki — nie jest tym biletem, którym można się popisać wobec świata. Nade wszystko zaś — co jest szczytem ignorancji i naiwności — obecna postać ZSSR i jej satelitów nie jest — jak myśli Polonia — etapem na drodze do demokracji, której doskonałym wzorem są dla Polonii kraje Zachodu.

Demokracje zachodnie przeżywają strukturalno-społeczny kryzys. Kryzys przechodzi również system sowiecki. O ile jednak na Zachodzie uczestniczą w nim ci wszyscy, którzy tego pragną — w krajach komunizmu kryzysy są kryzysami władzy, rozwiązywane są wyłącznie przez władzę i w jej interesie. KPZS, a z nią satelickie partie, musiały złagodzić reżymy policyjne, ponieważ w warunkach onnipotencji państwa stalinowski terror policyjny, z wyjątkiem niektórych, wymykających się spod kontroli sytuacji, był czystym nonsensem, przede wszystkim z punktu widzenia warstwy rządzącej, której terror NKWD, czy bezpieki również nie oszczędzał. Fakt ten, bez względu na swe przyczyny, jest oczywiście symptomem lżejszego i wolniejszego od strachu życia. Ale przecież nie chodzi tylko o to, żeby człowiek nie musiał żyć w ustawicznej trwodze i nie chodził w łańcuchach, ale w całych spodniach. Sprawa leży w innej płaszczyźnie: czy naród polski, jako wspólnota ukształtowana w dziejach, ma być zachowany,

czy na skutek powolnej erozji ma stać się tylko swym etnicznym substytutem, wymodelowanym według wzoru partii. Sprawa ta może być obojętna Polonii amerykańskiej i nikt nie będzie miał prawa jej za to potępić, bo nie ma ona żadnych moralnych zobowiązań ani wobec tej Polski, którą jej pierwsze pokolenie opuściło, ani wobec Polski dzisiejszej. Nie jest ona częścią Polski ani polskiego narodu. W Ameryce, jeżeli chce wykorzystać etniczny ferment i zwiększyć swój ciężar gatunkowy przez zdobywanie większej liczby stanowisk dla swych luminarzy, to wprowadzić w materii tej można żywić sceptycyzm, ale jest to ostatecznie jej własna sprawa. Natomiast zbliżenie się jej do PRL-u i akcentowanie związków z nią przez afirmowanie obecnego systemu — ma już zupełnie inną wymowę.

PRL lat ostatnich jest zrozumialsza i bliższa Polonii między innymi dlatego, że w wyniku emigracji Polaków pochodzenia żydowskiego i niemieckiego, Partia uczyniła ludność Polski Ludowej etnicznym monolitem. W szczególności usunięcie Żydów z aparatu władzy, z literatury, filmu i niektórych dziedzin nauki zostało przyjęte przez Polonię amerykańską jako objaw pozytywnych przemian w Polsce. Nie ma tu znaczenia, że prasa polonijna nie wyrażała w tej sprawie publicznej aprobaty, gdyż takie opinie mogłyby zaszkodzić jej przywódcom i politykom, ubiegającym się o mandaty w Kongresie, czy Radach Miejskich. Fakty te jednak spotkały się z przychylnym odzewem wśród mas polonijnych, który najlepiej ilustrowała popularna opinia: „Żydzi, wysługujący się komunizmowi przez długie lata, wpadli we własne, zastawione przez siebie, sidła i słusznie zostali za to ukarani”. Nie przeceniam wagi i roli polsko-żydowskich intelektualistów w nauce polskiej. Wydaje mi się, że szkoda wyrządzona polskiej ekonomii, historii, socjologii przez exodus Polaków pochodzenia żydowskiego została przez tychże uchodźców świadomie wyolbrzymiona¹⁰. Szkoda nie mogła być aż tak wielka, ponieważ te właśnie dziedziny, z których przede wszystkim wykluczono Żydów, były najbardziej okulawione samym systemem. Dla polskich Żydów z kolei nie było to żadną „karą”, ale raczej szansą, która otworzyła się dla wielu spośród nich na Zachodzie. Natomiast poza wymienionymi dyscyplinami dotkliwą niewątpliwie szkodę

10. Nie oznacza to bynajmniej lekceważenia naukowców, zaangażowanych w Polsce w tych dziedzinach. Przeciwnie, wysiłki wielu spośród nich zasługiwały na szczególne uznanie. Nie ma bardziej interesującego obiektu badań jak problemy ekonomiczne i stosunki międzyludzkie w krajach komunizmu. Sedno sprawy tkwi w tym, że badania te są uniemożliwiane lub w maksymalnym stopniu utrudniane przez partię. Stąd wielka liczba pseudobadaczy nie tylko z kategorii „marcowych docentów”, których ubóstwo intelektualne daje im właśnie unikalne szanse do robienia „naukowych karier. Gdyby droga do rzetelnych badań w tych dziedzinach została otwarta, ich dotychczasowa naukowa nicość zostałaaby w pełni ujawniona.

wyrządzono w Polsce kulturze w ogóle, a w szczególności literaturze. Polska była krajem, w którym dorobek kulturalny był zawsze wzbogacany wkładem Polaków, wywodzących się z obcych narodów. Odzwierciedla to polska literatura i poezja. Monolit etniczny PRL — okupiony więc został stratami, które w ocenie biurokracji partyjnej oznaczają korzyść. Zaklasyfikowane one zostały, niestety, w podobny sposób przez obecne pokolenia pochodzące z przybyłej tu z dawna polskiej emigracji zarobkowej.

Rząd PRL i partia zrozumiały bezbłędnie, że obecnie istnieją bardziej niż kiedykolwiek przychylne warunki dla zdobycia względów Polonii poprzez tzw. kontakty kulturalne, celebrowanie rocznic kopernikowskich i szereg podobnych imprez. Równocześnie na łamach tutejszej i kanadyjskiej prasy polonijnej odbywają się rozprawy skierowane przeciwko tzw. „nieprzejednanym”, to znaczy tym grupom emigrantów — przeważnie politycznych — których stosunek do komunizmu, jako instrumentu niszczenia Polski, pozostał niezmienny. Ich krytycy to ci, którzy gotowi są obecnie zaakceptować PRL z pewnymi zastrzeżeniami, w oparciu o pięknie brzmiącą, ale wysoce zwodniczą zasadę, że „Naród jest trwalszy od systemów”. Narody bywały rzeczywiście trwalsze od wielu systemów, ale nie ma w tym żadnej reguły. Komunizm jest systemem, który zastąpić chce naród inną formacją historyczną. Jesteśmy świadkami tego jak odbywa się ten proces od lat. W książce „Nie trzeba głośno mówić” Józef Mackiewicz ustami jednego ze swych bohaterów, Ławrynowicza, pisał: „Hitlerowcy nas mordują. Bolszewicy robią z nas g...o”. To lapidarne określenie zawiera więcej niż ziarno prawdy. Wprawdzie od okresu, który opisywał Mackiewicz upłynęło wiele lat, a metody zamieniania narodów w g...o uległy wysubtelnieniu, ale cel pozostał niezmienny.

W obliczu nowych porozumień i układów międzynarodowych Polska jako Naród może pozostać jeszcze bardziej niż kiedykolwiek osamotniona i jeszcze bardziej pozbawiona nadziei. W tych warunkach taka czy inna postawa Polonii amerykańskiej w nikłym już stopniu może wpłynąć na losy Narodu. Jeśli jednak polscy przywódcy polonijni w Ameryce przyłączą się do tych, którzy chcą uznać obecny podział wpływów za wieczny, jeśli nawet w tym najkrytyczniejszym od czasów Jałty momencie dla Polski nie wypowiedzą swego zdania, jeśli nie odrzucą wyciągniętej do nich dłoni aparatczyków z Warszawy — sami wymierzą sobie policzek. Polska nie ma już zbyt wiele do stracenia. Ale pamięć o Targowicy po tamtej stronie Oceanu pozostanie niezatarta w dziejach.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, czerwiec 1973 r.

Kraj

Ile Polskę kosztuje PZPR ?

Gazeta Robotnicza z dnia 14 kwietnia br. zamieściła pt. „Ośrodek politycznej dyspozycji” obszerną informację o funkcjonowaniu wrocławskiego Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Owoc pióra p. Henryka Smolaka nie należy do normalnych zjawisk w PRL czy w krajach o identycznym ustroju. Bez sankcji KC ani wrocławski sekretarz — docent Drożdż — ani redaktor naczelny wrocławskiego organu partii, ani tym bardziej szef wojewódzkiej cenzury prasowej, nie zdecydowałiby się na opublikowanie podobnego tekstu. Jak wiadomo cnotą rządzących w partiach komunistycznych jest skromność, czyli pozostawianie aparatu w cieniu przywódców.

Jakież to względy mogły spowodować tę niecodzienną publikację?

W narodzie panuje przekonanie, że partia zatrudnia ogromną ilość ludzi, a etat — to rzecz kosztowna, tym bardziej że aparatczyk nie zadowala się byle robotniczą „średniówką”. A zatem utrzymanie maszyny kosztuje krocie.

Nie nowa to troska. W 1956 roku łańcuszkiem szeptanej propagandy rozprzestrzeniono wersję o wysokości poborów Gomułki, niższych od poborów dyrektora departamentu. Ówczesni mistrzowie propagandy wkalkulowali w zabieg inteligencję społeczeństwa: skoro I sekretarz zadowala się byle czym, to kierownik wydziału bierze mniej od prezesa lichej spółdzielni, a instruktor powiatowy — nieco więcej od listonosza. W sumie — cały partyjny kramik niewiele kosztuje.

W 1973 roku daremnie szukać wiary w ascezę. Zaprogramowano więc „rzeczową” informację o aparacie. Wysokość poborów partyjnych przemilczano, ale etaty przedstawiono z buchalteryjną dokładnością. Czytelnik może domyśleć się, iż utrzymanie PZPR nie hamuje narodowego marszu ku sytej przyszłości.

Z podanej statystyki wynika zarazem wątpliwość polityczna: czy nieliczna grupa aparatczyków może ogarnąć całokształt spraw społecznych, politycznych, gospodarczych? Czy rzeczywiście rządzi? Autor pomaga w wyrobieniu sobie o tym sądu:

„Coraz konsekwentniej w ostatnich dwóch latach realizuje się zasada, iż partia powinna spełniać funkcje polityczno-inspiratorskie i kontrolne, zaś administracja państwowa i przemysłowa winna w pełni wywiązywać się ze swoich zadań, działać coraz sprawniej i operatywniej”.

Innymi słowy:

- nastąpiła „zmiana stylu pracy”, zgodnie z zapowiedziami Gierka,
- inspiracja polityczna nie jest dyrektywą. Jeżeli „coś nie gra” w fabryce czy kopalni, w szkole czy urzędzie — w żadnym wypadku nie należy za to winić partii (czytaj: aparatu).

Dla „bratnich partii”, z sowiecką na czele — artykuł Smolaka - Drożdża - Szydłaka jest dowodem opanowania sytuacji wewnętrznej. Przedstawiając z pełnym spokojem partię od kuchni dają do zrozumienia, że Polacy traktują PZPR życzliwie, że partia odzyskała jedność dołów i kierownictwa. Czas grudniowy, okres podpalania siedzib aparatu i demokratycznego wybierania robotników-członków partii do komitetów strajkowych — poszedł w niepamięć.

W stosunku do Zachodu operacja ma charakter bardziej finansyjny.

Gdyby opublikowano podobne rozważania w centralnej gazecie, spekulacje mogłyby przybrać charakter niekorzystny. Każdy publicysta zadałby sobie pytanie dlaczego właśnie teraz Warszawa uchyla rąbka partyjnej kurtyny, czym się kieruje? Zaplanowano więc zręczne „pośrednictwo” emigracji. Zawsze się znajdzie ktoś, kto wygrzebie interesujący szczegół z jakiejś prowincjonalnej Trybuny. Szanujący się publicyści zachodni i tzw. politolodzy z reguły nie powołują się na emigranckie „tendencyjne” źródła. A więc przyjmą do wiadomości samą informację, bez ogłaszania krytycznego stanowiska. Dostrzegą konsekwencję, z jaką Gierek ogranicza niebezpieczeństwo partyjnych rozróbek, zawsze znajdujących najpewniejszą bazę w komitetach wojewódzkich, korzystających dotychczas z relatywnie szerokiej autonomii. Dostrzegą, że degradacja komitetów wojewódzkich oznacza wyższy stopień centralizacji władzy Biura Politycznego KC, delegującego w większej mierze swoją władzę na administrację państwową i gospodarczą. Dostrzegą, że PRL przestaje być krainą siedemnastu wojewódzkich i dwóch miejskich republik partyjnych, a zyskuje na spistości władzy. W Moskwie i w Waszyngtonie jedna-

kowo surowo ocenia się słabe rządy. A więc wzrośnie autorytet Gierka.

Materiał pana Smolaka odpowiada powyższym wymogom i założone przez jego inspiratorów cele zostały prawdopodobnie osiągnięte. Aby jednak wyczerpać temat publicysta polski, nie podlegający cenzurze, winien dopisać uwagi, rzucające nieco inne światło na wrocławskie rozważania.

Zmiany, o których pisze p. Smolak — ograniczenie liczby i wszechwładzy aparatu — stały się możliwe dlatego, że aparat partyjny został czasowo umieszczony w lodówce. Nie po raz pierwszy w PRL. Podobnie działo się w okresie październikowym, co bynajmniej nie przeszkodziło Gomułce w odpowiednim momencie odmrozić biurokrację partyjną i szybko przywrócić jej dominującą pozycję. Popaździernikowe dwulecie, podobnie jak dotychczasowy okres gierkowszczyzny, charakteryzowało gwałtowne polepszenie warunków bytowych społeczeństwa. Polityka przykręcania śruby była zaś sygnałem odradzania się klasycznych partyjnych metod kierowania, aż do przekształcenia partii w urząd decydujący o wszystkim i praktycznie zarządzający wszystkimi dziedzinami życia publicznego.

Łatwo wyczytać z łamów *Trybuny Ludu*, że już w następnym roku Gierek przystąpi do poskramiania apetytów Polaków. Preludium ekonomicznego ściągania cugli jest zawsze to samo: informacje o niepokojącej absencji, płynności kadr, marnotrawstwie materiałów, itd., itp. W tej sytuacji aparat zacznie niemal automatycznie nabierać znaczenia. Od reakcji społeczeństwa zależy — w jakim stopniu.

Perspektywa wzrostu znaczenia aparatu terenowego nie powinna — zdaniem Gierka — prowadzić do ponowienia wysokiej fali „frakcyjności”. Próbuje przeciwdziałać temu już obecnie, Gierek usunął ze stanowisk I-szych sekretarzy KW ludzi o silniejszej osobowości, zaprawionych w rozgrywkach wewnątrzpartyjnych, wzmacniając jednocześnie biurokratyczne uzależnienie pionowe i osłabiając poziomą więź terenową. Będzie o tym mowa niżej, tu należy jedynie odnotować znamienity dokument, który ilustruje to przekształcenie i świadczy o odrzuceniu resztek pozorów autonomii partyjnej.

Mowa o dekrety Rady Państwa w sprawie specjalnych uposażeń emerytalnych dla osób sprawujących najwyższe funkcje w państwie. Po raz pierwszy (i chyba wyjątkowy w całym tzw. obozie socjalistycznym) akt państwowy wymienia w porządku hierarchicznym dygnitarские stanowiska partyjne i państwowe. W czasach komiwojażera pokoju — Breżniewa — nikogo już nie dziwi, że listę osobistości otwiera I sekretarz KC, przed przewodniczącym Rady Państwa i premierem. Za sensację przyjąć trzeba jed-

nak zaklasyfikowanie stanowiska kierownika wydziału KC PZPR wyżej od stanowiska I sekretarza KW PZPR. Przegrupowanie ma nie tylko prestiżowe lecz polityczne znaczenie.

Kierownik Wydziału KC jest po prostu urzędnikiem. Nie wybiera go żadne gremium partyjne, nominację otrzymuje z Sekretariatu KC. Natomiast obsada stanowisk sekretarzy wojewódzkich wiąże się — przynajmniej formalnie — z wyborem przez plenum KW. Bywało już tak, że sekretarz KW sprawował funkcje nawet wbrew woli Biura Politycznego (np. wybór Kruczka w Rzeszowie w 1957 roku, Drobnera w Krakowie w 1956 roku, Werfla we Wrocławiu w latach sześćdziesiątych). Dekret ustala więc pośrednio zwierzchność mianowanych funkcjonariuszy nad partią statutowo kierującą się pozorami demokracji wewnętrznej.

Czy te politycznie i propagandowo kompromitujące przedsięwzięcia okażą się skutecznym zabezpieczeniem centralistycznego systemu biurokracyjnego w partii — pokaże czas. Wolno nam o tym wątpić po doświadczeniach — polskich i niepolskich — autokratycznych poprzedników Gierka. Centralizm staje się nieefektywny, ilekroć polityka I-go sekretarza KC stawia terenowy aparat partyjny przed problemami nie do rozwiązania. Tłumienie wewnętrznej opozycji nie likwiduje bynajmniej sprzeciwu. Zamiast frakcji organizują się koterie, wyczekujące sposobnej chwili.



Myśl zawarta w dygresji legislacyjnej znajduje pełne odbicie w artykule pana Smolaka. Tytuł artykułu sugeruje rozważania o pracy wybieralnej instancji partyjnej. W rzeczywistości pięciokrotnie więcej miejsca poświęca autor opisowi wydziałów KW, czyli specjalistycznych pionów służbowych, niż wszystkim organom obieralnym, nie wykluczając egzekutywy i sekretariatu KW. Trudno się zorientować jak działa przeszło stuosobowy Komitet Wojewódzki, wybrany spośród delegatów na konferencję wojewódzką, czym się zajmuje, czym się wyrażają stosunki między tymi przedstawicielami rzeszy partyjnej, a egzekutywą i sekretariatem KW; jaki jest wpływ członków KW na pracę partyjną w ich miejscach zamieszkania, w komitetach powiatowych i dzielnicowych, w zakładach pracy itd.

Kilka fragmentów w pełni oświeśla tendencje autora i jego mocodawców, a zarazem wyjaśnia na czym w rzeczywistości polega działalność KW.

„Bieżącą pracą partyjną zajmują się wydziały KW, spełniające egzekutywy oraz kontrolną i organizatorską w stosunku do komitetów terenowych”.

Autor nie wyjaśnia jakim prawem wydziały kontrolują wybieralne komitety terenowe.

„...Zatrudniają one niespełna 100 pracowników politycznych. To niewiele jak na mnogość problemów podejmowanych przez Komitet Wojewódzki PZPR. Wydziały angażują szeroki aktyw partyjny, opierają się na pracy zespołów stałych i doraźnych, odwołują do specjalistów partyjnych jak też bezpartyjnych. Przekazywaniu inicjatyw i wytycznych KW, sygnalizowaniu najistotniejszych problemów wymagających rozwiązania służą spotkania z kierowniczym aktywnym wojewódzkim, narady kierowników różnych przedsiębiorstw i instytucji, sekretarzy KP, KD, KZ i POP, zebrania partyjne w zakładach pracy, wyjazdy pracowników w teren”.

Krótko, jasno i dobitnie. W tym stanie rzeczy budzi się wątpliwość co do funkcji sekretariatu KW i egzekutywy. Prawdopodobnie pozostają im jedynie obowiązki reprezentacyjne. Jakby na potwierdzenie powyższego domniemania o nowym ładzie gierkowskim znajdujemy gdzie indziej informację, iż: „Komitet Wojewódzki odbywa plenarne obrady (właśnie — to można tylko „odbywać”) raz na dwa miesiące, egzekutywa zbiera się raz na dwa tygodnie, sekretarze KW zbierają się na posiedzenia w zasadzie również raz na dwa tygodnie, niejednokrotnie zaś, w zależności od potrzeby, co tydzień”.

Ta częstotliwość narad wynika prawdopodobnie z nudów lub nostalgii za minionym okresem świetności, bowiem według p. Smolaka: „Praca wydziałów KW wzajemnie się uzupełnia. Wspólnie podejmują wiele inicjatyw, występują razem z przedsięwzięciami organizatorskimi. Inspirują działanie w różnych dziedzinach życia społeczno-gospodarczego naszego regionu, udzielają przedsiębiorstwom i instytucjom pomocy, kontrolują za pośrednictwem aktywu partyjnego, komisji, organizacji partyjnych, wykonanie uchwał i zaleceń instancji partyjnych”.

Z powyższego fragmentu wynika więc, że:

- wydziały *same*, bez udziału sekretarzy KW, koordynują swoją pracę. W całym tekście artykułu nie ma wzmianki o koordynacyjnej roli sekretariatu i sekretarzy KW.
 - wydziały *same* podejmują „wiele inicjatyw” i „inspirują działanie”. Należy to rozumieć jako przejawianie „inicjatyw” nie według instrukcji sekretariatu, egzekutywy, czy plenum Komitetu Wojewódzkiego, lecz zgodnie z poleceniami właściwego pionu specjalistycznego — wydziału KC.
 - wydziały świadczą usługi instancjom partyjnym za pośrednictwem pozaetatowego aparatu partyjnego.
- Zeby zaś rozwikłać wątpliwości co do charakteru zależności

mandatariuszy partyjnego zaufania od funkcjonariuszy partyjnych, pan Smolak informuje w innym miejscu, iż:

„Komitet Wojewódzki powołał ze swego składu, uzupełniając je aktywnym spoza instancji, 9 komisji problemowych”.

To właśnie te komisje, za których pośrednictwem wydziały „kontrolują wykonanie uchwał i zaleceń instancji partyjnych”.

Podporządkowanie całej partii aparatowi partyjnemu nie jest zjawiskiem nowym. Natomiast cyniczne ujawnienie tego faktu, zminoryzowanie roli obieralnych organów wykonawczych — egzekutywy i sekretariatu, stwierdzenie wzrostu znaczenia wydziałów sterowanych odgórnie według zasad biurokratycznej hierarchii — jest rzeczą nową. Enuncjacje Smolaka potwierdzają zakończenie procesu przemian systemu funkcjonowania partii, są demonstracją siły aparatu wobec mas członkowskich.



Artykułowi Smolaka towarzyszy „encyklopedyczna” część informacji ujętych w ramki. Warto ją przytoczyć *in extenso*, by ograniczyć komentarz.

PRACOWNICY POLITYCZNI INSTANCJI PZPR

W Komitecie Wojewódzkim PZPR pracuje 98 pracowników politycznych wśród nich jest 16 kobiet:

- 6 członków Sekretariatu KW,
- 11 kierowników wydziałów,
- 19 zastępców kierowników wydziałów,
- 26 st. instruktorów,
- 36 instruktorów.

Najliczniejszą grupę pracowników stanowią towarzysze w wieku 30-34 lat (23 osoby) i 40-44 lat (21 osób). Połowa ogółu zatrudnionych nie ukończyła 40 roku życia.

Wykształcenie średnie ogólne i zawodowe ma 22 towarzysze, 81 osób ma dyplomy akademickie. Pozostali uczą się w szkołach wyższych. W KW pracują inżynierowie, ekonomiści, nauczyciele, prawnicy, historycy, socjologowie.

66 pracowników KW, czyli dwie trzecie ogółu, na obecnym stanowisku pracuje nie dłużej niż 2 lata. Wszyscy są wieloletnimi członkami partii; najliczniejsze grupy stanowią towarzysze ze stażem sprzed 1948 r. (28 osób) i z lat 1959-1960 (25 osób).

W 32 komitetach powiatowych i dzielnicowych pracuje 520 pracowników politycznych; 275 nie przekroczyło 44 roku życia, 152 ma wykształcenie niepełne wyższe i wyższe, 299 średnie ogólne i zawodowe, 68 podstawowe i zasadnicze zawodowe.

Komitet Wojewódzki zatrudnia 39 pracowników administracyjnych. Komitety powiatowe i dzielnicowe — 233.

KOMISJE PROBLEMOWE KW

Komitet Wojewódzki PZPR powołał ze swego składu, uzupełniając je

aktywnym spoza instancji, 9 komisji problemowych. Pracuje w nich łącznie 242 towarzyszy, Komisje odbywają posiedzenia, przygotowują materiały na obrazy plenarne KW, pomagają w realizacji uchwał instancji partyjnych, kontrolują w terenie ich wykonanie.

1. Komisja Administracyjna.
2. Komisja Budownictwa.
3. Komisja Ekonomiczna.
4. Komisja Ideologiczno-Propagandowa.
5. Komisja Kultury.
6. Komisja Nauki i Oświaty.
7. Komisja Młodzieżowa.
8. Komisja Rolna.
9. Komisja Wewnątrzpartyjna.

Komisje Budownictwa, Ekonomiczna oraz Nauki i Oświaty powołały ze swego składu zespoły specjalistyczne.

Istnieje również Rada Naukowa KW.

WOJEWÓDZKA INSTANCJA PZPR

Komitet Wojewódzki PZPR, jako instancja dolnośląskiej organizacji partyjnej, składa się z 88 członków (z głosem decydującym) i 21 zastępców (z głosem doradczym), wybieranych przez wojewódzką konferencję sprawodawczo-wyborczą na okres dwóch lat.

Wojewódzka Komisja Rewizyjna, również powoływana na konferencji na okres dwóch lat, składa się z 15 towarzyszy.

Komitet Wojewódzki na plenarnym posiedzeniu wybiera ze swego grona sekretarzy i Egzekutywę KW, a także komisje problemowe i Wojewódzką Komisję Kontroli Partyjnej.

Egzekutywa KW składa się z 17 towarzyszy; w jej skład wchodzi 5 sekretarzy KW i przewodniczący WKKP.

WYDZIAŁ KW

1. Wydział Organizacyjny — kierownik Kazimierz Włodarczyk.
2. Wydział Ekonomiczny — kierownik Jan Konachowicz.
3. Wydział Budownictwa i Gospodarki Komunalnej — kierownik Mirosław Michalak.
5. Wydział Propagandy — kierownik Tadeusz Chandosko.
6. Wydział Administracyjny — kierownik Stanisław Trzaska.
7. Wydział Kadr — kierownik Stanisław Sylwester.
8. Wojewódzki Ośrodek Propagandy Partyjnej — kierownik Witold Sawicki.
9. Wydział Nauki i Oświaty — kierownik Stanisław Bakaj.
10. Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej — przewodniczący Antoni Trembolak.
11. Wydział Ogólny — kierownik Henryk Janulewicz.
12. Referat Listów i Inspekcji — kierownik Jerzy Pokojowczyk.

(Gazeta Robotnicza z 14 kwietnia 1973).

KOMENTARZ

O obsadzie etatowej

Średnia wieku pracowników politycznych wrocławskiego KW wydaje się reprezentatywna dla całego aparatu terenowego partii. Nie oznacza to jednak, by we wszystkich województwach kształtowała się podobnie. W warszawskim i poznańskim KW znajdziemy więcej młodych ludzi ale w województwach wschodnich utrzymało się na stanowiskach sporo starych aparatczyków, którzy podnoszą wysokość przeciętnego wieku.

Staż pracy we wrocławskim KW odbiega od przeciętnych — jest znacznie niższy. Prawdopodobnie celem łatwego podkreślenia odnowy aparatu wybór Szydłaka padł na Wrocław.

Poprzedni sekretarz KW — Wrocław, Piłatowski, zajmował szczególną pozycję u schyłku gomułkowszczyzny. Flirt z Moczarem byłby mu odpuszczony, jak wielu innym prominentom. Ale nie mógł liczyć na żadne względy po uporczywej grze przeciw Gierkowi, ówczesnemu sekretarzowi w Katowicach. Tę grę, mającą na celu osłabienie pozycji obecnego szefa partii, inspirowano i z lewa i prawa — to Kliszko i Jaszczuk, to Moczar. Celem osłabienia wyjątkowej pozycji Gierka wśród sekretarzy wojewódzkich — Piłatowskiemu pomagano wyrastać na nowego „barona”.

W rezultacie dymisji Piłatowskiego opuścił KW cały jego dwór. Ocaleni jedynie nieliczni (w tym obecny sekretarz Drożdż, poprzednio sekretarz ekonomiczny KW), trzymający się z dala od rozgrywek wewnątrzpartyjnych. Dlatego też „dwie trzecie ogółu na obecnych stanowiskach pracuje nie dłużej niż trzy lata”.

W innych dzielnicach Polski aparatczycy utrzymują się na zajmowanych stanowiskach ponad 5 lat. Większość stanowią ludzie wchłonięci przez aparat w okresie 1964-1968. Nie są ani „nowi” ani „starzy”. Ich powściągliwość wobec Gomułki, sympatie dla Moczara, poparcie dla Gierka mają jednakową wartość. Będą służyć każdemu silnemu zwierzchnikowi. Brak im fantazji, przekonań ideowych, pasji, rzeczywistych zainteresowań społecznych. To są po prostu urzędnicy, bez żadnych zasług osobistych, poza uległością. Przyjęcie do ścisłego aparatu partyjnego rozumieją jako wyróżnienie. Ich kwalifikacje ideowe, moralne, intelektualne ułatwiają Gierkowi wprowadzenie wysokiej karności wśród pracowników wydziałów i ewentualne ich przeciwstawianie sekretarzom, dążącym do rozszerzenia swej władzy.

Od wielu lat koronnym argumentem w rozgrywkach partyjnych stał się dyplom akademicki. Dyplomy wprowadziły na stanowiska w aparacie partyjnym byłych aparatczyków zetempowskich aparatu po 1960 roku. Formalne świadectwa ukończenia

studiów posiada znaczna większość „pracowników politycznych” we wrocławskim KW, podobnie jak w całym kraju.

Powódź dyplomów zetempowskich ma swoją historię. Kilka tysięcy funkcjonariuszy ZMP znalazło się na lodzie po spontanicznej likwidacji tej organizacji w 1956 roku. Stosunkowo niewielu, szczególnie starszych, przyjęło skierowania partyjne do różnych urzędów i instytucji. Większość skorzystała z prawa do specjalnych dwuletnich stypendiów, lecz tylko jednostki wykorzystały szansę zdobycia rzetelnych kwalifikacji zawodowych. Zetempowscy promineneci zapełnili WSNS, szara masa byłych funkcjonariuszy wojewódzkich wybrała studia pedagogiczne, filozoficzne, socjologiczne lub filologiczne. Kiedy po roku 1960 Gomułka i Kliszko sięgnęli po te „rezerwy kadrowe”, panowie na nowych stanowiskach, przede wszystkim partyjnych, nie mieli żadnych trudności z telefonicznym uzyskiwaniem absolutorium i dyplomów magisterskich.

Politykę personalną dyktowały dwa względy:

- chęć pozbycia się starej gwardii — ortodoksów bez wykształcenia, ale z wielkim doświadczeniem praktycznym, szczególnie podatnych na różne formy rozpolitykowania, dyskusji ideologicznych, przeszkadzających we wprowadzeniu pragmatycznego ładu do aparatu;
- odbudowę autorytetu aparatu partyjnego na zasadzie jego „wysokich kwalifikacji intelektualnych”, składających masę robotnicze do większego respektu.

Sam Kliszko nie traktował tych kwalifikacji serio, dawał temu wyraz w dyskusjach z zaprzyjaźnionymi intelektualistami. Wiedział, że „studia” aparaczyków zetempowskiego miotu nie uzbroiły ich ani w wiedzę z określonej dziedziny, ani nawet nie wdrożyły do dyscypliny pracy umysłowej. Formalne respektowanie „papierków” pozwalało na prowadzenie selektywnej polityki personalnej — jak okazało się — skutecznej do czasu.

Politykę tę nadal prowadzi Gierek. Wprawdzie coraz liczniej pojawia się w aparacie partyjnym pokolenie pozetempowskie, jednak zasady negatywnej selekcji pozostają niezmiennie. Żaden fachowiec z prawdziwego zdarzenia nie zrezygnuje z możliwości awansu w wybranej dziedzinie zawodowej, łatwego ze względu na przynależność partyjną, dla objęcia stanowiska w aparacie.

Poczucie niższości zawodowej wobec prawdziwych fachowców wyzwało u aparaczyków postawy agresywne. To wyklucza ustabilizowanie racjonalnych stosunków między aparatem a administracją gospodarczą, ludźmi techniki i nauki. Ta nieuchronna opozycja zapewnia centralnemu kierownictwu partyjnemu rolę arbitra i o wiele większy wgląd w problemy, niż wynikałoby to z rzeczywistych potrzeb.

Poczucie niższości partyjnych dyplomantów, magistrów, doktorów i docentów skłania ich do kurczowego trzymania się stanowisk partyjnych, gdyż nie czują się na siłach by podjąć samodzielną pracę zawodową. Możemy więc założyć, że skład osobowy obecnego aparatu partyjnego przez długi czas, bez względu na ewentualne rewolucje pałacowe, będzie się zmieniał minimalnie.

W *Gazecie Robotniczej* bardzo skromnie potraktowano informacje o wieku, stażu pracy i wykształceniu aparatu powiatowego. Perfekcja dokumentacji personalnej w partii wyklucza przypuszczenie o braku pełniejszych danych, a więc zrobiono to tendencyjnie; głębsza analiza wykazałaby, że w komitetach powiatowych zmiana obsady następuje o wiele wolniej, średnia wieku funkcjonariuszy jest wyższa, staż pracy w KP znacznie dłuższy, a poziom wykształcenia mizerny. Zasiadłość powiatowych aparaczyków wynika przede wszystkim z ich mniejszej podatności na fluktuacje polityczne. Nie angażują się — poza 1-yimi sekretarzami — w rozgrywki frakcyjne, a więc każde nowe kierownictwo przejmuje ich z dobrodziejstwem inwentarza, bez konieczności czystek.

Postawę więzi aparatu powiatowego stanowi kumoterstwo, dzięki któremu stosunki personalne w KP odznaczają się trwałością. Kierownictwu partyjnemu wcale nie zależy na rozbijaniu tej struktury. Niski poziom intelektualny sprzyja łatwieszemu przekształcaniu aparatu powiatowego w karny instrument wykonawczy.

Warto przypomnieć, że zmiany organizacyjne w administracji gmin spowodowały obsadzenie stanowisk naczelników i sekretarzy urzędów gminnych przez ponad 3 tysiące ludzi z dyplomami akademickimi. Stąd wniosek, że kierownictwo partyjne nie miało by większych trudności ze znalezieniem lepiej wykształconych kadr do powiatowego aparatu partyjnego, stojącego wyżej w biurokratycznej hierarchii.

O „komisjach problemowych”

Komisje i zespoły „problemowe” istnieją w partii co najmniej od października. Nie mają określonych zasad funkcjonowania. Są rodzajem wewnętrznych klubów dyskusyjnych. Poza „demokratyczną” dekoracją służą do poskramiania samodzielnych, niezależnych od aparatu, inicjatyw.

Komisje wybierają przewodniczących, ale praktycznie kierownictwo spoczywa w rękach sekretarzy. Sekretarzem każdej komisji partyjnej jest instruktor, czyli podrzędny funkcjonariusz. Komisja, traktująca swoje istnienie na serio i próbująca szukać jakichś rozwiązań dla istniejących problemów, umiera za sprawą

sekretariatu śmiercią naturalną. Komisje podatne na inspiracje tysfakcję w postaci zaszczytnych wzmianek w sprawozdaniach partyjnych.

W latach 1956-58 uczestniczyłam w pracach komisji KC do spraw reformy mieszkaniowej i spółdzielczości mieszkaniowej. Skład komisji był nawet bardzo korzystny, większość stanowili doświadczeni praktycy gospodarki mieszkaniowej i działacze spółdzielczy, m.in. Nowicki, Rogala, Trendota. Sprawy mieszkaniowe były niezwykle nabrzmiałe. Stalinowska polityka poniosła kompletne fiasko — aktualnie nie było żadnych prawnych, organizacyjnych i finansowych podstaw wytyczenia nowej polityki w tym zakresie. Można by więc przypuścić, że na tym reprezentatywnym forum odbywały się ożywione i poważne dyskusje o charakterze modelowym i organizacyjnym. W rzeczywistości nic się nie działo. Plan pracy „proponował” sekretarz komisji, Gertruda Pawlak-Finderowa, wdowa po pierwszym sekretarzu KC PPR, pracownik wydziału ekonomicznego KC. Próby podjęcia generalnej tematyki kończyły się jawną dezaprobatą, bądź zapowiedziami konieczności „przekonsultowania” naszych propozycji z kierownictwem wydziału.

Na X lub XI plenum KC w 1957 roku Gomułka poświęcił dwa-trzy zdania „młodzieżowej spółdzielczości mieszkaniowej”. Następnego dnia Finderowa zaprosiła mnie na indywidualną rozmowę. „Nie wiecie co Wiesław miał na myśli?” Nie wiedziałam. Nikt tego nie wie po dzień dzisiejszy, jeżeli nie liczyć podobnej „idei” Edwarda Gierka, wyłożonej z równą jasnością w pierwszym okresie jego warszawskich triumfów.

Po raz ostatni komisja zebrała się, by omówić kompletną dokumentację polityki mieszkaniowej, przygotowaną przez urzędników MGK i Prezydium Rady Ministrów. Smętnie pokiwaliliśmy nad tym głowami. Następnego tygodnia dowiedzieliśmy się z PAP'u o назначeniu komisji partyjno-rządowej, złożonej z biurokratów wysokiej rangi. Ta komisja firmowała na zewnątrz koncepcję wypichconą w urzędach wbrew uzasadnionym postulatom spółdzielców.

Komisje problemowe komitetów wojewódzkich służyły niekiedy jako instrumenty presji. Najczęściej działo się tak na Śląsku pod rządami Gierka. Rozgrywki z centralną biurokracją były bądź co bądź ryzykowne, więc śląski baron podrzucał pomysły wąskim zespołom specjalistycznym (niekoniecznie partyjnym), dyskutował ich analizy i propozycje na egzekutywie, czy w sekretariacie KW, przekazywał następnie do autoryzacji właściwym komisjom KW i rozsyłał według wiadomych sobie rozdzielników. W wydziałach KC, w ministerstwach, w Komisji Planowania,

w sekretariacie KC zgrzytano zębami, ale ugryźć Gierka było nie sposób.

Tylko naiwny uwierzy, że te wyjątkowe komisje miały coś wspólnego z dzisiejszymi, sprowadzonymi wyłącznie do roli prze-kazników odgórnej woli komitetów wojewódzkich. Jaka zresztą może być skuteczność działania tych ciał, skoro zbudowano je na zasadzie „demokratycznej”. Jak wynika z danych Smolaka, w 45 % składają się one z członków Komitetu Wojewódzkiego (101 członków i zastępców na ogólną liczbę 232 członków komisji). Komitet Wojewódzki kompletuje się („w drodze wyborów”) według z góry ustalonego klucza terenowego, zawodu, płci, wieku, stanowiska służbowego, wykształcenia, „tradycji rewolucyjnej” itp., itd. Taki skład może dobrze odzwierciedlać ogólny podział grupowy, warstwowy, klasowy partii, ale nie gwarantuje minimum kwalifikacji umysłowych, nieodzownych do pracy koncepcyjnej. Czyli — informacje o „komisjach problemowych” — włożymy między bajki. Ich wpływ na działalność aparatu jest równy zeru. Stanowią one jedynie wygodny parawan, ukrywający samowolę i poczucie wyższości funkcjonariuszy.

O wydziałach KWC

Z wymienionych 12 jednostek organizacyjnych na prawach wydziałów tylko trzy (ogólny, kontrola partyjna i ośrodek propagandy partyjnej) mają charakter wewnątrz-organizacyjny i agitatywny. Pozostałym przypadają funkcje zewnętrzne — praktycznie nadzoru i kontroli prawie całego miejscowego życia publicznego. Prawie — gdyż niektóre dziedziny zastrzeżone są wyłącznie dla sekretarzy KW, przede wszystkim dla I-go sekretarza KW. Są to sprawy stosunków z pogranicznymi organizacjami szczebla wojewódzkiego SED i Czeskiej Partii Komunistycznej, stosunki z dowódcami i aparatem polityczno-partyjnym dolnośląskich jednostek i organów wojskowych (DOW), problematyka polityczno-policyjna, problematyka kościelna, stosunki z przewodniczącym WRN oraz z członkami egzekutywy KW, którzy nie są etatowymi pracownikami aparatu.

W przekroju wydziałów największe novum znajdujemy w powrocie do starej stalinowskiej reguły nomenklaturowej, wyrażonej w przywróceniu przez Gierka i Babiucha niezależnego pionu kadr. Pion ten po Październiku został zlikwidowany, ale wiódł ciągle utajony żywot w referatach personalnych poszczególnych pionów branżowych, wreszcie — bodaj od 1967 roku — był reprezentowany przez biuro spraw kadrowych w KC i jego odpowiedniki wojewódzkie, tj. inspektoraty. Gierek przywrócił pełny

zakres nomenklatury, co musiało wiązać się z rozbudową ogniw kadrowych w centrali i województwach.

Nie znający kuchni partyjnej nie widzą różnicy między prowadzeniem spraw kadrowych (tj. decyzjami o obsadzaniu stanowisk) przez wydziały branżowe, a ich skoncentrowaniem w wydziałach kadr. W rzeczywistości różnica jest zasadnicza. Inaczej ocenia ludzi kierownik wydziału specjalistycznego, który musi liczyć się z zawodowymi kwalifikacjami delikwentów, a inaczej kształtuje politykę personalną kierownik wydziału kadr, dla którego głównym problemem wyboru staje się partyjno-polityczna „pewność”.

Wyspecjalizowanie we władzy nad ludźmi staje się najlepszą odskocznią do kariery partyjnej. Nazwiska kadrowców — Kliszki czy Kłosiewicz, potwierdzają tę prawidłowość. Wydziały kadr korzystają ze szczególnej dużej autonomii, podlegają wyłącznie I-mu sekretarzowi, otrzymują bezpośrednie informacje o „nomenklaturszczykach” z organów bezpieczeństwa. W wypadkach rozbieżności poglądów na temat obsadzenia stanowiska, kierownik branżowego wydziału ma pozycję o wiele słabszą. Nigdy nie wie, czy za sprzeciwem wydziału kadr nie kryją się jakieś „szczególne względy” i woli nie ryzykować własnej kariery przez obstawanie przy swoim kandydacie.

Pogrudniowy powrót do jawnej praktyki nomenklaturowej i przywrócenie niesławnej pamięci wydziałów kadr trzeba rozumieć jako swoistą próbę usztywnienia samego aparatu partyjnego i ludzi sprawujących odpowiednie funkcje we wszystkich dziedzinach. Przekonanie o wzmożonym nadzorze kadrowym skłania automatycznie „nomenklaturszczyków” i kandydatów do tego stanu do zabiegania o dobrą markę w Komitecie. Nowokreowane wydziały kadr występują niby memento wobec partyjnych i bezpartyjnych na kierowniczych stanowiskach, którzy mogliby obecnie zwiększenie samodzielności administracji zrozumieć fałszywie, jako osłabienie władzy partii, a nie jako manewr taktyczny jej kierownictwa. Wydziały kadr stanowią zarazem wędzidło dla wszystkich aparatczyków gotowych przypuścić, że praktyki wojewódzkiego sekretarza Gierka byłyby usprawiedliwione w czasach Gierka — I-go sekretarza KC.



O reszcie wydziałów — krótko.

Wydziały gospodarcze zajmują się głównie zagadnieniami produkcji, ale są zarazem nadzorcami i inspiratorami wszelkich organizacji społecznych, działających w danych dziedzinach. W pierw-

szym rzędzie dotyczy to związków zawodowych i stowarzyszeń technicznych. Panowanie nad tymi transmisjami zapewnia wydziałom zasadniczy wpływ na stosunki produkcyjne.

Rozgrywki między terenowymi funkcjonariuszami partyjnymi a administracją gospodarczą prowadzą czasem do groźnych skutków społecznych. Gierek wyciągnął wnioski z nauki Poznania i Wybrzeża. Ponad 160 największych zakładów produkcyjnych kraju objął „bezpośrednim zainteresowaniem KC” — według eufemicznego określenia Smolaka, czyli poddał kontroli wydziałów KC (na Dolnym Śląsku jest takich przedsiębiorstw piętnaście). O wiele większa liczba przedsiębiorstw średnich znalazła się z tych samych względów w bezpośrednim zainteresowaniu branżowych wydziałów KW. Informacje z kraju nie pozwalają jednak sądzić, że ten awans uzależnień wpływa na poprawę nastrojów robotniczych, choć niewątpliwie pozwala na bardziej skuteczne usuwanie niebezpiecznych spięć.

Wydział Organizacyjny pozornie czuwa nad funkcjonowaniem samej partii. W rzeczywistości kieruje działalnością wszystkich organizacji masowych na terenie pozaprodukcyjnym. Siłę oddziaływania zewnętrznego uwielokrotnia koordynacja „transmisji”.

Wydział Propagandy zajmuje się różnymi formami działalności agitacyjnej oraz walką propagandową „z obcymi i wrogimi tendencjami”. Nic dziwnego więc, że bezpośrednio kieruje i wojewódzką placówką cenzury. W ramach ograniczania etatów — wydziałowi propagandy podlega również kultura, co w praktyce sprowadza się do hamowania niezależności twórców i popierania tzw. sztuki zaangażowanej. Mimo stosunkowo wąskiego terenu działania, zakres katerycznego dyktatu jest o wiele szerszy w wydziale propagandy, niż w innych wydziałach KW.

Wydział Administracyjny jest kryptonimem dla zespołu nadzorującego funkcjonowanie administracji państwowej, praktycznie kierującego działaniami członków rad narodowych, zajmującego się problematyką zdrowia publicznego i opieki społecznej, działalnością administracyjno-policyjną (ewidencja ruchu ludności, sprawy paszportowe, ochrona przeciwpożarowa, ORMO), działalnością stowarzyszeń o charakterze „obronnym”, wreszcie problematyką represyjną (MO, prokuratura, sądownictwo, więziennictwo, inne służby ścigania przestępstw i ochrony interesów państwowych). Oddaje to pod kuratelę wydziału administracyjnego środowiska lekarskie i adwokaturę. Tu zapadają wiążące decyzje o prowokacjach zmierzających do usadzenia niepokornego obrońcy sądowego poprzez wykazanie mu nieksięgowanych honorariów, czy lekarza pod pretekstem wydawania nieuzasadnionych zwolnień chorobowych.

Wydział Oświaty i Nauki sprawuje nadzór nad personelem

i placówkami oświatowymi i naukowymi oraz nad ogółem dzieci i uczącej się młodzieży.

Referat Listów i Inspekcji gromadzi i selekcjonuje skargi ze wszystkich dziedzin życia publicznego. Nie chodzi przy tym wyłącznie o skargi wpływające do komitetów partyjnych. W znacznym stopniu referaty wykorzystują pocztę organizacji masowych — związków zawodowych, redakcji, rozgłośni radiowych itd. Komórka ta specjalizuje się w analizie nastrojów społecznych, korzystając z pomocy innych wydziałów KW i KP.

Z przeglądu kompetencji wynika, że wydziały tworzą w sumie sito obejmujące całokształt życia publicznego. Wyjątkiem w pełnym tego słowa znaczeniu jest wojsko, które posiada autonomiczną strukturę partyjną, podporządkowaną bezpośrednio sekretariatowi KC. Nie istnieje także kuratela wydziałów nad policją polityczną, ukrywającą się pod wspólnym szyldem Milicji Obywatelskiej.

Ile kosztuje aparat partyjny?

Zajmijmy się próbą oszacowania ile kosztuje utrzymanie maszyny partyjnej. Za punkt wyjścia przyjmijmy sugestię zawartą w omawianym artykule. Smolak stwierdza, że wpływy członkowskie pokrywają 60 % wydatków partyjnych w województwie. Składki stanowią określony procent zarobków brutto członka partii. Ponieważ brak informacji jak kształtuje się ów średni partyjny zarobek, przyjmijmy naiwnie, że odpowiada wysokości ogólnopolskiej średniej płacy w gospodarce uspołecznionej. Jej wysokość w 1972 roku — 33.000 złotych rocznie. Na takim poziomie składka partyjna wynosi 1 %, czyli 330 zł rocznie. Pomnożona przez 160 tysięcy członków daje 53 miliony złotych. Dorzucając do tego 40-procentową dotację „z góry”, otrzymujemy minimum budżetowe dolnośląskiej organizacji partyjnej na poziomie 86 milionów złotych. Jest to kwota bezwzględnie zaniżona, szacować ją wypadnie na około 100 milionów złotych.

W drodze dalszych szacunków, których oszczędzimy Czytelnikowi, otrzymaliśmy globalny roczny budżet PZPR w wysokości 1,8-2 miliardów złotych. Składki członkowskie, będące swoistą formą opodatkowania, stanowią połowę wpływów. Druga połowa obciąża ogół obywateli. Przez długie lata składały się na nią głównie dochody z produkcji wydawniczo-poligraficznej RSW-Prasa i SW „Książka i Wiedza”. Najwidoczniej jednak kasa partyjna odczuwała braki. Gierek uzupełnił je więc dochodami „Ruchu” ze sprzedaży pasty do zębów, globulek „Z”, przerwa-

tyw i żyłek, przekształcając to państwowe przedsiębiorstwo w agendę „robotniczej spółdzielni” „Książka-Prasa-Ruch”, której wyłącznym właścicielem jest PZPR. Powiększony koncern partyjny łatwo zaspokoi rosnące potrzeby finansowe partii.



1,8-2 miliardów złotych rocznych wydatków, to stosunkowo niewiele. Ale w praktyce obejmują one wyłącznie koszty utrzymania samej maszyny partyjnej. Poczestunki w toku narad organizacji partyjnych w przedsiębiorstwach i instytucjach pokrywa się z funduszy zakładowych i dyspozycyjnych; imprezy propagandowe w rodzaju dożynek — na których gospodarzem jest partyjny zwierzchnik — powiatowy, wojewódzki czy centralny — opłacają organizacje chłopskie i administracja państwowa w formie dotacji; sale, stadiony itp. urządzenia dla masowych zebrań otrzymuje partia bezpłatnie na każde żądanie; utrzymanie aparatu polityczno-partyjnego w wojsku obciąża budżet ministerstwa Obrony Narodowej; aparat partyjny korzysta z bezpłatnej opieki lekarskiej i nieodpłatnych lekarstw w wydzielonych służbach zdrowia (MSW, MON, Min. Komunikacji, Lecznica Ministerstwa Zdrowia), co ogranicza wydatki partii na ubezpieczenia do utrzymywania jedynie „Polikliniki KC”, ale zmusza resorty „udzielające gościnności” do pokrywania jej kosztów z własnych budżetów itp., itd. W rzeczywistości więc utrzymanie partii jest o wiele kosztowniejsze, niż wynikałoby to z jej formalnego budżetu.



Przykład wrocławski pozwala oszacować średnią płacę terenowego aparatu na 4,5 tysiąca zł miesięcznie. W praktyce płace te wahają się między dwoma a dziesięcioma tysiącami złotych. Ponieważ jednak etatowi pracownicy partyjni są zwolnieni od płacenia podatków, ponieważ korzystają z tanich i atrakcyjnych form akcji socjalnej oraz bezpłatnego lecznictwa, ponieważ mają dostęp do milicyjnych, wojskowych i partyjnych sklepów „konsumowych”, ponieważ zwolnieni są od kłopotów mieszkaniowych — te umiarkowane zarobki nabierają znacznie większej wartości realnej. Rzecz jasna — średnia zarobków w KC jest znacznie wyższa.

Nie znaczy to jednak, że zarobki w partii gwarantują aparatczykom dorabianie się luksusowych samochodów, willi, kolekcji sztuki itd. Część aparatu może się tym istotnie pochwalić, ale tylko dzięki różnym pobocznym dochodom, wcale zresztą nie obciążonym piętnem afery. Z reguły żony aparatczyków plasują

się w bardzo intratnych miejscach pracy (niedawno *Polityka* pisała np. o żonach powiatowych oficjeli robiących pieniądze na rzekomej pracy chałupniczej). Sami aparaczczyści nie gardzą honorariami autorskimi, półetatami w instytucjach naukowo-dydaktycznych (w których nie mieliby czego szukać, nie zajmując partyjnych stanowisk), „obrywkami” w przemyśle za zasiadanie w różnych zespołach, komisjach, radach o charakterze fikcyjnym. Nie trzeba przy tym dodawać, że koszt wybudowania wystawnej willi aparaczczyka jest o wiele niższy od wybudowania byle chłopskiego domku.

Na Zachodzie coraz to dowiadujemy się o skandalach politycznych, wynikłych na tle niewielkich często korzyści materialnych, wypływających ze sprawowania urzędu politycznego czy administracyjnego. Opinia publiczna wymaga od ludzi sprawujących funkcje publiczne nie tylko nieprzekupności, lecz również ostrożności w stosunkach z ludźmi dysponującymi dobrami materialnymi. Takie poczucie moralności jest obce aparatowi partyjnemu, gdyż najwyższe czynniki ustaliły system zapewniający mu stosunkowo wysoką, ale ukrywaną przed społeczeństwem, stopę życiową. Ta podwójna moralność najwyższych czynników zachęca funkcjonariuszy aparatu do szukania korzyści materialnych o wątpliwym, choć nie jawnie przestępczym charakterze.

Jest to temat wymagający osobnego omówienia. Krótko można stwierdzić, że dewiacja moralna stanowi część składową systemu rzutującą na całokształt stosunków społecznych.

Rzadkie i ograniczone represje służą tworzeniu pozorów „wajki o czystość szeregów partyjnych” ale w istocie odzwierciedlają jedynie walki wewnątrzpartyjne między różnymi skrzydłami, orientacjami czy frakcjami w łonie aparatu.

Jarzmo partyjne — jarzmo ekonomiczne

Jeżeli nawet próbowalibyśmy w oparciu o powyższe rozważania oszacować koszt utrzymania partii na kwotę dwukrotnie wyższą od jej formalnego budżetu, to i tak nakłady nie okazałyby się wygórowane. Nie one decydują o wysokich kosztach społecznych rozwoju gospodarczego, o jego niskiej efektywności. Dodatkowe utrzymanie 19 tysięcy ludzi, bo tyle liczy ścisły aparat partyjny, nie powinno odbijać się poważnie na wynikach pracy 32-milionowego społeczeństwa, w którym ilość osób zawodowo czynnych jest wyższa od nieproduktywnych.

Rzeczywiste obciążenie społeczeństwa wiąże się z samą strukturą systemu, polegającą na podporządkowaniu państwa partii i jej władzy — wyjętej spod kontroli społeczeństwa.

Kosztów fałszywej i sprzecznej z polskimi interesami polityki partii nie sposób nawet obliczyć. Składają się na nie antynarodowe przedsięwzięcia w dziedzinie polityki międzynarodowej i w całokształcie polityki gospodarczej. Straty gospodarcze otwiera najbardziej upokarzający rachunek reparacji wojennych, świadczonych pod przymusem sowiecko- i polsko-partyjnym na rzecz Związku Sowieckiego w postaci zdemontowanych instalacji fabrycznych, w formie wieloletnich nieodpłatnych dostaw surowców i bezpłatnych serwitutów tranzytowych. Wątpliwe, czy historia stosunków międzynarodowych zna fakt nałożenia kontrybucji na państwo uczestniczące w zwycięskiej koalicji. W każdym razie żaden uczestnik koalicji antyhitlerowskiej nie pokrywał kosztów prowadzenia wojny wyzbyciem się najcenniejszych obiektów przemysłowych.

Motywacje związane ze zmianami terytorium państwowego Polski nie wytrzymują krytyki. Przesunięcie granic Polski wiązało się ze stratami terytorialnymi. W przeprowadzonych ramach wynikało nie z polskiej inicjatywy lecz sowieckiej i było częścią sowieckiego planu parcia na Zachód. Przewaloryzowanie byłego majątku polskiego na terytoriach Kresów Wschodnich i majątku polniemieckiego na terenie Ziemi Odzyskanych zostało podyktowane interesami ZSSR. Przywódcy partyjni przyjęli bez sprzeciwu ten bilans strat i zysków. Okazali brak odpowiedzialności jako przedstawiciele interesów państwowych, jak również z punktu widzenia ich własnego interesu, tj. korzystnego ułożenia stosunków ze społeczeństwem. Tłumaczyć się to może wyłącznie świadomością władz partyjnych, że płacą sowieckim patronom „odstępne” za zainstalowanie ich w Polsce.

Całokształt późniejszych stosunków ekonomicznych z ZSSR układał się nie tyle pod dyktando silniejszego partnera, ile z racji serwilizmu polskich przywódców partyjnych. Oczywisty interes Polski ustępował wobec życzeń sowieckich nawet w sprawach drugorzędnych, kiedy to transakcje gospodarcze trudno było tłumaczyć względami „wielkiej polityki”. Były to stałe daniny coraz większej liczby polskich negocjatorów partyjnych dla zaskarżenia osobistych względów swoich sowieckich homologów. „Odnowa” za Gomułki nie wprowadziła zasadniczych zmian w tej dziedzinie.

Wprawdzie nad całokształtem stosunków zewnętrznych wszystkich partnerów socjalistycznych ciąży cień ZSSR, ale w erze postalinowskiej i w miarę odprężenia międzynarodowego, wszystkie kraje „socjalistyczne” rozszerzyły margines samodzielności. Jego zakres zależy w każdym wypadku od zręczności politycznych przywódców, od zdolności wykorzystywania różnych czynników politycznych, gospodarczych i społecznych w stałej rozgrywce z ZSSR. Można mieć poważne wątpliwości co do polityki Go-

mułki wobec Niemców. Trudno jednak nie dostrzec, że uregulowanie stosunków z NRF określa się jako osiągnięcie nowej ekipy. Osiągnięcie to sprowadza się jednak do tego, że startując — z dogodnej — dzięki uporowi Gomułki — pozycji, nowa ekipa nie wyciągnęła dla PRL żadnych korzyści ekonomicznych. Nie ulegało wątpliwości, że za pojednanie z Polakami każdy rząd niemiecki gotów był zapłacić wysoką cenę w konkretnych wartościach materialnych. Korzyści ekonomiczne z wyprowadzenia NRF na szerokie wody polityki światowej zainkasował w całości Breżniew. Nowa kamarylla partyjna nadal płaci za własne powodzenie w zmienionej postaci — ale zawsze z publicznej kieszeni.



Gdy polityka międzynarodowa splata się z zagadnieniami gospodarczymi przywódcy mogą wyjaśnić (choć nie zawsze usprawiedliwić) niekorzystne rozwiązania presją zewnętrzną. Jak jednak usprawiedliwić błędne decyzje ekonomiczne, od których roi się w kraju? Jak oszacować straty, skoro zarządzanie gospodarką firmuje formalnie administracja a po wiążących ją dyrektywach partyjnych nie pozostaje śladu? Nawet wówczas, gdy partia musi ze względów społeczno-politycznych przyznać się do popełnionych błędów, ogólnikowe i mętne samokrytyki nie zawierają żadnych konkretnych danych. Gierek wieszał psy na Jaszczuku, ale ani słowem nie wspomniał ile kosztowała Polskę jego samowola. Tym bardziej głucho jest o codziennych, drobnych — ale w sumie dających miliardy strat — sugestiach aparatu partyjnego, kierowanych do rozmaitych instytucji i przedsiębiorstw.

Tak być musi, skoro kryteria gospodarowania pozostają płynne, skoro doza samodzielności, dana jakoby przez Gierka czynnikom administracyjnym, nie pozwala im na bezpieczne pociągnięcia — a bez poczucia pewności i bezpieczeństwa tylko fantasta podejmie ryzyko zmian i przekształceń, bez których nie ma wyjścia z istniejącego zaczerpniętego kręgu. Wielomiliardowe straty, do których nieuchronnie prowadzi samo istnienie zbiurokratyzowanej kurateli partyjnej i podporządkowanie całego organizmu państwowego i gospodarczego aparatowi skłonnemu do rozgrywek — oto główna pozycja opłacanych przez społeczeństwo kosztów partyjnego panowania.

O aparacie parapartyjnym

System władzy partyjnej może się utrzymać jedynie wówczas, gdy na usługach 19 tysięcy etatowych funkcjonariuszy partyjnych

pozostaje w stałej dyspozycji armia bezpośrednio podporządkowanych wykonawców i dozorców „socjalistycznego” porządku. Można względnie dokładnie wyliczyć, ile kosztuje utrzymanie bezproduktywnego i niby-produktywnego aparatu parapartyjnego.

Pominiemy setki tysięcy aktywistów, zatrudnianych doraźnie w akcjach partyjnych, choć ich działalność wiąże się ze znacznymi nakładami materialnymi (np. pokrywanie kosztów organizacyjnych, przejazdów i utrzymania w czasie trwania masowych imprez propagandowych, koszty administracji i umundurowania ORMO, koszty wycieczek i wczasów zasłużonych aktywistów partyjnych i organizacji pozapartyjnych, subsydiowanie wyjazdów zagranicznych aktywistów na imprezy międzynarodowe itp.) oraz wyrównaniem strat zarobków aktywistów wprężonego w częste akcje partyjne. Jasne, iż pieniądze na to znajdują się w pozapartyjnych budżetach, w przechwytywanych funduszach zakładowych oraz... tendencyjnym zanizaniu zarobków pracujących robotników celem wyrównania „partyjnych” niedoborów funduszu płac. Zajniemy się jedynie grupą ludzi formalnie pracujących na różnych etatach a faktycznie zawodowo wykonujących polecenia ścisłego aparatu partyjnego. Znajdziemy ich we wszystkich środowiskach i skupiskach zawodowych.

W wojsku aparat partyjny korzysta z praw i przywilejów normalnego korpusu oficerskiego. Jego działalność pokrywa się z zadaniami etatowego aparatu partyjnego, choć uposażenia wypłacane są z budżetu MON-u. Pozapartyjna część aparatu polityczno-wychowawczego WP jest też wyłącznie instrumentem partyjnym, bez którego wojsko nie funkcjonowałoby gorzej, niż dotychczas.

Z około 1000 największych przedsiębiorstw produkcyjnych, budowlanych, komunikacyjnych działalnością partyjną kierują etatowi sekretarze komitetów zakładowych, opłacani ze środków partyjnych. Na każdego z nich przypada co najmniej dwóch partyjniaków, oddelegowanych do stałej pracy partyjnej. Ci opłacani są przez zakłady pracy.

W jakichś 10-ciu tysiącach urzędów, instytucji i przedsiębiorstw podobnie traktuje się obsadę partyjną, zwolnioną od normalnych funkcji służbowych. Często, szczególnie w urzędach, zwolnionym od pracy zawodowej jest nie sekretarz PZPR, lecz sekretarz techniczny, czyli urzędnik, zajmujący się wyłącznie sprawami administracyjnymi organizacji partyjnej.

Na etatach związkowych znajdziemy około 15 tysięcy osób. Cała machina związkowa pomyślana jest jako stalinowska „partyjna transmisja do władz”.

Poza etatowymi funkcjonariuszami związków zawodowych, w instytucjach, urzędach i przedsiębiorstwach, znajdziemy około

10 tysięcy przewodniczących rad zakładowych, sekretarzy tych rad, przewodniczących większych rad oddziałowych, kierowników akcji socjalnej, kierowników radiowęzłów i gazetek zakładowych itp. itd., którzy korzystają ze stałego zwolnienia od pracy zawodowej.

Nieświadomym należy się tu wyjaśnienie, szczególnie że w wielu zakładach produkcyjnych na Zachodzie miejscowi delegaci związkowi korzystają z opłacanych przez pracodawców krótkich zwolnień od pracy produkcyjnej. Otóż polski system nie ma z tym nic wspólnego. Biurokratyczne stanowiska związkowe w przedsiębiorstwach obsadzane są wbrew woli załóg, w wyniku manipulacji wyborczych. Obsadę kształtują ostatecznie komitety partyjne, przede wszystkim spośród swoich aktywistów. Jeżeli nawet gdzieś wyboru władz związkowych nie da się przeprowadzić według zamysłów partyjnych, to mandatariusze załogi stają wobec konieczności podporządkowania się dyktatowi partyjnemu: w przeciwnym razie narażają się na koncentryczne szykany. Obawa nieodzyskania zawodowego stanowiska po wygaśnięciu mandatu związkowego ostatecznie przesądza ich uległość wobec aparatu partyjnego.

W każdym przedsiębiorstwie państwowym jeden z członków dyrekcji, przeważnie dyrektor administracyjny, to człowiek wprowadzony przez uprawniony komitet terenowy. Praktycznie jego zakres działalności służbowej jest minimalny. Główna rola sprowadza się do stałego informowania o sytuacji w przedsiębiorstwie i to niezależnie od stosunków łączących naczelnego dyrektora oraz innych członków dyrekcji z terenową instancją partyjną. Liczbę owych oczu i uszu wydziałów KP i KW określić należy na jakieś 10 tysięcy.

Okolo 10 tysięcy osób służy etatowo aparatowi partyjnemu w szeregach organizacji młodzieżowych.

Naliczylibyśmy z 5 tysięcy etatów w stronnictwach — Demokratycznym i Ludowym. Nawet według własnych oświadczeń owe stronnictwa działają pod kierownictwem PZPR, a rzeczywiście na polecenie aparatu partyjnego. Jak bezceremonialnie układają się te stosunki obecnie ujawnia w marcowym wywiadzie dla *Polityki* prezes NK ZSL, Stanisław Gucwa. „Bardzo ważną rolę w rozwoju współpracy (między ZSL a PZPR) odgrywają wspólne uchwały Biura Politycznego KC PZPR i Prezydium NK ZSL, udział przedstawicieli Stronnictwa w Komisjach Rolnych przy poszczególnych instancjach Partii...”. O „niezależności” NK od Biura Politycznego wiadomo od dawna. Włączenie aparatu ZSL do komisji partyjnych świadczy o przewyżczeniu wewnętrznej opozycji w ruchu ludowym w terenie i podporządko-

waniu terenowych organizacji ZSL miejscowemu aparatowi partyjnemu.

W sumie otrzymujemy około 60 tysięcy ludzi pobierających uposażenie poza partią wyłącznie za wykonywanie poleceń aparatu partyjnego, za partyjny nadzór nad społeczeństwem.

Dodać do tego należy drugie tyle zbędnych, z punktu widzenia potrzeb normalnego organizmu państwowego, ludzi w mundurach wojsk wewnętrznych WSW, wojsk pogranicza, MO, itd. Ich ogólna liczebność jest czterokrotnie wyższa, ale przyjmujemy, że reszta — trzy czwarte — personelu militarnego i paramilitarnego całkowicie wystarczy do ochrony normalnego porządku publicznego. Trudno wytłumaczyć czym innym, jak interesami samego aparatu partyjnego, utrzymywanie tak wysokich stanów wojsk wewnętrznych, praktycznie nie nastawionych na obronę terytorialną kraju, służb kontrwywiadowczych WSW, które kilkakrotnie już ujawniły się jako organa rozpracowujące konkurencyjne bezpieczeństwo (ostatnim wyczynem na dużą skalę było dostarczenie Gierkowi materiałów kompromitujących Moczarą i jego świtę pozostałą w MSW), trudno uznać potrzebę karmienia dziesiątków tysięcy pograniczników wówczas, gdy wszystkie granice lądowe łączą PRL z „serdecznie” zaprzyjaźnionymi krajami.



Liczebność policji warto rozpatrzyć na tle Francji, kraju nie cieszącego się najlepszą opinią, jeżeli chodzi o policję. Otóż etaty francuskiego ministerstwa Spraw Wewnętrznych przekraczają nieznacznie 100 tysięcy osób. Pewna część tych sił zajmuje się sprawami jakie w PRL należą do kompetencji Min. Zdrowia (pogotowie ratunkowe, ochrona sanitarno-epidemiologiczna), Min. Budownictwa (państwowy nadzór budowlany), Gospodarki Komunalnej (deratyzacja) itd. Francja jest krajem 52 milionów mieszkańców, 3,5 miliona niestałej ludności zagranicznej, posiada terytoria zamorskie, z których ludność ma wolny wjazd do metropolii, przyjmuje co roku wiele ponad 12 milionów turystów zagranicznych, po jej drogach porusza się 17 milionów pojazdów mechanicznych, często-gęsto szpikowanych narkotykami oraz wszelkim dobrem milionowej wartości, pochodzącym z włamań i rabunków. W PRL oficjalne stany etatowe policji sięgają 150 tysięcy ludzi, nie licząc pomocy 370 tysięcy członków ORMO. W przeliczeniu na liczbę ludności, na powierzchnię kraju, na długość dróg jezdnych, na ilość obiektów przemysłowych, na wielkość międzynarodowego ruchu turystycznego, na ilość pojazdów mechanicznych, na ilość ulicznych demonstracji, na wysokość dochodu narodowego, na ilość produkcyjnie czynnej lud-

ności — na co komu ochota — policji w PRL jest trzykrotnie więcej, niż potrzeba Francuzom do zapewnienia porządku publicznego.



Gdy tak spojrzeć na aparat partyjny i parapartyjny — a spojrzeć inaczej nie sposób — to okaże się, że jego utrzymanie kosztuje ponad 7 miliardów rocznie — w samych tylko wydatkach osobowych. Jest to kwota równa wydatkom na opłacenie całego personelu lekarskiego i pielęgnarskiego we wszystkich dziedzinach publicznej służby zdrowia. Jest to więcej niż wynoszą globalne wydatki państwa na kulturę, sztukę, kulturę fizyczną, turystykę i wypoczynek — razem wzięte. A przecież liczymy jedynie uposażenia — umundurowanie, wyposażenie, środki komunikacji, delegacje służbowe, ubezpieczenia itd. podwajają tę kwotę.

Rozdymanie parapartyjnego i partyjnego aparatu nadzorczego wynika z biurokratycznych wynaturzeń. Krytycy słusznie podkreślają, że utrzymywanie tej bezproduktywnej — i jak wykazał się szkodzącej rozwojowi — armii, dotkliwie ogranicza efekty gospodarki narodowej i wysokość konsumpcji społecznej. Byłoby jednak grubym uproszczeniem wiązanie obecnego stanu rzeczy z zamysłami Gierka i towarzyszy. Aparat ukształtował się w toku procesu historycznego, zainaugurowanego przechwyceniem władzy przez partię mimo woli społeczeństwa i bez minimalnego bodaj w nim oparcia.

Opanowanie sytuacji prowadziło do przewencyjnej dyskryminacji wszelkich potencjalnych kontrkandydatów, zwłaszcza cieszących się miernym wśród ludności, i zorganizowania własnego „zaplecza społecznego”. Ten drugi zabieg polegał na rekrutacji elementów karierowiczowskich, o mętnej często przeszłości, bez należytego przygotowania zawodowego i ustabilizowanej pozycji społecznej. Reforma rolna i uspołecznienie środków produkcji neutralizowały chłopów i robotników do czasu, gdy obietnice poprawy ich warunków materialnych i społecznych mogły wydawać się prawdziwe. Nieuchronne konfrontacje klasowe partii z ludźmi pracy wzmacniały tendencje etatystyczne i wchłanianie z klas pracujących karierowiczowskiego marginesu. Jego znaczenie rosło. Czynnikiem sprzyjającym był fakt, że w warunkach niedorozwoju gospodarczego, pogłębianego biurokratycznymi metodami zarządzania, ciągle ciążyła nadwyżka wolnego, niewykorzystanego potencjału ludzkiego, szczególnie dużego w latach osiągnięcia dojrzałości produkcyjnej przez powojenny wyż demograficzny.

Względna poprawa sytuacji na rynku pracy w ostatnim dwu-

leciu wynika nie tylko z pewnych zmian organizacyjnych i zwiększenia produkcji, ale również z „eksportu” około 80 tysięcy ludzi do NRD, Czechosłowacji i na budowy w krajach pozaobozowych oraz wyjazdu do NRF spolszczonych Niemców. Mimo tego wychodźstwa ekonomicznego i politycznego ciągle jeszcze nie ogranicza się bezproduktywnych aparatów parapartyjnych i nie kieruje ich członków do produkcji.

Nadmiar ludzi jest jedynym racjonalnym tłumaczeniem obecnego układu stosunków polityczno-społecznych, którym chętnie szermują ludzie partii wobec obserwatorów zagranicznych. Sugerują, że gierkowski rozwój gospodarczy prowadzi m.in. do obniżania liczebności aparatu biurokratycznego.

Perspektywy te są z gruntu fałszywe. Po pierwsze ze względu na wielkość rzeczywistej rezerwy ludzkiej, głównie na wsi. Okaże się ona zawsze bardziej gotowa do zmiany charakteru pracy, mniej wymagająca i bardziej podatna na uformowanie w fabrykach i przedsiębiorstwach usługowych, niż aparat parapartyjny. Przy obecnym tempie powstawania nowych miejsc pracy w PRL, co najmniej w okresie najbliższego dziesięciolecia nie grozi brak naturalnych uzupełnień roboczych z chłopskich roczników osiągniętych dojrzałość.

Po drugie nie istnieje i nie zaistnieje w tym okresie zapotrzebowanie na ludzi bez kwalifikacji zawodowych — potrzebni są tylko fachowcy. Aparatczycy w grę więc nie wchodzi.

Po trzecie władza, znająca lepiej od obserwatorów rzeczywistą sytuację gospodarczą, możliwość jej rozwoju, a także nastroje społeczne, wie że spodziewane trudności mogą doprowadzić do nowych napięć. Wzrost etatów policyjnych, wycofanie obietnic reformy związków zawodowych, próba wprowadzenia antyrobotniczego kodeksu pracy, przekształcenia organizacyjne i wzmocnienie kadrowe organizacji studenckich, próby zaostreżenia prawnych represji „antypasożytniczych”, bezpośredni nadzór wyższych funkcjonariuszy partyjnych nad największymi załogami produkcyjnymi, drażniące rozprawy sądowe z opozycją, ponawianie presji na środowiska intelektualne, wycofanie się z obietnic unormowania stosunków z Kościołem — wszystko to ujawnia obawy Gierka. Nie myśli on o ograniczeniu aparatu parapartyjnego i policyjnego, lecz przeciwnie, wzmacnia ich siłę i znaczenie.

Po czwarte ewentualność pokojowego przekształcenia, pasożytniczego z natury, aparatu w ludzi pracy nie wchodzi w rachubę ze względu na mentalność biurokratyczną, umocnioną trzydziestoletnim niemal doświadczeniem. Działalność „polityczna”, „społeczna”, nadzorcza, praktyczna władza nad ludźmi — bez względu na szerokość jej zakresu — są dla tych ludzi wyrazem awansu społecznego. Praca w produkcji, nawet praca umysłowa, ma

jedynie walor usługowy. Będą się zatem zażarcie bronić przed ewentualnością opuszczenia szeregów „zbrojnych ramion”, „transmisji”, „młodzieżowych awangard” i inaczej — ale zawsze wzniosłe — określanych serwilistycznych służb parapartyjnych.

Gierek i jego pomocnicy, wyrosli w aparacie, zdają sobie lepiej niż ktokolwiek sprawę z niebezpieczeństwa ograniczenia aparatu przez jego redukcję i czystki. Atmosferę lat 1967-68 stwarzali ludzie wykluczeni z aparatu w latach 1950-1957, którzy nie znaleźli satysfakcji moralnych w nowych miejscach pracy, nawet bez względu na korzystne warunki materialne. Ich niezadowolenie nie dotyczyło Gomułki, ale wyrażało gorycz wobec góry, która ich „oszukała” i „skrzywdziła”. MSW, nawet w rękach najpewniejszego Kowalczyka, nie gwarantuje, że w razie poważniejszej próby wdrażania aparatczyków do normalnego życia produkcyjnego nie znajdzie się nowy Moczar, dyskontujący dla siebie niezadowolnienie.

Zresztą Gierek nie ma po prostu takich zamiarów. Przeciwnie, stłumieniem hałasu dookoła rotacji kadr podkreślił gotowość dożywnotnego opierania się na zawodowym aparacie społeczno-politycznym.

Artykuł Smolaka przesłał mi redaktor *Kultury* przed kilku miesiącami. Prosił o komentarz. Wahałam się. Nigdy naprawdę nie poznałam, ani nie próbowałam poznać zaklętych rewirów aparatu. W tych sprawach jestem ignorantem. Zdecydowałam się wreszcie z kilku powodów, które uważam za słuszne wymienić.

Inspirowana przez KC — niewątpliwie przez samego Szydłaka — partyjna laurka pióra wrocławskiego publicysty powinna spotkać się z rzeczową ripostą. Zabrałam głos w nadziei, że zachęcę innych, bardziej kompetentnych, do pełniejszego naświetlenia tej sprawy.

Od dawna wydawało mi się celowe omówienie problematyki partyjnej w periodyku emigracyjnym. Emigracja nie zadaje sobie bowiem trudu odróżnienia aparatu partyjnego wraz z jego przedłużeniami od ogółu członkowskiego. Taka postawa utrudnia zrozumienie sytuacji w kraju i prowadzi na manowce wiele akcji politycznych.

Pogrudniowy zwrot polityczny w PRL cieszy się umiarkowanym uznaniem opinii światowej i wzmożonym oddziaływaniem krajowej propagandy. W atmosferze Kongresu Wiedeńskiego gruby nietaktem byłaby nadmierna dociekliwość w sprawie charakteru władzy nad Wisłą. Przyjmuje się więc na wiarę, że po „tyraniu” Gomułki nastąpiła „liberalizacja” gierkowska. Nie są

wolni od takich wyobrażeń nawet ludzie inteligentni, nawet Polacy. Trzeba było zwrócić ich uwagę na zwieranie szeregów biurokratycznych, na wzrost autokratycznych metod sprawowania władzy. Artykuł *Gazety Robotniczej* był do tego celu dogodną okazją.

Starałam się nie wybiegać poza tematykę zakresloną przez Smolaka — uwagi ograniczyłam więc do spraw aparatu. Do licznych dygresji skłoniła mnie myśl o Czytelnikach słabiej zorientowanych w krajowych stosunkach. Pomięłam jednak całkowicie obszerną tematykę partyjną i ogólnospołeczną, zasługującą na oddzielne omówienie. Moim zdaniem należałoby przedstawić opinię publiczną obecny kryzys strukturalny partii w wyniku polityki Gierka. Mało kto wie np., że od 15 lat zmniejsza się odsetek robotników i chłopów w PZPR przy systematycznym jej wzroście liczebnym, że w roku 1971 ubyłoby z szeregów partii ponad 67 tysięcy chłopów i robotników, że w tym samym roku liczba partyjnej młodzieży (do lat 24) spadła o 51 tysięcy, że z podziałów społeczno-zawodowych i według wykształcenia można wnioskować o karierowiczowsko-biurokratycznym charakterze rozwoju partii (Ten kierunek przekształceń antyproletariackich doczekał się nawet oficjalnego wprowadzenia podwójnej miary w wewnętrznym systemie wyborczym — jednej dla organizacji partyjnych o przewadze żywiołu biurokratycznego, innej dla organizacji partyjnych w wielkich skupiskach robotniczych) itp., itd.

Z licznych rozmów, prowadzonych już na Zachodzie, wnioskuję że nie rozumie się tutaj samego mechanizmu politycznego, który skupia pełnię władzy w rękach „centralnej biurokracji” (mam poważne wątpliwości co do tego terminu). Jego istoty, niezrozumiałej dla ludzi nie znających „socjalizmu”, nie tłumaczy sam fakt obsadzania czołowych stanowisk ludźmi wyznaczonymi przez partię, wolnymi od społecznego nadzoru. Jak więc w praktyce działa, na czym się opiera?

Polityka Gierka ma wyraźnie charakter klasowy. Obserwujemy burzliwe konsolidowanie nowej klasy średniej. Na czym to polega? Jakże są polityczne i społeczne konsekwencje tworzenia nowej rzeczywistości?

Są to zagadnienia o wysokiej aktualności, ułatwiające zrozumienie tego co się dziś dzieje w kraju i pozwalające na określenie perspektywy dalszych przekształceń sytuacji.

Sądzę, że powinny znaleźć miejsce w *Kulturze*.

Ewa WACOWSKA

Jeszcze o organizacjach studenckich

Koleżanki i Koledzy!

W uchwale podjętej na Przedkongresowej Konferencji Uczelnianej ZSP Uniwersytetu Warszawskiego znajduje się stwierdzenie, iż zdecydowana większość studentów UW popiera tendencje integracyjne w ruchu młodzieżowym, jednak duża część tych samych osób sceptycznie ocenia możliwość realizacji tych tendencji w *monoorganizacyjnym* modelu ruchu studenckiego. Występuję dziś w imieniu tych delegatów, którzy reprezentują studentów podzielających to stanowisko.

Niestety nie możemy dziś powiedzieć, że jakkolwiek z przedstawionych jako uzasadnienie takiego stanowiska argumentów i postulatów uwzględniony został w proponowanych przez komisję Rady Naczelnej rozwiązaniach modelowych i programowych na przyszłość. Nie stało się tak jednak z powodu niezauważenia naszych głosów. Świadczy o tym fakt komentowania i ustosunkowywania się do nich we wszystkich ważniejszych materiałach i wystąpieniach przedstawicieli instancji organizacyjnych, partyjnych i uczelnianych. Rzadko miały one niestety charakter merytorycznej polemiki. Krytyka sprowadzała się do szufladkowania, apriorycznego wartościowania tych stanowisk jako niezgodnych z duchem socjalizmu, marksizmu-leninizmu, „socjaldemokratycznych”, czy wręcz wrogich, inspirowanych przez antysocjalistyczne siły, które z terenu naszej uczelni uczyniły sobie poligon doświadczalny. W takiej sytuacji, mimo, że zjednoczenie organizacji studenckich jest już postanowione, a zatem nawoływanie do ponownego rozpatrywania podstawowych problemów nie ma już sensu, jako reprezentanci tych wszystkich, którzy wyżej przedstawione stanowisko reprezentują — zobowiązani jesteśmy do ponownego przedstawienia jego genezy i uzasadnienia aby przynajmniej krzywdą wyrządzona nam wszystkim przez nieodpowiedzialne określenie i oceny okazała się dla wszystkich oczywista, wymagająca naprawy.

I. Stanowisko członków i działaczy ZSP, którzy wypowiedzieli się przeciw zjednoczeniu organizacji studenckich jest zgodne ze stanowiskiem władz trzech organizacji na poziomie wynikających z uchwały VII Plenum PZPR celów. Różnice — mieszczą się w zakresie oceny sytuacji w ruchu studenckim oraz środków do realizacji wspomnianych wspólnych celów.

II. W prowadzonych na UW dyskusjach padały między innymi następujące zarzuty do proponowanych rozwiązań:

1. Wydaje się, że połączenie funkcji samorządowych ze związkową i ideowo-polityczną w jednej, rozbudowanej strukturze organizacyjnej, prowadzi do obniżenia efektywności pracy w każdym z wymienionych wyżej zakresów:

- Samorządność studencka musi mieć charakter powszechny. Jej znaczenie wychowawcze jest jasne — każdy obywatel społeczeństwa socjalistycznego musi uczyć się współkierować strukturami i instytucjami społecznymi, w których funkcjonuje, współodpowiadać za nie. Jeżeli organizacja ideowo-polityczna, która nie jest powszechna, ma być reprezentantem interesów całego środowiska studenckiego, powyżej opisany cenny walor wychowawczy samorządności zostanie znacznie zubożony.
- Możliwe są sytuacje, w których działacz szczebla wydziałowego musi reprezentować stanowisko grupy studenckiej, które po części pozostaje w sprzeczności z planami czy koncepcjami działania organizacji. Będąc w sytuacji sprzecznych oddolnych i odgórnych nacisków, wywołujących napięcie, poczucie bezwolności, może on łatwo przyjąć postawę konformistyczną — a zatem niezgodną z elementarnymi wartościami związanymi z osobowością człowieka społeczeństwa socjalistycznego.

2. Wydaje się, że podstawą autentycznego zaangażowania w działalność społeczno-polityczną jest *świadomy wybór*, z którego wynika poczucie odpowiedzialności. Istnienie tylko jednej organizacji nie daje tej podstawowej możliwości, sprzyja natomiast postawom deklaratywno-koniunkturalnym, pozornie zaangażowanym. Wyobraźmy sobie studenta, który nie ma w pełni wykształconego światopoglądu, a podpisuje deklarację ideowo-polityczną tylko po to, by móc pracować tylko w sekcji turystyki i sportu, lub posiadać wynikające ze statusu członka przywileje. Jest to wysoce demoralizujące z punktu widzenia socjalistycznych celów wychowania.

3. Już na początku dyskusji nasuwały się przypuszczenia, które dotychczasowa praktyka działania komitetów integracyjnych raczej potwierdza, że środowisko studenckie zostanie podzielone na dwa obozy: tych, którzy działają w nowej organizacji i tych, którzy jej nie akceptują, oddziałujących i będących przedmiotem oddziaływań. Nie można dzielić ludzi na „wzorowych komunistów” i „resztę”, łatwo tu popaść w niebezpieczeństwo formuły „kto nie z nami ten przeciw nam”. Tak więc w sprzeczności z podstawowymi celami jedna organizacja prowadzić będzie do dezintegracji środowiska. Fakt ten poważnie nas niepokoi, bo w pełni akceptujemy postulat integracji młodzieży.

Istnieje jeszcze wiele zarzutów wskazujących niezgodność konsekwencji działania planowanych struktur z psychologicznym modelem osobowości opartym na normatywnej etyce marksis-

towskiej, których ze względu na specjalistyczny i szczegółowy charakter nie możemy w tej chwili przytaczać.

Wydać się, że zmiany strukturalne (organizacyjne) powinny być konsekwencją uświadomionych potrzeb i aspiracji środowiska, winny kanalizować pojawiające się na niższych szczeblach trendy, których dalszy rozwój rozsądza krępujące je formy strukturalne. W ten sposób udaje się zachować naturalność i współzależność procesu społecznego ze zmianami organizacyjnymi. W sytuacji kiedy zmiany te nie nadążają za pewnymi ujawnionymi trendami lub je wyprzedzają, powstają konflikty i napięcia społeczne. Takie zjawisko można było zaobserwować właśnie na Uniwersytecie Warszawskim.

III. Krytykując koncepcję jednej organizacji studenci UW postulowali zmiany w zakresie konkretnych rozwiązań w ramach obecnie istniejącego systemu trzech organizacji. Wykrystalizował się również inny model, naszym zdaniem najlepiej odpowiadający aktualnym celom i warunkom. Sprowadza się on do istnienia trzech niezależnych struktur:

- system powszechnej samorządności,
- powszechna organizacja o charakterze ZSP,
- studencka organizacja polityczna.

IV. Odnosimy wrażenie, że podstawowe wartości socjalistycznego wzorca osobowego jak nonkonformizm, zaangażowanie, aktywność, uczciwość, postawy twórcze i nowatorskie funkcjonują niestety w naszym środowisku na poziomie deklaracyjnym i retorycznym, tzn. w przemówieniach, dokumentach etc. Natomiast faktycznie polityka działania kreuje postawy i zmusza do zachowań wręcz przeciwnych. Jaskrawym przykładem jest reakcja na krytykę proponowanego modelu monoorganizacyjnego, o czym wspominaliśmy wcześniej. Wymaga się od nas krytycyzmu, nonkonformizmu, a przecież zachowania takie konsekwentnie przejawiane są postrzegane jako destruktywne, wrogie, inspirowane przez „obce siły” itd.

Chcemy wyrazić zasadniczy sprzeciw, niezgodę na taką sytuację, ponieważ jest ona nieuczciwa w stosunku do tych, którzy chcą być konsekwentni wobec samych siebie i środowiska, które reprezentują.

Jest mało prawdopodobne, by nowa organizacja nie kontynuowała tego stylu pracy — i jest to przedmiotem niepokoju wielu studentów.

W ogóle atmosfera i charakter dyskusji przedkongresowej poważnie rzutowały na jej wyniki i obecny stosunek wielu studentów do nadchodzących przeobrażeń.

O ile obecny Kongres miałby podjąć decydujące uchwały o przyszłości ruchu studenckiego, to winien on być poprzedzony szeroką i wnikliwą dyskusją wśród ogółu studentów. Niepokoi fakt, że takiej dyskusji nie przeprowadzono na uczelniach w sposób właściwy. Toczyła się ona bowiem dwoma torami:

- oddzielnie na wyższych szczeblach organizacji studenckich;
- oddzielnie na szczeblu wydziałowym (niekiedy uczelnianym), gdzie rodziła się spontanicznie, powodowana dezinformacją i nie zawsze oficjalnymi wiadomościami o decyzjach i propozycjach władz organizacji studenckich.

Decyzje te zresztą nie uwzględniały wyników dyskusji na niższych szczeblach, nie wykorzystano najprostszej metody badania opinii studentów jaką jest plebiscyt czy socjologiczne badanie ankietowe.

W tym czasie prasa studencka nie poruszała w dostatecznym stopniu problematyki zjednoczenia. Zagadnienie to, podjęte zresztą z dużym opóźnieniem w porównaniu z rzeczywistym terminem rozpoczęcia dyskusji, przedstawione było zbyt jednostronnie.

Jaskrawym przykładem skutków ubocznych takich ograniczeń jest fakt opublikowania przez paryską *Kulturę* dwóch artykułów, w których kilku działaczy ZSP z UW przedstawiało stanowisko polemizujące z ideą zjednoczenia zawierające propozycje innego rozwiązania (patrz punkt 3).

Współautor tego artykułu, delegat UW kol. Konrad Bieliński chciał, by opinia publiczna i działacze innych ośrodków zapoznali się z prezentowanym w artykule stanowiskiem. Przedstawił artykuł w redakcji *Polityki* i *Studenta*. Jednak — nie kwestionując ich formalnego poziomu — wspomniane redakcje nie zgodziły się na publikację tych artykułów. Popełniono ogromny błąd, umożliwiając zachodnim ośrodkom tworzenie atmosfery politycznego niepokoju, poprzez wykorzystanie materiałów, które zamieszczone w polskiej prasie mogłyby się jedynie przyczynić do pogłębienia i podniesienia rzetelności dyskusji, a wyłącznie dzięki temu, że nie zamieściła ich nasza prasa stały się atrakcyjne dla paryskiej *Kultury*. Jest chyba zupełnie jasne, że nie autorzy wspomnianych artykułów, ponoszą odpowiedzialność za negatywne skutki polityczne tej sprawy.

Na niektórych wydziałach UW zamykano wolne trybuny studenckie, ograniczając możliwość prezentowania kolegom swoich stanowisk.

Stosowano politykę faktów dokonanych, usiłując dyskutować nie o tym czy zjednoczyć, ale jak zjednoczyć? Wrażenie, że sprawa zjednoczenia jest już rozstrzygnięta wpłynęło na zubożenie wielu studentów, proces ten aktualnie się na UW pogłębia.

Ogółowi studentów nie umożliwiono też dyskusji o kształcie przyszłych rozwiązań organizacyjnych. Przykładem jest sprawa statutu nowej organizacji, jego projekt przedstawiono jedynie gronu działaczy i to też w ostatniej chwili.

Doszło do stanu, w którym ogół studentów ma prawo sądzić, że obecny Kongres ma jedynie uprawomocnić decyzje zapadłe

na wyższych szczeblach organizacji bez akceptacji i przedyskutowania ich przez szeregowych członków ZSP.

Koleżanki i Koledzy,

W końcu ubiegłego roku środowisko uzyskało możliwość sformułowania swej opinii i podjęcia decyzji w sprawach organizacyjnych.

Zagwarantowane to zostało na VII Plenum KC PZPR.

Skorzystaliśmy w większym lub mniejszym stopniu z tego prawa. W wypadku UW duża część studentów i działaczy wypowiedziała się negatywnie o koncepcji monoorganizacyjnej. W toku całej dyskusji argumenty tej strony nie zostały ani podważone ani obalone — więcej, nie zostały z nimi podjęte żadne rzeczowe dyskusje.

Dziś z czystym sumieniem i poczuciem odpowiedzialności konsekwentnie prezentujemy nasze stanowisko.

Bowiem nigdy w sytuacjach, kiedy zaangażowane są duże emocje i racje społeczne, nie może być jednomyślności, atmosfery bezwzględności i braku krytycznego oglądu spraw podstawowych.

Warszawa, 25 marca 1973

IRENA HALAK, KONRAD BIELIŃSKI,
JACEK SANTORSKI, TADEUSZ SZAWIEL
— DELEGACI UW NA VIII KONGRES ZSP.

"POLONIA"

KSIEGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwaratu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej KULTURY i ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Sąsiedzi

Jubileusz Twa Naukowego im. Szewczenki

Spółeczność ukraińska w diasporze obchodzi w tym roku stulecie istnienia swego najstarszego towarzystwa naukowego — Towarzystwa Naukowego im. Szewczenki.

Poprzednikiem Towarzystwa Naukowego im. Szewczenki było Towarzystwo im. Szewczenki utworzone 11 grudnia 1873 roku we Lwowie z inicjatywy i z funduszów działaczy ukraińskich z Naddnieprzowszczyzny pod egidą znanego pisarza Ołeksandra Konyńskiego. Celem jego było utworzenie bazy swobodnego rozwoju ukraińskiej literatury i nauki poza zasięgiem rosyjskiej cenzury i nacisków administracyjnych. W ciągu 19 lat swego istnienia Towarzystwo Szewczenki wydało 20 książek, w tej liczbie trzy tomy „Historii literatury ruskiej” O. Ohonowskiego — pierwszej w rozwoju literaturoznawstwa ukraińskiego.

W związku z tłumieniem ukraińskiej działalności naukowej na terenach rosyjskich po Dekrecie Emskim 1876 roku, który wprowadził zakaz drukowania książek w języku ukraińskim, jak również szereg innych zakazów, Towarzystwo Literackie im. Szewczenki — staraniem O. Konyńskiego i W. Antonowicza — zostało zreorganizowane w Towarzystwo Naukowe im. Szewczenki. Wzorem tej reorganizacji były zachodnioeuropejskie zakłady naukowe, a celem — stworzenie bazy dla przyszłej ukraińskiej akademii nauk. W tym celu utworzone zostały trzy sekcje: filologiczna, historyczno-filologiczna oraz matematyczno-przyrodniczo-lekarska. Pierwszym prezesem Towarzystwa był Ołeksander Barwiński.

Towarzystwo zdobyło szczególnie prestiż w świecie naukowym i uznanie w społeczeństwie ukraińskim pod kierownictwem M. Hruszewskiego. Po przyjeździe w roku 1894 do Lwowa włączył się w prace Towarzystwa i od roku 1897 do roku 1913 był jego prezesem. Z jego inicjatywy przeprowadzono zmianę statutu w roku 1899. Według nowych postanowień członkowie Towarzystwa dzielili się na rzeczywistych — wybieranych przez sekcje, oraz zwyczajnych — bez prawa decydującego głosu w sprawach naukowych. Pod kierownictwem Hruszewskiego jako prezesa, etnografa Wołodymyra Hnatiuka jako sekretarza (od roku 1899) oraz pisarza i uczonego Iwana Franki jako dyrektora Sekcji Filologicznej (1898-1908) Towarzystwo stało się faktyczną akademią nauk.

Utworzenie Towarzystwa im. Szewczenki oznaczało nowy etap w rozwoju nauki ukraińskiej. Odtąd nauka ukraińska miała do dyspozycji organizację działającą w wolnych warunkach. Po raz pierwszy w rozwoju nauki ukraiń-

skiej utworzona została organizacja nie o charakterze lokalnym, lecz ogólnoukraińska i obejmująca liczne gałęzie nauki.

Praca naukowa Towarzystwa koncentrowała się w trzech wspomnianych wyżej sekcjach, licznych komisjach i instytucjach, które wydawały swoje zbiory i prace. Czołowe miejsce w działalności wydawniczej Towarzystwa zajmowały „Zapysky NTSz”, zainicjowane jeszcze w roku 1892 (1 tom) i przekształcone w roku 1895 przez M. Hruszewskiego w kwartalnik, potem na dwumiesięcznik poświęcony różnym działom ukrainoznawstwa. W okresie prezesury M. Hruszewskiego ukazało się 120 tomów „Zapysk”. Ogółem za lata 1891-1913 Towarzystwo wydało 430 tomów prac naukowych (m.in. 8 tomów „Historii Rusi-Ukrainy” M. Hruszewskiego), wszystkich wydawnictw — 800. Rozbudowane zostały kontakty naukowe z kołami naukowymi i instytucjami tego typu w świecie. Poważną rolę odegrały także biblioteka (w roku 1914 ponad 100.000 tomów), muzea i księgarnie Towarzystwa.

Członkami rzeczywistymi Towarzystwa byli wszyscy wybitni uczeni ukraińscy i ponad 40 nieukraińskich. Budżet (w roku 1913 ponad 100.000 koron austriackich) pokrywało Towarzystwo z subwencji państwowych, z dochodów z drukarni oraz z darów mecenasów, przede wszystkim z terenu Ukrainy pod zaborem rosyjskim.

Pewne zmiany w roli i zasięgu działalności Towarzystwa nastąpiły po roku 1905, kiedy to na Ziemiach Centralnych i Wschodnich powstały nowe możliwości dla ukraińskiej działalności naukowej. W roku 1907 powstało w Kijowie, na skutek inicjatywy Towarzystwa, „Ukraińskie Towarzystwo Naukowe”. Wówczas to przeniesiono ze Lwowa do Kijowa „Literaturno-Naukowyi Wisnyk”, którego redaktorem był M. Hruszewskij.

Rozwój działalności naukowej Towarzystwa został przerwany przez wybuch pierwszej wojny światowej. W wyniku działań wojennych nie doszło do realizacji planów przekształcenia Towarzystwa w Akademię Nauk, co miało nastąpić w roku 1916. Podczas okupacji rosyjskiej 1914-15 działalność Towarzystwa była zakazana, zaś w latach następnych poważnie ograniczona w rezultacie działań wojennych.

Po wojnie działalność naukowa i wydawnicza Towarzystwa była znacznie słabsza niż przed wojną. Wielu członków Towarzystwa znalazło się na emigracji, inni emigrowali na Ukrainę sowiecką, rząd polski odebrał subwencje państwowe. Z chwilą powstania Ukraińskiej Akademii Nauk w Kijowie i szeregu ośrodków naukowych na emigracji Towarzystwo im. Szewczenki utraciło w latach dwudziestych swe znaczenie jako centralny ośrodek naukowy. Równocześnie w ciągu lat dwudziestych Towarzystwo im. Szewczenki utrzymywało aktywne stosunki z Ogólnoukraińską Akademią Nauk w Kijowie. Prace członków Towarzystwa wydawane były nakładem Akademii, z drugiej zaś strony Towarzystwo wydawało — poza pracami swych członków oraz uczonych ukraińskich przebywających na emigracji — również prace naukowców z Ukrainy sowieckiej. Kontakty te zostały przerwane w latach 30-tych, kiedy to życie naukowe ukraińskie na sowieckiej Ukrainie zostało rozgromione.

Działalność naukowa Towarzystwa uległa rozszerzeniu na niektóre dalsze dziedziny, w szczególności w zakresie nauk przyrodniczych i matematycznych. Powstały nowe instytuty naukowe, dwa muzea, biblioteka powiększyła się do 300.000 tomów. Z uwagi jednak na brak funduszy materialnych działalność wydawnicza uległa osłabieniu. W latach 1919-1939 ukazało się 160 publikacji naukowych oraz 340 publikacji w ogóle. W tym okresie na czele Towarzystwa stali: S. Tomaszewskij, W. Szurat (1921-23), K. Studynskij (1923-32), W. Łewyckij (1932-35) i I. Rakowskij (od roku 1935).

Bolszewska okupacja zachodnich ziem Ukrainy w roku 1939 oznaczała zahamowanie działalności Towarzystwa, które 14 stycznia 1940 roku zostało rozwiązane; na jego bazie utworzono filię Akademii Nauk USSR. Nie było

rzeczą możliwą odnowienie działalności Towarzystwa również podczas okupacji niemieckiej. Działalność ta została dopiero odnowiona po wojnie na emigracji, w Niemczech Zachodnich, gdzie znalazła się większość członków rzeczywistych NTSz oraz członków zarządu. Z inicjatywy W. Kubijowycza i I. Rakowskiego odbyło się walne zgromadzenie Towarzystwa, wybrano nowe władze — I. Rakowskij, potem Z. Kuzela — sekretarzem generalnym został W. Kubijowycz. Wtedy też przyjęto szereg nowych członków rzeczywistych, zwłaszcza z Ziemi Centralnych i Wschodnich, z którymi przez dłuższy czas nie było kontaktów, odnowiono prace sekcji i komisji, utworzono nowe komisje oraz kilka instytutów, zaś w krajach o dużym skupieniu członków utworzono oddziały Towarzystwa.

W związku z tym, że wielu członków opuściło Niemcy, centrala Towarzystwa przeniesiona została do Sarcelles pod Paryżem. W roku 1955 oddziały przekształcone zostały na autonomiczne krajowe Towarzystwa Naukowe im. Szewczenki: australijskie, amerykańskie (prezes M. Czubytyj, potem R. Smal-Stočkyj i M. Stachiw), europejskie w Sarcelles (prezes W. Kubijowycz), kanadyjskie (w Toronto, prezes J. Wertyporoch). Pracę oddziałów i sekcji koordynuje do pewnego stopnia Rada Główna Towarzystwa.

Bardziej ożywioną działalność naukową wykazują Amerykańskie i Europejskie Towarzystwa im. Szewczenki. Rozproszenie członków oraz ciężkie warunki życia na emigracji poważnie utrudniają pracę NTSz. W ciągu 25 lat istnienia NTSz wydało 240 prac naukowych i popularno-naukowych, z tego 32 tomy „Zapysk”. Najpoważniejszym osiągnięciem NTSz na emigracji jest praca nad Encyklopedią Ukrainoznawstwa. Dotąd ukazało się 9 tomów w języku ukraińskim oraz 2 tomy w języku angielskim. Siedzibą Głównej Redakcji Encyklopedii jest Sarcelles, a redaktorem naczelnym — W. Kubijowycz. Własne biblioteki posiadają jedynie Europejskie NTSz (16.000 tomów) oraz Amerykańskie NTSz.

Od roku 1903 do roku 1972 członkami rzeczywistymi Towarzystwa było 16 uczonych polskich, a wśród nich w sekcji historyczno-filozoficznej: Oswald Balczer, Oskar Halecki, Przemysław Domkowski, Stanisław Kot, Ludwik Kubala; w sekcji filologicznej — Jan Baudouin de Courtenay, Aleksander Brückner, Teodor Gartner, Jan Łoś, Kazimierz Moszyński, Kazimierz Nitsch, Stanisław Szober i inni.

Kronika czeska i słowacka

W żadnej dziedzinie fachowej nie nastąpiły w tak masowej skali zwolnienia co na wydziałach filozoficznych i w instytutach historycznych. Przede wszystkim musieli opuścić swe stanowiska ludzie najbardziej uzdolnieni i najbardziej wydajni, ludzie których dzieło dalekie było od ukończenia. Musieli odejść nie tylko dlatego, że w latach 1968-1969 chcieli zrobić karierę, lecz dlatego że obrali nowe drogi w swych badaniach naukowych w kraju, w którym na przestrzeni 15 lat nauki historyczne związane były jak najściślej z celami politycznymi i akcjami propagandowymi. Musieli odejść, bo wobec starej a zarazem nowej władzy zdobyli się na odwagę zachowania własnej twarzy.

Uległy likwidacji wszystkie katedry, jak katedra historii nauki, katedra historii międzynarodowego ruchu robotniczego, katedra komunizmu

naukowego na Uniwersytecie Karola. Instytuty naukowe zostały poważnie okrojone; pozostało w nich zaledwie 15-20 % dawnych pracowników. Czystka objęła również archiwa i biblioteki.

Jest rzeczą praktycznie niemożliwą podać pełną liczbę naukowców i pedagogów, których objęły represje i którzy musieli opuścić uniwersytety i instytuty naukowe. Przeprowadzona została całkowita reorganizacja tych zakładów, po której wszelkie kontakty natury osobistej ustały. Każda próba zdobycia tego rodzaju danych stanowi w oczach władzy czyn przestępczy prowadzący do poważnych skutków.

Według bardzo ostrożnych ocen 70-80 % pracowników naukowych z instytutów, wyższych uczelni, archiwów, muzeów oraz innych placówek zajmujących się pracą naukową straciło stanowiska i musiało szukać zatrudnienia jako nie wykwalifikowany personel pomocniczy. Nikt spośród nich nie ma dostępu do materiałów archiwalnych oraz zarówno do publikacji krajowych jak i ukazujących się na Zachodzie, a w szczególności do literatury fachowej.

Niepełna lista

Śpośród około stu historyków praskich podajemy dla ilustracji jedynie tych najbardziej znanych, a zatem tych których dzieła znane były zagranicznym kolegom z tłumaczeń i recenzji, względnie takich którzy posiadali osobiste kontakty naukowe z zagranicą.

- K. Bartoszek, historia Czechosłowacji XX wieku; przez pół roku przebywał w więzieniu — obecnie pałac.
- B. Czerny, historia stosunków niemiecko-czeskich, były redaktor naukowy „Czechosłowackiego Czasopisma Historycznego” — obecnie pomocniczy pracownik archiwum.
- J. Doležal, historia Czechosłowacji doby okupacji — obecnie magazynier.
- A. Gajanova, historia Czechosłowacji XX wieku — obecnie gospodyni domowa.
- K. Kaplan, historia Czechosłowacji po roku 1945; przez miesiąc przebywał w więzieniu — obecnie pałac.
- J. Korzalka, historia Czechosłowacji XVIII i XIX ww. — obecnie bez pracy.
- B. Loewenstein, historia Niemiec XIX i XX ww. — obecnie urzędnik.
- J. Macek, członek Akademii i były kierownik Instytutu — obecnie podrzędny pracownik naukowy.
- M. Otahal, historia powszechna XX wieku — na rencie inwalidzkiej.
- L. Otahalova, historia Czechosłowacji XX wieku — obecnie bez pracy.
- V. Preczan, historia Słowacji — obecnie pałac.
- I. Seidlerova, historia nauki i techniki — obecnie „manipulantka” w zakładzie przemysłowym.
- J. Szmahel, historia Średniowiecza — bez zatrudnienia.
- Z. Szolle, historia XIX wieku — obecnie pracownik archiwum.
- J. Tesarz, historia okupacji hitlerowskiej — do momentu aresztowania był stróżem nocnym, obecnie odbywa karę 5 i pół roku więzienia.

Śpośród pierwotnie 25 pracowników naukowych Wojskowego Instytutu Historycznego pozostało jedynie sześciu. Odejść musieli m.in.:

- J. Beranek, historia Austro-Węgier — obecnie robotnik nie wykwalifikowany.
- T. Hochsteiger, były kierownik zakładu historii armii czechosłowackiej — obecnie murarz.

- B. Klipa, historia powszechna XX wieku — obecnie robotnik nie wykwalifikowany.
- J. Kržíšek, historia pierwszego ruchu oporu — obecnie reparator.
- J. Navrátil, historia armii czechosłowackiej — obecnie robotnik nie wykwalifikowany.
- K. Pichlík, historia Pierwszego ruchu oporu — obecnie robotnik nie wykwalifikowany.
- V. Pichora, historia wojskowości tureckiej — obecnie bez pracy.

Wojskowa Akademia Polityczna została rozwiązana, zaś jej rektor, znany historyk profesor V. Mencl zmuszony był przejść na emeryturę. Docent R. Brach, kierownik katedry historii Czechosłowacji pracuje jako robotnik nie wykwalifikowany, tak samo jak większość czynnych w uczelni tej dotąd profesorów.

Śpośród byłych pracowników Instytutu Historii Europejskich Krajów Socjalistycznych Czechosłowackiej Akademii Nauk znane są następujące przypadki:

- R. Havrankova, stosunki międzynarodowe — obecnie bez pracy.
- V. Hostická, historia Rosji — obecnie sprzedawca w sklepie muzycznym.
- K. Kratky, historia Europy — bez pracy.
- F. Lukesz, historia Czechosłowacji — przebywał na leczeniu psychiatrycznym.
- L. Moulis, historia nowoczesna Sowieci — bez pracy.
- J. Opac, historia krajów Europy Południowej — obecnie pałac.
- J. Valenta, historia stosunków czechosłowacko-polskich — bez pracy.

Śpośród pierwotnie 20 pracowników naukowych Instytutu Międzynarodowej Polityki i Gospodarki:

- V. Kotyk, historia systemu socjalistycznego — obecnie magazynier.
- K. Koralkova, polityka zagraniczna krajów Europy Południowo-Wschodniej — obecnie urzędniczka w administracji.
- J. Szedivy, polityka zagraniczna Czechosłowacji; przebywał przez miesiąc w więzieniu — obecnie pracuje jako zmywacz okien.

Instytut Historii Socjalizmu oraz Wyższa Szkoła Polityczna przy KC KPCz poważnie ucierpiały. Śpośród dotychczasowych pracowników tych instytucji wielu wykonuje podrzędne prace, jak na przykład:

- Ž. Hradilak, były redaktor naczelný czasopisma *Průhled Historii Socjalizmu* — obecnie robotnik nie wykwalifikowany.
- Docent J. Krzen, historia emigracji czechosłowackiej podczas II-ej wojny światowej — obecnie robotnik nie wykwalifikowany.
- J. Novotný, walka narodowo-wyzwoleńcza Czechosłowacji — obecnie pracownik nie wykwalifikowany.
- J. Novák, ruch robotniczy w latach trzydziestych — obecnie robotnik nie wykwalifikowany.

Karol SZWEDOWICZ

Kronika kulturalna

Lebenstein - mitotwórca ludzkiej natury

*Gdybym miał przedstawić czym jest dla mnie świat
wziąłbym chomika albo jeża albo kreta.
posadziłbym go na fotelu wieczorem w teatrze
i przytykając ucho do mokrego pyszczka
słuchałbym co mówi o świetle reflektorów,
o dźwiękach muzyki i ruchach baletu.*

Czesław Miłosz: *Po ziemi naszej.*

Tworzenie sztuki — pisze Leszek Kołakowski w *Obecności mitu* — musi odwoływać się do władzy jaką w sobie noszę, bo tylko dzięki tej władzy odważam się wypowiedzieć własną organizację świata jako złożonego z nieprzyległych i skłóconych jakości wartościowych¹.

Nie znam dziś malarza do którego te słowa przylegają tak ściśle jak do Jana Lebensteina. Cieszy mnie zresztą analogia jaką widzę między głosem Kołakowskiego, wołającym na pustyni filozofii współczesnej, i gestem malarskim którym Lebenstein zdołał uniknąć pułapki, w którą wpadła współczesna sztuka. Ani w jednym ani w drugim wypadku nie jest to protest tradycjonalisty w imię stereotypów godności człowieka czy trwałości piękna. Widzę natomiast wspólnotę w niedopowiedzianym oporze Kołakowskiego przeciw nowemu mitowi głoszącemu śmierć człowieka i reakcji Lebensteina na równoległy mit śmierci sztuki¹.

Naiwne te mity wywodzą się oba ze słusznej reakcji przeciw sztuczemu rozwodowi między kulturą i naturą, przeciw antro-

1. „Niedopowiedzianym”: Wspaniała książka Kołakowskiego zwrócona jest w pierwszym rzędzie przeciw imperialistycznej ideologii rzekomego racjonalizmu naukowego i filozofii, która słowami Koestlera „chciała obrzezać logikę, a niemal skastrować myśl”.

pocentrycznej koncepcji świata. Ale jeśli natura ciągnie wilka do lasu, ta sama natura człowieka z lasu wygania. Stąd paradoksalny humanizm tych, którzy przekładają instynkt i impulsy nad myśl racjonalną; przypadek nad przyczynowość i świadomą kompozycję; hałas nad słowo; „zwierzę” nad „człowieka”; ciało nad ducha. Ostatnia fala antymetafizyczna wydaje się świadczyć tą nową skalą wartości o przekonaniu, że to co rzekomo „wyższe” jest mniej dla człowieka przyrodzone od tego co rzekome „niższe”. Tak jakby wyraz ludzki najbardziej sublimowany, dzieło ludzkie najbardziej złożone, najmisterniej skomponowane mniej były naturalne niż ul czy mrowisko, równie przecież jak Sykstyna czy „Così fan Tutte” tajemnicze. Filozofowie zerowego punktu człowieczeństwa zaprzeczają zresztą każdą linią swego dzieła tej centralnej tezie, subtelnością wywodu przewyższając banalnych humanistów. Równie bezwiednie pilią gałąź na której chcą osiąść autorzy długich książek o niemożności komunikacji. O jednych i o drugich Gombrowicz, który wiedział że nawet gromiąc mity się je tworzy, pisał że „im mądrzej, tym głupiej”.

W sztuce bywa różnie, zależy od tworzywa i od twórcy. Mit „Księcia Niezłomnego” nie słabnie w ujęciu Grotowskiego, nawet jeśli „wyższe” pobudki honoru i ofiary redukuje on pozornie do algolanii. Podobnie ma się rzecz z dwoma filmami, które tyle wywołały w tym roku oburzenia. „Ostatnie tango w Paryżu”, to seks rzekomo „zwierzęcy” (słusznie przypomina Kołakowski, że jest on u człowieka właśnie wyłącznie ludzki — tautologia kryje tu prawdę natury), a przecież — mimo redukcji — „Amour Fou” i „Liebestod”. Jeszcze niżej chciał zejść twórca „La Grande Bouffe”. Ale to Wielkie Żarcie nie jest niczym innym jak agresywną wersją mitu o utraconym raju dzieciństwa, o wyjściu z życia potrzeby i codzienności w matczyne łono grobu. Mitotwórca funkcja sztuki może być zatem niezależna od szczebla, na którym traktuje ludzkie sprawy. Dlaczego ostatnie wcielenie manichejskiej herezji dokonało największego spustoszenia właśnie w sztuce plastycznej? Dlaczego autorzy zdarzeń, notatek, conceptów, z trudno zrozumiałych powodów nadal uważani za kontynuatorów imprezy zaczętej w Altamirze i zaklasyfikowanej w muzeach, wydają się siły mitotwórczej pozbawieni? Kwestia ta, którą muszę wyjaśnić dla uzasadnienia mojej interpretacji dzieła Lebensteina, wymaga dłuższego wywodu.

Co widzimy dzisiaj w nowojorskim Momie, w Kassel, Wenecji, Sao Paulo czy na pompidolskiej wystawie „72”? Nie ma rzecz prosta, sztalug. Jedynie korporacyjna kooptacja legitymuje ciągłość z pierwszymi paryskimi „salonami”, opisanymi przez Diderota. „Dzieła” wystawione, to przeważnie dokumenty, ankiety, środowiska, zestawy informacyjne (imitacje funkcji poznaw-

czych czy technologicznych), lub wykrojone z codzienności zdarzenia i doświadczenia cielesne (próby przekazania percepcji surowej). A więc dziecko bawiące się w zepsuty telefon, lub dziecko odkrywające łyżkę, czy zdziwione własnym kciukiem. Nie są to, rzecz jasna, ani „wariactwa”, ani „barbarzyństwa”, ani „nabierania”. Artyści ci są świadomi, inteligentni, subtelni, często wrażliwi, niemal zawsze „szczerzy”. W grę wchodzi tu zawsze ta sama nieufność do „wyższych” funkcji ludzkich, chęć redukcji człowieka, którego — powtarzam — zredukować nie można, tak jak nie można zredukować — do czego? — ani psa ani kota. Nieufność, stara zresztą jak mądrość narodów, wyrażona w przysłowiu francuskim *qui veut faire l'ange fait la bête*, opartym na niezrozumieniu że anioł w człowieku jest również zwierzęciem, zwierzę również aniołem. Słuszna jest ta nieufność we współczesnej kulturze gdy odnosi się do artystów wzniosłych z intencji, idealistów programowych, wierzących w moralizujące posłannictwo sztuki i przez to odciętych „od góry” od funkcji mitotwórczej. Ale podświadomość zachowuje autonomię nawet w ramach najbardziej zakłamanych i fałszywych założeń i może przemycić odblask mitu (mocą nieoczekiwanego zestawienia słów czy form) nawet w obrazie przedstawiającym „Zwycięstwo Cnoty nad Grzechem”, czy „Zwycięstwo Mao nad powodzią”, nawet w wierszu sławiącym Cud nad Wisłą czy wielkoduszność Stalina. Awangarda ostatnich dziesięciu lat pozbawiła się funkcji mitotwórczej „od dołu” i pozbawiła się jej chyba całkowicie. Mógłbym — myślę — uzasadnić to dla każdej branży plastycznej awangardy: cybernetyków, ekologów, topologów, konceptualistów: wszystkich cechuje naiwnie dosłowny empiryzm i redukcjonalizm. Ograniczę się tu do „Body Art”, sztuki opartej na percepcji cielesnej, gdyż niemoc jej jest bezpośrednio związana z redukcyjną koncepcją natury ludzkiej, której sprzeczności są źródłem i treścią dzieła Lebensteina.

Jak w każdym nieporozumieniu we współczesnej kulturze mamy tu do czynienia z popularyzacją długo zaniedbanej prawdy: jest nią w tym wypadku uczestnictwo całego ciała w życiu wyobraźni. Prawdy zaniedbanej, ale nie nowej, choć sformułowano ją stosunkowo niedawno. Hans Bellmer napisał czterdzieści lat temu rozprawę pod tytułem „Mała Anatomia Podświadomości Fizycznej czyli Anatomia Obrazu”. „Kiedy coś widzimy — pisał mi Bellmer kilka lat temu — zaangażowane jest w tym nie tylko nasze oko, ale żołądek, ucho, nasze odczucie ruchu ciała, nasz system nerwowy w całości”. Filozofia potwierdziła to nieco później w teorii „*tacit knowledge*”, wyłożonej przez Michaela Polanyi, dla którego „sposób w jaki ciało uczestniczy w akcie poznawczym należy uogólnić aż do cielesnych korzeni każdej wiedzy

i każdej myśli” („Knowing and Being”, 1969). Jeśli świadomość ludzka wydaje się nam największym wybrykiem natury (choćby przez to, że nas od natury odcina), to przecież, na swój sposób, naturę kalkuje. Nawet myśl zachodnia, oparta na tym odcieciu, obfituje w pomosty rzucone między ciało i ducha, naturę i kulturę: od tradycji ezoterycznej, poprzez Romantyków, Rimbauda, Prousta do nadrealistów. Kabała, alchemia (za sprawą materialnych drogowskazów ku duchowej doskonałości) na tym polegają. Artysta spotyka się tu z mistykami: Św. Ignacy Lojola mówi, że czuł zapach siarki zawsze gdy myślał o piekle, Flaubert miał w ustach smak arszeniku przez kilka tygodni po „zatruciu” Pani Bovary. Romantycy odkrywają sedno samego procesu (Novalis: „forma kwiatu jest tej samej natury co kwiaty naszej wyobraźni”). Dla Prousta, dźwiękiem wyobraźni jest zawsze bodziec cielesny (pozycja ciała we śnie, potknięcie się na bruku dziedzińca domu Guermantes'ów, dźwięk srebra porządkowanego przez służbę, przysłowiowy smak „madlenki”). Dla nadrealistów staje się to wręcz programem: „zlikwidować fałszywą antynomię między reprezentacją umysłową i percepcją fizyczną... rzucić most między sztucznie oddzielonymi światami jawy i snu, rzeczywistości zewnętrznej i wewnętrznej” (Breton: „*Les Vases Communicants*”). Nie wchodzę tu w rozróżnienie z jakiego brzegu rzucały się te mosty (dla mistyków wszystko jest „boskie”, dla nadrealistów wszystko jest „ludzkie”). Sednem zagadnienia jest łączność między naturą i mitem.

Artyści z grupy „Body Art” żadnego mostu nie rzucają: pozostają wrośnięci w brzeg własnego ciała. Prekursorem „Body Art” (tak jak niemal całej awangardy ostatnich dziesięciu lat) był dziwny geniusz, przedwcześnie zmarły Yves Klein, którego „*Anthropométries*” wydawały się w latach pięćdziesiątych niezrozumiałe. Dziś dzieło tego małego Leonarda absurdu i przygody rozparcelowane jest między setki nieświadomych epigonów. Donald Burgi jest autorem „Dokumentacji o ciąży Mrs. Geoffrey Moran od 3. 4. 68 do narodzenia Sean Morana 3. 1. 69”, zawierającej fotografie i pomiary z okresu ciąży, zaświadczenia lekarskie, fotografie porodu małego Seana. Dan Graham interesuje się ruchami ciał w przestrzeni i ich wzajemną percepcją: wręcza kamery dwóm wykonawcom, którzy filmują się nawzajem, krążąc wokół siebie. Gina Pane je na swej „wystawie” zgniłe mięso, lub kładzie się ubrana na metalowym sienniku, pod którym pali się ogień. „Dziełem” jest sam akt, film aktu, przypalone części garderoby. Awangardowy zespół kanadyjski, którego nazwy zapomniałem, siusia na śnieg, po czym żółtawej lejki mierzy i fotografuje. Denis Oppenheim długo męczy się w błocie, aby sfotografować miejsce swej kaźni i jej ślady. Vito Acconci (uzna-

ny przez część artystycznej krytyki za przywódcę grupy) gryzie własną nogę, wbija sobie drzazgi za paznokcie i gniece karaluchy na brzuchu.

U źródeł tej „twórczości” mamy inwersję pasji moralnej, przekonanie, że wszystko co nie jest powszednością i ciałem nie może być „autentyczne”. Tworzywem (jeśli można jeszcze użyć tego słowa) jest surowiec pewnych form wrażliwości będących jednym z ważnych źródeł sztuki. Wrażliwość tę skondensował Gombrowicz w postaci Leona w „Kosmosie”. Pod pozorami prowincjonalnego ramola mamy tu groźnego demiurga, karykaturalny autoportret autora. Leon umie nadać sakralną siłę dłubaniu w zębie, lepieniu kulek z chleba, wszelkim formom wstydlwego „gmerania”, które tak wiele znaczy w gombrowiczowskiej poezji (choćby w „Ferdydurke” straszne zabiegi z kompotem, czy mucha w trzewiku Nowoczesnej). Nadanie magicznego znaczenia bulgotom ciała czy obgryzaniu paznokci jest niewątpliwie najniższą formą prywatnego mitu, który wzmacnia się w obsesyjnych rytuałach neurozy i dochodzi do paroksyzmu w psychozach. Paradoksem współczesnej awangardy jest to, że Leon a nie Gombrowicz jest dla niej wzorem artysty, dziełem sztuki zaś nie „Kosmos” czy „Ferdydurke”, a samo leonowe „gmeranie”, gdyż ono jedynie nie kłamie. Czymże zresztą jest końcowa „celebracja” publiczna Leona na tatrzańskim polanie, jeśli nie formą, autentycznego tym razem, *happening'u*?

Jednym z kluczowych pytań, postawionych przez Kołakowskiego w *Obecności mitu* jest: „Czy można bez sprzeczności (lub bez błędnego koła) zrozumieć mit w jego biologicznych funkcjach i zarazem zrozumieć mitycznie własną biologię?”. Wydaje mi się, że w tym błędnym kole zamknięta jest właśnie prawda sztuki. Nie biorę tu — rzecz jasna — pojęcia „zrozumienia” dosłownie. Ale myślę, że sztuka może spełniać swą mitotwórczą funkcję jedynie gdy odnosi się zarazem do przyrody w człowieku i do sytuacji człowieka w przyrodzie. Jest to — nawiasem mówiąc — jedyny wspólny mianownik twórczości dwóch pisarzy, których najwyżej cenię w polskiej literaturze współczesnej — Gombrowicza i Miłosza. Jest to również nic przewodnia jaką widzę w dziele Jana Lebnsteina. Dlatego użyłem w tytule tego szkicu wyrażenia „natura ludzka”: wydaje mi się ono zarazem bogatsze (gdyż zawiera w sobie przyrodę) i skromniejsze od tego „człowieka”, który — uświęcony przez kulturę — brzmi dumnie, ale i nieco fałszywie. Dlatego też wolę „ahumanizm” od „humanizmu”. Pierwszym teoretykiem ahumanizmu, który ma wielu wyznawców, ale równie jak Monsieur Jourdain nieświadomych swego nastawienia do spraw ludzkich, był Audiberti. Widywałem go niemal co dzień gdy pisał dwadzieścia lat temu

„L'Abhumanisme” (Gallimard, 1955). Pytał mnie, czytając mi rękopis, czy jest to równie „solidne” jak „L'Etre et le Néant” Sartre'a. Przywiązywałem wówczas wielką wagę do ścisłości logicznego wywodu, a skądinąd zaślepił mnie blask audibertowych fajerwerków. Sięgnąłem na nowo po tę książkę dopiero po przeczytaniu *Obecności mitu* i zadziwiła mnie intuicja z jaką Audiberti przeczuł zarazem odkrycia i ograniczenia teorii biologizujących człowieka, które rozwinęły się od tego czasu. Ahumanizm — powiada Audiberti — „C'est l'homme acceptant de perdre de vue qu'il est le centre de l'univers. Et peut-être, aussi, qu'il n'est pas le centre de l'univers”. Nie jest to zwykła gra słów. W pozornym paradoksie Audiberti'ego widzę lapidarne sformułowanie dwóch funkcji świadomości, którym poświęcona jest książka Kołakowskiego. Świadomość technologiczno-poznawcza uczy nas, że człowiek nie tylko nie stanowi centrum stworzenia, ale jest ekscentrycznym przypadkiem w procesie ewolucyjnym. Ale jeśli ta świadomość nie ma się przekształcić w zubożającą ideologię (uzurpując przestrzeń wrodzonej człowiekowi świadomości mitycznej), towarzyszy jej rozumowo odarte z cech transcendentalnych przeświadczenie, że człowiek na swój sposób (konieczny dla utrzymania jego tożsamości) jest przecież również „ośrodkiem wszechświata”.

Nie znaczy to oczywiście że wystarczy uznać rozumem konieczność współzycia obu porządków, i słusznie przypomina nam Kołakowski, że „prawdziwe uczestnictwo w micie jest pełnym aktem osobowego przyjęcia mitycznych realności”. Istnieje jednak dziedzina, która czerpie z obu porządków, dzięki której egzystencjalne rozdarcie doznaje zawieszenia mniej może przelotnego i złudnego niż w erotyzmie czy narkotykach. Dziedzina tą jest sztuka. Pięknie nam o tym mówi Proust, ale jedynym jego argumentem przekonującym jest tu jego własne dzieło.

Czy można, choć w tym jednym wypadku, wyprowadzić „zrozumienie mityczne własnej biologii” od „biologicznych funkcji mitu”? Wydaje mi się, że sprzeczność, o której mówi Kołakowski, polega między innymi na tym, że mechanizmy przyrodzone uważane są zwykle za ściśle utylitarne. Descartes myślał, że u zwierzęcia wszystko jest automatem. Kpi z niego już Restif de la Bretonne: urodzony na wsi, Monsieur Nicolas wie że psy płaczą. Redukcja instynktów do konserwacji gatunków (adaptacji organizmów do środowiska) zuboża biologiczne interpretacje sztuki podobnie jak gęś Lorenza czy małpa Morrisa zubożają człowieka w ogóle. Nie dlatego że animalizowanie sprawności ludzkich pozbawia człowieka wymiaru metafizycznego. Wręcz odwrotnie: dlatego że przyroda jest potencjalnie bogatsza niż racjonalizacja na jej temat biologa czy zoologa.

Stąd częściowa tylko przydatność wywodu dzieła sztuki od eksploracji nieznanych składników środowiska (wszystkie ssaki), gry (młode ssaki), poczucia rytmu i równowagi (mały człoko-kształtne). Jeden z najsubtelniejszych eksploratorów kultury, Morse Peckham, proponuje bardziej oryginalną interpretację biologiczną sztuki („Man's Rage for Chaos: Biology, Behaviour and the Arts”, 1965). Człowiek — twierdzi Peckham — pragnie nade wszystko świata ściśle zdeterminowanego i uporządkowanego, ale ta wrodzona skłonność do porządku, pozwalająca człowiekowi rozwiązać większość problemów stawianych mu przez środowisko, staje się przeszkodą gdy zachodzi potrzeba skorygowania tej orientacji. Peckham zakłada wobec tego że musi być jakaś sprawność ludzka służąca do łamania owej podstawowej orientacji, do osłabienia tyranicznej potrzeby porządku, aby przygotować jednostkę (w rzadkich wypadkach, gdy będzie to potrzebne, czy nawet konieczne) do percepcji elementów na ogół z percepcji wykluczonych na skutek jej zaprogramowania na porządek. Za ten mechanizm adaptacyjny uważa Peckham sztukę, która wzmacnia zdolność do zauważenia odchylenia między wzorem behawioralnym i potrzebą reagowania na nieoczekiwane wyzwania rzucane przez środowisko. W życiu praktycznym człowiek wymaga porządku. Jedynie sztuka, która „z reguły” własne reguły łamie, pozwala mu *bez zagrożenia* na niezbędne doświadczenie chaosu.

„Bez zagrożenia”: narzuca się tu analogia z arystotelesowską katharsis (tragedia oczyszcza słuchacza poprzez współczucie i grozę). Również i ten argument, w założeniu religijny, zbiologizował się z czasem. John Keble twierdził przed wiekiem, że poezja jest „klapą bezpieczeństwa dla potężnego umysłu”, że zdarza się jej „chronić ludzi przed szaleństwem”, zastrzegając jednocześnie że jeśli poezja „odślania najzarliwsze emocje umysłu”, może to uczynić „jedynie w pewnych szatach i przebraniach”. Rozwija ten argument poeta amerykański Stanley Burnshaw w pięknej książce „The Seamless Web” (George Braziler, 1970). Jego „Tkanina bez Szwu”, to oczywiście jedność Istnienia. Burnshaw opiera się na ostatnich pracach dotyczących współzależności w ludzkim mózgu ośrodków „zwierzęcych” i wytworzonych podczas wolnego procesu hominizacji. Nie wchodząc tu w anatomiczną terminologię, teza jego jest, że sztuka świadczy o konflikcie — i rozejmie — między dwoma głównymi siłami ludzkiego umysłu — siły „prymitywnej” i siły „cywilizowanej” myśli interpretującej i kontrolującej. Prymitywna, „niższa” część mózgu dąży do natychmiastowej realizacji tego, co nazywamy impulsem „zwierzęcym”, ale instrukcje, jakie wysyła w korę mózgową część niższą, poddane są kontroli i cenzurze wyższych ośrodków myśli. „Im silniej proces cywilizacyjny dąży do całko-

witego panowania — powiada Burnshaw — im bardziej staje się represyjny, tym mocniejszy z kolei jest kontratak procesu prymitywnego. Konflikt staje się tedy normatywną częścią egzystencji dla umysłu, w którym żadna z sił nie może całkowicie pokonać drugiej: musi on osiągnąć równowagę, aby umożliwić człowiekowi przeżycie... Jedną z form tej równowagi jest rozejm, którym jest sztuka; za jej pomocą pewne najgłębsze potrzeby organizmu zaspakajane są poprzez twory wyobraźni”.

Jak widać, nawet utylitarne teorie biologicznych korzeni sztuki nie są z konieczności redukcyjne. Peckham za warunek stawia „bezinteresowność” sztuki, Burnshaw podkreśla zasadniczą potrzebę „transpozycji”. Szersze horyzonty otwiera Roger Caillois, twierdząc że utylitaryzm biologiczny nie jest uniwersalnym prawem przyrody. „Mity — powiada Caillois — nie są bynajmniej barierami ustawionymi na niebezpiecznych zakrętach w celu przedłużenia jednostki czy gatunku”. Nie jest on oczywiście pierwszy na tej drodze. „Orgiastische Selbstvernichtung” Nietzschego, czy instynkt śmierci, uznany przez późnego Freuda za równie w psychice ludzkiej ważny jak seksualne libido, są również zaprzeczeniem prymatu *état vital*. Każdy organizm żyjący odczuwa być może zakłócenie nieorganicznego spokoju spowodowane powołaniem go do życia. Wola życia współistniałaby wtedy z potajemną zgodą na jego porzucenie. Ale Caillois idzie o wiele dalej. Twierdzi, że kluczowym zagadnieniem jest rozróżnienie między użytecznością i zbytkiem. Nawet biologiczni redukcjoniści sądzą, że naturą rządzi jedynie użyteczność: zbytek, rozrzutność, kaprys uważają za zjawiska wyłącznie ludzkie. Człowiek chce za wszelką cenę uniknąć pojęcia sztuki w odniesieniu do nieodróżnianej estetyki minerałów czy skrzydeł motyli; pojęcia przebrania w odniesieniu do mimetyzmu owadów. „Aby uniknąć tych słów zabronionych — pisze Caillois w „Méduse et Co.” (Gallimard, 1960) — woli się na ogół uznać za absolut kryterium użyteczności, to znaczy zachowania życia w przyrodzie, w której rzuca się wprost w oczy — jeśli zaniechać przypisywania biologii reakcji właściwych człowiekowi — że rządzi nią ogromna rozrzutność, gdzie nic, absolutnie nic, nie wskazuje na to, aby odpowiednik zbytkownego wydatku bez zrozumiałego celu nie był regułą bardziej ogólną i bardziej wiążącą niż wąski interes żywotny, niż imperatyw zbawienia gatunku”. Rozważaniom tym poświęcił Caillois niemal całość swego fascynującego dzieła. Ostatnia jego książka, „La pieuvre: essai sur la logique de l'Imaginaire” (La Table Ronde, 1973), naprowadziła go, poprzez eksplorację wszystkich interpretacji ośmiornicy w mitach i w sztuce, na pojęcie, które wydaje mi się dla analizy twórczości artystycznej szczególnie ważne: *wyobraźni słusznej (imagination juste)*.

Już w swym przedwojennym esaju o „Mantis religiosa” (o którym wspomina Kołakowski), dawał Caillois do rozumienia, że wyobraźnia jest jednym z możliwych przedłużeń natury. Powiada on dzisiaj wyraźnie, że podobne unerwienie przebiega poprzez całe pole jedności istnienia i narzuca od jednego do drugiego krańca normy nie identyczne — rzecz jasna — lecz przynajmniej równoległe i solidarne. „W tej perspektywie — pisze Caillois — pozwoliłem sobie mówić o wyobraźni słusznej, podczas gdy logika nieśmiała, źle pojmująca swoją ścisłość (dzięki właśnie pewnemu brakowi wyobraźni) sądzi porywczo, że te oba pojęcia są przeciwstawne”.

Twierdząc, że wyobraźnia Lebensteina jest *wyobraźnią słuszną*. Winienem może wyjaśnić, czytelnikowi dlaczego do pierwotnego tematu tego artykułu przechodzę dopiero po tak długim wstępie. Trochę dlatego — wyznam — że redukcyjna „krytyka artystyczna”, na której nawet żywa mucha nie siądzie, coraz bardziej mnie nudzi. Dlatego podarłem pierwszą wersję tego tekstu po przeczytaniu *Obecności mitu*. Definicja mitotwórczej funkcji sztuki, podana przez Kołakowskiego, odpowiada temu co głęboko myślę o Lebensteinie: w moim artykule nie było na ten najważniejszy temat ani słowa. Stąd próba zastanowienia się nad tą przestrzenią w kulturze i w naturze ludzkiej, która została dla mnie nagle wypełniona dziełem Lebensteina.

Janek Lebenstein jest moim przyjacielem od piętnastu lat, ale obrazy jego zafascynowały mnie zanim go poznałem, kiedy tylko zetknąłem się z nimi poprzez reprodukcje w krajowych wydawnictwach. Pisałem o nim od tego czasu kilkakrotnie i mam pewną satysfakcję z tego, że żadna z moich interpretacji jego wczesnej twórczości nie koliduje z jego późniejszym rozwojem. W późnych latach pięćdziesiątych na porządku dziennym były jeszcze naiwne rozróżnienia między malarstwem „abstrakcyjnym” i „figuratywnym”. W artykule napisanym wiele lat temu dla nowojorskiego „Arts” ostrzegałem przed klasyfikowaniem Lebensteina jako abstrakcjonisty i pisałem że jego figury osiowe są „zaszyfrowaną pieczęcią Erosa i Tanatosa”. Pozwala mi to dziś widzieć w rozwoju dzieła Lebensteina jakby mimetyzm stworzenia: od pierwotnego kręgowca, od ideogramu szkieletu (tak mniej więcej określił w pięknym wierszu dzieło Lebensteina z tego okresu ze zwykłą sobie głęboką intuicją Aleksander Wat), poprzez stwory „przedpotopowe” do „natury ludzkiej” w jej rozdarciu między swoimi skłóconymi składnikami.

Zrozumiała to mądra Mary McCarthy, która w przenikliwym wstępie do katalogu wystawy Lebensteina w nowojorskiej Bodley Gallery (listopad-grudzień 1972) pisze: „Figury osiowe Lebensteina są nadal stałą podstawą jego wizji życia. Wizja ta wzboga-

ciła się, stała się jeszcze bardziej malarska, jej punkty odniesienia się pomnożyły. Ale podstawa jest bisekstylna — przekrój wzdłuż środkowej osi. Najniższy kręgowiec podzielony został absurdalnie sztywną linią kręgosłupa. Absurdalna ława oddziela sędziów od przysięgłych czy oskarżonych... Nie wiem czy Lebenstein czyta Platona, ale patrząc na jego obrazy publiczności w kinie, zafascynowanej ekranem, przyszła mi na myśl jakaś smutna, zdegradowana wersja mitu „Jaskini”, podobnie jak rozdwojone figury osiowe są echem innego mitu z „Sympozjonu”, który mówi nam jak Zeus podzielił na dwoje pierwotnych ludzi, skąd początek bólu i szaleństwa miłości”.

Wspaniała księga o malarstwie Lebensteina z lat 1967-1971, wydana przed kilku miesiącami przez awangardowego wydawcę włoskiego La Nuova Foglio („Lebenstein et les Siens”, Pollenza, 1972²) uwydatnia jego mitotwórczą siłę. Nie jest to zwykła monografia o malarzu która, dążąc do wiernej reprodukcji, musi dzieło zubożyć (w najlepszym razie odświeża pamięć o oryginale lub przekazuje o nim pewne informacje). Pomysłowy układ graficzny książki, celowe potraktowanie szczegółu, wycinka, na równi z obrazem, zatarcie rozróżnienia między techniką reprodukowanych dzieł, szczyry prymat fotografii (która nie udaje, że jest ektoplazmem oryginału), bezceremonialne użycie fotomontażu, w który wtapiają się elementy różnych obrazów — wszystko to sprawia, że mamy tu nie zwyczajną redukcję dorobku malarza, a jakby nową wizję świata jego wyobraźni. Wrażliwy tekst młodego krytyka Elverio Maurizi (który z malarstwem Janka spotkał się niedawno) idzie po linii, którą tu proponuję: „Lebenstein wydaje się niweczyć dualizm duch-materia. Tak jakby punktem wyjściowym była dla niego nowa interpretacja jakiegoś śpiewu dalekiej przeszłości, anabaza czasu i pamięci, malarz umie nadać nowe znaczenie wymiarowi mitycznemu” (książka zawiera francuskie tłumaczenie tego tekstu).

Kluczową wydaje mi się z tego punktu widzenia chronologia dzieła. Lebenstein zaczął od materii. W jego wczesnych gwaszach płynny chaos barw pierwszego poranka organizuje się symetrycznie wokół centralnej osi, ale przejrzystość koloru zachowuje jeszcze prymat. Forma nabiera siły w olejach. Figury osiowe tętnią

2. Włoska książka zawiera osiem oryginalnych litografii artysty. Zważywszy to, cena jej jest wyjątkowo niska (wprost śmieszna, biorąc pod uwagę rosnący nieuczciwy handel wydawnictwami pseudobibliofilskimi, w których litografie są mechanicznymi kopiami rysunku artysty i których ceny idą w setki dolarów). Tym niemniej cena jest niestety wyższa od wydawnictwa bieżącego. Lebenstein zaczął pierwsze swe grafiki w 1966 roku (seria wydana przez Galerie Gmurzynska w Kolonii). Ostatnio wykonał dla Nuova Foglio inną serię wspaniałych litografii do bibliofilskiego wydania wierszy Eugenio Montale.

w miarę jak wokół zapada mrok, mimo blasku sutych czerwieni czy złota. Są to znaki malarskie, ale zarazem znaki w sensie heraldycznym. Herbarz postawy pionowej: krzyże, kregosłupy, organiczne i magiczne zaklęcia. Jest to moment międzynarodowej sławy Lebensteina, moment niebezpieczny dla współczesnego artysty, gdyż krytyk, muzeum, galeria, identyfikują nową i oryginalną formę z podpisem i poddany jest on trudno uchwytnemu, ale upartemu naciskowi aby skostniał i za tę cenę przeszedł raz na zawsze do „Nomenklatury”. Nie może na szczęście skostnieć dzieło, które od kości pierwotnej wyszło dlatego właśnie że nieświadomym jego powołaniem jest nawarstwienie nie tylko barw, ale i znaczeń. W roku 1963 z ideogramów szkieletu wyłaniają się olbrzymie płazy i gady, herbarz przechodzi w nową wersję średniowiecznego Bestiarium. Szczebel ewolucyjny, który musiała przekroczyć „słuszną wyobraźnia” Lebensteina, aby mógł on użyć swego malarskiego języka do eksploracji natury ludzkiej. Wyobraźnia słuszną jest wyobraźnią konkretną i zwolna ramy jego obrazów stają się ramami jego codziennego życia. Ból miłosny, „seks zwierzęcy” (a przez to wyłącznie ludzki) związany będzie z organicznymi formami czerwonej lub zielonej biedermeierowskiej kanapy, na której Ledy, Europy, Minotaury, szekspirowscy Bottomowie o osłej głowie. Jak odważnie, jak malarsko likwiduje Lebenstein starą bzdurę o malarstwie „literackim” (literackim jest każde prawdziwe malarstwo, a najbardziej może platoński kwadrat Mondriana czy teozoficzne teorie Kandinskiego, lub żadne prawdziwe malarstwo). Z pracowni malarza wychodzimy na sąsiednie ulice, do metra. Boulevard Saint-Denis, to chyba jedna z ostatnich arterii gdzie mit wielkiego miasta jest jeszcze równie ostry jak u Baudelaire’a. Ludzkie są kurwy (o twarzach często rozdzierająco pięknych, jakich we współczesnym malarstwie mało od klasycznej epoki Picassa późnych lat dwudziestych). Jakby zarażona pobliskim Louvre’m „ludzka fauna” (jakże nowym staje się ten stereotyp w obrazach Lebensteina) współcześnie nosi na barkach głowy bóstw asyryjskich i egipskich. W nędznych kinematografach publiczność jest bardziej hieratyczna niż na ekranie „Western” czy film „science-fiction”. Słusznie powołała się tu Mary McCarthy na platońską jaskinię. Dodałbym że widzę w tej serii kontrast między projekcją zdegradowanego mitu na mury jaskini z plastiku i jedynie żywym mitem ludzkiej natury. W cyklu „sali sądowej”, o którym również wspomina Mary McCarthy, nic nie różni sędziów od oskarżonych — i jedni i drudzy mają ptasie i zwierzęce głowy — jak gdyby mit, na którym oparte jest prawo, był skostniały, odległy od ludzkiej natury.

Mądrze wybrał Józef Sadzik temat do witraży, jakie zamówił

u Lebensteina dla małej kaplicy (i sali spotkań) polskich Księżąt Pallotynów na rue Surcouf w Paryżu³. Wyobraźnia Apokalipsy, jej Bestie z Morza i Ziemi, Niewiasta, Jeźdźcy, Trony i Mędrcy, stanowiła dla Lebensteina kanwę naturalną. „Słusność” mitów religijnych jest zresztą prawdą tautologiczną. Stosunek do nich to sprawa złożona, jeśli nie wchodzi w grę „pełny akt przyjęcia ich realności”. Siła ich nie słabnie, mimo wysiłków w tym kierunku nowego Kościoła. Jest to ostatecznie jedyny mit, z którym poważnie się zmagam w „Pornografii” Fryderyk (inne wcielenie Gombrowicza). Coraz trudniej zaprzeczyć jego (mitycznej) prawdzie, choć nie łatwiej weni uwierzyć. Na międzynarodowej konferencji „antropobiologicznej” w Royaumont, w której uczestniczyłem we wrześniu ubiegłego roku, amerykański biolog, P.D. Mac Lean, wyłożył swoją teorię „trójjedności” ludzkiego mózgu. Najstarszy z trzech mózgów ludzkich (które stanowią jedność), paleocefaliczny mózg „płazi” (dziedzictwo ewolucji poprzedzającej zwierzęta ciepłokrwiste), jest ośrodkiem przez który przechodzą impulsy związane z instynktem seksualnym, z agresją, z „terytorialnym” poczuciem własności. Wąż grzechu pierwotnego jest tedy na powrót, tym razem za sprawą nauki, częścią ludzkiej natury. Niech to zastanawiające odkrycie zastąpi konkluzję artykułu, którego nicią przewodnią jest łączność między naturą i mitem.

K. A. JELEŃSKI

Nonza, czerwiec 1973

P.S. Ambicją tego artykułu było potraktowanie dzieła sztuki — za pośrednictwem twórczości Lebensteina — w perspektywie *Obecności mitu*. Po jego napisaniu przeczytałem uczoną polemikę Andrzeja Rapaczynskiego z Leszkiem Kołakowskim w czerwcowym numerze *Kultury*. Nie wchodząc w sedno jego merytorycznych zarzutów (do czego nie mam żadnej kompetencji) chciałbym mu oświadczyć, że jeśli uważa on *Obecność mitu* za „wyznanie braku wiary”, dla mnie jego artykuł jest wyznaniem braku pojęcia o wierze, o której Kołakowski mówi jak najmądrzejsi teolodzy, zgodnie zresztą z intuicją laika i ateisty. W racjonalistycznej alternatywie, jaką proponuje Rapaczynski (*albo* odmówić sensu realnościom mitycznym, *albo* uznać je za logicznie prawdziwe), nie ma miejsca ani na religię, ani na sztukę, ani wręcz na

3. Figuruje tam również nad ołtarzem piękna głowa Chrystusa Aliny Szapocznikow, przedwcześnie zmarłej świetnej polskiej rzeźbiarki, jedno z pierwszych dzieł serii pokazanej dopiero na jej przejmującej wystawie pamiątkowej w Muzeum Sztuki Nowoczesnej miasta Paryża.

ludzką egzystencję. Rapaczyński stwierdza, że bliski mu jest konserwatyzm i elitaryzm. Upoważnia mnie to do podejrzenia, że uzasadnienie logiczne wartości pojmuję on w sensie, w jakim pojmował je Maurras, o którym mawiano że jest katolikiem nie wierząc w Boga. Piszę to z pełnym dla niego szacunkiem, wiedząc że doświadczenie historyczne przekształciło niestety wielu najlepszych Polaków jego pokolenia w tych „prawdziwych”, cywilizowanych konserwatystów. Rapaczyński stawia nas wobec wyboru między systemem opartym na „rozumnej bezpretensjonalności tradycji”, w którym elita byłaby wtajemniczona w „logiczną prawdę” — że absolutem jest kultura ludzka, i nihilizmem (opartym bądź na skinnerowskim porządku — behawioralnym, biologicznym, chemicznym przystosowaniu człowieka do „nowego wspólnego świata” — bądź na chaosie, do którego dążą ci, którzy nie chcą uznać, że „wyższe” funkcje człowieka są naturalne). Myślę, że perspektywa współzycia między porządkiem animalnym i porządkiem mitycznym, nakreślona przez Leszka Kołakowskiego, jest nie tylko niezrównanie bogatsza, ale bliższa „natury ludzkiej”.

K. A. J.

UKAZAŁ SIĘ 2-gi NUMER KWARTALNIKA ANEKS,
który zamiera m.in.:

Adam Tern: „Marksizm w działaniu: filozofia i nauki społeczne a marksizm w Polsce”. — Zygmunt Bauman: „Socjalizm drugiego pokolenia”. — Erazim V. Kohak: „Rosja — następny razem pożar? W wewnętrznym kryzysie komunistycznego społeczeństwa”. — Arthur Koestler: „Anatomia mitu”. — Adam Ulam: „Socjalizm i utopia”. — Stanley Moore: „Wątki utopijne w myśli Marksa i Mao”. — Leszek Kołakowski: „Sens ideowy pojęcia lewica”. — Juliusz Telesin: „Samizdat od wewnątrz”.

Zamówienia i listy do redakcji należy kierować na adres:

AN E K S, BOX 230 57
750 23 UPPSALA 23, SZWECJA.

Sprawy (nie tylko) wydawnicze

Encyklopedyści (3)

*Borykałeś się jak w chorobie z tajemniczą epoką,
z trudem dotarłeś do jej sztychernej reguły...*

(Ważyk, 1964).

Pierwszą po wojnie w kraju² polską encyklopedią była „Mała Encyklopedia Powszechna PWN” (w skrócie MEP), sprzedana w przedpłacie w 400.000 egzemplarzy (chyba rekord światowy). O kilku problemach redakcyjnych dorobku encyklopedystów, ilustrujących również zakres informacji jednotomowej MEP, wspomnę łącznie. Najpierw jednak wydarzenia w układzie chronologicznym.

Oddanie maszynopisu MEP do składu rozpoczęło dopiero roczny okres dalszego redagowania artykułów w poszukiwaniu kompromisu z cenzurą. Mimo jednak trzykrotnego czytania każdego tekstu przez cenzorów, w marcu 1959 roku z komitetu centralnego PZPR zażądano 14 egzemplarzy MEP i wstrzymano dalszą oprawę nakładu. Anonimowi supercenzorzy musieli jednak czytać MEP w rekordowym tempie — cała prasa drukowała listy zniecierpliwionych subskrybentów. Już po tygodniu wydawca otrzymał egzemplarz MEP z licznymi znakami zapytania, ale z zezwoleniem na rozestanie nakładu.

To był start. Przed encyklopedystami otwierała się droga realizacji wielu zamierzeń. Chciałbym uniknąć idealizowania, ale jednak sprawiedliwie ocenić ten formujący się wówczas stuosobowy zespół. Był to zespół patriotycznej inteligencji polskiej o dobrym przygotowaniu do zawodu redaktora książki naukowej. Cechy szczególne: doskonała znajomość nastrojów i potrzeb społeczeństwa, naiwne przekonanie o nieograniczonych możliwościach realizacji niesłuchanie ważnego w ich przekonaniu dzieła

1. Por. *Kultura* Nr 7-8, 9, 1973 r.

2. Pierwszą polską encyklopedią po wojnie była „Podręczna Encyklopedia Powszechna A-Z” wydana w Paryżu w roku 1954 przez Stanisława Lema.

o trwałej wartości, poszukiwanie odrębnej formy informacji encyklopedycznej, sprzeciw wobec każdego przejawu cynizmu i zaskłamania, świadomość ustalonych przez władzę granic rzetelnej informacji (część zespołu uznawała słuszność tych ograniczeń „w imię wyższych racji”, inni — godzili się z ich istnieniem jako z możliwą do przyjęcia ceną za wydanie encyklopedii).

W zespole powstawały redakcje, spoza zespołu rekrutowali się członkowie komitetów redakcyjnych. Równolegle z „Małą Powszechną” ukazują się małe encyklopedie z różnych dziedzin wiedzy. Następnie znaczną popularność zyskał jedyny w swoim rodzaju miesięcznik „Encyklopedia Współczesna” (ok. 30.000 prenumerat, przewodn. kom. red. prof. Józef Hurwic). Każdy numer zawierał artykuły typu encyklopedycznego, głównie związane ze sprawami aktualnymi, oraz obszerną kronikę wydarzeń miesiaca.

„Encyklopedia Współczesna” pierwsza stała się przedmiotem ataków za niedostateczne „zaangażowanie” i „liberalizm” redakcji, za nonkonformizm i umiar w sformułowaniach. Mimo oporu wydawcy i redakcji miesięcznik po trzech latach ukazywania się został zlikwidowany.

Oddzielny zespół podjął prace nad encyklopedią o Polsce w językach obcych (przew. kom. red. prof. Aleksander Gieysztor). Ambicja osiągnięcia najwyższego poziomu naukowego i edytorskiego (artykuły pisane specjalnie dla czytelnika każdej wersji językowej, staranna szata graficzna i dobór ilustracji) spowodowały opóźnienie wydania i katastrofę. Kiedy wreszcie cztery wersje językowe były gotowe (angielska nawet wydrukowana, a francuska już odlana w metalu) — padły one ofiarą pomarcowego pogromu kulturalnego 1968 roku. Wszystko zostało zniszczone, metal przetopiony, maszynopisy i bezcenny materiał ilustracyjny utonęły w niedostępnych archiwach.

Uzasadniając spisanie na straty ok. 5 milionów złotych (auto-rzy, redakcja, przekład, częściowo skład i druk, ok. 8.000 stron maszynopisu oraz ponad 500 ilustracji) oraz zaniechanie wydania, pisał 29. I. 1969 r. komisaryczny zarządca Państwowego Wyd. Naukowego, że encyklopedia ta jest bezwartościowa. „Tylko ok. 20 % można by wykorzystać” — czytamy w liście — ale praca ta się „nie opłaca”.

Encyklopedia o Polsce na pewno nie ustrzegła się jakichś błędów i braków, chociaż wśród autorów artykułów nie zabrakło chyba ani jednego wybitnego specjalisty. Poza pozytywnymi recenzjami każdego działu, oceniana była entuzjastycznie całość encyklopedii jako „znakomite źródło informacji dla cudzoziemców o Polsce, jej dziejach i kulturze”. Mniej entuzjastycznie, ale pozytywnie ocenił tę encyklopedię „sam” dyrektor Instytutu Spraw Międzynarodowych Ryszard Frelek (nazwisko dobrze znane redakcji). Ale nawet bez tych wszystkich świadectw nikt nie uwierzył w dobrą wiarę przy niszczeniu tego dorobku 10 lat pracy. Piękne artykuły o sztuce polskiej, o geografii i historii, informacje o tysiącu wielkich ludzi tego kraju, rysunki i ilustracje, wie-

lobarwne tablice — cóż tu najgorliwszy nawet neofaszysta mógł uznać za propagandę „syjonizmu”?

Ale nie błędy zadecydowały o zgilotynowaniu encyklopedii o Polsce, ale ślepa nienawiść do encyklopedystów. Miliony złotych, zmarnowany wkład pracy, opóźnienie o dziesięciolecie należytej prezentacji Polski w piśmiennictwie zagranicznym — żadna cena nie była za wysoka, by tylko znieść kilku (dosłownie kilku) członków zespołu, uznanych za „syjonistów”, i okryć milczeniem udział w tej pracy.

O fundamentalnym dziele encyklopedystów — o Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN w 13 tomach (w skrócie WEP) nieco szerzej. Właściwym twórcą WEP, był zespół redakcji artykułów, zgrupowanych według dziedzin wiedzy (historii, filozofii, literatury itp.), oraz techniki encyklopedycznej (indeksy, koordynacja haseł itp.). W ciągu ośmiu lat dwa razy w tygodniu zbierał się „trust mózgów” — Kolegium Redakcyjne encyklopedii — kierownicy redakcji oraz czterech konsultanci pod przewodnictwem prof. Bogdana Suchodolskiego. Rozstrzygali oni zespołowo sprawy sporne, zatwierdzali teksty szczególnie ważne, ustalali proporcje tematyczne każdego tomu. Podobnie pracują oczywiście redakcje encyklopedii na całym świecie. Musiałem jednak o tym napisać, bo w kampanii pomarcowej zarzucano encyklopedystom, że „się szarogęsili w tekstach naukowców”, że naukowców rzekomo lekceważono i poddawano naciskom³. Pod piórem publicysty organu Kąkła zarzut ten ma wszystkie cechy demagogii i groteski.

O rzeczywistym wkładzie tysięcy pracowników nauki — autorów artykułów encyklopedii — świadczą stenogramy posiedzeń Rady Naukowej WEP, składającej się z ok. 70 uczonych polskich pod przewodnictwem prof. Tadeusza Kotarbińskiego. Organizowane po wydaniu każdego tomu posiedzenia te poświęcone były wielogodzinnej dyskusji nie tylko nad kolejną publikacją, ale również nad powielonymi tekstami najważniejszych artykułów następnego tomu. Były to niezwykle interesujące *sui generis* „encyklopedyczne” sesje naukowe. Pamiętam jaki rozgłos sprawie encyklopedystów nadała ostatnia sesja Rady Naukowej w styczniu 1968 roku, w okresie nagonki na WEP za rzekome przemilczanie martyrologii narodu polskiego. Niewdzięczną rolę uzasadnienia zarzutów i wniosków międzyministerialnej Komisji wziął na siebie min. Włodz. Michałłow. Profesor Konstanty Grzybowski wskazał w swoim przemówieniu istotne antyliberalne motywy nagonki i wykpił niefortunnych „obrońców” dobrego imienia Polski. Wszystkie formy terroru hitlerowskiego — wygładzanie, getta, więzienia, obozy koncentracyjne, obozy zagłady — służyły mordowaniu ludzi, wyniszczaniu narodów. O ile w innych ośrodkach mord ludzki jednak żyli latami i niedobitki nawet ocalały, to z obozów zagłady — fabryk śmierci milionów Żydów — wychodziło się po kilku godzinach — przez komin. Polska — kraj

3. Tadeusz Kur (Witold Jerzmanowski) — „Encyklopedyści”. *Prace o życiu*, 1968, 6 (311), 24 marca.

masowego ruchu oporu — nie ma powodu ukrywać, że obozy załogi hitlerowcy zakładali „najbliższe źródła surowca”. Takie przemilczanie wyrządza sprawę jak najgorszą przysługę.

W obronie encyklopedystów wystąpili inni, m.in. prof. Tadeusz Manteuffel, który w stanie ogromnego podniecenia oświadczył, że nagonka ma charakter wyłącznie polityczny, a zarzuty stoją poniżej wszelkiej krytyki naukowej. Posiedzenie zakończyło przemówienie prof. Tadeusza Kotarbińskiego, który stwierdził, że Rada jednomyślnie wzięła w obronę redakcję WEP przed niesłusznymi zarzutami. W sprawie artykułu Gumkowskiego o hitlerowskich obozach koncentracyjnych prof. Kotarbiński poparł zdecydowanie obu (cytowanych przeze mnie wyżej) mówców: artykuł został opracowany w najlepszej wierze, „rzetelnie i zgodnie z poczuciem obywatelskim autora i redaktorów”.

Tyle o Radzie Naukowej. Ale o randze WEP zadecydował udział najlepszych specjalistów każdej dziedziny wiedzy jako autorów, recenzentów, konsultantów. Nie mam zamiaru recenzować encyklopedii; mimo stronniczości, wywołanej demagogią ataków i obecną bezbronnością encyklopedystów⁴, pragnęłbym uniknąć hagiograficznych zachwytów. Nikt chyba lepiej ode mnie nie zna słabych stron i potknięć WEP. Parę więc tylko dowolnie wybranych przykładów, ilustrujących tezę o jej odrębności i wyższości nad innymi encyklopediami tego typu w krajach komunistycznych.

Chciałbym zachęcić czytelników do przeczytania artykułu Romana Ingardena o fenomenologii, Adama Schaffa i Bogdana Suchodolskiego — o filozofii, Oskara Langego o ekonomii politycznej.

Strefa przemilczeń niemal nie istnieje i nie da się porównać na przykład z encyklopediami w ZSSR, chociaż nieraz okupowano zamieszczenie drażliwej informacji, lub artykułu stereotypowymi sformułowaniami. Pełna chyba lista ofiar stalinizmu spośród polskich komunistów powtarza przy każdym nazwisku informacje o rehabilitacji (często pośmiertnej). Nie pominięto nikogo z pisarzy i działaczy emigracyjnych, ale wiele informacji-biogramów opatrzone końcową etykietką o stosunku do PRL. Nawet Gombrowicz ma „wrogie nastawienie (?)”, Miłosz „w swej publicystyce występuje przeciw Polsce Ludowej”, Zygmunt Nowakowski „uczestniczył w akcjach antykomunistycznych”.

Jeśli krytyczny czytelnik dostrzeże przesadne czasem podkreślanie roli skrajnej lewicy w najnowszej historii Polski, to jednak przyzna uwzględnienie w WEP wszystkich innych partii, organizacji i formacji wojskowych polskich. Podobnie rzecz się ma z tzw. problemami ideologicznymi: nie zabrakło spokojnej rzeczowej informacji o żadnym kierunku filozoficznym, socjologii, ekonomii, psychologii (np. artykuł o psychoanalizie).

4. Żaden dziennik nigdy nie chciał zamieścić ani słowa w obronie atakowanych. Encyklopedie są w dalszym ciągu tematem tabu nie dopuszczonym do publicznej dyskusji.

Do przemilczeń zaliczyć należy oczywiście klauzule paktu Molotow-Ribbentrop z roku 1939, przebieg października w roku 1956, czy listopada tegoż roku na Węgrzech. Jedno tylko przemilczenie było sukcesem encyklopedystów: Katyń. Nie było tu niedopatrzania cenzury. Zgoda na pominięcie hasła „Katyń” nastąpiła po wielu dyskusjach na temat spodziewanej reakcji społeczeństwa. Biała plama w WEP pozostawiła do dnia dzisiejszego wymowny znak zapytania nad zbrodnią katyńską.

Jeszcze jeden przykład — Powstanie Warszawskie pióra Stanisława Komarnickiego. Dawna teza o militarnej niemożności udzielenia pomocy przez ZSSR zastąpiona została informacją o odrzuceniu przez Stalina „ze względów strategicznych... oraz ze względów politycznych” planu natarcia przygotowanego 8 sierpnia przez Dowództwo I Frontu Białoruskiego. Autor cytuje list Stalina do Churchilla i Roosevelta z dn. 22 sierpnia.

Niekiedy redakcyjne perypetie artykułów WEP miały charakter wręcz groteskowy. Jeszcze było z Chinami dobrze, gdy ukazał się tom 2 WEP (1963) i wtedy mapka wskazywała jednoznacznie granice tego kraju z Indiami. Tom piąty z literą I (rok 1965): skomplikowane kreski na mapie Indii i szkic ilustrujący „trwającą od 1959 roku spór o granice”...

Kiedy w roku 1966 ukazał się tom 8 z artykułem o obozach koncentracyjnych, a nawet w roku 1967 po ukazaniu się tomu 9 w połowie niemal poświęconego sprawom polskim — jeszcze ciągle WEP oceniana była pozytywnie. Ale już na biurku Gomułki znalazł się list Moczara, oskarżający WEP o umniejszanie zbrodni hitlerowskich, sprzyjanie elementom syjonistycznym i redakcję artykułów „obiektywnie” wspierającą tendencje odwetowe w Niemczech Zachodnich. Notatkę ze spisem „syjonistów” w zespole WEP oraz wykazem haseł uznanych za „syjonistyczne” sporządziło Min. Spraw Wewn. Oba te „dokumenty” posłużyły Machajkowi jako materiał do felietonu w *Życiu Literackim*, który stał się sygnałem do powszechnej nagonki na encyklopedystów.

1 września 1967 roku na Pl. Zwycięstwa na wiecu w rocznicę wybuchu wojny zdumiały mnie przywiezione kilku samochodami ciężarowymi transparenty i plakaty przeciw encyklopedystom. Po kilku dniach Kazimierz Rusinek na specjalnie zwołanym posiedzeniu Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich sformułował „teoretyczne” wyjaśnienie tła „skandalu w WEP”, wymienił nazwiska „syjonistów” w zespole. Stanowiło to potwierdzenie już uprzednio stosowanej przez cenzurę zasady, że „aryjczy” — nawet autor artykułu „Obozy koncentracyjne”, b. przewodniczący pow. Komisji, doradca Ministra Sprawiedliwości dr M. Gumkowski oraz odpowiedzialny za to właśnie hasło redaktor naczelny encyklopedii PWN Leon Marszałek — nie mogą być publicznie atakowani.

Akcja zataczała coraz szersze kręgi. Organizowano zbiorowe i indywidualne listy członków ZBOWiD, w całej prasie ukazywały się kśliwe uwagi o rzeczywistych i urojonych potknięciach WEP. Wszystkie te naciski spowodowały oficjalne powołanie ko-

misji „partyjno-rządowej” (?) (Wróblewski z KC i trzech (?) wice-ministrów: Oświaty, Kultury i Sprawiedliwości), która „przesłuchiwała” zainteresowanych i podjęła uchwałę w sprawie artykułu „Obozy koncentracyjne hitlerowskie”. W sążnistym wywodzie uznano, że wszystkie zarzuty były uzasadnione. Gumkowski został wyrzucony z Ministerstwa Sprawiedliwości, Marszałek ukarany upomnieniem, zasłużony kierownik redakcji historii Stefan Biernacki⁵ zdjęty ze stanowiska. Prof. Alfons Klafkowski miał napisać nowy artykuł na temat obozów hitlerowskich; wydawnictwo zostało zobowiązane do rozesłania tej nowej wersji wszystkim prenumeratom WEP.

Mimo jednoznacznego stanowiska komisji jej uchwała wywołała oburzenie elementów neofaszystowskich w aparacie bezpieczeństwa, partii i ZBOWiD. Uchwała nie potwierdziła bowiem tezy o „syjonistycznym” spisku w zespole encyklopedystów, nie odmówiła temu zespołowi jako całości i jego kierownictwu zaufania, a nawet kilku zdawkowymi ogólnikami pochwaliła WEP i inne publikacje encyklopedyczne PWN. Ściszona przez cenzurę w prasie, kampania prowadzona była ze wzmoczoną intensywnością w całym kraju, szczególnie jednak na prowincji, przez wszelkiego typu instruktorów i agitatorów. Niewielu ludzi rozumiało (i rozumie do dziś), że sprawa „syjonistycznego spisku” w zespole encyklopedystów była drobnym, ale taktycznie znakomicie dobranym pretekstem do kampanii „patriotycznej”. Nawiązywano do autentycznej nienawiści do hitleryzmu („ONI twierdzą, że dla Polaków okupacja była idyllą”), do urażonej dumy narodowej („ONI twierdzą, że to MYŚMY mordowali Żydów” a nie hitlerowcy”), do nieufności wobec Niemców („ONI są w sojuszu z odwetowymi elementami NRF”). Przeciętny Polak nie sięgał do tekstów, przyjmował na wiarę informacje o „spisku”, zaczytał się we własnym otoczeniu rozglądać za „syjonistami”. W koncepcji sztabu moczarowców kampania przeciw encyklopedystom była ważnym składnikiem przygotowania społeczeństwa do walnej rozprawy z elementami liberalnymi.

Ostatni etap rozprawy z encyklopedystami zapoczątkował w końcu marca 1968 podpisany aż dwoma pseudonimami dwukolumnowy elaborat w *Prawie i Życiu* pt. „Encyklopedyści”, powtarzający cały komplet zarzutów przeciw wymienionym z nazwiska rzekomym „syjonistom”. Nie warto ich cytować. Artykuł został przedrukowany w całości lub we fragmentach, omawiany w przeglądach prasy jak Polska długa i szeroka (tytuł w *Trybunie Mazowieckiej*: „Kim są ONI?”).

O obronie, prostowaniu oszczerstw nie było już mowy. Dyrektorem Państwowego Wydawnictwa Naukowego, największego w Polsce i jednego z największych w skali światowej został doświadczony (w rozgrywkach politycznych) sekretarz komitetu

5. Stefan Biernacki, historyk, pułkownik rez., odznaczony orderem Virtuti Militari za udział w kampanii wrześniowej, więziony bezpodstawnie w latach pięćdziesiątych (tzw. sprawa generałów), bezpartyjny.

dzielnicy partii. Rękoma tych co chcieli się podjąć brudnej roboty, m.in. Leona Marszałka, szefa encyklopedystów, przeprowadzono czystkę. Organizacja partyjna PWN została rozwiązana, przeszło stu pracowników, w tej liczbie ok. 30 encyklopedystów znalazło się na bruku, kierownicze stanowiska redakcyjne obsadzono z dnia na dzień swoimi ludźmi.

Następnie sprawę ujeli w swe ręce zawodowcy. Usuniętych pracowników wyrzucano z partii, z każdej kolejnej pracy. Milicja i prokuratura przesłuchiwała przeszło 150 pracowników, powodując sporządzanie licznych nieprawdopodobnych donosów⁶ przez ludzi niegodziwych, lub zastraszone. Leon Marszałek dał się tą drogą nakłonić do firmowania nowej moczarowskiej wersji tomu I, XI-XIII Wielkiej Encyklopedii Powszechnej i nowych edycji encyklopedycznych PWN. Nie na wiele to się jednak zdało: w roku 1969 zmuszony został do ponizającej „samokrytyki” na zebraniu partyjnym w Państwowym Wydawnictwie Naukowym. Samokrytykę „uznano za niewystarczającą” i wkrótce za „okazany przy czystce liberalizm” został on usunięty z wydawnictwa (po 18 latach pracy).

Pozostaje nam jeszcze kilka uwag końcowych o edycjach encyklopedycznych po „zglajchszaltowaniu” encyklopedystów. Brak miejsca nie pozwala na analizę zmian i uzupełnień w nowym wydaniu tomu I, w tomie XI-XIII Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, w Małej Encyklopedii Powszechnej PWN (1969) i w Leksykonie PWN (1972). Przewertowałem we wszystkie jak mogłem najdokładniej, ale wystarczy tylko pobieżne przejście, by stwierdzić przekreślenie przyjętych przed 15 laty zasad encyklopedystów (pisałem o nich w poprzednich numerach *Kultury*). Nowi obficie cytowani autorzy — Walichnowski, Kolczyński, Filler, nowi bohaterowie naszych czasów — Kąkol, Przymanowski, nowe aż do znudzenia powtarzane formuły, zapożyczone z uświęconych przemówień i uchwał partii. W pięciu artykułach znalazłem na przykład formułę o skupieniu „wokół rewizjonistycznego programu wszystkich sił reakcyjnych, w tym (?) również elementów syjonistycznych, rozdrażnionych stanowiskiem (PRL) po agresji Izraela”. O grudniu 1970 pisze się „wydarzenia na Wybrzeżu” bez żadnych przymiotników. W dodatkowym nakładzie I tomu Wielkiej Encyklopedii Powszechnej dokonano rzeczy w światowym ruchu wydawniczym niespotykanej: w pierwszym tomie dzieła trzynastotomowego usunięto informacje o składzie Rady Naukowej i Kolegium Redakcyjnego. Wklejono „za to” przedmowę, atakującą personalnie żargonem najgorszego brukowca „elementy syjonistyczne i rewizjonistyczne” w kierownictwie PWN i w zespole encyklopedystów.

6. Los (?) sprawił, że właściwe władze PRL uznały za stosowne umożliwić mi przeczytanie ogromnej liczby — może nawet wszystkich — donosów, dotyczących Państw. Wyd. Nauk. i encyklopedystów. Okoliczności, które temu towarzyszyły, zwalniają mnie jednak z obowiązku składania im za to podziękowania.

Ale nie, nie będziemy już więcej cytować. Czytelników Wielkiej Encyklopedii Powszechnej o słabych nerwach przestrzegam przed czytaniem takich odkrywczych artykułów jak „dywersja ideologiczna”, „rewizjonizm”, „uzupełnień” artykułów o Polsce Ludowej, o PZPR.

Kultura drukowała niedawno wypowiedź charakteryzującą pewne aspekty marca 1968 roku jako spór w rodzinie. Sąd to niesłuszny nawet w odniesieniu do tych przeciwników politycznych, których eliminowano pod pretekstem „syjonistycznego rodowodu” (autentyczne!). Spór to był w istocie o kształt ojczyzny. Spór o kształt polskiej encyklopedii był jego drobną, ale niezwykłą częścią i został w 10/13 (w dziesięciu tomach na 13 wydanych) wygrany. Oby został podjęty przy dalszych wydaniach i przy nowych edycjach polskich encyklopedii.

Adam BROMBERG

Uppsala, 30 sierpnia 1973.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 227 — KAZIMIERZ ORŁOŚ

CUDOWNA MELINA

Powieść młodego ale już znanego pisarza malująca stosunki
Polski prowincjonalnej.

Str. 180.

Cena F. 20 (dol. 4,50; £.stg. 1,75)

Książki

Prof. Andr(z)e(jew)ski wśród czarownic

Na jakiej uczelni można dziś studiować retorykę? W jakich laboratoriach przeprowadza się dziś eksperymenty alchemiczne? Kto dziś poważnie zajmuje się astrologią? Od czasu do czasu pewne dziedziny wiedzy obumierają śmiercią naturalną, gdy się okazuje, że nie są w istocie żadną wiedzą. Postępu nauki nie można zobrazować linią prostą: są to raczej zawroty, skręty i odwroty ze ślepych uliczek.

W naszych czasach powstały dyscypliny zwane dziś psychologią, antropologią i socjologią. One to w dużej mierze zastąpiły teologię w roli dyscypliny badającej sytuację człowieka jako jednostki, jako członka grupy i jako istoty zagubionej w wszechświecie. Z tych trzech dziedzin socjologia jest najmłodsza i najbardziej dziś popularną dyscypliną naukową; jest też chyba dyscypliną z nich najbardziej kontrowersyjną, gdyż, podobnie zresztą jak psychologia i antropologia, operuje na pograniczu humanistyki i przyrodoznawstwa.

Wzorem prawdziwej wiedzy są nauki przyrodnicze, dlatego, że potrafią wykazać się doraźnymi wynikami i obliczyć z góry bieg wydarzeń. Ambicją socjologa jest mieć taką znajomość badanych przez niego społeczeństw lub systemów politycznych, aby na jej podstawie móc przewidzieć rozwój wydarzeń z taką samą dokładnością, z jaką astronom kalkuluje zaćmienie słońca. Dlatego też socjolog próbuje sprowadzić wyniki swych badań i rozważań do równań matematycznych i widzą w tej metodzie konieczny krok na drodze uściślenia wiedzy o człowieku.

Niestety prawa rządzące poczynaniami ludzi zdają się tak skomplikowane, że wszelkie próby ich redukcji do stałych matematycznych stosunków zdają się skazane na niepowodzenie. Ale czy rzeczywiście — zapyta ktoś — badacze ludzkich organizacji, społeczeństw, kodów moralnych i przekonań politycznych, nie mogą nam nic mądrego powiedzieć, jeśli ich konkluzje nie są

oparte na bardzo ściśłych obliczeniach? Być może w tej dziedzinie winniśmy zastosować mniej wymagające pojęcie ścisłości.

Socjologowie jednak słusznie podejrzewają, że jeśli rozluźnią swoje kryteria naukowe, posądzeni zostaną, że są po prostu powieściopisarzami drugiej kategorii, którzy próbują ukryć brak talentu pod powłoką naukowego żargonu oraz imponująco wyglądających tabel statystycznych, wykresów i cyfr. Oto dylemat, wobec którego staje współczesny badacz człowieka jako istoty społecznej.

Stanisław Andrzejewski*, który jest profesorem socjologii na uniwersytecie w Reading w Anglii, wydał właśnie książkę o prowokującym tytule *Social Sciences as Sorcery*, Londyn 1972, (*Nauki społeczne czyli czarodziejstwo*), w której utrzymuje, że większość współczesnych socjologów, stojących wobec opisanego właśnie dylematu, stara się otumaniać świat naukowy pozorami wiedzy. Tu głównym przedmiotem ataku jest sam Claude Lévi-Strauss. Andrzejewski przytacza Lévi-Straussa analizę mitu, która oparta jest na różnego rodzaju zdaniach pozornie matematycznych. „Pozornie” dlatego, że Lévi-Strauss posługując się konwencjonalnym znakowaniem matematycznym, nie przestrzega bynajmniej uzgodnionych w tej dziedzinie reguł. Ponieważ, zdaniem Andrzejewskiego, tak socjologowie, jak przeciętny czytelnik zainteresowany antropologią, ma bardzo słabe rozeznanie w matematyce, przyjmują oni czarodziejskie inkantacje Lévi-Straussa na wiarę.

Ale bardziej jeszcze niepokojące, zdaniem Andrzejewskiego, jest przekonanie wśród wielu socjologów, że w pełni neutralny opis badanych przez nich zjawisk jest możliwy. Małpując matematyków socjologowie tworzą rzekomo kompletnie zneutralizowane opisy systemów politycznych, fałszując rzeczywistość w bardzo niebezpieczny sposób. Tak, na przykład, w utartym żargonie socjologów stosunek między rządem a obywatelami wyrażany bywa następująco: obywatele popierają rząd w zamian za spełnianie przez rząd pewnych usług. Tu termin „popierają” ma rzekomo mieć znaczenie czysto opisowe, neutralne, zbliżone do słowa „podpierają” w zdaniu „kolumny podpierają krużganek”. Ale kompletna neutralność w opisie stosunków międzyludzkich nie jest możliwa. Jasne jest, że rządów Hitlera nie można przyrównywać do rządów Brandta, a takie przecież porównanie z konieczności nasuwa się, gdy w zneutralizowanym języku socjologii politycznej pisze się, że w jednym i drugim wypadku zachodzi stosunek popierania rządu w zamian za spełnianie usług. W podobny sposób, argumentuje Andrzejewski, zachowanie przestarza-

* Na okładce autor figuruje jako „Stanislav Andreski”. To groteskowe i świadome zniekształcenie nazwiska, podobnie jak metamorfoza Jerzego Pietrkiewicza w „Peterkiewicza”, dowodzi braku wrażliwości w stosunku do obszaru kultury, w którym te nazwiska zaistniały. Jeżeli rzeczywiście są to nazwiska ponad siły Anglosasów — którzy jednakoż z „Czerniawskim” dają sobie jakoś radę — należało je konsekwentnie zanglizować na, powiedzmy, „Andrewsa” i „Petersona”.

tych definicji kluczowych pojęć społecznych prowadzi do zupełnie błędnych analiz zasadniczych problemów. Komuniści, na przykład, posługują się marksistowską definicją „klasy”, wedle której przynależność klasową ocenia się w zależności od tego, czy dany człowiek jest posiadaczem, czy nie. W Związku Sowieckim ani zwyczajny robotnik, ani wysoki urzędnik, nie jest posiadaczem, wobec czego, wedle definicji, obaj należą do tej samej klasy, co z kolei prowadzi do fałszywego wniosku, że obaj mają się równie dobrze. A natomiast z niektórych amerykańskich prac socjologicznych wyrugowano termin „klasa” i zastąpiono go bardziej oderwanym, pozbawionym uczuciowego zabarwienia, pojęciem „stratyfikacji”, aby tą drogą zakamuflować poważne różnice społeczne w Stanach Zjednoczonych.

Pseudo-neutralny język socjologów pełni więc, zdaniem Andrzejewskiego, podwójną funkcję. Nie tylko daje pozór naukowej obiektywności, ale równocześnie, właśnie dzięki zneutralizowanej terminologii, efektywnie ukrywa istotę problemów społecznych, które są w danym wypadku przedmiotem badań. A ponieważ badania socjologiczne są w dużej mierze finansowane przez agencje rządowe lub fundacje prywatne — tu Andrzejewski ma na myśli głównie Stany Zjednoczone — badacze mogą tak zredagować swoje wnioski, że wszelka krytyka rządów, ministerstw czy ugrupowań społecznych, rozplywa się pod nawałem zawiłej pseudo-naukowej terminologii.

W dziedzinie nauk przyrodniczych nie jest już dziś chyba tajemnicą dla żadnego pracownika na tym polu, że metoda naukowa nie polega na pedantycznym zbieraniu faktów, na podstawie których, po czasie, można indukcyjnie wysnuć jakąś zasadę czy prawo. Przeciwnie, każdy kompetentny badacz operuje na zasadzie apriorycznie sformułowanej hipotezy, którą systematycznie poddaje próbie eksperymentu i obserwacji. Ale, jak wynika z książki Andrzejewskiego, lekcji tej nie nauczyli się jeszcze socjologowie. Wciąż myślą, że żmudne kolekcjonowanie faktów zapewni ich badaniom obiektywność. Andrzejewski konkluduje, że socjologom przydałaby się tu gruntowna znajomość filozofii, zwłaszcza anglo-amerykańskiej filozofii analitycznej. Nauczyliby się poprawnego wnioskowania, wyrobiliby sobie odpowiednią metodologię. Celem filozofii jest dążność do prawdy za wszelką cenę: podobny cel winna mieć socjologia. Ale uwagi Andrzejewskiego o pojęciu prawdy wskazują, że jest pesymistą:

„Nawet jak najbardziej powierzchowny przegląd ludzkich przekonań uczy, że człowiek nie posiada żadnej wrodzonej inklinacji do szukania prawdy; oraz, że absurd i ciemnota bynajmniej człowieka nie odpychają. Przeciwnie, dla większości ludzi ciemnota i absurd stanowią pokusę nie do przewyciężenia. Składa się na to wiele powodów, ale najbardziej powszechnym jest fakt, że klarowność i logika narzucają naszemu myśleniu poważne ograniczenia, które chronią myślenie od uległości wobec pożądlivosti, nienawiści i kaprysów”.

Andrzejewski pisze żywo, z pasją burzyciela nadętych wiel-

kości. Zapewne ma rację, że socjologia i psychologia są dziś dziedzinami, w których łatwo jest szarlatanom i mistyfikatorom robić kariery. Ale zacięcie demaskatorskie popycha go w skrajność, tak, że sam nie zawsze przestrzega zasad poprawnego rozumowania. Oto kilka przykładów.

(1) Na str. 26 autor pyta: „Jaka dziedzina wykazuje w Stanach Zjednoczonych najmniej sprawności? W jakiej dziedzinie zatrudnia się największą ilość psychologów i socjologów? Odpowiedź jest prosta: w szkolnictwie. A w jakiej dziedzinie gatunek wytworu zdradza najostrzejszy spadek? W jakiej dziedzinie liczba psychologów i socjologów wzrasta najszybciej? W szkolnictwie”.

Andrzejewski próbuje nas tu przekonać, że wzrost ilości psychologów i socjologów przyczynił się do upadku amerykańskiego szkolnictwa. Równie dobrze można by argumentować, że przyczyną upadku jest wzrost ilości ławek szkolnych. Postawienie obok siebie dwóch wykresów statystycznych nie jest przecież samo przez się dowodem istnienia między nimi przyczynowego związku.

(2) Na str. 33-34 czytamy, że: „Możliwość wpływu zdań opisowych na postępowanie ludzi nie jest oczywiście ograniczona do polityki... Kryminolog, który informuje publiczność o ilości niewykrytych przestępstw być może zachęca potencjalnych przestępców... Jeśli wmówimy społeczeństwu, że nauka wykryła, iż człowiek jest motywowany wyłącznie dążeniem do materialnej poprawy, społeczeństwo będzie skłonne dostosować się do tych przewidywań i tą drogą podważymy gotowość obywateli do działania zgodnie z altruistycznymi ideałami”.

Teza ta, gdyby ją zastosować systematycznie i powszechnie, doprowadziłaby do kompletnej cenzury, gdyż każda informacja może mieć ujemny wpływ na postępowanie obywateli. Andrzejewski zdaje się sądzić, że wystarczy cenzura wiadomości demoralizujących, ale przecież nawet państwowy komunikat, głoszący, że „Partia wybudowała już pół miliona domków jednorodzinnych” może podzielać jak najbardziej nieprzychylnie na obywateli, którzy stoją w kolejce daleko za tym pół milionem uszczęśliwionych. Z drugiej strony, wbrew temu co sądzi Andrzejewski (i władcy państw totalitarnych), uczciwy system informacji może dać wyniki bardzo pozytywne. Gdyby po dojściu do władzy Hitler ogłaszał regularnie dane dotyczące zbrojeń i obowozów koncentracyjnych, może uniknęlibyśmy wojny światowej.

(3) Andrzejewski widzi ideał uczciwego rozumowania w klawrowej prozie Hume'a, Spencera i Russella, pomstując jednocześnie dość naiwnie na „mgławice” (str. 208) Hegla, Marksa, Husserla i (na str. 84) Lévi-Straussa. Oczywiście, dobrze by było, gdyby tajniki osobowości ludzkiej i ludzkich społeczeństw dały się wytłumaczyć całkiem przejrzystie. Słusznie więc autor nawołuje socjologów, by uczyli się od filozofów angielskich jasnego wykładu i poprawnego rozumowania.

Zasadniczym zagadnieniem filozoficznym dla socjologa jest, czy jego dyscyplina jest nauką, rozumiejąc przez to „systema-

tyczne badanie, którego celem jest dostarczanie uważnych opisów, uzasadnionych wyjaśnień i uogólnień popartych faktami” (str. 23). Andrzejewski uważa, że taką definicję możemy zastosować do socjologii, pod warunkiem, że „nie przyjmujemy powszechnego determinizmu za nieodzowną podstawę badań działalności ludzkiej”.

Niestety bardzo zwięzłe uwagi autora o determinizmie wykazują poważne uproszczenia i pomieszanie pojęć, zadziwiające u autora, który tak ostro krytykuje socjologów za brak filozoficznego przygotowania. Andrzejewski nie rozróżnia między determinizmem w sensie, że każde zjawisko musi mieć jakąś przyczynę, a nabrzmiałym w poważne dla nas konsekwencje sensem, że człowiek nie panuje nad własnym losem i że wobec tego odpowiedzialność osobista jest mrzonką. Ponadto Andrzejewski identyfikuje zakres determinizmu z zakresem naszej wiedzy. To znaczy, że determinizm powszechny mógłby być dowiedziony tylko w razie, gdybyśmy posiadali wiedzę absolutną, ale ponieważ z konieczności wiedza nasza jest ograniczona, determinizm nie istnieje. Dla Boga (jeśli istnieje) determinizm jest faktem, dla nas nie: determinizm zatem istnieje i nie istnieje!

Astronom prawidłowo przepowiadający zaćmienie słońca zakłada determinizm jako hipotezę: nie posiadając absolutnej wiedzy może więc jednak poprawnie przewidzieć przyszłość. Podobnie, znając z obserwacji moje upodobania, moja żona prawidłowo przewiduje, że kieliszek dobrego wina sprawi mi przyjemność. Z jednej strony astronom nie ma żadnego wpływu na przebieg zaćmienia, z drugiej strony ja nie czuję, że moja swoboda działania została ograniczona faktem, że przyczyna mojej przyjemności przyszła z zewnątrz i wobec tego nie podlegała mojej kontroli. Co więcej, gdyby astronom zaćmienia nie przewidział, zaćmienie i tak miałoby miejsce, a ja cieszyłbym się kieliszkiem wina, nawet gdyby żona podała mi go przypadkowo, nie zdając sobie sprawy, że sprawia mi przyjemność. Innymi słowy, pewne związki przyczynowe istnieją, niezależnie od tego czy są powszechnie znane, a ich istnienie samo przez się nie wyklucza tezy, że w wielu wypadkach działamy nieprzymuszenie z własnej woli.

Adam CZERNIAWSKI

Antynostalgia

Grynberg debiutował jako poeta, tomik nazywał się „Święto kamieni”. Część wierszy z tego zbioru, w odwróconym chronologicznie porządku, zamyka *Antynostalgia*¹.

1. Henryk Grynberg, *Antynostalgia*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1971, str. 78.

Święto kamieni opowiada o podróży w sztukę, w resztki dawnej kultury. Co mówi młodemu pisarzowi, z części Europy najbardziej obolałej, kształt antycznych rzeźb, kolory starych obrazów, szczątki wiekowych budowli? Co mówi on sam pięknym śladom dawnego życia? Pierwszy wiersz „Spotkanie w Museo Vaticano”, jest zderzeniem — mniejsza czy potrzebny i oryginalny — własnego doświadczenia, własnej niecierpliwości z cudzym śmiertelnym kształtem, który sztuka zmusiła do przetrwania:

*„/ stopy pomarszczone od spodu jak dłonie / i trochę nadje-
dzone / przez te cztery tysiące niepotrzebnych lat / ... / Piękna
moja / pocisku wystrzelony w przyszłość / ... / widzę cię bezsprze-
cznie jako postać prawdy / dla której są zawsze gotowi stawiać
piramidy / by ją tym głębiej pogrzebać /”*

W mieście które niegdyś było Pompeją żywy jest tylko wulkan. W Rzymie, w miejscu gdzie umierali dawni chrześcijanie, zamiast ryku lwów słychać miauczenie kotów:

*„/ wążam kikuty kolumn / wyhodowany na tych chudych kę-
sach / które czas nam rzucił pod stół /”*

Nie ma wiecznej sztuki, nie ma wiecznych miast. Symbole wiary kupowane przez pobożnych są także częścią kultury; jej ruina, jej wstyd. Czytamy w wierszu „Ebreos”:

*„/ Wziąłbym cię Pani jedyna / w której niepokalanie mogę
jeszcze uwierzyć / ale z ocalałej ściany synagogi / gdzie tuż za
Twoimi plecami / zabito ośmiuset ludzi / spogląda tablica / której
nie miałby kto spojrzeć w oczy /”*

Grynberg, pod pozorem sztuki, opowiada o swoim stosunku do historii. Jest obrazony na dawną sztukę w imię najnowszej historii. Pyta: co mi dajesz dzisiaj, mnie, Żydowi z Polski? Można i tak. Ale dawna sztuka nie dlatego nudzi, że przeżyliśmy drugą wojnę światową. Osobiście wolę, jeśli na obraz i rzeźbę patrzy się ahistorycznie: niezależnie od czasu w którym powstała, niezależnie od czasu, w którym się ją ogląda. Jak na drzewo i wodę.

O historię trzeba pytać historii. I oskarżać historię, nie sztukę. Grynberg wie o tym dobrze, ale niezawsze pamięta. Wie także znacznie więcej. W wierszu „Synowie”, proponuje oplakującym zmarłych, hołdującym pomniki, hołdującym rocznicom, absurdalną, gorzką alternatywę: życia za zmarłych w sensie najbardziej dosłownym:

*„/ bo kiedy zjadacie chleb musicie go zjadać za stu / a kiedy
zechcecie kochać musicie kochać za tysiąc / bo nie ten kto umarł
/ lecz ten kto żyje / jest dzisiaj w moim kraju pomnikiem /”*

Są w tym tomie wiersze, które gubi retoryczne wylizanie i pisarska uczciwość prozaika-moralisty. W wierszu „Wachta” wymieni Grynberg wszystko czym człowiek nie jest, żeby powiedzieć tę jedną chcianą linię; czym jest. „Mysim piskiem i psim skowitem”. Ale w tym samym wierszu zdanie niespodziewanie, nieretorycznie piękne: „Płyną brzegi po morzach nocy”. I tęsknota do jednoznaczności. Bodaj tej, którą wyznacza rytm przyrody, kosmosu:

*„/ co noc wychodzę i sprawdzam / czy morze jest jeszcze mo-
rzem / gwiazdy gwiazdami a noc / niczym więcej niż noc /”*

Wzrusza mnie ta poezja i bardzo irytuje. Wzrusza powagą i tym, czym być nie potrafi lub nie chce: grą wyobraźni, konceptem. Grynberg zapatrzone jest w dawniejszy Różewiczowski rytm i konkretność. Ale brakuje mu Różewicza umiejętności opowiadania obrazem. Jest to poezja zbyt prosta aby była piękna, ale zbyt gorzka, żeby była naiwna. Wiersze Grynberga składają się z pytań o moralną naturę świata, o krzywdzie i podłości mówią z gniewem i z pasją. Wszystko jest w nich prawdą. Ale prawda nie robi poezji. Poezja nie może być tylko rejestrem wymówek czynionych Bogu, historii, politykom i bliźnim.

Przekornie, piękne są wiersze o temacie dla samego poety niesprecyzowanym, o przesłaniu lirycznym, niekonkretnym. Na przykład „Majowe noce”:

*„/ w majowe noce biegnę przed ołtarze / modłę się do nich
i z wytrwałością wierzę / jakbym był dziewczyną słowikiem lub
dzieckiem /”*

I w cyklu „Wysokie milczenie” wiersz „Kropla krwi”, poświęcony małemu bratu zamordowanemu przez Niemców. Po litanii retorycznych pytań i odpowiedzi strofka czystej poezji:

*„/ Nie galaktyki nie galaktyki boją / małostkowego z natury
poetę / lecz przebitą bagnetem promień / zachłyśnięty kroplą
krwi / mały liść /”*

Jest w Antynostalgii rodzaj poematu, „Święto nad Wisłą” z dedykacją: Polsce Ludowej z okazji 25-lecia, którego całe strofy brzmią jak pastisz romantycznej poezji. Wiersz głęboki, ironiczny i sentymentalny; mądrze pobrana lekcja z „Traktatu politycznego” Miłosa:

*„/ nigdzie się tak ładnie nie czci każdej kłęski / dawno nie
widziano tu święta zwycięstwa / Jest to rzeka kłęski i żadna jak
ona / nie jest na nieszczęścia tak uodporniona / ... / Kraju kłęski /
podziwiam cię twoją rzekopłynną mową / wolą życia przekorną
utysiąckrotnioną / ja też żyję tylko na przekór moim wrogom /
z miłości niedrowej już mnie wytrzebiono / i nie twoim piachem
pościelą mi pod głowę / lecz ja nawet w grobie / nie przestanę
mówić wierszami o tobie /”*

Tu się kończy krótka lekcja miłości. Potem idą wiersze gorzkie, obrazy, gniewu. Tytułowy wiersz zbioru to „sonet krymski” odejdzającego poety. Wylizy w nim Grynberg nazwiska ludzi, którzy raz na zawsze zabili w nim tęsknotę:

*„/ Powinienem chyba być im wdzięczny za to / że dzięki nim
tak mi łatwo unikać nostalgii / ... / bo moje proustowskie zapa-
chy to swąd / swastyką przypalanego dzieciństwa / ... / i walich-
nowski woła z mojej Litwy / ... / pewno nie dość dalekośmy jesz-
cze zajechali / jedźmy jedźmy dalej /”*

Lubię poezję Grynberga za wszystko to, co jest w niej z jego prozy. Za opis dokładny, za bystrą obserwację, za sprawiedliwy gniew. Za wiarę, że życie, które jest losem nie tylko pojedynczym należy się literaturze. Za to, że tytuł zbioru nie jest kokieteryą

ani odczynianiem uroków, lecz jego i moją prawdą. I za ostrożną zabobonną radość z życia parokrotnie już darowanego. Jak w tym wierszu „Exodus” dedykowanym żonie:

„/ pogodziłem się nie wojuję / należę / to bardzo proste należeć / być jednym z mężczyzn którzy należą / do jednej z kobiet / i trwać / ... / będę progu pilnował jak pies / mnie nie zmylą już żadnym / kabotyńskim znakiem /”.

Janina KATZ

O Ziemiach Zachodnich

Nowa generacja naukowców polskich którzy ukończyli wyższe studia już na Zachodzie dowiodła raz jeszcze swojej produktywności i jakości przez dorobek Zbigniewa A. Kruszeńskiego, profesora nauk politycznych na Uniwersytecie Texasu w El Paso. Kruszeńskiego znaję czytelnicy *Kultury*. Ostatnio opublikował on książkę na temat Ziem Zachodnich, pt. *The Oder-Neisse Boundary and Poland's Modernization: The Socioeconomic and Political Impact* (New York: Praeger Publishers, 1972, 245 stron). Udostępnia ona czytelnikowi zachodniemu, oraz logicznie i pełnie przedstawia czytelnikowi polskiemu, problemy związane z przyłączeniem Ziem Zachodnich do powojennego terytorium Polski. Kruszeński traktuje kilka głównych wątków: problem polityczny związany z pertraktacjami przed i po przesunięciu państwa polskiego na zachód; problemy demograficzne dynamiki spowodowanej wędrowkami ludności na Ziemiach Zachodnie; problemy socjologiczne związane z autochtonami i z późniejszymi powojennymi migracjami; problemy ekonomiczne powojennej odbudowy sieci transportu, przemysłu i rzemiosła, trudności z produkcją rolniczą, która była niedostateczna już przed wojną, oraz szybko postępującej urbanizacji; wreszcie problemy socjologiczne, co do których wykazano, że migracje ludności stworzyły permanentne zmiany w polskiej strukturze socjalnej, tradycyjnych więzach rodzinnych, skali wartości, instytucjach, ustosunkowaniu do czasu wolnego i do pracy, aspiracjach i technologii. Autor kończy książkę konkluzjami, jedną z których jest nieco paradoksalnie brzmiąca implikacja, że pozytywna kontrybucja Ziem Zachodnich w rozwoju gospodarczym Polski odegrała rolę w zmniejszeniu tarć między Polską a Niemcami i w ten sposób złożyła podwaliny pod, miejmy nadzieję, lepsze stosunki między tymi państwami.

Praca Kruszeńskiego zawiera dużo oryginalnych źródeł oraz opiera się na ogromnej ilości materiałów, pracowicie zebranych i jasno omówionych przez autora. Cztery załączniki, mapy i biblio-

grafia dopełniają książkę i podnoszą jej użyteczność. Zaznaczyć trzeba, że Kruszeński oparł się m.in. na własnych spostrzeżeniach z Ziem Zachodnich, które gruntownie poznał w trakcie swoich badań socjologicznych na tym terenie. Tak więc książka jego nie stanowi jedynie wyczerpującej kompilacji istniejących materiałów, a wyróżnia się dodatkowo żywością osobistych spostrzeżeń autora.

Dla zachodniego czytelnika polskie doświadczenie przesunięcia całego państwa „żywcem” o kilkaset kilometrów na zachód powinno być samo w sobie fascynujące. Ruch ludności objął 4 i pół miliona Polaków migrujących z Rosji, Rumunii, Jugosławii, centralnej Polski, terenów scedowanych po wojnie na rzecz Rosji, i z krajów zachodnich. Objął on nawet małą grupę Greków i Macedończyków. Trzeba dodać do tego faktu pionierski wyczyn odbudowy który skatalizował całe społeczeństwo i socjologiczne zagadnienia integracji nowych mieszkańców Ziem Zachodnich.

Wśród problematyki gospodarczej uderzyła mnie zbieżność między orzeczeniem Kruszeńskiego a konkluzją Rycia, którą niedawno cytowałem w *Kulturze* (1973, nr 6). Kruszeński w związku z represją rzemiosła przez administrację komunistyczną stwierdza, że:

„Zmiany w polityce rządu przyczyniły się do podkopania powszechnego entuzjazmu, z którym naród polski partycepował w odbudowie Ziem Zachodnich jako w swoim głównym narodowym i patriotycznym zadaniu. Trudno jest określić straty, ale stłamszenie przez komunistów entuzjazmu który przenikał każde obywatelskie i gospodarcze zadanie prawdopodobnie opóźniło proces osiągnięcia równowagi społecznej o wiele lat po Drugiej Wojnie Światowej. Zmarowało ono inicjatywę i energię społeczną, która — gdyby była ona odpowiednio pokierowana — mogłaby była waleń przyczynić się do szybszego odrodzenia gospodarki i społeczeństwa od skutków Drugiej Wojny Światowej. ... na Ziemiach Zachodnich nagłe przejście do odmiennego modelu ekonomicznego spowodowało prawie katastrofalną szkodę w życiu gospodarczym tego rejonu” (str. 110-111).

Ryc podaje podobną analizę:

„Prywatni przedsiębiorcy na ziemiach zachodnich uruchamiali produkcję w warunkach, w których niewiele mogła zdziałać administracja gospodarcza państwa. Adaptowali zniszczony majątek wytwórczy nie uwidoczniłszy części w ewidencji. Dopuszczenie prywatnego handlu również zwolniło poważne środki finansowe na odbudowę gospodarczą. Szczególnie wielkie znaczenie miały inwestycje indywidualnych rolników. ... Przeprowadzone na szeroką skalę w 1949 roku wypieranie prywatnego przemysłu (oraz wcześniejsze wyparcie prywatnego handlu) dokonane metodami administracyjnymi przyczyniło się do przedwczesnego, naszym zdaniem, zrezygnowania z wykorzystania wszelkich możliwych środków na cele odbudowy*”.

Istnieje tu ciekawa analogia z sytuacją na Zachodzie. W londyńskim *The Economist* (28 kwietnia, 1973) znany angielski eko-

* Kazimierz Ryc, *Spożycie a wzrost gospodarczy Polski, 1945-1970*, str. 46-47.

nomista, Norman Macrae, doszedł do wniosku, że nacjonalizacja niektórych przemysłów przez rząd Clementa Attlee w Wielkiej Brytanii była jednym z głównych powodów zbyt wolnego powojennego rozwoju ekonomicznego tego kraju, i że była ona czynnikiem utrudniającym unowocześnienie gospodarki brytyjskiej. Można więc sądzić, że doktrynerstwo tak na Wschodzie jak i na Zachodzie jest kosztowne dla społeczeństwa, w którym staje się ono czynnikiem decydującym w polityce gospodarczej. Kruszewski w związku z tym zauważył w swoich konkluzjach, że starał się pokazać negatywną rolę wprowadzania siłą przez rząd nowego modelu gospodarczego w sposób czysto mechaniczny i doktrynerski, po to aby rozwiązać zagadnienia socjo-ekonomiczne. Autor przeciwstawił takiej polityce pozytywną rolę inicjatywy prywatnej w powojennej rekonstrukcji.

Nie od rzeczy jest przytoczyć tu uwagę Stanisława Andreskiego (Andrzejewskiego?) z jego ósmej książki wydanej na Zachodzie, pt. *Social Sciences as Sorcery* (Londyn: André Deutsch, 1972, str. 92), że chociaż czarnoksiężstwo poniosło porażkę w rywalizacji o umysł ludzki z metodą naukową — ponieważ ta ostatnia okazała się produktywniejsza fizycznie — to jednak magiczne inkantacje pozostały bardziej skuteczne w manipulowaniu tłumem aniżeli logiczne argumenty, tak że w rezultacie w decyzjach nad sprawami dotyczącymi ludzi magia pozostaje silniejsza od nauki. Tak więc właśnie magia haseł dziewiętnastowiecznych socjalistów na temat socjalizacji środków produkcji decyduje w sprawach drugiej połowy dwudziestego stulecia, skutki czego są ujemne tak dla „pragmatyków” brytyjskich jak i dla komunistów polskich.

W związku z problemem rolnictwa Kruszewski stwierdza, że „Z powodu doktrynerstwa i politycznie umotywowanych decyzji rządu Polska straciła okazję radykalnej poprawy struktury rolnictwa” (str. 126). Mimo to, Ziemia Zachodnie stanowią obecnie czynnik unowocześniający rolnictwo polskie i wprowadzający na wieś polską nowe wzory spożycia.

Ciekawe są uwagi autora na temat roli Kościoła, Partii Komunistycznej i innych organizacji oraz szkolnictwa w wytworzeniu nowych relacji społecznych. Dowiadujemy się od niego o zmianach w roli rodziny i o zmieniających się relacjach międzygrupowych. Czytelnik może czuć się jak w laboratorium, oglądając ciekawy eksperyment społeczny i śledząc jego rezultaty.

Główną tezę autora jest to, że industrializacja i modernizacja Polski była przyspieszona i ułatwiona przez istnienie Ziemi Zachodnich w ramach państwa polskiego. Wątpliwości zachodnich aliantów co do zdolności wchłonięcia Ziemi Zachodnich przez Polskę okazały się płonne, i absorpcja terenów tych stała się ważnym czynnikiem w rozwoju gospodarczym i socjalnym powojennej Polski, wpływającym na ustabilizowanie stosunków w centralnej Europie.

Bogdan MIECZKOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

SIWEK (Paweł, Ks. Prof., T.J.). *Ewolucjonizm w świetle nauki*. Str. 231 i 7 nłb. (Wyd. Kat. Ośr. Wyd. Veritas, Londyn, 1973, tom 11 Serii Zielonej Biblioteki Polskiej).

Procesy integracyjne w systemie współczesnego kapitalizmu. Opr. Polska Akademia Nauk, Wydział I Nauk Społecznych, red. Jerzy Bartosiak i Zdzisław Nowak. Str. 438 i 2 nłb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań, 1973; cena zł 50).

Kalendarz Polski na rok 1974. Rocznik VI. Pod redakcją dr. inż. Antoniego Gładysza. Str. 384. (Nakładem wydawnictwa „Promyk”, Doylestown, Pa., 1973, cena \$US. 4,00).

MEYSZTOWICZ (Walerian X.). *Poszło z dymem*. Gawędy o czasach i ludziach, t. I. Str. 325 i 3 nłb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1973).

ŁYSEK (Paweł). *Marynka, cera Gajdosza*. Powieść obyczajowa znad brzegów Olzy. Str. 256. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1973).

WYGODZKI (Stanisław). *Pieskin został pisarzem*. Powieść. Str. 252 i 4 nłb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1973).

LEDNICKI (Wacław). *20 lat w wolnej Polsce*. Str. 250 i 6 nłb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1973).

KOSSOWSKA (Stefania). *Jak cię widzę tak cię piszę*. Str. 265 i 7 nłb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1973).

Symbolae in honorem Georgii Y. Shevelov. — Zbiórka na poszanu prof. d-ra Jurija Szevelowa. Opr. Filozoficznyj Fakultet, Ukrainśkyj Wilnyj Uniwersytet. Naukowyj Zbirnyk tom 7. Str. 504 i 4 nłb. (Monachium, 1971).

Revue de l'Est. Economie et techniques des Planification, Droit et lisions. Extrait du numéro 2, Sciences Sociales. Volume 3 — 1972 — No 1. Str. 191 i 1 nłb. Numer zawiera m.in. prace: Jean Marczewskiego, Mieczysława Mieszcankowskiego, Mariana L. Piotrowskiego, Józefa Popkiewicza, Witolda Trzeciakowskiego, Eugene Zaleskiego, Janusza G. Zielińskiego, M. K. Dziwanowskiego, W. J. Wagnera i Z. G. Zielińskiego). (Wyd. Centre National de la Recherche Scientifique).

Annales. Economies, Sociétés, Civilisations. 1972. Str. 520-522: Michel Borwicz „Katyn: Massacre dans la forêt”. (Wyd. Librairie Armand Collin, Paryż).

Actes et Documents de Symposium International sur le 50^e ANNIVERSAIRE DE L'U.R.S.S. — Droits de l'Homme en U.R.S.S. Str. 189. Powielacz. (Ed. Comité International pour la Défense de Droits de l'Homme en U.R.S.S.).

DZIEWANOWSKI (Marian K.). *La Chine et l'Europe de l'Est*. Str. 163-174. (Nadbitka z „Revue de l'Est”, Juillet 1972, No 3, Vol. 3).

SCHOELL (Franck L.). *W. S. Raymond aujourd'hui*. Str. 71-87. (Nadbitka z *Revue de littérature comparée*, Janvier-Mars 1973, Librairie Marcel Didier, Paris).

MEED (Vladka). *On Both Sides of the Wall*. Memoirs from the Warsaw Ghetto. Str. 341 i 3 nłb. Przekład z yidish M. Spiegel i St. Meed. Wydanie II. (Wyd. Beit Lohamei Haghettaot — Ghetto Fighters' House i Hakibbutz Hameuchad Publishing House, 1973).

KOSBERG (Milton L.). *The Polish Colony of California, 1876-1914*. Teza przedstawiona na Wydziale Historii w the University of Southern California. Przedrukowana

- systemem „varityper” przez R.&E. Research Associates, publishers et distributors of ethnic studies. San Francisco, Cal., 1972. (Str. 80).
- MOSTWIN** (Danuta). *In search of ethnic identity*. (Odbitka z *Social Casework*, May 1972, str. 307-316).
- GELLA** (Aleksander). *Contemporary Sociology in Poland*. (Odbitka z *International Journal of Contemporary Sociology*, July-October 1971, Vol. 8, Nos. 3 i 4, str. 224-240).
- Ukrainian Art Digest No 12*. May 1972. Str. 71 i 1 nlb. (Wyd. U.A.A. in U.S.A., Philadelphia Branch, Philadelphia, 1972).
- polsko-niemieckich w okresie stu *Polish Review*. (Kwartalnik). Nr 1, 1972, New York. Numer zawiera symposium na temat stosunków lat 1840-1940 (Prof. H. K. Rosenthal, W. Jakubczyk, R. C. Raack, E. J. Wynot, Mack Walker, Z. J. Gąsiorowski); studium Mary Smith o twórczości M. Kuncewiczowej; omówienie przez prof. Giergielewicza dokonań naukowych M. Dłuskiej w dziedzinie poetyki oraz obszerny dział recenzji.
- JANTA** (Aleksander). *Glimpses of Polish Emigre Prose Writers*. Str. 19 i 1 nlb. (Nadbitka z *Queens Slavic Papers*, vol. 1, Queens College Press, Flushing, N.Y., 1973).
- GOMORI** (George). *The myth of Byron in Norwid's life and work*. Str. 231-242. (Nadbitka z *The Slavonic and East European Review*, Cambridge University Press, London).
- DZIEWANOWSKI** (M. K.). *Death of the Soviet Regime: A Study in American Sovietology by a Historian*. Str. 367-379. (Nadbitka z *Studies in Soviet Thought* 12, 1972 (The Institute of East-European Studies at the University of Fribourg (Switzerland), The Russian Philosophical Studies Program at Boston College, and the Seminar for Political Theory and Philosophy at the University of Munich).

KORBOŃSKI (Stefan). *The Independence of Ukraine through the Eyes of a Pole*. Str. 15 i 1 nlb. (Odbitka z *The Ukrainian Quarterly*, Vol. XXVIII, No 4 (Winter, 1972), New York, N.Y.).

Readings in Slavic Literature. 4 — *Monk Chrobry on Slavic Writings*. The Oldest Cyrillic Version of 1384. Opracował Metropolita Ilarion (Dr Ohienko). Str. 28. (Wyd. University of Manitoba Press, 1964).

POHL (Alek). *Zurück zur Form*. Strukturanalysen zu Sławomir Mrożek. Str. 131 i 1 nlb. (Wyd. Henssel-Verlag, Berlin, 1972, cena DM 17).

KONWICKI (Tadeusz). *Angst hat grosse Augen*. Roman. Tłumaczenie z polskiego Eddy Werfel. Str. 271 i 1 nlb. (Wyd. Europa Verlag, AG Wien, 1973).

CHILECKI (Andrzej J.). *Probleme des Kultur- und Wissenschaftsaustausches*. Str. 54-57. (Odbitka z *Exil-Anthologie*, wyd. Kasimir G. Werner, J. G. Bläschke Verlag, Darmstadt, 1973).

LOEBER (Dietrich A.). *Die Umsiedlung der Deutsch-Balten aus Estland und Lettland 1939-1941*. Str. 60. (Odbitka z *Diktarte Option*, 1972, Karl Wachholtz Verlag, Neumünster).

SZEJNERT (Malgorzata). *Das Leben der Fürsten und Grafen in der Volksrepublik Polen*. Str. 46. (Wyd. Gesamteuropäisches Studienwerk Vlotho Informationsdienst, Vlotho/Weser, In der Reihe „aktuelle politik”, Übersetzungen aus Zeitungen und Zeitschriften des europäischen Ostens, Red. Armin Th. Dross, Nr 1 (1973).

Montaż z Ruzyne. Przedmowa Ludka Pachmana. Str. 115 i 1 nlb. (Wyd. Index, Koeln, 1973, cena DM 6,49, DoLUS 2,35).

WOYCENKO (Olha). *Uvan Collections in Winnipeg*. Slavic Archives in Canada I. Str. 24. *Slavistia* nr 71 (Wyd. UVAN, Winnipeg, 1971).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

10-8-73

W Moskwie zmarł wiceprzewodniczący centralnego zarządu Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej, gen. armii Stanisław Popławski. Był on w czasie wojny delegowany do ludowego wojska polskiego, gdzie pełnił początkowo funkcje dowódcy II Armii WP, a potem, aż do zakończenia wojny, dowódcą I Armii WP. Po zakończeniu wojny był dowódcą śląskiego okręgu wojskowego, głównym inspektorem wykształcenia bojowego, a następnie wiceministrem Obrony Narodowej PRL. W 1956 roku powrócił do ZSSR.

11-8-73

Zmarł w Krakowie, w wieku 69 lat, Andrzej Stopka, wybitny scenograf, karykaturzysta i malarz.

13-8-73

W Koszalinie zakończył się II festiwal chórów polonijnych. W obecności członków sekretariatu KC PZPR i I sekretarza KW PZPR w Koszalinie wręczono chóróm polonijnym nagrody. Puchar Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia” otrzymał chór górników polskich w Douai (Francja), puchar ministra Spraw Zagranicznych chór „Szopen” z Gary, Indiana (USA), ponadto przyznano nagrody chóróm z Bochum, Düsseldorfu, Essen i Hamburga (NRF).

14-8-73

W nowym roku szkolnym w PRL ma powstać 12 szkół z obcym językiem wykładowym. Wraz z dotychczas istniejącymi kształcić one będą 6 tysięcy uczniów. Z rosyjskim językiem wykładowym ma być 28 szkół, z francuskim — 26, z angielskim — 25, z niemieckim — 14.

15-8-73

Według komunikatu min. Handlu Wewnętrznego PRL w sprzedaży ratalnej znajdują się obecnie jedynie meble egipskie. Inne rodzaje mebli mogą zakupywać tylko młode małżeństwa pod warunkiem, że jedno z małżonków musi mieć mniej niż 30 lat i okres małżeński musi być krótszy od lat 5-ciu.

20-8-73

W Czechosłowacji aresztowano 10-ciu czeskich emigrantów, posiadaczy paszportów zachodnoniemieckich, którzy przyjechali do Czechosłowacji w odwiedziny do swych rodzin. Jak się okazuje ogłoszona w swoim czasie amnestia nie dotyczy osób o podwójnym obywatelstwie, a jedynie tych które definitywnie powracają do Czech. Podobny wypadek miał miejsce w tym samym czasie w PRL. Mianowicie obywatel szwedzki, Marian Koperski, który w 1947 roku otrzymał azyl polityczny w Szwecji, został zaraz po przyjeździe do Polski w towarzystwie żony Szwedki i urodzonego w Szwecji syna, aresztowany. Koperski zaniadbał załatwienia formalnego zwolnienia z obywatelstwa polskiego. Przed wyjazdem konsulat polski w Szwecji zapewniał go że nie mu nie grozi. Został on 18. 8. br. skazany wyrokiem Sądu warunkowo na dwa lata więzienia z prawem powrotu do Szwecji po zapłaceniu 500 Krs kosztów sądowych. Sprawa Koperskiego wywołała ogromne poruszenie w prasie szwedzkiej. ♦ Blisko 3.000 studentów zagranicznych studiuje na wyższych uczelniach PRL. Reprezentują oni 51 krajów. ♦ Agencja Autorska w PRL zawarła w pierwszym półroczu br. 100 umów z zagranicznymi wydawcami na przekłady polskich książek. W okresie powojennym na całym

świecie wydano 5.000 książek polskich pisarzy w przekładach na ponad 70 języków. Najwięcej polskich książek ukazało się w Związku Sowieckim, Czechosłowacji i NRD. Na Zachodzie najwięcej utworów polskich pisarzy wydano w NRF, we Włoszech i we Francji. Na język angielski przełożono tylko 273 tytuły, w tym 145 w USA, a 128 w Anglii. Najpopularniejszym pisarzem polskim za granicą jest nadal Henryk Sienkiewicz. ♦ W Warszawie odbyła się konferencja z dowódcą północnej grupy wojsk Armii Sowieckiej, gen. Gierasimowem, oraz członkiem Rady Wojennej, szefem zarządu politycznego, gen. Danilowem, na której dyskutowano udział wojsk sowieckich w obchodach 30-lecia powstania Ludowego Wojska Polskiego. ♦ Na prośbę rządu PRL w roku bieżącym będzie studiować w Związku Sowieckim trzykrotnie więcej studentów z Polski — głównie w instytutach kształcących specjalistów z dziedziny elektronicznych maszyn liczących i w dziedzinie górnictwa, oraz w zakresie geologii, ekonomii, agronomii i medycyny.

22-8-73

W Warszawie zmarła Halina Sosnowska, wicedyrektor programowy Polskiego Radia do roku 1939, uczestniczka walk o Niepodległość Polski w 1-ej i 2-ej wojnie światowej, porucznik A.K., więzień polityczny 1947-1957.

24-8-73

Dr inż. Stanisław Paszkowski został mianowany podsekretarzem stanu w ministerstwie Przemysłu Maszynowego.

25-8-73

W Warszawie ukazał się rocznik statystyczny 1973. Jest to 33-a z kolei publikacja tego cyklu. ♦ Zmarł w Warszawie, w wieku 76 lat, gen. Wsiewołod Strażewski, Polak „z nominacji”. Był on szefem sztabu 1 Armii Ludowej, później wicemin. Obrony Narodowej w PRL i d-cą szeregu okręgów wojskowych w Polsce. W roku 1956 wrócił do ZSSR. W Warszawie przebywał na kuracji. Cała prasa PRL zamieściła entuzjastyczne wzmianki, artykuły i fotografie.

26-8-73

Uruchomiono nowe sezonowe połączenie autobusowe Warszawa-Wenecja. Podróż trwa dwa dni. ♦ W 1972 roku działało w PRL 67 teatrów dramatycznych, 25 teatrów lalek, 9 oper, 9 operetek, 14 filharmonii, 5 orkiestr symfonicznych i 2 zespoły pieśni i tańca. Dały one 49.028 przedstawień i koncertów, na których było 18.343 tysiące widzów. Liczby te od lat utrzymują się na tym samym poziomie. Wyjątek stanowią cyrki, których popularność stale spada. ♦ W ZSSR utworzone zostało specjalne centrum szkolenia i doskonalenia specjalistów z dziedziny lotnictwa cywilnego dla wszystkich krajów RWPG. ♦ ZSSR ma dostarczyć PRL 1.000 lekkich traktorów (25 KM) najbardziej poszukiwanych przez indywidualnych rolników. ♦ Według ostatnich danych Głównego Urzędu Statystycznego 20,5 % polskich rodzin nie posiada dzieci, a 30,9 % posiada tylko jedno dziecko. ♦ Rosnąca rola mocarstwowa PRL: Polska i Panama postanowiły podnieść rangę swych przedstawicielstw dyplomatycznych do szczebla ambasady.

1-9-73

Według informacji pochodzących z Moskwy, Breżniew przeforsował zwolnienie Gromyki ze stanowiska min. Spraw Zagr. i powierzenie mu funkcji „naczelnego ideologa partii, na miejsce Susłowa. Susłow, należący do głównych przeciwników Breżniewa, ma ustąpić w najbliższym czasie „ze względu na wiek”. Min. Spraw Zagr. ZSSR ma zostać Anatolij Dobrynin, obecny ambasador w Waszyngtonie. Ponadto do Biura Politycznego ma być powo-

łany Piotr Abrasimow, obecny wicemin. spraw zagr., były ambasador w Warszawie i w Berlinie Wschodnim. ♦ Ostatnio bawił w Warszawie członek kierownictwa SPD, Hans Jürgen Wischniewsky, który omawiał formy i rozmiary pomocy gospodarczej NRF dla Polski. Przede wszystkim idzie o inwestycje dla rozbudowy przemysłu stoczniowego, dostawę materiałów wyposażeniowych, motorów okrętowych i rozbudowę przemysłu spożywczego. Wischniewsky zapewnia, że jest możliwość przeforsowania w Bonn niskoprocentowych pożyczek inwestycyjnych. Spłaty miałyby nastąpić w towarach, przy czym strona polska nalega na utworzenie wspólnego konsorcjum handlowego, które zajęłoby się sprawą sprzedaży wyrobów polskich na rynkach trzecich. Rozmowy są podobno tak daleko zaawansowane, że istnieje możliwość podpisania porozumienia już podczas wizyty Scheela w Warszawie w październiku b.m. Wischniewsky zapewnił Gierkowi poparcie w czasie jego wizyty w Brukseli, która ma mieć miejsce niedługo i której celem jest nawiązanie współpracy ze Wspólnym Rynkiem. Sprawą nadal niewyjaśnioną w stosunkach polsko-niemieckich są roszczenia odszkodowawcze. NRF żąda, by w razie przyznania kredytów inwestycyjnych w rozmiarach proponowanych przez Warszawę — strona polska zrezygnowała z innych roszczeń. ♦ Przez ostatnie dwa miesiące nie tylko w Warszawie ale w całej Polsce nie było mięsa; m.in. powodem tych braków był fakt, że całą produkcję mięsa PRL kierowała do Berlina Wschodniego na potrzeby Festiwalu Młodzieżowego. Na Festiwal Węgry dostarczyły owoce, a Czechosłowacja masło. Prawdziwy „socjalistyczny” podział pracy. ♦ W PRL rosła represja cenzuralna. Ogólnym zakazem jest objęty okres nie tylko 20-lecia, ale również okres „stanisławowski”. Zatrzymano książki Jasienicy, monografie poświęcone Marchlewskiemu i Witosowi, skonfiskowano książkę Mariana Orzechowskiego o Korfantom i książkę Andrzeja Garlickiego o Piłsudskim. Cenzura zabroniła również zamieszczenia wspomnień o gen. Kukielu. ♦ Oszczędności PKO przekroczyły już 166 miliardów złotych. Od stycznia do lipca br. wkłady zwiększyły o 22 miliardy złotych. Część jest „bezpąńska”. W samej tylko Warszawie i w województwie warszawskim poszukuje się właścicieli 1 miliarda 100 milionów złotych. Sumy te nagromadziły się z powodu niepodejmowanych odsetków.

4-9-73

W Warszawie rozpoczął się Nadzwyczajny Kongres Międzynarodowej Unii Astronomicznej z udziałem ponad 1000 uczonych z całego świata.

9-9-73

A. Sacharow na konferencji prasowej z korespondentami zagranicznymi w Moskwie ujawnił, że psychiatrzy sowieccy używają narkotyku „haloperidol” w stosunku do więźniów politycznych. Narkotyk działa niszcząco na zdolności umysłowe. Sacharow zaapelował do psychiatrów zachodnich, którzy mają wziąć udział w międzynarodowym kongresie psychiatrycznym w październiku br. w Erywaniu, by domagali się dopuszczenia ich do oporczywników zamkniętych w klinikach psychiatrycznych.

15-9-73

Późną jesienią br. ma odbyć się Krajowa Konferencja PZPR o bardzo zasadniczym znaczeniu. Przede wszystkim zmiany personalne w rządzie: Gierek chciałby się pozbyć Jaroszewicza, którego stan zdrowia jest bardzo zły. Kandydatem Gierka na jego miejsce jest Szydłak. Jaroszewicz wysuwa kandydaturę Jagielskiego, obecnego wicepremiera. Min. Kultury Wroński ma zostać ambasadorem w Moskwie na miejsce Zenona Nowaka, który przechodzi na emeryturę. Otwarta jest sprawa Kępy, I Sekretarza Kom. Wojew. Warszawy, którego Gierek również chce się pozbyć. Jest to trudne gdyż Kępa

ma poparcie Moskwy. Mówi się, że ma on zostać min. Kultury na miejsce Wrońskiego, ale bardziej prawdopodobne, że zostanie sekretarzem KC dla spraw Propagandy na miejsce Łukasiewicza. Kruczek ma odejść z kierownictwa Zw. Zawod. Nieobsadzone jest stanowisko sekretarza KC do spraw Przemysłu zajmowane poprzednio przez St. Kowalczyka, który został min. Spraw Wewn. Drugim tematem Konferencji będzie zmiana struktury administracyjnej. Przygotowuje się zmianę konstytucji. Ma być przywrócone stanowisko Prezydenta PRL, który byłby jednocześnie I Sekretarzem PZPR. Wywołuje to zastrzeżenia wśród licznych przeciwników Gierka, m.in. Jarośzwicz, który chciałby zostać przewodniczącym Rady Państwa. Mają być przywrócone stanowiska wojewodów i starostów na miejsce przewodniczących Rad Narodowych. Najtrudniejszym problemem są sprawy gospodarcze. Plan 5-letni nie został wykonany; jest sprawa podwyżki cen, zamrożonych od roku 1971. Bez zasadniczej pomocy ZSSR podwyżki cen nie można uniknąć. Pomoc ZSSR, który ma własne kłopoty, jest wątpliwa, ale podwyżka cen może grozić wybuchem analogicznym do szczecińskiego i łódzkiego. Wreszcie przedmiotem obrad będzie sprawa reform gospodarczych. Po okresie eksperymentalnym wdrażania reform gospodarczych przez tzw. WOG (Wielkie Organizacje Gospodarcze) zamierza się przeprowadzić obecnie reorganizację całego przemysłu, który ma pracować w wielkich i specjalnych zarządkach branżowych. Samodzielnymi zatem będą nie poszczególne przedsiębiorstwa ale zarząd kierujący całą gałęzią branżową. Sytuację komplikuje rosnący nacisk Rosji. Wszystkie personalia są obecnie bardzo ściśle regulowane przez Centrum. Tak np. Kępa i Olszowski cieszą się pełnym zaufaniem Moskwy i Gierka nie jest w stanie ich usunąć. Również bardzo mocna jest sytuacja Szlachetca — jest to po Jaroszewiczu mąż zaufania Moskwy. ♦ Zmarł w kraju K. A. Jaworski, poeta i tłumacz, założyciel i wieloletni redaktor lubelskiej *Kameny*, założonej we wrześniu 1933 roku. Właśnie ukazał się 530 numer *Kameny*. ♦ Dwie równorzędne drugie nagrody Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (pierwszej nagrody nie przyznano) otrzymali: Jerzy Bożyk za pracę „Korzyści z międzynarodowej specjalizacji” (Wyd. PWE) i Jan Majewski za „Użycie sił zbrojnych USA. Teoria i praktyka” (MON).

ZACHÓD — EMIGRACJA

1-8-73

W Paryżu zmarł płk Janusz Boksztanin, pseudonimy „Sek” i „Wir”. Był on szefem operacji w komendzie głównej AK, po Powstaniu Warszawskim szefem sztabu komendy głównej AK, po rozwiązaniu AK zastępcą delegata Sił Zbrojnych w Kraju, wreszcie członkiem komendy organizacji „Wolność i Niepodległość” (WIN). ♦ W dniach 29-31 lipca w Tel-Awivie obradował III Kongres Światowej Federacji Żydów Polskich, z udziałem 300 delegatów z całego świata. Kongres wysłuchał sprawozdań ustępującego prezydium oraz raportów o działalności krajowych Związków Żydów Polskich w USA, Kanadzie, Argentynie, Chile, Australii, Wielkiej Brytanii, Danii, Francji, Belgii, Niemiec, Austrii oraz Izraelu. W obradach Kongresu uczestniczył szereg czołowych osobistości izraelskich. Naczelny Rabin Tel-Awivu, J. J. Frankel, zaprotestował przeciwko odmowie władz polskich udzielenia wiz wjazdowych Żydom, pragnącym odwiedzić groby ich najdroższych, które pozostały na terenie Polski. Kongres uchwalił rozbudowę „Domu Ziomkostw” w Tel-Awivie. Ponadto zapadła decyzja zbudowania „Domu Żydów Polskich” na terenie kampusu uniwersyteckiego w Tel-Awivie. Dom ten będzie siedzibą ośrodka badań historycznych dziejów Żydostwa polskiego. Budowa domu umożliwiona zostanie dzięki akcji zbiorkowej wśród wszystkich Żydów polskich na świecie. Specjalna uchwała precyzuje zadania w

dziedzinie upamiętnienia dziejów gmin żydowskich w Polsce. W tym celu odbędzie się gromadzenie dokumentacji na całym świecie i przekazanie jej Domowi Żydów Polskich przy uniwersytecie w Tel-Awivie. Kilka uchwalonych rezolucji dotyczy sprawy odszkodowań, jakie rząd NRF wypłaca Żydom polskim, jak również odmowie rządu NRD w ogóle rozpatrzenia roszczeń odszkodowawczych Żydów oraz gmin i organizacji żydowskich, za zagrabione mienie. Specjalna uchwała protestuje przeciwko antysemitkiej fali w Polsce Ludowej, która zmusiła resztki tamtejszych Żydów do opuszczenia tego kraju. Protest dotyczy również bezprawnego pozbawienia wyjeżdżających Żydów ich praw do rent i emerytur, zagwarantowanych zarówno polskim ustawodawstwem jak i międzynarodowymi zobowiązaniami rządu PRL. Kongres domaga się od rządu polskiego przekazania pełnego mienia gmin żydowskich, pozostawionego w Polsce. Kongres domaga się otoczenia opieką przez władze polskie żydowskich cmentarzy, które pozostały w Polsce i których nie ma już tam kto doglądać. Przewodniczącym prezydium został wybrany inż. Anzelm Reiss z Tel-Awivu. Rzecznikiem prasowym Federacji został Aleksander Klugman. (Sekcja Młodzieżowa Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie zorganizowała wiosną br. porządkowanie cmentarza żydowskiego w Warszawie na którym m.in. są pochowani wybitni Polacy, jak np. prof. Sz. Askenazy. Zorganizowano również sympozjum w którym wzięli udział: red. Jerzy Turowicz, Paweł Hertz i St. Bartoszewski. Redakcja miesięcznika *Więć* chciała ogłosić apel do młodzieży, by zajęła się uporządkowaniem cmentarzy żydowskich w całej Polsce. Apel ten został skonfiskowany przez cenzurę).

15-8-73

W Londynie zmarł, w wieku 88 lat, generał Marian Kukiel, wybitny historyk, jeden z założycieli Związku Walki Czynnej, żołnierz Legionów, dowódca I Korpusu w Szkocji w czasie ostatniej wojny i minister Obrony Narodowej rządu RP na obczyźnie.

16-8-73

Zmarł w Londynie, w wieku 62 lat, Sabin Popkiewicz, major łączności, inżynier elektryk, zastępca dowódcy Batalionu Łączności Sztabu Naczelnego Wodza, organizator i kierownik radiokomunikacji z Krajem w czasie ostatniej wojny. ♦ Zmarł w Englewood, N.J. w Stanach Zjednoczonych, w wieku lat 78, dr Stanisław Chyliński, przewodniczący Rady Nadzorczej Fundacji Kościuszkowskiej od listopada 1970 roku.

28-8-73

W Niemczech w wydawnictwie Classen Verlag, Hamburg/Düsseldorf, ukazała się książka Tadeusza Konwickiego „Auf der Spitze des Kulturpalastes” w przekładzie Peter Lachmanna. ♦ Zmarł w Oxfordzie (Anglia), w wieku lat 92, prof. Eugeniusz Jarra. Przed wojną był on profesorem i dziekanem wydziału prawnego Uniwersytetu Warszawskiego. W czasie wojny wykładał na polskim wydziale prawa na uniwersytecie w Oxford.

1-9-73

Biuro Międzynarodowych Obrotów Departamentu Skarbu Stanów Zjednoczonych listem z dnia 22 maja 1973 roku Nr CP:10:653:RWH/10:EO, 73-20 uznało Polaki Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie za organizację publiczną o charakterze charytatywnym. Wszelkie zatem kwoty przekazywane na rzecz POSK-u przez instytucje i korporacje charytatywne w Stanach Zjednoczonych, które są już zwolnione od podatku, nie będą podlegały opodatkowaniu. Również zostały zwolnione od podatku wszelkie kwoty oraz nieruchomości, które zostały przekazane POSK-owi zapisem lub testamentem przez zmarłe osoby indywidualne, które były obywatelami lub rezydentami Stanów Zjednoczonych. Natomiast nie są wolne od podatku dary indywidualnych obywateli Stanów Zjednoczonych, którzy przekazują je osobiście za

granicę. ♦ Londyński „The Little Theatre” wystawił „Śmiesznego staruszka” Tadeusza Różewicza w przekładzie Adama Czerniawskiego. Reżyserował Izraelczyk polskiego pochodzenia, Moti Sandak.

3-9-73

Dr Wojciech Rostafiński — zaproszony przez PAN — wziął udział z ramienia NASA w sympozjum Instytutu Podstawowych Problemów Techniki w Sopocie. W. Rostafiński wygłosił odczyt na temat energii fal.

6-9-73

Aleksander Sołżenicyn poinformował prasę zachodnią, że KGB skonfiskowało jeden z maszynopisów jego nie opublikowanej książki „Archipelag Gułag”. KGB uzyskało informacje o maszynopisie od Elizabety Woronianskiej po 5-ciu dniach badań. E. Woronianska po powrocie do domu z przesłuchania — powiesiła się.

8-9-73

W Londynie odbył się XIII koleżeński zjazd lotników polskich.

10-9-73

W Genewie rozpoczęły się XXIV Rencontres Internationales de Genève. M.in. brał w niej udział Leszek Kołakowski, który wygłosił referat „La revanche du sacré dans la culture profane”.

SPROSTOWANIE

W „Wydarzeniach miesiąca” w *Kulturze* lipiec-sierpień 1973, podano błędnie nazwisko nowego dyrektora Polskiego Instytutu Naukowego w New Yorku jako Pleban. Powinno być: „Dr Eugeniusz Kleban”. Przepraszamy za błąd drukarski. (*Redakcja*).

KRONIKA KANADYJSKA

25. 7. br. delegacja S.P.K. w składzie A. Żurowski, Kom. K. Namieśniowski i L. Bobrowski wręczyła memorandum Zarządowi Głównego S.P.K. w sprawie konferencji dla europejskiego bezpieczeństwa i współpracy p. Mitchell Sharp, ministrowi Spraw Zagranicznych Kanady. ♦ Ks. Mieczysław Szwaj, T.Ch., objął redakcję najstarszego tygodnika polonijnego *Czas w Winnipegu*. Przedtem — przez kilka miesięcy — pełnił funkcje redaktora, zastępując w czasie choroby p. Michalskiego. Ks. Szwaj przybył przed kilku laty z Polski, aby objąć parafię w Krydor na priechach. Jest to jedna z wymierających pionierskich osad polskich w Saskatchewan. Pozostawał tam 3 lata. ♦ Wydział slawistyczny Uniwersytetu Ottawa zorganizował w Barry's Bay 6-tygodniowy kurs dla studentów zaocznych. Kurs prowadził polonista, prof. Tadeusz Krukowski (4 tygodnie) oraz przez 2 tygodnie prof. Danuta Bieńkowska z Uniwersytetu w Toronto. Słuchaczami byli nauczyciele oraz kierownicy szkół podstawowych o przytaczającej większości uczniów pochodzenia polskiego. ♦ Organizacje polonijne i parafie polskie prowadziły w roku szkolnym 1972/73 63 szkoły języka polskiego dla dzieci i młodzieży. Niektóre z nich miały po kilkunastu uczniów, a inne po kilkudziesięciu, a zaledwie kilka ponad stu. Najliczniejszą była szkoła przy parafii św. Kazimierza w Toronto, do której uczęszczało 489 dzieci. Kierownikiem szkoły był ks. Jerzy Kania, wikary tej parafii. Związek Nauczycielstwa Polskiego w Kanadzie oblicza, iż do szkół polskich uczęszczało ogółem w ub. roku szkolnym ponad 3.000 dzieci. ♦ W związku z ogłoszeniem amnestii dla nielegalnych imigrantów przeprowadza się wielką kampanię zmierzającą do uregulowania tego zagadnienia. Wszyscy, którzy zarejestrują się do

15 października br. w urzędach imigracyjnych zostaną jak najszybciej zatwierdzeni. Władze zapewniają, że będą wysoce tolerancyjne, to znaczy że będą stosowały „taryfę ulgową”, co pozwoli na uzyskanie statusu legalnego imigranta wszystkim tym, którzy znaleźli pracę, mają szansę jej uzyskania, mają jakieś kwalifikacje itp. Po tym terminie nielegalni imigranci — po wykryciu ich — będą bezwarunkowo deportowani. ♦ Na dorocznej Wystawie Krajowej w Toronto (są to raczej targi) w jednym z pawilonów prezentował swoje towary Związek Sowiecki. Rywalizacja (czy to aby dostatecznie ściśle określenie?) między Moskwą a Pekinem daje korzyści Wystawie Krajowej. Wobec tego, że w ub. roku Chiny wynajęły największy pawilon, w tym roku Rosjanie poszli w ich ślady. Co prawda wystąpili bardziej skromnie, nie w tak wielkim budynku, ale z nie mniejszą ilością propagandowego materiału. Oczywiście nie obeszło się bez kosztownej reklamy produkcji sowieckiej na łamach torontońskich dzienników. Uzupełnieniem propagandowym były 4-dniowe występy zespołu (chór-orkiestra-balet) Czerwonej Armii. Zarówno na wystawie, jak i w repertuarze zespołu Czerwonej Armii uderzała duża ilość pozycji ukraińskich. Na planszach wystawowych zdjęcia ze Lwowa, Wilna oraz innych miast i miejscowości zagarniętych przez Związek Sowiecki. ♦ Kanadyjsko-polskie Centrum Kulturalne w Montrealu (nowe stowarzyszenie) na czele którego stoi inż. arch. Henryk Sławek, uzyskało prawo prowadzenia szerokiej działalności kulturalnej. Zebranie inauguracyjne odbyło się 30. 9. br. w hotelu Windsor. Wyprawne jest, że organizacja ta uzyskała już dotację rządu federalnego w wysokości Dol. 5.000. ♦ Ks. Andrzej Cwikliński, proboszcz miejscowej parafii Polskiego Katolickiego Kościoła Narodowego, prowadzi program telewizyjny w jednej ze stacji montrealskich. Obok lokalnych i polonijnych wiadomości ks. Cwikliński korzysta z materiałów polskiej telewizji. ♦ W Montrealu nastąpiły zmiany osobowe we wszystkich polskich parafiach. Dotychczas duszpasterzami byli OO. Franciszkanie z prowincji S. Antoniego w USA. Księga ci zostali odwołani, a na ich miejsce wyznaczono czasowych proboszczów. Parafie mają objąć OO. Franciszkanie z Polski. Zmiana nastąpiła niewątpliwie na żądanie arcybiskupa Gregoire, ordynariusza archidiecezji montrealskiej, a to z powodu nastawienia OO. Franciszkanów amerykańskich. Byli oni rzecznikami „anglizowania się” Polonii, wpływali na rodziców, by posyłać dzieci do szkół z wykładowym językiem angielskim, a nie francuskim. ♦ W niedzielę, 26. 8. br., odbyła się w Kanadyjskim Sanktuarium Męczenników z Midland, Ontario, uroczystość poświęcenia ołtarza Matki Boskiej Częstochowskiej. Ołtarz wykonał artysta rzeźbiarz Marian Owczarski, a Matkę Boską — płaskorzeźbę w czarnym kamieniu — wykonał drugi artysta-rzeźbiarz Edward Koniuszy. Poświęcenia dokonał ks. bp Abramowicz z Chicago. Sanktuarium to jest miejscem dorocznych polskich pielgrzymek. Ostatnia miała charakter wielkiej manifestacji religijnej, w której udział wzięło kilkanaście tysięcy wiernych. Organizatorem tych pielgrzymek jest ks. Józef Capiga, proboszcz parafii św. Stanisława Kostki w Hamilton, prezes Konferencji Księży Polskich na wschodnią Kanadę. ♦ Metropolita Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, Mściśław (dawny ukraiński poseł na Sejm R.P., Skrypnik) wezwał swoich duchownych oraz wiernych do powstrzymania się od wyjazdów do Związku Sowieckiego. Sytuacja Kościoła nie tylko się tam nie polepszyła, ale pogorszyła; wyjazdy natomiast mogą wśród obcych stworzyć fałszywe wrażenie. ♦ *Kanadyjski Farmer* w Winnipegu, najstarszy tygodnik ukraiński, obchodzi 70 rocznicę swego istnienia. W dniu 16 lipca br. ukazał się numer jubileuszowy. *Homin Ukrainy*, tygodnik ukazujący się w Toronto, obchodzić będzie w grudniu br. 25-lecie swego istnienia. W dwóch kolejnych numerach *Homin Ukrainy* ukazał się w tłumaczeniu artykuł J. Mieroszewskiego pt. „Jedyna realna polityka wschodnia”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

1. 8. br. w miejscowości Rochester w stanie New York zginął w wypadku samochodowym Paweł Sapieha. ♦ 20. 8. br. miasto Rochester koło New Yorku podpisało umowę z m. Krakowem o tzw. „Współpracę miast bliźniaczych”. ♦ 1. 9. br. w New Yorku odbył się XI Walny Zjazd Harcerstwa Polskiego w USA. ♦ 4. 9. br. z inicjatywy prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej, A. Mazewskiego i kongresmana Annuzio (Włoch wybrany głosami polonijnych) zgłoszony został do Kongresu USA formalny wniosek o przyznanie praw weterańskich Polakom zamieszkającym stale w USA, którzy służyli w Armii Polskiej podczas 2-ej wojny światowej. Wniosek ten podpisało 25 kongresmanów, a wśród nich znalazło się tylko 2 kongresmanów polonijnych (na ośmiu). ♦ 6. 9. br. sąd w Waszyngtonie oskarżył i nakazał aresztować b. prezesa Unii Górników w USA, Tony Beley'a, pod zarzutem udziału w morderstwie Józefa Jabłońskiego, który został zamordowany wraz z żoną i córką w 1969 roku. Jabłoński kandydował wówczas przeciwko Beley'owi w wyborach na prezesa Unii Górników i gdy wybory przegrał odwołał się do sądów o ich unieważnienie z powodu ich sfałszowania. Zanim sądy wydały w tej sprawie orzeczenie J. Jabłoński został zamordowany; bezpośrednich sprawców mordu skazano na długoletnie więzienie; zeznali oni, że inspiratorem mordu był „Tony”, który z funduszy unijnych wyasygnował 20.000 dolarów na opłacenie wykonawców tej zbrodni.

CONTRA

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
BOOK STORE & PUBLISHING

630 MANTHATTAN AVENUE
BROOKLYN, N.Y. 11222

- Przedstawicielstwo: Instytutu Literackiego w Paryżu, Polskiej Fundacji Kulturalnej i Oficyny Malarzy i Poetów.
- Dostarcza drogą pocztową wszystkie książki wymienionych wydawnictw. — Przyjmuje wpłaty prenumerat na miesięcznik *Kultura*, tygodnik *Wiadomości* i *Tydzień Polski*.
- Wysła odwrotną pocztą zamówione listownie książki.
- Katalogi wysyłane są bezpłatnie.

Humor krajowy

— Dlaczego w Polsce nie ma powodzi?
— Po pierwsze — bo się nie przelewa, a po drugie — bo na górze są same wały...

♦
Towarzysze partyjni zebrali się, żeby omówić w jaki sposób uczcić jubileusz pracy partyjnej miejscowego sekretarza.

— Najlepiej byłoby przydzielić mu coś konkretnego — mówi jeden — ale co?

— Samochód ma, willę ma — naprawdę trudno coś wymyśleć.

— Wiecie co — powiada drugi — może postawimy mu pomnik?

— Pomnik? Świetny pomysł, ale wprawdzie trzeba by było sk...syna ukatrupić!

♦
W pewnym przedsiębiorstwie ogłoszono konkurs na stanowisko głównego księgowego. Zgłosiło się kilku kandydatów: pierwszy skończył ekonomię w Oxfordzie, drugi miał dyplom dawnej Szkoły Głównej Handlowej i 30 lat praktyki, trzeci był świeżo upieczonym absolwentem SGPiS-u, inni kandydaci nie mieli wyższego wykształcenia. — Kto wygrał konkurs?

— Szwagier dyrektora.

♦
— Jak tam u was z kwestią żydowską? — pyta Polak-moczarowiec kacyka w Afryce.

— Z tym to jest bardzo źle — odpowiada kacyk — ciągle swoim tłumaczę, że Żydzi też ludzie, ale to nic nie pomaga: nie jedzą...

♦
— Jaki jest najbardziej pokojowy dziennik na świecie?

— *Życie Warszawy* — bo wychodzi bez Wojny...

PODOBNO AUTENTYCZNE

Podczas ostatnich Juwenaliów w Krakowie, gdy ulicami miasta ciągnął wesóły pochód żaków, uwagę wszystkich zwracało dwóch przebierańców: ogromnego wzrostu student w koszuli wypuszczonej na spodnie, przepasany czerwoną szarfą ciągnął za rękę małego mizernego chłopczykę z białą-czerwoną wstęgą na piersi. Od czasu do czasu duży kopał małego w siedzenie, a wtedy mały podnosił do góry zacisniętą pięść i krzychał: „Niech żyje Związek Radziecki!!!”

♦
W czasie ostatniego pobytu w Polsce Breżniew — jak zwykle pijany — dekorując Gierka orderem Lenina miał duże trudności z wpięciem szpilki w kłapę gierkowej marynarki.

— To na pewno zagraniczny materiał? — zapytał.

— Ależ skąd — zawołał Gierek — to nasz, bielski!

— Hm — mruknął Breżniew — to w takim razie chyba nasza szpilka jest do... niczego.

♦
Znany felietonista *Tygodnika Powszechnego*, Stefan Kisielewski, po wielomiesięcznym czekaniu otrzymał na początku września br. paszport do Stanów Zjednoczonych i powiedział o tym przez telefon Antoniemu Słonimskiemu.

— A więc kiedy jedziesz? — zapytał Stonimski.
 — W końcu miesiąca — odpowiedział zapytany.
 — Dopiero w końcu miesiąca? — Ja bym ci radził wyjechać natychmiast...

— Dlaczego? — zdziwił się Kisielewski.

— A tego, mój drogi, nie mogę ci powiedzieć przez telefon...

HUMOR SOWIECKI

— Co by to było, gdyby pluskwy świeciły jak robaczki świętojańskie?
 — Moskwa wyglądałaby jak Las Vegas.

— Czy byliście towarzyszu na Hamlecie? — pyta w Moskwie pewien Żyd innego Żyda.

— Byłem, ale zaraz wyszedłem.

— Dlaczego?

— Wehodge na salę i słyszę, jak taki czarny na scenie mówi: „Żyt’ ili nie żyt’, byt’ ili nie byt’” — to ja już wolałem nie czekać co będzie dalej...

— Dlaczego w Związku Sowieckim brak fokowych czapek?

— Bo liczba wyższych funkcjonariuszy partyjnych, którzy je noszą, rośnie szybciej niż liczba fok.

— ???

— Ostatni odstrzał wyższych partyjników był w roku 1937...

Amerykańska komunistka zwiedza Związek Sowiecki. Jadąc samochodem przez Syberię zauważyła jakieś wieżyczki i zasięki z drutu i zapytała co to takiego.

— Ach, to taki obóz — wyrwało się szoferowi.

Towarzyszcy Amerykanie funkcjonariusz bezpieczeństwa zaraz dodał że to obóz pionierski. „To świetnie — zawołała Amerykanka — koniecznie muszę go zobaczyć”. Nie pomogły żadne wykryty, baba uparła się i nie można było towarzyszyć zza oceanu odmówić. Zmieszani Rosjanie wjechali wraz z Amerykanką na plac obozu, gdzie właśnie odbywał się apel więźniów.

— Ile lat? — pyta łamaną ruszczyzną Amerykanka pierwszego z brzegu więźnia, wcale nie wyglądającego na pioniera.

— 15 — odpowiada zapytany.

— Wyglądacie na 50 — zawołała Amerykanka.

— 50? U nas nie ma takich wyroków!

Znany pianista, Swiatosław Richter, otrzymał od władz 5-ciopokojowe mieszkanie. Bardzo zadowolony urządził przyjęcie, na którym było wiele osób a m.in. min. kultury ZSSR — Furcewa. Po kilku wódkach Furcewa zwróciła się do Richtera:

— Mam do was prośbę, może wy znajdziecie jakiś sposób, żeby w końcu wyciągnąć tego Sołżenicyna od Rostropowicza. Sami widzicie jak on rozrabia. Trzeba z tym skończyć, ale tak nam jakoś nie bardzo wygodnie aresztować go u Rostropowicza, zaraz będą artykuły w zachodniej prasie. Musimy to zrobić po cichu. Więc co — wiecie jak go wyciągnąć?

— Ależ to bardzo proste — zawołał Richter. Przecież mam teraz duże mieszkanie, Sołżenicyn może się przenieść do mnie...

Interesant na poczcie reklamuje, że znaczki nie chcą się przyklejać. Mówiąc to pokazuje panience z okienka kilka znaczków z podobizną Lenina.

— Nasze znaczki przyklejają się doskonale — wyjaśnia urzędniczka. Chyba że pluliście nie na tę stronę...

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Toronto, 7 lipca 1973.

Szanowny Panie Redaktorze!

W zeszytach *Kultury* (Nr. 1-2 1973), w artykule swym „Kordian i cham”, p. Juliusz Mieroszewski, jako przykład kolaboracji Polaków w zaborze rosyjskim z rządem carskim, przytoczył nazwisko brata mego śp. generała Władysława Andersa. P. Juliusz Mieroszewski pisze: „Kolaboracja w zaborze rosyjskim i pruskim wyglądała mniej efektownie lecz była również zjawiskiem powszechnym. Generał Anders — pod którym miałem zaszczyt służyć wiele lat — był nie tylko zawodowym oficerem armii rosyjskiej lecz zajmował wysokie stanowisko szefa sztabu dywizji”.

Otóż stwierdzam, że śp. brat mój generał Władysław Anders nigdy nie był zawodowym oficerem rosyjskim. Po ukończeniu średniego zakładu naukowego w roku 1910, odszedł on obowiązującą służbę wojskową w kawalerii rosyjskiej i jesienią 1911 roku rozpoczął studia na politechnice w Rydze. Po wybuchu wojny w 1914 roku został, jako oficer rezerwy, powołany do szeregów w armii rosyjskiej.

W roku 1916, gdy Rosjanom zaczęło braknąć oficerów do pracy w sztabach, uruchomiono wojenny kurs w Akademii sztabu generalnego, na który powołano oficerów, którzy poza posiadaniem wymaganych ogólnych kwalifikacji, szczególnie się wyróżnili na polu walki.

Wśród nich, już w stopniu „sztab-rotmistrza”, znalazł się również śp. generał Władysław Anders i po pomyślnym ukończeniu kursu skierowany został do pracy w sztabie jednej z dywizji piechoty.

Łączę wyrazy szacunku,

Jerzy ANDERS

Melbourne, 29 sierpnia 1973.

Szanowny Panie Redaktorze!

W londyńskim *Dzienniku Polskim* z dnia 15 b.m. ukazało się me wspomnienie o Ernestie Tarlaskim, zmarłym niedawno w Melbourne, czyli o „Edziu”, albo „Atlasie”, nieodżałowanym b. właścicielu literacko-artystycznej knajpy we Lwowie. Ze zdziwieniem i niesmakiem (drobne skróty pomijam, bo Redakcja ma do nich prawo i zapewne przyczyny) dostrzegłem w zdaniu: „Każdy numer paryskiej „Kultury” i londyńskich „Wiadomości” był dla Edzia przeżyciem” — brak paryskiej „Kultury”. Takie skreślenie nie było podyktowane szczupłością miejsca, a albo niemądrą złośliwością, albo jeszcze głępszym i dziecinnym pojęciem tajni literackiej. Nie ma na Emigracji zbyt dużo pism i domów wydawniczych, aby potrzebowały wyrażać sobie tego rodzaju prestiżowe psikusy. *Kultury* i *Wiadomości* nikt rozsądny nie traktuje jako jakiegokolwiek rodzaju konkurencję, a jedynie jako wartościowe uzupełnienie, przeto ta gorliwość redaktorskiego ołówka była niepotrzebna i śmieszna.

Przy okazji, mimo strajku pocztowego narzuconego nam wszystkim przez lewicujące australijskie związki zawodowe dostrzegające wybuchy francuskich bomb atomowych, lecz nie dostrzegające chińskich, chciałbym poruszyć jeszcze jedną sprawę. Z pewną przyjemnością czytuję „Listy z Londynu” piona pani Grażyny Nowak. Lubię kpnie z (nawet nieuniknionego) patosu emigracyjnego, przepadam za złośliwościami i humorem, oraz w odróżnieniu od innych (przeważliwionych) nie rzucam na Autorkę potępień, ani nie biłbym jej za to po kowalsku, niemniej rzucam gromki zapytas: Czy musi w tych listach być aż tyle żółci? Co do mnie, wołałbym dowcip i uśmiech, zamiast szyderstwa i wtróbiarstwa. A ponadto nie przepadam za jednostronnością: jeżeli zamiast kwiatów na czyjąś trumnę wpłaty na *Fundusz „Kultury”* są ładnym gestem i nikt Ofiarodawców nie posądza o to, że za wpłatami stoi ich snobistyczna chęć ujrzenia swego nazwiska w druku, to czemu taki sam gest kogoś innego posyłającego datek na jakiś inny cel (co jest przyjęte potwierdzać drukiem) jeśli się ukazuje w pismach polskich w Anglii, wzbudza u pani Nowak takie chichoty? Może Autorka wymyślił jakiś inny, lepszy i tańszy sposób potwierdzania takich wpłat?

Łączę wyrazy szacunku i mocny uścisk dłoni,

Andrzej CHCIUK

June 4, 1973.

Dear Sir:

With regard to Dr. Wojciech Rostafinski's letter in *Kultura*, April, 1973: Dr. Rostafinski spends the first four paragraphs complaining about the lack of purity in Polish usage by Polish emigres in America. His argument is vitiated by his use of the transliterated borrowing, „koktejl”, in the fifth paragraph.

I am writing this in English because I do not want to risk being told by Dr. Rostafinski to be quiet until I have relearned the Polish language. It is pedants like this who make language learning a painful experience and unpopular with American students. If his last recommendation that *Kultura* publish only the purest Polish is followed, *Kultura* may soon be mailing out blank pages. A purist attitude toward language is not only unrealistic, it is stifling. Please do not construe this as a vote for sloppy usage. There is a difference between being careless and having to use language within the limitations that being less than perfect sometimes imposes.

Respectfully yours,

Marie J. HALL
(Mrs. Benedict M. Hall)
314 Rancocas Avenue
Delanco, New Jersey 08075
U.S.A.)

Chicago, 27 sierpnia 1973.

Szanowny Panie Redaktorze!

Letni numer *Kultury* (lipiec-sierpień) w kronice Wydarzenia Miesiąca zawiera dwie informacje, przedstawiające sprawę Polonii Amerykańskiej w krzywym zwierciadle.

Pierwsza odnosi się do sytuacji finansowej Kongresu Polonii Amerykań-

skiej i rzekomych planów likwidacji jego przedstawicielstwa w Waszyngtonie. „Mówi się” o tym rzeczywiście od szeregu lat. Ale to tylko spekulacje nie oparte na rzeczowej znajomości sytuacji.

Kongres P.A. nigdy nie był i nie jest dzisiaj organizacją materialnie zasobną; jego natomiast znaczenie i wpływy przerastają znacznie jego konto bankowe. Dla ilustracji kilka tegorocznych przykładów.

W czerwcu br. Zarząd Główny KPA odbył konferencję z podsekretarzem stanu dla spraw europejskich John A. Armitage, przedstawiając mu swoje postulaty odnośnie Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej. Doręczony przy tej okazji memoriał, popierając w zasadzie politykę odprężenia z Rosją wyraża pogląd, że wysuwany przez Zachód program otwarcia granic dla swobodnej wymiany informacji, ludzi i idei jest koniecznym, ale tylko wstępnym warunkiem negocjacji, których celem długofalowym musi być polityczne usamodzielnienie narodów satelickich.

Można oczywiście z dużym sceptycyzmem oceniać skuteczność tego typu interwencji. Nie ulega jednak wątpliwości, że na przykład zdecydowana postawa KPA przyczyniła się w roku 1971 do zmiany początkowo odmownej decyzji rządu Stanów Zjednoczonych dostarczenia Polsce technologii nowoczesnych urządzeń do rafinerii w Płocku; tak samo jak interwencja KPA w 1972 i znów w 1973 roku w Kongresie Stanów Zjednoczonych miały duży wpływ na pozytywne rozwiązanie kryzysowej sytuacji Radia Wolnej Europy.

Widocznie zdanie Polonii jest jednak w Waszyngtonie słyszane.

Innym tego przykładem jest mianowanie przez prez. Nixona Mitchell Kobelińskiego, prezesa Wydziału KPA w Chicago, dyrektorem Import-Export Bank, stanowiska wymagającego zatwierdzenia przez Senat Stanów Zjednoczonych. Bank jest instytucją rządową finansującą na zasadach kredytowych handel zagraniczny Ameryki. P. Kobelińskiemu podlegają transakcje kredytowe z krajami europejskimi, włączając w to kraje satelickie oraz Rosję. Stanowisko więc ważne i istotne w okresie rozwoju stosunków handlowych z Polską i blokiem sowieckim i ich powiązania z problemami politycznymi.

W lipcu br. KPA złożył petycję do Federalnej Komisji Komunikacji skarżąc sieć telewizyjną ABC (*American Broadcasting Company*) o systematyczne ośmieszanie Polaków (tzw. *Polish jokes*). Petycja żąda udzielenia przez ABC-TV bezpłatnego czasu na przedstawienie odwrotnej strony medalu, więc pozytywnego charakteru Polaków. Interwencja KPA spotkała się z żywym i pozytywnym poparciem ze strony czołowych organów prasy amerykańskiej, jak *Washington Post*, *Wall Street Journal*, itp. W tej sytuacji wolno spodziewać się, że akcja KPA przyczyni się do co najmniej ukrócenia defamacji imienia polskiego na falach eteru.

Staram się nie nadużywać cierpliwości, więc już tylko migawki Roku Kopernikowskiego. Więc wydanie pamiątkowego znaczka pocztowego; proklamacja Prez. Nixona ... „Nicolaus Copernicus (Mikolaj Kopernik) ... brilliant son of Poland...” (wybitny syn Polski); naukowe sympozja, odczyty i wystawy w instytucjach naukowych i muzeach w całym kraju, ze Smithsonian Institution w Waszyngtonie i największym w Stanach Muzeum Wiedzy i Przemysłu w Chicago na czele; inauguracja Centrum im. Mikołaja Kopernika przy stanowym kolegium stanu Connecticut jako ośrodka wiedzy o wartościach kultury polskiej — jedno z kilku tego typu osiągnięć; ufundowanie pomnika Kopernika w reprezentacyjnej części Chicago (o tym jeszcze później), w parku nad jeziorem Michigan przed Planetarium Adlera — oto kilka najważniejszych wydarzeń obchodów kopernikowskich.

Nie umniejszając wcale dużego wkładu w Rok Kopernikowski przez Fundację Kościuszkowską i przez finansowaną przez filadelfijskiego przemysłowca Edwarda Piszka *Copernicus Society of America*, należy stwierdzić, że inicjatywa większości tych poczyniń wyszła z terenowych ogniw KPA.

I w końcu wracam do pomnika Kopernika w Chicago. *Kultura* infor-

muje, że „jeśli rząd PRL cofnie ofertę ofiarowania Polonii bezpłatnie pomnika Kopernika, to pomnik ten zapewne w Chicago nie stanie z powodu środków finansowych”. Otóż tak nie jest. Oferta taka została istotnie złożona ponad rok temu, ale została odrzucona. Pomnik finansowany jest w całości przez Polonię chicagowską. Jest on kopią warszawskiego pomnika dłuta Thorvaldseena, wykonaną w Polsce przez znanego artystę rzeźbiarza Bronisława Koniuszego na podstawie kontraktu zawartego z Komitetem Obchodów 500-lecia Urodzin Mikołaja Kopernika w Warszawie, za cenę 30 tys. dolarów (z czego połowa została wpłacona jako zadatek). Pomnik, który już znajduje się w Chicago, będzie darem Polonii dla Chicago i jako taki zostanie przekazany władzom miejskim w dniu jego odsłonięcia, 14 października br.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

Kazimierz ŁUKOMSKI

Wice-Prezes Zarządu Gł. Kongresu P.A.
i członek Komisji Doradczej przy
Komitecie Budowy Pomnika Kopernika.

(Prasa PRL podała jednak, że pomnik Kopernika nie jest zakupiony przez Polonię, lecz że został ofiarowany przez PRL miastu Chicago. — Redakcja)

Nowy Jork, 18 sierpnia 1973.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem „Radziecki czy sowiecki?” S. Westfala (Nr 7-8, 1973) nasuwają mi się następujące uwagi:

Przeżyłem w Polsce Ludowej 24 lata będąc również świadkiem wprowadzenia na siłę terminu „radziecki” — już w czasie okupacji przez radio Moskwę czy komunistyczną prasę podziemną. Jest moim odczuciem, że komuniści zdawali sobie sprawę ze skojarzeń, jakie w Polsce, a prawdopodobnie i w innych wymienionych przez p. Westfala krajach, budziło słowo „Sowiety”, czy „sowiecki”. Stąd, moim zdaniem, pomysł wprowadzenia nieskompromitowanego tak dalece słowa „radziecki”. Inaczej trudno byłoby wytłumaczyć tak totalny zakaz używania słowa „sowiecki”, że nie mogło się ono pojawić w druku ani razu, chyba jako cytata z „wrogiej propagandy” będący już sam w sobie „dowodem” na „reakcyjność” autorów.

Podobne motywy kierowały Kominternem, czy kto o tym decydował, aby żadna z partii komunistycznych w krajach satelickich nie miała w swej — przydługiej przeważnie nazwie — słowa „komunistyczny” — i tak jest chyba do dzisiaj. W krajach, w których skojarzenia związane z komunizmem i sowietami nie są tak żywe i bezpośrednie i które — na szczęście — pojęć tych z autopsji nie znają, zakazy te nie obowiązują. Tam jeszcze są ludzie, których można nabrać na „ideę” sowiecko-komunistyczne. Czyli — współczesny Czerwony Kapturek.

Wydaje mi się, że p. Westfal nie uwypuklił dostatecznie powyższych aspektów problemu nie tylko językowego, a sięgającego do podstaw sowietizmu.

Z wyrazami wysokiego szacunku,

J. T.

METODY POLEMICZNE „WOLNEJ EUROPY”

Rozgłoszenia polska Radia Free Europe nie poinformowała słuchaczy o treści mego artykułu pt. „Kościół po rewolucji grudniowej”, zamieszczone-

go w numerze kwietniowym *Kultury*. Zareplikowała natomiast na mój list do Redakcji, opublikowany w numerze lipiec-sierpień. W audycji „Fakty i poglądy” (*Na Antenie*, sierpień) kwestionuje się mianowicie autentyczność mojej „Korespondencji z Rzymu” (w numerze majowym *Kultury*), zawierającej m.in. nieautoryzowany „wywiad” z przedstawicielami polskiej hierarchii kościelnej. Audycja prezentuje fałszywie ten „wywiad” (cudysłów był użyty w moim tekście jako „anonimowy”, przeprowadzony „z abstrakcyjnym przedstawicielem Episkopatu polskiego” oraz stwierdza że „wydaje się bardzo mało prawdopodobne, by polska hierarchia kościelna posługiwała się Dominikiem Morawskim jako swoim powiernikiem”.

Nie wiem czy więcej tu złej wiary czy też przysłówowego „udawania Greka”. Prawdopodobnie jedno i drugie. Żaden „organ wolnej prasy” (rozgłoszenia polska Radia Free Europe za takowy — jak utrzymuje — chce uchodzić) nie ujawnia w określonych przypadkach źródła informacji i nie identyfikuje rozmówców. Należy to do dobrych i przyjętych obyczajów dziennikarskich w prasie wolnego świata. W przypadku mego „wywiadu” rzecz jest dla każdego bardziej niż oczywista. Zakwestionowanie autentyczności „Korespondencji z Rzymu” jest zatem zamachem na powszechnie uznany obyczaj i zarazem próbą podważenia zaufania do redaktora *Kultury*, odpowiadającego za wiarygodność tekstów swego współpracownika. Jeśli niezależny publicysta pisuje m.in. do prawdziwie wolnego organu prasy polskiej, jakim jest *Kultura*, to odpowiada niewątpliwie wyłącznie personalnie za podpisane artykuły, a nie jako wysługujący się komukolwiek „powiernik”. Imputowanie mi roli „powiernika” (aczkolwiek „mało prawdopodobne” według „Free Europe”) przypomina niestety praktykę panującą w państwach totalitarnych (zwłaszcza komunistycznych), gdzie każdy obywatel zabierający głos w prasie lub na zebraniach publicznych w sprawach politycznych musi posiadać mandat, bądź też jest automatycznie uważany za wyposażonego w mandat mocodawcy (partii, stowarzyszenia, organizacji itp.).

Pytanie dotyczące posła Zabłockiego (jedno z sześciu) w „wywiadzie”, stanowiące „kość niezgody”, było nader uzasadnione, aczkolwiek jest jasne, że nie mogło wzbudzić zachwytu w zespole Radia „Wolna Europa”. Nie na to nie poradzę — za błędy i potknięcia w naszym zawodzie trzeba ponosić konsekwencje, tym bardziej kiedy się ignoruje prostujące interwencje o charakterze nieoficjalnym, jakie w tej sprawie były podjęte z miarodajnej, polskiej strony świeckiej i kościelnej. Rozgłoszenia polska Radia Free Europe zdaje się pretendować do nieomyślności. Jest to grube nieporozumienie — nikt nie ma na nią patentu, nawet Papież (chyba że występuje jako wykładnik doktryny).

Przypisywanie mi występowania „jako poplecznik Zabłockiego, zachwalając jego linię polityczną”, nie ma pokrycia w treści mego listu, co *nota bene* wynika jasno również z odpowiedniego ustępu artykułu „Kościół po rewolucji grudniowej”. Nie występuję „jako poplecznik” tej czy innej frakcji, lecz jako publicysta biegły w tej materii, starając się wyjaśnić na czym polegała rozbieżność w stanowisku dwóch posłów Koła ZNAK, ponieważ właśnie tę rozbieżność, rzutującą na obecny stan rzeczy, komentarze „Wolnej Europy” ukrywały i zniekształcały, uprawiając swoistą dezinformację i propagandę na rzecz jednej z krajowych frakcji katolickich, do czego jako placówka amerykańska, jak sądzę, rozgłoszenia ta nie jest powołana.

Komentarze tej rozgłoszenia (np. *Na Antenie*, marzec br.) zawierają m.in. oskarżenie (nieumotywowane) Zabłockiego o „tendencje do zatarcia różnic między PAX-m a ZNAK-iem”, wypominają mu dawną przynależność do PAX-u i łączność ze „spadkobiercami Falangi” (wystąpił *nota bene* nie w roku 1956, jak utrzymuje „Wolna Europa”, lecz w roku 1955, jako przywódca tzw. Frondy, w związku z oświadczeniem dezawuuującym PAX, waty-

kańskiego „Świętego Oficjum” i opozycją wobec totalitarnej struktury i metod tej organizacji, do której wstąpił jako student w ferworze modnego już wówczas progresizmu katolickiego, nie mającego oczywiście nie wspólnego ze spadkobiercami „Falangi”. Nawróceni ex-paxowcy znajdują się także po drugiej stronie „barykady”, tzn. wśród publicystów *Tygodnika Powszechnego* i w grupie *Wiezi*, której red. naczelny Mazowiecki (wystąpił z PAX-u razem z Zabłockim!) „Wolna Europa” reklamuje, stawiając obok pisma Stommy i biorąc w obronę przed „ambicjami”, rzekomo rozłamowymi, Zabłockiego. Jest to więc nie tylko argument niepoważny i demagogiczny, ale obliczony na sianie zamętu (tak jakby nie był już dostatecznie duży). Sytuacja jest bardziej złożona i nie sprowadza się do tarć personalnych.

Odrzucić należy w sposób kategorię „zastrzeżenia natury moralnej”, jakie ma rzekomo budzić mój list, tj. insynuowanie mi „wiązania” pisma „Stommy z „Wolną Europą”, co audycja określa jako „fałszywy donos prowadzący do represji”. Nawet polemiczny zapal nie może usprawiedliwić posługiwania się nieprawdą i „chwytami poniżej pasa”. Zarzut pod adresem rozgłośni polskiej Radia „Wolna Europa”, że w niektórych sprawach zajmuje *parti pris* wiąże się ściśle z treścią komentarzy tej radiostacji dot. działalności pisma Zabłockiego, treścią pokrywającą się z krytyką jego krajowych adwersarzy, którzy, stawiając na Gomułkę i Kliszę, przegrali. Radio „Free Europe” samo „wiąże” Stommy z akcją przeciw Zabłockiemu, oskarżonemu o zamach na „integralność” ZNAK-u. Za popieranie linii Gomułki nikt zresztą w PRL-u nie padł ofiarą represji (przynajmniej w kręgach katolickich) — nie jest jeszcze tak źle. Straszak „represji” jest w tym przypadku typowym polemicznym nadużyciem.

Obok represji urzędowych istnieje jednak również zjawisko represji moralnej ze strony opinii publicznej. Radio „Free Europe” prowokuje niebacznie tego rodzaju represję nie po raz pierwszy, choć jest nieraz dotkliwsza od urzędowej, jeśli spada niezastuszenie. Wykorzystuje przy tym okoliczność że nikt nie jest w stanie jej zaskarżyć o „libel” oraz sytuację faktycznego monopolu — jej naświetlenia i opinie docierają poprzez antenę (cenzura jest więc bezbronna), natomiast egzemplarze *Kultury* z trudem torują sobie drogę do szczupłego grona odbiorców i na czarny rynek.

Szkalowanie pisma Zabłockiego i działalności kierowanego przez niego Ośrodka Dokumentacji i Studiów Społecznych (o której, powtarzam, moi rozmówcy w „wywiadzie” wyrazili się pozytywnie) są równoznaczne z zadenuncjowaniem jednego z posłów ZNAK-u przed społeczeństwem, w opinii episkopatu, a także w kołach zagranicznych (dziwnym trafem odnośnie komentarze zbiegły się z kontaktami pisma Zabłockiego i jego współpracowników z przedstawicielami sfer rządowych, opozycji CDU i hierarchii kościelnej na terenie Niemieckiej Republiki Federalnej). Tego rodzaju kłusownicze metody „informowania” na falach eteru i w drugu należy demaskować. Radio Free Europe nie posiada żadnego tytułu do udzielania komukolwiek lekcji moralności politycznej.

Dominik MORAWSKI

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal: 3^e Trimestre 1973.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocza	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria	R. 1,20	R. 7,50	R. 14,50
ARGENTYNA: Tadeusz Dubrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking Ho., Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 1,50	\$ A. 9,00	\$ A. 17,50
AUSTRIA: Henryk Odianicki-Poczebun, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 250,00	Sch.A. 450,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Casak, 19, Armée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18-69-23	F.B. 90,00	F. B. 500,00	F. B. 950,00
BRAZYLIA: Janina Pomian-Piatkowska, rue Guirara 143, villa Pompeia, 05025 Sao Paulo, Tel. 62-0523	\$ US 2,00	\$ US. 11,00	\$ US 20,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 9,00	F. 48,00	F 90,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Flo. h. 6,00	Ff. h. 35,00	F. h. 65,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man.; Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, 24, Facer St., St. Catharines, Ontario; Henryk Słowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4; Polish Voice Publishing Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen Str. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 2,00	\$ Can. 11,00	\$ Can. 20,00
NIEMCY: St. Mikieluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	DM. 5,00	DM. 35,00	DM. 65,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F 9,00	F. 50,00	F. 95,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilles, Case postale, 1211 Genève 7, Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 1214431 ..	F. . 8,00	F. S. 40,00	F. S. 75,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70	K. S. 9,00	K. S. 50,00	K. S. 95,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossatynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; Maria E. Dobrowska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; Polish Book Store, 1002 Fanshew St., Philadelphia, Pa, 19111; Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053	\$ US 2,00	\$ US 11,00	\$ US 20,00
W. BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD.	£ 0,75	£ 4,00	£ 7,75
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 1200	L. It. 6000	L. It. 11000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 54.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 231 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ

Nowa forma impresji literacko-politycznych.

Str. 192.

Cena F. 22 (dol. 5,50)



TOM 232 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYTY DWUDZIEŚTY PIĄTY

zawiera m.in.: Wł. Żeleńskiego: *Zabójstwo ministra Pierackiego*; Z. S. Siemaszki: *Rozmowy z kpt. Szabunią*; R. Buczka: *Tragedia Ryszarda Świętochowskiego*; Pawła Korca: *Materiały do studiów nad historiografią PRL w zakresie historii najnowszej (V) (dokończenie)*; Wł. Babińskiego: *Wymiana depeš między Naczelnym Wodzem a D-cą Armii Krajowej 1943-1944 (Cz. III)*.

Zeszyt 25 ukaże się zgodnie z zapowiedzią w sierpniu br.

Str. 240.

Cena F. 20 (dol. 5,00)



TOM 233 — WŁADYSŁAW ŻELEŃSKI

ZABÓJSTWO MINISTRA PIERACKIEGO

Wydanie książkowe tekstu zamieszczonego
w 25-ym ZESZYCIE HISTORYCZNYM

Str. 104.

Cena F. 10,00.



TOM 234 — MARIA HIRSZOWICZ

KOMUNISTYCZNY LEWIATAN

Wnikliwa analiza biurokracji komunistycznej, opracowana przez
znanego socjologa.

(Komunizm = totalitaryzm? — Przeciwno jednoczynnikowemu tłumaczeniu historii. — Społeczne przyzwolenie a interesy grupowe. — Polityczne panowanie a racjonalne kierowanie. — Intelektualiści w zasięgu Lewiatana).

Str. 132.

Cena F. 15,00.